

# AGNIESZKA JEŻ

## DZIEWCZYNA Z WOLI

PIĘKNA OPowieść o okrucieństwie wojny,  
nadziei i prawie do miłości

FILIA

**AGNIESZKA JEŻ**

**DZIEWCZYNA Z WOLI**

**FILIA**



## Prolog



Lucyna patrzyła na Barbarę, ale ta nawet nie drgnęła. Była opanowana jak nigdy. Zdeterminowana i gotowa.

„Na wszystko”, pomyślała Lucyna.

Kiwnęła głową. Uniosła obie ręce w geście poddania; płótno, w które zapakowano pranie, przesunęło się i odsłoniło dłoń z pistoletem. Powoli przykucnęła i położyła broń na dywanie. Cicho, cichutko. Wszystko tu było takie miękkie, jasnokremowy dywan też.

„Ma kolor tej sukienki z Tamki, pięknej, choć trochę oszpeconej brzydkim brunatnym zaciekiem”.

Barbara nie spuszczała wzroku z mężczyzny stojącego naprzeciw niej. Gdyby on strzelił do Lucyny, na tym dywanie również by się pojawiła taka plama.

Krew tak trudno się spiera...

Ale nie strzelił, patrzył na Lucynę.

„Rusz się”, rozbrzmiało w głowie Barbary. „No, szybko”.

Ocknęła się i sięgnęła do torby. Sprawnie, prawie bezszelestnie. Może dlatego, że zdrową prawą ręką. Lewa ją piekła. Tam, gdzie miała rozdartą skórę. I tam, gdzie na palcu tkwił pierścionek z sercem naznaczonym czerwienią.

Więc nie usłyszał, dopiero po chwili, gdy się obrócił, zobaczył Barbarę unoszącą w jego stronę rękę z pistoletem.

– Zastrzel go!

Nie, to nie Lucyna to powiedziała, to znowu ten głos w jej głowie. Ale on i tak zrozumiał, że wpadł w zasadzkę. Wciąż jednak mierzył w Lucynę.

Tkwili w tym dziwnym, dramatycznym trójkącie i dla każdego z nich było jasne, w jaki sposób są połączeni.

Jeśli Barbara nie opuści ręki, nie rzuci broni na podłogę, on zastrzeli Lucynę.

Lucyna zginie, ale on też umrze, bo Barbara zdąży oddać strzał. Sprawiedliwości stanie się zadość.

Jeżeli Barbara odłoży broń, on może strzelić najpierw do niej, a potem do Lucyny. Jedna z nich straci życie. I, być może, będzie to Barbara, bo przecież Lucyna już wykorzystwała te swoje trzy wtopy. „Do trzech razy sztuka”, tak to brzmiało. W końcu wszystko się jej udawało, zawsze – życie, miłość, Zygmunt. Dlaczego teraz miałyby być inaczej? Dlaczego on miałby strzelić najpierw do tej pięknej, złotej dziewczyny, która się zresztą poddała, a nie do jej mniej efektownej koleżanki? A jeśli żadnej nie zabije tutaj, by nie zabrudzić tego eleganckiego dywanu, tylko zleci katowanie ich na raty na Szucha? I Lucynę ktoś wyciągnie, skoro z jej kuzynem dało się to przeprowadzić? Lub choć uda się jej podać kapsułkę z cyjankiem, a Barbara będzie dogorywała powoli, mając czas na rozpamiętywanie niespełnionego życia?...

Tak, złotej dziewczynie wszystko zawsze się udawało, więc...

„I co zrobisz?”, rozbrzmiało w jej głowie.

Barbara powoli podniosła rękę i...



## Rozdział pierwszy



Stała boso na rozgrzanym piasku. Przesunęła prawą stopę w bok, palcami nurkując w gorące drobinki. „Przyjemnie”, rozmarzyła się. „Ale i trochę boleśnie”. I, to może przede wszystkim, dziwnie. Nieznane uczucie, które nie ograniczało się tylko do mrowienia rozpalonej piaskiem skóry. Było tak, jakby ten impuls dotyku wędrował do góry – łydką, zahaczając o kolano, smagając udo i docierając w rejony brzucha. A właściwe to nawet do...

Barbara Leoniewska rzadko miała okazję uwalniać ciało z ubrań i butów. Wystawić je na działanie wiatru i słońca, których nie krępował żaden (no prawie) strój. Na co dzień korkowa podeszwa sandałów odcinała jej stopy od bezpośredniego kontaktu z podłożem, zresztą kto by chciał biegać na bosaka po warszawskim bruku? Jakby to wyglądało, podobnie jak paradowanie z odsłoniętymi ramionami i udami po Woli? Takie rzeczy to tylko nad Wisłą, gdzie czasem, bardzo rzadko, mama ją zabierała, gdy była młodsza, lub dokąd się wybierała z Hanką, ale też niezbyt często, bo mama się o nią bała. Strach mamy sprawiał, że omijało ją wiele sytuacji, które były udziałem jej koleżanek. Co do koleżanek zresztą, to Barbara nie miała ich zbyt wielu, ale to już nie z winy mamy – po prostu nie była szczególnie towarzyska. To właściwie też nie do końca oddawało prawdziwy obraz sytuacji. Barbara znajdowała się na uboczu życia – społecznego i szkolnego, bo los ją tak ustawił.

Tak czy owak, w tych nieczęstych chwilach, kiedy uwalniała na plaży swoje ciało z ubrania, nie przytrafiały się jej takie odczucia, nie przychodziły do niej takie myśli jak dzisiaj. Może dlatego, że wtedy była młodsza? „Ależ ty wyrosłaś!”, zauważyła ostatnio mama, zdumiona, że sukienka z poprzedniego lata, wówczas słusznej długości, teraz kończy się sporo nad kolanem. Barbara wyrosła, jej ciało się wyciągnęło, zeszcupłało, choć nie wszędzie, bo w górze nowo obstalowanej różowej sukienki – taki ładny piwoniowy kolor – trzeba było zrobić zaszewki na wysokości piersi. „Moja mała kobietka”, mama strzepnęła z rzes łzę, gdy przyglądała się odbiciu córki w lustrze. Zatem na pewno dlatego, że wyrosła i wciąż rosła. Jej ciało się zmieniało i zmieniało się jej wnętrze – inne myśli, inne odczucia, inne zainteresowania. Świat dokoła, niby wciąż ten sam, teraz wydawał się jej odmienny.

A tu, dodatkowo, było inaczej. Podmiejsko, a nawet wiejsko, bo przecież stała na plaży; nie takiej uporządkowanej, z widokiem na kamienice po drugiej stronie rzeki, jak w Warszawie, tylko w miejscu, które natura wzięła w swoje władanie.

Barbara też się tak czuła – jakby odezwała się w niej natura.

Zrobiła kilka kroków w stronę wody. Objęła się ramionami; tutaj skóra także była gorąca i już zaczerwieniona mimo posmarowania jej kremem sportowym. „Tokalon jest najlepszy”, twierdziła mama, zamawiając go wczesną wiosną. „Piękny kolor bez oparzeń”, wyczytała Barbara w reklamie. „Nadaje skórze złocisty odcień”. Może u tej ślicznej, młodej kobiety z plakatu tak było, ale Barbara jej nie przypominała. Modelka leżała na piasku, rozkosznie się przeciągając. Twarz miała jak Shirley Temple – zadarty nosek, dołeczki w policzkach, piękne złote loki. Skórę również miała złotą – może po tym kremie, a może tak po prostu, bo przecież cała była idealna. Barbara potrafiła dokładnie odtworzyć jej wizerunek, mimo że nie przyglądała się jej długo, ot, rzuciła okiem na tekst reklamowy. Takie dziewczyny jednak się



zapamiętuje – ich obraz zostaje pod powiekami. Chciałoby się być nimi, gdy jest się dziewczyną, lub z nimi – kiedy jest się chłopcem.

Odwróciła się w kierunku sosnowego lasu, gdzie na lekkim piaszczystym zboczu odpoczywała mama. Teraz już nie siedziała na kocu, tylko się na nim położyła. „Pewnie zasnęła”, pomyślała Barbara, „jest zmęczona”. Te wakacje nie były zwyczajne; beztroska mieszała się z lękiem. Na sierpniowym, upalnym niebie zaczynały się gromadzić chmury – nie te prawdziwe, ale te wyobrażone, przeczuwane – że będzie wojna. Mama jeszcze zaprzeczała, choć już coraz słabiej, a po powrocie z biura i zrobieniu dla nich dwóch obiadu, mimo zmęczenia zabierała się do szykowania przetworów, suszenia sucharów. „Na wszelki wypadek”, twierdziła, chociaż już nie dopowiadała, jaki to wypadek miałby się im trafić. Zresztą już im się przecież trafił, bo tata...

Barbara poczuła gulę w gardle i zapiekły ją oczy. To już prawie trzy lata, a ona nie potrafiła nie płakać na myśl o ojcu. Zapalenie płuc – czemu nie ma na to leku? „Może kiedyś”, stwierdził doktor. Może, ale to już jej nie zwróci taty, a mamie – męża. Jedyny plus tej sytuacji (przyjmując, że takie sytuacje w ogóle mogą mieć jakieś plusy) był taki, że teraz częściej widywały się z ciotką Marysią. Wcześniej ciotka zapraszała je, a szczególnie Barbarę, do siebie do Podkowy podczas wakacji, ale prawie nigdy ich nie odwiedzała w Warszawie. „Nie ma warunków”, powiedziała, gdy Barbara ją kiedyś o to zagadnęła. Fakt, nie było, mieszkali skromnie i ciasno – Barbara spała na rozkładanej leżance w jadalni, rodzice mieli dla siebie drugi pokój.

Barbara lubiła ciotkę. Starsza o dziesięć lat siostra mamy była miła, samotna i mało wylewna, ale... Z jakiegoś, nie do końca uświadomionego powodu imponowała Barbarze. Czasem, kiedy mama zakazywała jej kolejnej rzeczy (wieczne „boję się o ciebie”), Barbara myślała w złości, że wolałaby, żeby to ciotka ją urodziła.

Nagły gwizd przywrócił ją do rzeczywistości. Przez most nad Świdrem przewaliła się kolejka. „Samowarek”, tak ją nazywano, bo wyrzucała z siebie kłęby pary. Przywiozła kolejną turę mieszczuchów, którzy zapragnęli spędzić na łonie natury jeden z ostatnich weekendów sierpnia. Otwock świetnie się do tego nadawał, to był prawdziwy podstołeczny kurort. Powietrze inaczej tu pachniało, oczyszczone przez wybujale sosny i nawilżone Świdrem. Tej beztroski trochę ujęła mu mimowolnie usłyszana przez Barbarę rozmowa dwóch Żydów na stacji. „Ale tu u nas, w Uszwocku, to chyba spokój będzie?” Mimo tej wypowiedzianej nadziei spojrzenia były te same co w Warszawie – lękliwe. Widać przed wojennym drzeniem nie dawało się uciec, nawet w tak pięknym miejscu, które nijak nie kojarzyło się z dramatem.

Barbara strzepnęła z przedramion drobinki piasku, a z głowy wyrzuciła te niedobre myśli. Ruszyła wzdłuż rzeki, w kierunku zachodnim. Przeszła pod wiaduktem, gdzie przez moment ochłodził ją wilgotny cień, i znowu znalazła się na plaży, która w tym miejscu była szersza, ładniejsza, ale, co wynikało z obu tych właściwości, bardziej zatłoczona. Sporo odpoczywających było chyba przyjezdnych – rodziny z małymi dziećmi i dużymi koszami piknikowymi, mamy pod jasnymi płóciennymi parasolkami, chłopcy w marynarskich ubrankach, dziewczynki w przewiewnych sukienkach, młode kobiety w elastycznych kostiumach i obcisłych spodenkach, młodzi mężczyźni w...

Przystanęła. W tej wesołej i głośnej masie jej uwagę zwróciła grupka chłopców trzymających się razem. Śmiali się, bawiąc się w przeciąganie liny. Obok leżały ich stroje harcerskie i plecaki, na piasku – kilka ręczników.

– Ciągnij, ciągnij, Zygi! – Usłyszała głos jednego z nich.  
– Byłoby łatwiej, gdybym stanął z drugiej strony, bo wiadomo, że moja lewa ręka silniejsza, ale tak specjalnie mnie, łotry, ustawiliście. To wam jednak nie pomoże! – odkrzyknął mu drugi, nazwany Zygim.

„Chłopców”, pomyślała, kiedy była w pewnym oddaleniu. Gdy się zbliżyła, stwierdziła, że to już raczej młodzi mężczyźni. Pewnie po małej maturze, ale chyba przed egzaminem dojrzałości. A może już po? Musieli częściej niż ona przebywać na słońcu, bo ciała mieli równo osmagane promieniami słonecznymi. No, nie wszyscy, ale jeden z nich, najwyższy, z ładnie wyrzeźbioną klatką piersiową, ten Zygi, na pewno.

Podeszła jeszcze ciut bliżej. Schyliła się, że niby wydłubuje spomiędzy palców kamyk. Stopy miała gorące, kolana i uda też; rozgrzana była jej twarz. I znowu poczuła ten impuls jak prąd, który przepływał przez jej ciało.

Ciało. Kiedy była młodsza, nie myślała o ciele – było, to było, jakie dostała, takie miała. Ciała były stworzone do tego, żeby służyć – chodzić, pracować, po prostu być. Od pewnego jednak czasu to ulegało zmianie. Barbara zaczęła dostrzegać różnice – jedne ciała były ładniejsze od innych: smuklejsze, gładsze, bardziej sprężyste, zgrabniej się poruszające. Zaczęły wywoływać w niej odmienne emocje. Gdy widziała piękną, atrakcyjną kobietę, najpierw czuła estetyczną przyjemność, jakby oglądała obraz czy rzeźbę w muzeum, ale już chwilę potem – smutek i zazdrość. Te kobiety były piękne i były jakieś. Barbara była... Zawahała się. „Ładna, no oczywiście, że ładna”, mówiła mama, ale mama ją przecież kochała, miała tylko ją, więc na pewno przedobrzała w tej ocenie. Podobnie jak Henryk, który twierdził, że jest urocza, ale znał ją od lat, więc także nie miał dystansu. Według własnej oceny Barbara była całkiem zwyczajna: wzrost średni, włosy w kolorze średnim – bo jak określić ni to blond, ni to brąz? Średnio też zgrabna, bo ani zbyt puszysta, ani za chuda, oczy w kolorze zgaszonego niebieskiego, a może to już była szarość?... Gdyby mogła samą siebie zobaczyć na ulicy, na pewno nigdy by nie wzbudziła swojego zainteresowania.

Do tej pory, a już zwłaszcza od śmierci taty, jej mały świat ograniczał się do mamy, ich skromnego, dwupokojowego,

ciemnawego mieszkania w czynszówce na Krochmalnej i do nauki („Wiedza to potęgi klucz”, powtarzała jej mama). To Barbarze wystarczało; żyły w tym swoim mikrokosmosie, zżyte ze sobą, mogące liczyć tylko na siebie (no dobrze, była jeszcze ciotka). Świat za oknem zdawał się trochę obcy, trochę nieistotny, nie zachęcał do siebie. To jednak odchodziło powoli do przeszłości; dojrzewanie sprawiło, że świat stawał się teraz dla Barbary atrakcyjny, pociągający. Nagle zapragnęła wychodzić, poznawać, doświadczać. Dwie klitki w ich mieszkanku to już było za mało. Mama, kochana i poczciwa, też już jej nie wystarczała. Świat ją nęcił, świat miał jej sporo do zaoferowania.

I tu pojawiał się pytanie: Co ona miała do zaoferowania światu?

Swoją dobroć, sumiennosc, pilność. Dużo, ale to było takie... nieatrakcyjne. Żeby się tych zalet dopatrzeć, trzeba by Barbarę poznać, a, co już mimo swoich siedemnastu lat zrozumiała, chciało się poznawać przede wszystkim tych, którzy byli atrakcyjni.

Był, co prawda, Henryk, sąsiad z kamienicy obok, dwa lata starszy od niej, miły, opiekuńczy i nawet całkiem zabawny. Odprowadzał ją czasem na przystanek, kilka razy byli we dwoje w kinie i w parku, i może nawet...

Tak myślała do tej pory, ale kiedy zobaczyła tego chłopaka na plaży i poczuła ten impuls...

To było coś nowego. Coś innego.

Wciąż go obserwowała. Wyglądał, jakby rzeźba antyczna zesła z cokołu na nadświdrzański brzeg. Patrzyła na jego opalone wysportowane ciało, na uśmiechniętą twarz z ciemnymi oczami i na błyszczące brązowe oczy, co i raz przykrywane długą kasztanową grzywką.

Nie mogła dłużej tkwić w tym miejscu i rzucać coraz mniej ukradkowych spojrzeń. Podniosła się, wyprostowała i już miała, choć niechętnie, zawrócić w stronę, gdzie z mamą rozłożyły koc, gdy zawody w przeciąganiu liny dobiegły końca. Zwycięska trójka,

w tym ten, który ją tak zauroczył, po puszczeniu liny przez przegranych najpierw się zachwiała, jeszcze walcząc o utrzymanie pionowej pozycji, a potem upadła. Najdłużej bronił się właśnie on, wymachując rękoma i balansując ciałem, ale w końcu wyłożył się na perłowobezowy piasek, tuż obok Barbary.

Na chwilę znieruchomiła, ale kiedy na nią spojrział i się uśmiechnął (żaden męski uśmiech nigdy wcześniej tak się jej nie spodobał), a potem jeszcze podał jej rękę, żeby pomogła mu wstać, to... to było zupełnie nowe i przyjemne uczucie. Wyciągnęła do niego swoją drobną dłoń; chwycił ją, ale nie tak do końca serio, bo przecież był wysportowany i bez trudu podniósłby się sam.

– Dziękuję – powiedział głosem, który bardzo pasował do jego aparycji. – Niby wygrani, a jednak na deskach, znaczy na piasku. Zygmuntem jestem.

„Nie dość, że ładny, to jeszcze potrafi się zachować i odezwać”, pomyślała.

– Barbara – odpowiedziała zdjęta nagłą paniką: co będzie dalej, co mówić, co zrobić, a jeśli ją zaprosi, by została? Przecież tam jest mama, która może się niepokoić, ale jest i on, i do tego taki przystojny...

– Zawody sobie urządzamy z kolegami z harcerstwa. – Obrócił głowę w ich stronę. – Taki dziś ładny dzień, to się wcześniej rano zapakowaliśmy w kolejkę i nad Świder. Po co się dusić w Warszawie?

Ach, więc był z Warszawy, jak ona.

– Trochę zabawy – ciągnął – a trochę nie. Czasy takie... – urwał. Spojrzął na nią już mniej pogodnie.

Stężała. Nie chciała psuć tej chwili zamartwianiem się o przyszłość. Były wakacje i piękne niedzielne przedpołudnie, gorąca jasna plaża nad granatowym Świdrem i ten niezwykły młody mężczyzna, z którym mogło połączyć ją coś bajkowego...

– O, no i jest wreszcie nasza księżniczka!

Oboje obrócili się w kierunku tego głosu. To powiedział jeden z jego kolegów, ale teraz już wszyscy patrzyli w stronę łagodnego zbocza, po którym zbiegała młoda dziewczyna. Za nią szli inni plażowicze, więc Barbara pomyślała, że to z tego pociągu, który niedawno przejechał wiaduktem.

Dziewczyna jednak szła sama; nawet nie tyle szła, ile jakby się leciutko unosiła nad ziemią – zgrabnie, zwiewnie. Skakała po nasypie, z gracją wymijając wypoczywających i po drodze wyswobadzając się z sukienki. Kiedy dopadła do wyczekujących ją chłopaków, była już w samym kostiumie. I wyglądała jak ta modelka z reklamy Tokalonu – zgrabna, błyszczącozłota, od włosów po skórę – po prostu było od niej jakieś jasne piękno. Barbara zauważyła, że nowo poznany Zygmunt też patrzy na tę dziewczynę. Wszyscy na nią patrzyli – i on, i jego koledzy, i inni plażowicze. Ta dziewczyna była nieprzeoczalna.

– Lucy, no ile można na ciebie czekać! – Jeden z grupki, także blondyn, rozłożył ręce w geście udawanej bezradności.

– Wy to wychodzicie z domu, jak stoicie, a my musimy poczynić trochę starań... – Przyjęła pozę gwiazdy filmu.

– Oj siostra, siostra... – Blondyn westchnął. Znowu niby z przyganą, ale nawet on, brat przecież, pozostawał pod jej urokiem.

Wszyscy pozostawali. Zygmunt również. Spojrzał na Barbarę, ale już tak przelotnie, nie zatrzymując dłużej na niej wzroku.

– Jeszcze raz dziękuję za pomoc – powiedział i żartobliwie zasalutował.

Jak do kumpla.

Albo jak do zwyczajnej dziewczyny.



## Rozdział drugi



– I jeszcze idź po tampony przeciwigazowe. Albo lepiej maski weź.  
– Krystyna Leoniewska zatrzymała się w wąskim korytarzu. To ci dołożę... – Sięgnęła do torebki po portmonetkę. Otworzyła ją i zastygła. – Sama już nie wiem... – Westchnęła. – Nie bardzo teraz możemy...

„Nie bardzo” mogły od czasu śmierci Leona Leoniewskiego, więc to „teraz” było nieuprawnioną otuchą – od trzech lat żyło im się zdecydowanie trudniej, pod każdym względem. A teraz jeszcze świat miał się dodatkowo zepsuć.

– ...ale mówi się, że będzie jeszcze gorzej, drożej i już sama nie wiem jak. Wczoraj miałam nadzieję, że może w trakcie przerwy w pracy uda mi się wypłacić pieniądze z książeczki oszczędnościowej, ale gdzie tam! Stania tyle, że pewno bym przed nocą nie wróciła do domu! I czy to warto dla tych groszy?... No nic to, Basiulka, weź jeszcze tyle i kup coś na wypadek ataków z powietrza. No, a z tego jedzenia to mleko w proszku i mąkę. Jakby co zostało – choć Krystyna Leoniewska powiedziała to tonem, który wykluczał wiarę w taką możliwość – to może suche wędliny? Te wileńskie? – Szybko pocałowała córkę w policzek i po chwili słyhać było stukot jej obcasów na drewnianych schodach.

Basia wróciła do kuchni, a właściwie do malutkiej wnęki, oddzielonej od „jadalni” (te wszystkie nazwy były sporo na wyrost wobec stanu faktycznego) i ukroiła sobie kawałek chleba. Przez chwilę się zawahała, ale sięgnęła po marmoladę. Niby mają



oszczędzać, ale przecież już oszczędzają; były na takim poziomie oszczędności, z którego z trudem się schodziło.

Zalała liście mięty wrzątkiem i z przyjemnością wciągnęła ich ziołowy aromat. Zapachniało latem, swobodą, Świdrem...

Otrząsnęła się. Akurat tego nie chciała wspominać. Właściwie to chciała i nie chciała – bo może to by mógł być początek miłej znajomości, a ona go zepsuła swoją niemotowatością? Niby była mądra i pilna, a jak przychodziło co do czego, to jej słów brakowało. Nie o słowa tu chodziło, a o wygląd, szybko sama sobie odpowiedziała. Gdzież jej było do tamtej dziewczyny... I znowu to ukłucie zazdrości. Nie po chrześcijańsku, próbowała się upomnieć. Ostatnio w jej głowie kłębiło się za dużo myśli, często sprzecznych. „Przywilej i przekleństwo młodości”, śmiała się mama. Mama jednak była ładna, nawet bardzo ładna, i to mimo upływu lat. Barbara zaś była podobna do ojca; ciekawe, że o nim nigdy nie myślała w takich kategoriach, wręcz przeciwnie, wydawał się jej całkiem przystojny. Mężczyzn jednak obowiązywały inne kryteria. Czowała, że apetyt jej mija. I znowu się zezłościła, bo przecież nie po to robiła tę kanapkę z marmoladą, żeby jej teraz nie zjeść. Jadła więc, ale bez przyjemności, która jeszcze przed chwilą miała jej towarzyszyć.

– Au! – I na dodatek oparzyła się w język naparem z mięty.

Nie do końca rozumiała, co się z nią dzieje – te zmienne nastroje, raz euforia, potem złość. Radość tuż przed smutkiem. Już nie dziecko, jeszcze nie dorosła...

Otrząsnęła się. Na szczęście to jej dobrze wychodziło – otrząsanie się. Szybko dokończyła śniadanie, wyszorowała zęby proszkiem, bo pasta się skończyła, przelotnie przejrzała się w lustrze (może jednak wygląda całkiem, całkiem?...) i zamknęła za sobą drzwi do domu.

Kiedy wyszła na ulicę, poczuła ciepły podmuch wiatru. Było jeszcze wcześniej, a mimo to mocno już przygrzewało. Zresztą latem różnica temperatur między ich mieszkaniem a ulicą była

spora – wychodziło się z lekkiego mroku i wilgoci w jasną ciepłość. No dobrze – jaśniejszą ciepłość. Krochmalna to nie był ogród Saski. I pomyśleć, że kiedyś ta ulica nazywała się Lawendowa, bo ponoć były tu łąki pełne kwiatów. Potem jednak przyszły fabryki i...

– A co panienka taka zamyślona, że znajomych nie zauważa?

Aż podskoczyła. Henryk.

– A co kawaler tak czatuje na panienki? – odpowiedziała w tym samym stylu, ale jej głos wcale nie zabrzmiał miło.

– Daj spokój, miało być zabawnie. – Chłopak stracił początkową pewność siebie.

– To nie wyszło – burknęła, ale już spokojniej.

Fala złości powoli odpływała. „Co się tak wyżywasz na Henryku?”, skarciła się w myślach.

– Patrz, co mam. – Podsunął jej pod nos legitymację z literami OPL. – Jestem w drużynie obrony przeciwlotniczej. I opaskę też mam. – Wyciągnął z kieszeni zielono-żółty kawałek materiału.

– Pomięta jak używana chustka do nosa – wyrzuciła z siebie resztę naburmuszenia. – Dobrze, trzeba się organizować – dodała jednak, żeby było uczciwie, jednocześnie myśląc, że ona nie jest zorganizowana, jeśli chodzi o takie działania. Jakoś do tej pory się nad tym nie zastanawiała. W ogóle ostatnio coś takiego się z nią działo, że sama się nie poznawała.

– A teraz dokąd idziesz? – zapytał Henryk, który wyraźnie nie chciał, żeby się już rozstali.

– Do Śródmieścia.

– Daleko – ni to stwierdził, ni zapytał.

Było dość daleko, ale Barbara miała ochotę na taki spacer. Po pierwsze, lubiła chodzić, po drugie – lubiła wychodzić stąd, z Krochmalnej, z Czystego, z Mirowa – do ładniejszych kamienic i ładniejszych ludzi. Mieli się stąd przenieść, może na Żoliborz, może do Śródmieścia, w każdym razie bliżej „lepszego życia”. Te plany skończyły się wraz ze śmiercią ojca. W obecnej sytuacji

wydawało się, że utknęły z mamą pod tym adresem już na zawsze. Barbarze zaczęło to przeszkadzać. Czuła się jak zamknięta w klatce.

– Sprawunki tam mam – powiedziała krótko. Nie będzie przecież objaśniała Henrykowi ani swoich planów, ani motywacji, zresztą czy on – spojrzała na niego przelotnie – zrozumiałby te jej nowe, nieposkładane myśli?

– No to niespodzianka... ja też! – powiedział, nie przeczuwając tego, co krążyło jej po głowie.

– Ty? A jakie? Nie idziesz do swojego majstra na Chłodną? – Już nie chciała być uszczypliwa, ale jakoś tak wyszło, że jej głos zabrzmiał ironicznie.

„Jezu, Baśka, co ty wyrabiasz?” Naprawdę, czasem sama się nie poznawała. To co miał myśleć Henryk?...

Henryk jednak albo nie poczuł się urażony, albo nie dał po sobie poznać, że słowa Barbary go dotknęły.

– Wyższa konieczność, więc najpierw rowy... Zresztą wiesz co? Mam już prawie, prawie dogadane, że w Radio-Unionie będzie dla mnie miejsce! – Aż się wyprostował z dumy.

Barbara zdobyła się na uśmiech. „Może masz, a może nie”, pomyślała, ale nic nie powiedziała. Co się będzie znowu na nim wyżywała? A jeśli nawet naprawdę ma tę pracę przyobiecaną, to dlaczego miałoby ją to interesować? Co on jej – swat lub brat? Z braku jakiegokolwiek towarzystwa obok niej mógłby być i Henryk. Droga daleka, Krochmalna nie zawsze przyjazna, taki chłopak u boku to w sumie nie był zły pomysł. Tak naprawdę to lubiła Henryka, czasem nawet zdarzyło się jej pomyśleć, że... Ale to było dawniej, jeszcze poprzedniego lata, a teraz, po tym Świdrze...

Absurdalne, bo widziała tamtego chłopaka przez kilka minut, ale potem, nie wiedzieć czemu, ilekroć spotykała Henryka lub o nim myślała, to ustawiała obok niego tego Zygiego. A wtedy

Henryk, „jej” (bo przecież oni nic, tak formalnie), szczupły, tyczkowaty, szarooki szatyn, wypadł mniej korzystnie.

– To co załatwiasz? – zapytał, gdy ruszyli w kierunku Wisły.

– Maski przeciwigazowe.

– A gdzie?

– Na Świętokrzyskiej.

– Marzenie ściętej głowy, że tak powiem! – Roześmiał się. – Już dwa dni temu kolejka tam była taka, że do Traugutta dochodziła. Wszyscy teraz chcą masek, cała Warszawa, cała Polska.

– A tobie się udało kupić? – zdziwiła się. Zarówno tym, że Henryk podjął takie starania, jak i tym, że wobec takich trudności odniósł sukces na tym polu.

– E, nie. – Machnął lekceważąco ręką. – Zresztą ja nie po maski szedłem, tam też artykuły modelarskie są, a mnie potrzebna guma napędowa, ale jak zobaczyłem ten rój... Myślałem, że może jakoś tak, z boku... – Dostrzegł jej karcące spojrzenie. – No bo ja nie po maski, nikomu by nie ubyło, ja mam płuca zdrowe. – Walnął się w piersi, aż zadudniło. – Ale policjant pilnował i mnie wyrzucił. Ty byś na pewno tak nie zrobiła. – Spojrzał na nią miękko.

Barbara kiwnęła głową. Prawda, ona nigdy nie zachowałaby się nieregularnie. Przepisy są po to, żeby ich przestrzegać, tak powinien być skonstruowany ten świat.

Szli w milczeniu. Barbara nie wiedziała, co powiedzieć i czy w ogóle coś mówić. Nie chciała, żeby Henryk pomyślał, że jest nim bardziej zainteresowana, zresztą przecież nie była. Chyba już nie. Kultura nakazywała prowadzić rozmowę, ale nie podpowiadała, jak to robić, kiedy człowiek ma w głowie taki mętlik. Nie zagajała więc, za to on znowu się odezwał.

– I w kinie byłem.

– W Śródmieściu? – Kolejne zdziwienie. Może naprawdę nie wie wszystkiego o tym chłopcu?...

– E, nie, u nas, w Czarach. *Linia Maginota*, no co za film!

– Militarny. – Barbara lekko wzruszyła ramionami. Ani ta tematyka, ani to kino jej nie interesowały. Czary były takie... tutejsze. Nieduże, nie za ładne, bez tej magii dużego ekranu, którą miały większe kina w centrum. Tak, chciałyby się stąd wyrwać, choćby do Śródmieścia.

– Czterysta pięćdziesiąt kilometrów fortyfikacji wzdłuż granicy francusko-niemieckiej! Podziemna komunikacja, podziemne magazyny i koszary! – Henryk się ożywił.

Barbara się uśmiechnęła. A jednak go lubiła. Henryk i te jego militarne pasje. To już niech o nich opowiada, lepsze to niż próby podrywu.

– Ale są i inne filmy... – Rzucił jej znaczące spojrzenie.

A jednak.

– Posłuchaj, ja... – zaczęła nieśmiało, ale odchrząknęła i ciągnęła, już głośniej: – Ja się teraz nie skupiam na żadnych takich... takich sprawach. Zaraz początek roku szkolnego, czasy idą trudne, więc nauka ważna, zwłaszcza że my z mamą same...

– Przecież nie musicie być same.

Złapał ją za rękę, czego się zupełnie nie spodziewała. Patrzył na nią teraz żarliwie.

– Ja wiem, widzę, rozumiem, że wam jest tak trudno... Ale są ludzie, którzy by... którzy... Ja bym na przykład... bo praca jedna jest, te zakłady się zaraz udadzą i najważniejsze, że ja... ciebie...

Barbara czuła, jak wali jej serce. Z jednej strony zrobiło się jej żal Henryka, bo szedł obok niej taki poczciwy, wymięty, bladawy, a jednocześnie z jakimś błyskiem w oku, a z drugiej – to współczucie i te ciepłe wspomnienia przeszłości gięły się pod myślą, że młoda kobieta ma prawo do szaleństw, do wariactw, do czegoś innego, bardziej pociągającego.

– O, patrz! – Znowu ją złapał za dłoń, ale tym razem już inaczej, ton jego głosu też był inny, jakby chciał przykryć tamten emocjonalny wybuch czymś neutralnym. – To już tu. – Machnął ręką w stronę ogrodu Dakowskiego.

Barbara nie zauważyła, kiedy przeszli taki spory przecież kawałek. „Jak to myśli potrafią człowieka pochłonąć”, zdziwiła się, choć ostatnio kilka razy zdarzyło się jej tak wyłączyć. Wszystko zaczęło się po tym Świdrze.

– No, same kobiety prawie, potrzebna im będzie pomoc. – Henryk się uśmiechnął, patrząc na grupkę zajmującą się kopaniem rowów.

– Kilku mężczyzn też jest. Na przykład ten. – Barbara wykonała ruch głową w stronę eleganckiego pana w jasnym garniturze.

– Fircyk. W takim stroju do kopania!... – prychnął Henryk.

– To aktor. W filmie grał. Z Ordonówną, *Szpieg w masce*. – Barbara nie była na tym w kinie, bo według mamy była za młoda, ale fotosy pamiętała. – I wygląda naprawdę przystojnie. Podoba się kobietom. – Znowu spojrzała na mężczyznę otoczonego wianuszkami pań, zresztą również w eleganckich strojach. Tak, Śródmieście to był inny świat. Lepszy świat.

– E tam, gadanie! – Henryk machnął ręką.

– Gadanie, gadanie... Przecież mogłeś pójść bliżej. Na Chłodnej i Srebrnej też chyba dziś była zbiórka, co? – Przypomniała sobie plakat na ścianie browarów zachęcający do działań na rzecz bezpieczeństwa stolicy i jej mieszkańców. Znowu się na niego zezłościła. Czy on specjalnie jej tak podpadał z tą swoją racjonalnością i zwyczajnością?...

– Tu szpadle dają – mruknął Henryk. – W składzie Żółtowskiego, w „Kurierze” pisali. Pójdę.

I poszedł.

Barbara znów poczuła się nieswojo. Skąd ta huśtawka jej nastrojów? Może to przez ten cykl miesięczny? Bywały takie dni, że sama się nie poznawała, jakby jakaś inna Barbara w nią wstępowała. Po co mu dokuczała? Dlaczego go tak punktowała? Przecież oboje byli z Krochmalnej, do obojga Śródmieście nie pasowało. W sumie – byli do siebie podobni. Zresztą on chyba

naprawdę szedł pomagać w tym kopaniu, pewnie, że chciał bliżej, ale skoro się dowiedział, że ona idzie dalej...

– Mam dwie. – Wrócił pogodny, jakby nic się nie wydarzyło.

Pomyślała, że Henryk ma umiejętność łatwego puszczenia w niepamięć różnych przykrostek. Inne zalety także zresztą miał.

Podeszli i ustawili się trochę dalej od aktora i jego wianuszka.

– Kilof byłby lepszy. – Henryk się roześmiał, zanurzając szpadel w gliniastej ziemi.

Barbara zdołała wetknąć w zbity grunt tylko czubek metalu.

– Zostaw – powiedział miękko. – Ja będę wzruszał ziemię, ty ją przerzucaj.

Pracowali w milczeniu. Po jakimś czasie Barbara wspięła się z wykopu i podeszła do stolika, gdzie stało wiadro z wodą. Nabrała jej trochę do jednego z przygotowanych kubków. Było okropnie gorąco. Spojrzała w niebo. Musiało być już koło jedenastej, a może nawet bliżej południa? Chciała pomagać, spełniać swój patriotyczny obowiązek, ale ma przecież sprawy do załatwienia. No i to towarzystwo Henryka – wystarczająco dziś długie. Żeby sobie przypadkiem czegoś nie pomyślał...

Wróciła do rowu.

– Muszę iść. Mama prosiła – powiedziała, jakby się tłumaczyła. I to jak mała dziewczynka.

Henryk jednak tylko się uśmiechnął.

– Ja tu jeszcze trochę pomacham. – Potrząsnął szpadlem. – To do zobaczenia, prawda?

Kiwnęła głową, bo co miała odpowiedzieć – w końcu byli sąsiadami.

Skierowała się w stronę Świętokrzyskiej. Była jeszcze całkiem spory kawałek od numeru dwunastego, gdzie mieścił się sklep Ligi Obrony Powietrznej, a już zobaczyła gęsty tłum, który skręcał w Czackiego. Henryk miał rację – okropnie dużo ludzi tu było. Zawahała się. Jeśli tam pójdzie, to może uda się jej kupić maski, ale przecież nie wiadomo, czy nawet gdy swoje odstoi, to starczy

dla niej. A jeżeli starczy, to niczego innego dziś nie załatwi, bo w tych lepiej zaopatrzonych sklepach z żywnością również się robiło tłoczno. Wszędzie zaczynały się kolejki i braki; trzeba było wybierać.

Stała, wahając się, co robić. Czy pójść w drugą stronę, do Alej? A może do Hal? Znowu znany i opatrzony Mirów, ale można tam było zrobić dobre sprawunki.

I wtedy zobaczyła tę dziewczynę znad Świdra. Lucy, czyli pewnie Lucynę. W mieście także trudno było nie zwrócić na nią uwagi.

Szła chodnikiem, w rękę trzymała papierowy pakunek, który wyglądał jak z cukierni. Promienna, uśmiechnięta, zgrabna, no naprawdę jakby z tego plakatu reklamowego Tokalonu zeszła. Barbara przejechała ręką po czole, by wytrzeć kropelki potu. Kiedy spojrzała na swoją dłoń, zauważyła na niej rozartą ciemną plamę. Potem przeniosła wzrok na uwalane ziemią pantofle. Odwróciła się w stronę witryny sklepu z kapeluszami. Nie mogła się dobrze przejrzeć, widziała tylko prześwielone, rozmyte kontury swojej sylwetki.

Wyglądała, jakby była przezroczysta. Zwyczajna, przezroczysta dla świata dziewczyna.

Nie wiedziała, dlaczego i po co to robi, ale poszła za Lucyną. W pierwszym odruchu po prostu ruszyła za nią, przechodząc na drugą stronę ulicy i dalej sunąc jej śladem. Tuż potem się przestraszyła, że to będzie widoczne, że wszyscy, a zwłaszcza ta dziewczyna, się zorientują, że Barbara ją śledzi. Dlatego zaczęła grać rolę spacerowiczki – tu na chwilę przystanąła, ta witryna ją zainteresowała, a teraz musiała poprawić zapięcie sandałów. Lucyna też kilka razy się zatrzymała, raz nawet obejrzała za siebie, ale na Barbarę nie zwróciła uwagi. Barbara zaś pomyślała, że w sumie ta jej nijakość ma swoje zalety, bo może być w tłumie jak powietrze, podczas gdy Lucyna przyciągała spojrzenia.



Dziewczyna skręciła w kierunku placu Dąbrowskiego. Tu już było mniej osób, ale Barbary to nie zniechęciło; dobrze się czuła w tej nowej, dziwnej roli. *Mata Hari*. Był taki film o kobiecie-szpiegu. Jego też nie widziała, bo oczywiście była za mała, ale plakaty z boską Gretą Garbo i tak rozpałały jej wyobraźnię.

Wyławiała wzrokiem Lucynę wśród przechodniów. Początkowo myślała, że dziewczyna wybrała się tutaj na spacer, żeby sobie odpocząć na ładnym skwerze, albo że skraca sobie tędy drogę. Lucyna jednak już, już prawie doszła do końca ulicy, ale zamiast skręcić w prawo lub w lewo, w kolejną przecznicę, weszła do okazałej bramy.

Barbara przystanęła przy słupie ogłoszeniowym naprzeciwko tej bramy, niby to studiując napisy na plakatach i ogłoszeniach, ale tak naprawdę zerkiała, czy Lucyna znowu się pojawi. Nie pojawiała się. Co robiła w tym niebotyku? W tej pięknej, eleganckiej i wysokiej kamienicy? Czyżby tam mieszkała? Barbara znowu poczuła skurcz zawiści. Żeby tak mieć wszystko – i urodę, i wdzięk, i jeszcze mieszkanie w takiej kamienicy. Los nie obdziela sprawiedliwie. „A może w odwiedziny poszła, z tymi ciastkami?”, pomyślała. „Albo sprawunki komuś zanieść?”

I kiedy już miała opuścić swój punkt obserwacyjny pod słupem, w połowie Kredytowej zauważyła dwie wysokie chłopięco-męskie sylwetki. Serce zaczęło jej szybciej bić. To byli oni, Zygmunt i brat Lucyny. Pochłonięci rozmową, niezwracający uwagi na otoczenie. Zniknęli w tej samej bramie co dziewczyna.

Barbara powinna odejść z tego miejsca, spędziła tu już przecież trochę czasu, a jeszcze jak się do tego doliczy tę pracę przy kopaniu rowu, to już pewnie ze trzy godziny będą. Niczego nie załatwiła, czas płynął, a ona... Sama nie wiedziała, co robi. Co ją do tego pchało? „Głupia jesteś”, pomyślała. Ale od razu przypomniała sobie plakat z Gretą Garbo. „Takie tajemnicze życie!” Przymknęła oczy i wyobraziła sobie siebie, że dostaje w kopercie, oczywiście niepodpisanej, jakieś ważne polecenie,

misję! I wykonuje ją wzorowo, jak to ona. A potem zaszczyty, uściski dłoni, może nawet flesze aparatów, to wszystko oczywiście w jakimś ładnym miejscu, a obok przystojny mężczyzna, na przykład Zygmunt...

Zygmunt. Kiedy wypowiedziała w myślach to imię, otworzyła oczy i właśnie go zobaczyła. Teraz szedł sam, co znaczyło, że to on był w odwiedzinach u rodzeństwa, a Lucyna i jej brat tu mieszkają.

Tym razem mężczyzna nie był niczym zajęty, przeciwnie, sprawiał wrażenie uważnego. Po chwili wahania zszedł z chodnika na ulicę i teraz zmierzał wprost na Barbarę.

Natychmiast się odwróciła. Chciała stamtąd uciec, żeby jej nie zauważył, nie pomyślał, że może go śledzi, ale w ostatniej chwili się powstrzymała – taki gwałtowny ruch na pewno by ją zdradził. Sięgnęła do torebki i udawała, że czegoś w niej szuka. Wyciągnęła ołówek, bezradnie pokręciła głową, westchnęła i oderwała kawałek plakatu ze słupa. Przyłożyła go do obłej powierzchni i zaczęła po nim pisać. Kątem oka zauważyła, że mężczyzna przeszedł obok niej, całkiem blisko, i w ogóle nie zwrócił na nią uwagi.

Może dlatego, że była „przezroczysta” – tak pomyślała i zrobiło się jej smutno.

A może dlatego, że potrafiła taka być.

I to była myśl łagodząca ten pierwszy smutek.

\*

– Gdzieś ty się podziewała! – Mina matki z jednej strony wyrażała ulgę, ale z drugiej – niezadowolenie. Kobieta wychyliła się zza dykty oddzielającej kuchenkę od reszty pokoju. W ręku trzymała ziemniaka i mały nożyk. Barbarze zrobiło się głupio, że matka od razu po pracy wzięła się do kolejnej roboty.

– Przepraszam, ale tyle się zeszło, bo daleko i ludzi wszędzie pełno, kolejki...

– Kolejki – powtórzyła matka. – A sprawunki zrobione? – Popatrzyła na słabo wypełnioną torbę w ręku córki.

– Mąka i mleko, bo do masek się nie dopchałam.

– Nie dopchałam... – powtórzyła za nią. – A może ty czym innym byłaś zajęta?

Barbara stężała. „Mata Hari”, szepnął złośliwy głos w jej głowie. Matka czytała w niej jak w otwartej księdze.

– No nie, naprawdę poszłam aż na Świętokrzyską, ale...

– ...ale po drodze kogoś spotkałaś.

Barbara gorączkowo myślała – jakby matka miała się dowiedzieć? Pracuje przecież na Żoliborzu, w zupełnie innym kierunku, więc co by robiła na placu Dąbrowskiego?

– Nie mam pretensji. Obrona miasta to sprawa nas wszystkich, tak trzeba. Henryk zresztą...

Henryk! Więc o to matce chodziło!

– ...cię chwalił, że tak dzielnie kopałaś. – Uśmiechnęła się.

– No tak, tak wyszło, bo spotkaliśmy się i od słowa do słowa... – Barbara rozłożyła ręce w geście niby to bezradności.

– U was, młodych, to zawsze wszystko jakoś tak wychodzi. No, idź się przechlap, ziemniaków nie każę ci dziś obierać, pewnie i tak masz odciski na dłoniach.

Barbara cmoknęła mamę w policzek. Już się bała, że wyjdzie na jaw, co naprawdę dzisiaj robiła, a przecież sama nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć. Mama jednak niczego się nie domyśliła. A może to Barbara ma pokerową twarz?...

– A wiesz... – mama zatrzymała ją jeszcze w pół kroku do miednicy – lubię Henryka.

Barbara czekała na jakiś ciąg dalszy.

– Jest taki energiczny. I pracowity. I miły.

Barbara wciąż milczała.

– I wydaje mi się, że bardzo cię lubi.

Wyczekująco spojrzała na córkę.

– Chyba tak – odparła w końcu Barbara.

– To nic złego, wręcz przeciwnie. – Mama uśmiechnęła się łagodnie. – Dobrze mieć życzliwą duszę obok.

– Mam ciebie, mamuś. – Barbara posłała jej całusa.

– No ja wiem, ale mnie chodziło o to, że gdybym ja... to znaczy gdyby mnie... gdyby mnie zabrakło, to zostaniesz sama. A tu nie tylko zwyczajnie trudne czasy, lecz także wojna wisi nad głową. Dobrze mieć kogoś, kto by się tobą zaopiekował.

– Po pierwsze, nic ci nie będzie. Po drugie – ja się potrafię sobą zająć. A po trzecie, jest jeszcze ciocia Marysia. – Barbara nie chciała, żeby mama, nawet tak niewinnie, swatała ją z Henrykiem.

– Właśnie! Mamy przyobiecane jakieś rzeczy z ogrodu. – Mama na szczęście łatwo dała się odciągnąć od tematu. – Teraz wszystko na wagę złota. Tyle że nie wiem, czy mogę cię samą wysłać? Może na przykład byś poprosiła He...

A jednak nie.

– Nic mi nie będzie. Nic a nic. I jestem już prawie dorosła – powiedziała Barbara stanowczo.

– O, ho, ho, a to mi zdziwienie. – Mama się zaśmiała.

– A tak! – Barbara też odpowiedziała śmiechem.

I pomyślała: „Jeszcze cię zadziwię. Wszystkich zadziwię”.



## Rozdział trzeci



Najpierw pewnie pękło murowane ogrodzenie; kawałki betonu pokruszyły się, wyfrunęły do góry i rozpadły. Niektóre z nich musiały uderzyć w witraże i je uszkodzić, chyba że tam zniszczeń dokonały rozpryski od uderzenia innej bomby lotniczej. Tego Barbara nie wiedziała, bo kiedy usłyszała świst, odruchowo kucnęła na ziemi i nakryła głowę rękoma. Potem ziemia zadrżała, rozległa się seria uderzeń i wszystko ucichło. A chwilę później do Barbary dopadła Maria Stankiewicz, która wyszła jej naprzeciw. Nerwowo sprawdzała, czy siostrzenicy nic się nie stało.

– Całaś? – Podniosła ją i oglądała z takim wyrazem twarzy, jakby Barbara była porcelanową filiżanką, która spadła ze stołu i cudem uniknęła stłuczenia.

– Nic mi nie jest. – Barbara się otrzepała. – Tylko strachu się najadłam.

– Chwalić Pana! – Ciotka mocno ją przytuliła. – Strach to nic.

Barbara poddała się temu uściskowi. Czuła, jak napięcie zaczyna z niej uchodzić. I pomyślała, że ten strach to nie jest wcale nic. Bo kiedy huknęło, ona się przestraszyła tak, że przez krótki, króciutki moment nie wiedziała, co robić, jakby odcięło jej wszystkie myśli i został tylko ten strach – całkowicie paralizujący. Nigdy wcześniej tak się nie przeraziła.

– Święty Krzysztofie! – Maria Stankiewicz patrzyła teraz w kierunku, gdzie spadły bomby. Załamała ręce na widok niewielkiego kościoła pod wezwaniem tego patrona. – No jak to

tak, cywilów atakować? Gorzej jeszcze, bo to przecież nie cywilne miejsce, a święte.

– E, nic świętego dla nich, jak widać. – Mężczyzna w średnim wieku zatrzymał się opodal. – W letniej rezydencji ambasadora jeszcze gorsze pewnie zniszczenia, bo tam też huknęło. Ambasador ze Stanów. Więc ani Bóg, ani taki potężny kraj im nie groźni. No to co będzie dalej?

– Dalej może jednak będzie dobrze. – Barbara również się w końcu odezwała. Przestała już się trząść, oddech jej się uspokoił, czuła, że panuje nad swoim ciałem i swoimi myślami. – W pociągu, jak tu jechałam, ludzie mówili, że Francja i Wielka Brytania na pewno szybko przystąpią do wojny. Przecież to nasi sojusznicy.

– No, sojusznicy – zgodziła się ciotka. – Ale jakoś tak... – Znowu spojrzała na uszkodzony kościół. – Niedobry to znak.

– Co też ciocia... – Barbara była mimo wszystko trochę podniesiona na duchu tymi porannymi rozmowami z pociągu. Od kilku już dni chodziła spięta, podenerwowana, bo było wiadomo, że wojna to kwestia dni, a może nawet godzin. Radia nie mogła słuchać, bo akurat miały je w naprawie, więc zostawały gazety i ulica. Zwłaszcza ulica, a na ulicy – wiadomo – dużo się mówiło, ale jak tu odróżnić prawdę od lęków, przypuszczenia od pewności, plotkę od rzeczywiście się zbliżającego?... Wiadome były tylko dwie sprawy – że nie włoży odświętnej białej bluzki, bo w tym roku szkoła się nie rozpocznie pierwszego września, i nikt nie wie, kiedy znowu dzieci usłyszą szkolny dzwonek, i że pojedzie do ciotki do Podkowy, jak to było umówione, bo ciotka ma nie tylko warzywa i owoce, lecz także weki, a w obecnej sytuacji wszystkie produkty spożywcze zaczynały być na wagę złota.

– Znak, nie znak, ale my już przecież ich znamy. Ja tam wojnę doskonale pamiętam. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – I powiem paniom szanownym, że dobrze to już było. Teraz trzeba

czekać na najgorsze. No, mimo wszystko spokojnego dnia. – Skinął głową i odszedł.

Odkłoniły się mu.

– Ciekawe, jak w Warszawie. Czy coś jeszcze... – Ciotka się zamyśliła.

– Na Okęciu były bomby. I na Kole. Ludzie na peronie mówili. I w ogóle ludzi było dużo, więcej niż zwykle.

– Na Kole? To nie tak daleko od was. Może wy powinnyście tu do mnie na dłużej przyjechać? – Ciotka nerwowo przejechała dłonią po policzku, odgarniając pasmo włosów. – Wystarczy już tych śmierci... – Głos jej zadrżał.

Barbara pomyślała, że ciotka jest naprawdę dobra; tak się przejmowała ich losem, jakby to ją samą życie doświadczyło.

– Ale tu też nie jest spokojnie, przecież i tutaj bomby spadają. Mnie się wydaje, że ten kościół i dom ambasadora to przypadkiem, bo oni pewnie w tory celowali – powiedziała.

– A gdyby tak trafili, kiedy ty byłaś w kolejce? – Ciotka pokręciła głową.

– Ale nie trafili. A mama musi pracować, przecież ciocia wie... – Barbara popatrzyła na nią. – Teraz, kiedy wojna wybuchła, bez ojca będzie jeszcze gorzej niż przedtem.

– Bez ojca będzie gorzej niż przedtem... – powtórzyła po niej ciotka. – Ale mimo wszystko dam ci list dla mamy. Jakoś byśmy przebiedowały razem, przeczekały ten czas. Już nam się w życiu zdarzały trudne sytuacje...

„Kochana”, wzruszyła się Barbara.

– Zresztą przecież to nie może potrwać długo, prawda? – Ciotka objęła ją ramieniem.

Barbara kiwnęła głową. Tak naprawdę nie miała pojęcia, ile ta wojna potrwa, ale chciała wierzyć, że skończy się szybko. Przecież ci sojusznicy. I przecież niedawno była inna wojna. Poza tym ciotka tak na nią spojrzała, jakby oczekiwała wyłącznie potwierdzenia.



– Cokolwiek by się działo, to nie jest nasza, znaczy kobiet, sprawa. Ja to jestem w pojedynkę, u was... wy też już same. Co my możemy zrobić? Rolą kobiet nie jest walka, nie do tego jesteśmy stworzone. Inne działania, to tak, ale bić się?... – Pokręciła głową. – No, chodź, Basiu, dam ci zupy. Taka jesteś jakaś mizerna... Mówię ci, raz jeszcze się z mamą namyślcie, u mnie nie ma żadnych luksusów, ale świeże powietrze jest, kawałek ogrodu, lasy. Na przeczekanie jak znalazł.

Po obiedzie Barbara usiadła na drewnianej ławce przed domem. „Słońca trochę zażyj”, zachęciła ją ciotka. Fakt, nie było tu żadnych luksusów, bo domek nieduży, wynajmowany, na pół dzielony z sąsiadami, ale przed nim rozciągał się ogród kwietny, a z tyłu – warzywny. I jeszcze nieduży sad. A w tle – las. Aromatyczny, szumiący, liściasto-iglasty, wciąż mocno zielony. Piękny był dzień; ciepły, wręcz upalny, nie dawało się odczuć, że to już wrzesień, a na pewno – nie że wojna. „Może ciotka ma rację?”, pomyślała Barbara. „Może trzeba się tu sprowadzić? Szkoły i tak na razie nie ma, książki wszędzie można czytać, samodzielnie się uczyć – też”. Dobrze by im tu było, na powietrzu, w tych zapachach i tym słońcu. Przypomniała sobie Krochmalną – szarawą, niedotlenioną, głośną i brudną. Co je tam teraz trzymało? Praca mamy, ale może i tutaj by coś znalazła. Ciotka jakoś sobie radziła, choć zawsze sama. Trochę się dziećmi opiekowała, trochę szyła. Nie wyszła za męża, bo najpierw opiekowała się osieroconą młodszą siostrą, a potem „tak się złożyło” – czy dlatego, że się w nikim nie zakochała, czy wybranek nie odwzajemniał jej uczuć, a inaczej życia nie chciała sobie ułożyć, tego Barbara nie wiedziała. Ciotka nie była wylewna. I to również było jakoś pociągające.

Po tym ciepłym i mimo wszystko już spokojnym dniu Maria Stankiewicz odprowadziła Barbarę na ostatni pociąg. Obie niosły po ciężkiej torbie wypchanej zbiorami z ogrodu i słojami. Nie było

tego jednak dużo; gdyby podług tych zapasów przewidywać długość wojny, to musiałyby się skończyć przed zimą.

– Uważaj na siebie. – Na peronie ciotka mocno przyciągnęła Barbarę. – I na mamę. Wy takie same teraz... – Oczy się jej zaszklily. – W żaden czas kobiecie nie jest dobrze bez mężczyzny, a już na pewno nie w taki.

– Ale przecież ty, ciociu... – zaczęła Barbara.

Ciotka machnęła ręką.

– Ja to co innego. Jestem silna, zawsze byłam, taka się urodziłam, a potem mnie jeszcze życie zahartowało. Ale Krysia i ty... – Pokręciła głową.

Barbara odwzajemniła ciotczyny uścisk. Kiedy wsiadała do wagonu, miała mokry policzek; nie, ona nie płakała, o dziwo, bo przecież do tej pory często się jej to zdarzało. Te łzy były ciotki, która, dla odmiany, do tej pory zawsze była twarda. Płakała tylko na pogrzebie ojca. Barbarze też zrobiło się teraz przykro, no pewnie, ale jednocześnie czuła, że coś w niej tężeje, bo jedyną bronią, jaką może mieć w tym czasie, są odwaga i samodzielność. Kto by pomyślał, że początek wojny tak na nią wpłynie? Powinna się raczej rozpaść, zanurzyć w strachu, dać pochłonąć niepewności. Powinna być taka, jaką ją widziała ciotka – krucha. Do tej pory zresztą taką właśnie miała konstrukcję. „Może by tak dalej było, gdyby ojciec żył?”, pomyślała, machając ciotce, choć prawie się nie widziały, bo panował mrok – na zewnątrz i w środku. W pociągu obowiązywało zaciemnienie. W Warszawie też to ćwiczyli; one, na Krochmalnej, miały przygotowane rolety z grubego czarnego papieru, mocowane podgumowaną taśmą papierową. W wagonie było tak samo, dodatkowo założono boczne osłony na światła czołowe. Wnętrze oświetlono niebieskimi żarówkami. Wszystko to razem sprawiało przedziwne wrażenie – jakby ciemna torpeda wiozła ją w czarną noc.

W przedziale siedział jeden pasażer – kobieta. Barbara poczuła ulgę. W pustym pociągu wolałyby nie być skazana na

przypadkowe męskie towarzystwo.

– Dobry wieczór – przywitała się.

Kobieta trzymała przy twarzy chusteczkę i Barbarze wydawało się, że ma katar. Gdy usiadła naprzeciwko, zauważyła, po pierwsze, że jej współpasażerka jest w zaawansowanej ciąży. A po drugie – że płacze.

– Jaki tam dobry – wyszłochała, patrząc na Barbarę.

– No... ja wiem, że wojna... – zaczęła Barbara, próbując przekazać współpasażerce trochę tej siły, która tak niespodziewanie na nią spłynęła.

– Wojna, no wojna! Dziś się zaczęła i dziś mi go zabrali! Męża mi zabrali! Punkt zbiórki zrobili, powołanie dostał i nikogo nie obchodzi, że w domu dzieci, dwójka drobiazgu, a trzecie zaraz na świat przyjdzie. Nikogo to nie obchodzi, rozumie pani?

– Rozumiem, tak, ale... – Barbara była jednak bezradna wobec tych łez, żalu i w ogóle całej tej sytuacji.

– Ale co? Że trzeba walczyć? No trzeba, trzeba! Tyle że o nas nikt nie myśli, o tych tabunach kobiet z dziećmi. Ile to ich było w Grodzisku! A oni już nie wrócą. Mój Mietek nie wróci i ci wszyscy inni też nie wrócą!

Barbara milczała, no bo co można powiedzieć w takiej sytuacji? Że tak trzeba?...

– I ja coś pani jeszcze powiem, bo pani jest młoda. – Kobieta lekko się uniosła z siedziska i nachyliła nad Barbarą. – To jest okropne, że oni pójdą walczyć o nasz kraj i zginą. O-krop-ne – przesyłabizowała. – Ale my, te kobiety, co zostaną wdowami, wcale nie będziemy miały lepiej. Bo my też będziemy walczyły, każdego dnia, o swoje życie i życie swoich dzieci.

Usiadła. Wyglądała jak czarna kwoka, której pisklęta chwilowo się rozpierzchnęły.

– Pani ma męża? – zapytała.

Widać słabe oświetlenie zacierało młodzieńcze rysy Barbary. Pokręciła przecząco głową.

– To i dzieci pani nie ma. Prawdziwe szczęście w taki czas.

Resztę podróży spędziły w milczeniu.

Barbara wysiadła na ciemnym dworcu. Wszędzie dokoła panował mrok. Popatrzyła na masywne sylwetki browarów i ruszyła w kierunku domu. Kilka tygodni temu szłaby z duszą na ramieniu, niepewnie się za siebie oglądając. Dziś, paradoksalnie, nie bała się – może to ze zmęczenia, a może to ta nagła zmiana?...

Kiedy spojrzała na delikatny kwiatowy haft przy uszach toreb, przypomniała sobie, jak ciotka wyszywała ten wzór w zeszłe wakacje – starannie, długo, niespiesznie. Trzy torby, trzy wieczory, które spędziły razem – ona, ciotka i mama. Spokój i bezpieczeństwo; smutek też, bo ojciec już nie żył, ale wtedy przynajmniej wydawało się, że nic gorszego ich już nie spotka. Teraz dwie z tych trzech toreb stały w ich ciemnym i chłodnym mieszkaniu przy Krochmalnej, a Barbara nie miała już tej pewności.



## Rozdział czwarty



– Wiwat, Anglia! Wiwat!

Barbara stała na rogu Smolnej i Nowego Światu, w pobliżu ambasady brytyjskiej. Zebrały się tu tłumy rozemocjonowanych warszawiaków, żeby wyrazić swoją radość z powodu przystąpienia Anglii do wojny. Ludzie wpatrywali się w nieduży taras, na którym widniały dwie postaci w garniturach, co i raz podnoszące ręce i pozdrawiające skandujących.

– Nie tylko oni, Francuzi także – powiedziała stojąca obok niej kobieta w kwiecistej sukience. Po chwili razem z koleżanką wycofały się z tej cizby i skierowały w stronę Frascati, dokąd również ciągnęli mieszkańcy Warszawy. Barbara postanowiła pójść ich śladem.

Było ciepło, słonecznie, pogoda nic sobie nie robiła z wojny. Może słusznie, skoro sprawy przyjęły taki korzystny obrót?

W ambasadzie francuskiej zobaczyła postać w oknie; podobnie jak wcześniej, człowiek ten prowadził dialog z tłumem. Tu ludzie krzyczeli: „Niech żyje Francja!”, a elegant w garniturze, pewnie ambasador, ich pozdrawiał.

– No, to teraz przytrą im nosa! – Stojący obok Barbary mężczyzna w roboczym ubraniu zaśmiał się głośno. – W try miga!

– Tak? – Starsza, zasuszona kobieta, podpierająca się parasolką, spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– No a co? Nie słyszała pani? I Anglia, i Francja są za nami. Zaraz pokażemy tym Niemcom gdzie raki zimują! – Podniósł

zaciśniętą w pięść dłoń.

– *Historia magistra vitae* – odpowiedziała mu, ale on jej już chyba nie dosłyszał. A może nie zrozumiał?

Barbara rozumiała i nagle, w tym słońcu i wśród tych radosnych nadzieją ludzi, zrobiło się jej chłodno. Czy przeszłe wydarzenia pozwalały na taki optymizm? Ale co miało ludzi pchać do życia, jeśli nie optymizm właśnie? „Jeżeli ty nie wierzysz w świat, on nie uwierzy w ciebie”, powtarzał jej ojciec.

Powoli wracała do domu. Nie spieszyło się jej, bo niespecjalnie miała do czego. Mama poszła do koleżanki z pracy, coś tam miały razem szyć czy szydełkować, umówiły się, że wróci na późny obiad. Hanka, najbliższa przyjaciółka Barbary ze szkoły, razem z matką pojechała do dziadków do Serocka na nieokreślone „dłużej”. Dziadkowie Barbary mieszkali w Płocku i od śmierci ojca widywała ich rzadziej. Właściwie to od tamtej pory spotkała się z nimi tylko dwa razy. To byli jego rodzice, którzy o przedwczesne odejście z tego świata swojego jedyne syna, nie wiedzieć czemu, obwiniali matkę. Może nie tak wprost, ale te ich, że „trzeba było lekarza od razu”, że „leczy się nie tylko lekami, lecz także dobrym jedzeniem”, a za dobre jedzenie to gospodyni, czyli mama, odpowiada i tak dalej. Nic nowego w tym nie było, bo nie przepadali za synową, sierotą, która nigdy nie była dość dobra dla ich jedynaka i jeszcze na domiar złego urodziła mu córkę zamiast syna. O, to dawali odczuć również jej, Barbarze. Nawet fakt, że była podobna do ojca, i to bardzo, niewiele zmieniał – dla dziadków Leoniewskich liczył się tylko męski potomek. Tak, właściwie to Barbara została sama.

– Można by cię ukraść i byś nie zauważyła.

Podskoczyła. Rzeczywiście, nie zwróciła uwagi, że dotarła już na Grzybowską. I że obok niej wyrósł jak spod ziemi Henryk.

– Żarty się ciebie trzymają – mruknęła.

Znowu była na niego zła, że udało mu się ją zaskoczyć. Henryk lubił tę zabawę, Barbara – nie. Nie tylko dlatego, że to właśnie

Henryk, lecz także dlatego, że przyłapywał ją w momentach, gdy odpływała myślami i traciła kontakt z rzeczywistością. A to teraz, w czasie wojny, było bardzo niewskazane. Postanowiła się pilnować.

– Nie bocz się, nie bocz. – Szturchnął ją w bok, co sprawiło, że zezłościła się jeszcze bardziej. – I dbaj o sąsiada, póki go masz. – Uśmiechnął się tajemniczo.

Nie miała ochoty interesować się Henrykiem, ale to zdanie zabrzmiało intrygująco.

– A co, do wojska się zaciągasz? Dzieci już teraz biorą?

Henryk się wyprostował, jakby chciał sobie dodać męskości. Szybko jednak opadł do swojej zwyczajowej, czyli lekko przygarbionej postawy.

– E, nie trzeba być w wojsku, żeby działać. A co do sąsiada, to dziś się przenosimy. Na plac Dąbrowskiego.

– Na plac Dąbrowskiego? – Barbara zdziwiła się podwójnie. Raz, bo co by tam Henryk miał robić, a dwa, że przypomniał się jej niebotyk na rogu Kredytowej i Lucyna. I Zygmunt. Początek wojny zepchnął te wakacyjne obrazki w tył głowy, bo przecież inne sprawy miały teraz znaczenie, ale Henryk je przywołał.

– Pamiętasz, mówiłem ci o ciotce Gabrysi.

Kiwnęła głową. Może mówił; zwykle filtrowała te wypowiedzi, bo Henryk bardzo dużo opowiadał, a Barbara zatapiała się w tym czasie w swoich myślach. Teraz – była zainteresowana.

– No to ta ciotka opiekuje się mieszkaniem takiej pani Minkiewicz. I ta pani zwykle na lato wyjeżdża do Turczynka, a we wrześniu wraca. W tym roku jednak nie wróci, no bo wojna i...

– Anglia i Francja wystąpiły przeciw Niemcom. – Przed chwilą jeszcze niepewna co do siły tego twierdzenia, teraz jednak je wypowiedziała.

– Wiem, wiem, słyszałem, widziałem. Ale pani Minkiewicz, tak czy owak, nie wraca do Warszawy. Ona jest wiekowa, niejedno



przeżyła i pewnie dlatego dmucha na zimne. Zresztą zimne wcale nie jest.

Musiała mu przyznać rację. W sumie to często mu przyznawała rację. Henryk, niby bez dużego formalnego wykształcenia, był bystry i mądry.

– To co, wpadniesz zobaczyć, jak teraz mieszkam? Ciotka oczywiście zabrania zapraszać kolegów i w ogóle, bo bardzo dba o te luksusy pani Minkiewicz, i my tam jesteśmy tak trochę jakby nieoficjalnie, ale ty to co innego. – Popatrzył na nią wyczekująco.

Zawahała się. Niczego fascynującego się po Henryku nie spodziewała, ale w tej sytuacji...

– I wiesz co, bo ja już tam byłem dwa dni temu i wtedy się zdecydowało, i od razu zostałem tam gońcem, w tamtej drużynie przeciwlotniczej. – Znowu się wyprostował. – No, to do... do kiedy? Do środy może?

Pokiwała głową.

Popatrzyła jeszcze za nim, jak szybkim krokiem wchodzi do swojej bramy.

„Kto by przypuścił, że taki Henryk...”, to była pierwsza, najbardziej oczywista myśl.

„Lucyna i Zygmunt, czy oni...”, to była druga myśl, niespodziewana.

A trzecia – najmniej oczekiwana, ale jednocześnie najbardziej przykra: „A co ty robisz dla innych, dla tego miasta, dla tego kraju?”.

\*

Z trudem precyzyjnie się przez tłum idący w kierunku wschodnim. Sami mężczyźni. Wyglądało to niesamowicie. Jakiś pułkownik, którego nazwiska nie pamiętała, zaapelował do mężczyzn w wieku poborowym, żeby wyszli z miasta. I te setki, a pewnie i tysiące, odpowiedziały na apel.

Przypomniała się jej kobieta z pociągu rozpaczająca po rozstaniu z mężem. „Jak tak dalej pójdzie, to rzeczywiście w tym mieście zostaną same kobiety”, pomyślała. I jeszcze pomyślała o tym, że w takim razie ktoś będzie musiał zastąpić tych nieobecnych mężczyzn. Była wczoraj u Zenka, z kamienicy Henryka, który zarządzał w ich drużynie OPL. Chciała zostać gońcem jak Henryk, skoro on teraz się przeniósł na plac Dąbrowskiego, ale została „sanitariuszką albo pomocą w kuchni, w razie potrzeb”. Ten Zenek, któremu się wydawało, że taki ważny, bo cztery lata od niej starszy, zdziwił się, że w ogóle taki pomysł mógł jej przyjść do głowy. A jej przyszedł, bo dlaczego miały jej nie przyjść? Co to, dziewczyna gorsza od chłopaka?...

Stała przed kamienicą, w której teraz zadomawiał się Henryk wraz z mamą i młodszym bratem Jurkiem. Oni też zostali sami, to znaczy bez męża i bez ojca. Gdyby nie ta ciotka, dalej byłiby sąsiadami na Krochmalnej.

Kamienica nie była tak okazała, jak ta, w której mieszkała Lucyna i jej brat, ale nadal piękna, jak wszystko zresztą w tym miejscu.

– Baśka! – usłyszała.

Podniosła głowę. Henryk. No tak, kto inny mógłby w ten sposób witać gościa?

Po kilku chwilach wypadł z bramy i zatrzymał się przy niej.

– Cześć – sapnął. – Wejdiesz?

Kiwnęła głową. Przecież po to tu przyszła.

Pani Minkiewicz miała piękne mieszkanie. Jasne, z dużymi oknami, na parapetach których stały donice z kwiatami, zresztą nie tylko tam, bo na podłodze i w żardinierach także. Na ścianach wisiały obrazy i portrety, widać było, że dobrobyt przechodził tu z pokolenia na pokolenie. Barbara poczuła ukłucie w sercu. Gdyby ją przypadek rzucił do takiej rodziny... I od razu zrobiło się jej przykro, bo przecież bardzo kochała swoich rodziców. Smutek

dotyczył jedynie tego, że przychodząc na świat jako dziewczynka w domu na Krochmalnej, ustalała swój los.

Nie chciała takiego losu. Wcześniej jakoś się z nim godziła, do głowy jej nie przyszło, że mogłaby mu umknąć, a teraz – tak.

Naprawdę coś w jej wnętrzu i głowie się zmieniało.

– ...i łazienka, że mucha nie siada. Ale ty byś mogła, jeśli chcesz. – Otworzył przed nią ostatnie drzwi.

Fakt, w takiej łazience mogłaby przesiedzieć cały dzień.

– A wiesz, co jest najlepsze? Chodź. – Wyciągnął do niej rękę.

Podawała mu dłoń. Normalnie pewnie by tego nie zrobiła, ale w tym pięknym otoczeniu... Ku jej zdziwieniu wyszli na klatkę i zaczęli się wspinać, aż dotarli na ostatnie piętro i jeszcze wyżej, na strych. A potem przemierzali ciemnawe pomieszczenie i chyba znaleźli się w kamienicy obok.

– Czekaj. – Henryk zaczął majstrować przy drzwiach. Ustąpiły i wprowadził ją na dach.

Była zdziwiona i zaintrygowana. Nigdy nie była na żadnym dachu.

– Wczoraj stamtąd było widać łunę. – Pokazał ręką w kierunku wschodnim. – Na Pradze się paliło. Dziś się dowiedziałem, że spłonęły drewniaki na Żąbkowskiej i Stalowej.

– To już na całego się dzieje... – powiedziała.

– No, ale Warszawa się szykuje do obrony. Będzie dobrze, zobaczysz. – Przysunął się do niej. – Możesz tu przychodzić, na ten dach. Tutaj jest inaczej, jakby się człowiek odcinał od tego wszystkiego.

– Będę. – Pokiwała głową.

Henryk dobrze opisał odczucie, którego teraz doznawała. Czowała się... wolna. Obok innych, nie z nimi, a teraz w dodatku górowała nad nimi. I kiedy tak odpływała myślami, Henryk nachylił się do niej, jakby chciał ją pocałować. Ocknęła się i odsunęła – za szybko, za gwałtownie.

Zauważyła, że zrobiło mu się przykro.

Jej też, ale czy to jej wina, że ten Zygi tak jej wszedł w głowę? I że to przez niego Henryk zrobił się... mniej ważny? Mniej przyszłościowy?

Sama dobrze tego nie rozumiała. Czuła się zapętłona.

– Będę – powtórzyła. – Tak po prostu – dodała, żeby zrozumiał. Zrozumiał, choć posmutniał.

Ona w sumie też.

\*

Nic z tego dachu nie wyszło, mimo że szczerze złożyła tę obietnicę wizyt. Ciągnęło ją na plac Dąbrowskiego, bo ten inny świat, bo ta sama dziwna i niepokojąca siła ciekawości, którą pierwszy raz poczuła nad Świdrem. Nawet do Henryka ją jakoś ciągnęło, teraz chyba z powodu poczucia winy. A może i dlatego, że rzeczywiście zrobiło się jej samotnie? Mama na cały dzień wychodziła, z ciotką na razie nie było kontaktu, z Hanką również. Stara szkoła nie działała, żadnej nowej na razie nie było.

Teraz jednak trzeba było zapomnieć o dachach – życie codzienne toczyło się głównie w piwnicach, bo zaczęły się intensywne naloty. Niemcy atakowali od zachodu, od Ochoty i Woli. Obrona wytrzymała. „Ale czy ludzie to wytrzymają?”, pytała wieczorami znękana matka. Rząd, ministerstwa, sztab generalny, wielu urzędników – wszyscy oni opuścili stolicę. Został prezydent Starzyński. Barbara słuchała audycji, w których rozmawiał z mieszkańcami. Podziwiała go za odwagę i niezłomność. Przyszły takie czasy, że trzeba być twardym. Żeby kupić bochenek chleba, należało wstać o czwartej. Dowóz produktów spoza miasta całkiem ustał. „Może ciotka ma jednak rację?”, Barbara pytała wtedy mamę. „Może ma, ale praca jest tu, i oby jak najdłużej”, odpowiadała Krystyna Leoniewska. Wiele sklepów było zamkniętych; te, które jeszcze miały klientom coś do zaoferowania, można było poznać po wijących się do nich

kolejkach szarych, zmęczonych ludzi. Matka Barbary, żeby jednak wybrać ich skromne oszczędności z PKO, wzięła dwa dni wolnego w biurze, choć z duszą na ramieniu – nie było to dobrze widziane, ludzie teraz na potęgę tracili zatrudnienie. Ale co było robić, gdy trzeba było, i to dwukrotnie, swoje odstać – raz po numerek, drugi – po gotówkę. Dziennie wydawano osiemset numerków, a mama mówiła, że ogonek miał z kilka tysięcy osób i ciągnął się aż do Filharmonii. Pieniądze „się kurczyły” – ceny szybowały w górę. Do tego po słonecznym lecie nie było już śladu. Zrobiło się dżdżyscie i zimno.

„Beznadzieja”, myślała Barbara, kładąc się do łóżka i wstając wcześniej rano. Nawet gdyby nie musiała iść po pieczywo i tak by nie mogła dłużej spać. Targały nią różne, sprzeczne emocje. Niby gubiła dziecięcy lęk, ale jednocześnie boleśnie rozpierało ją coś innego – poczucie bezradności. Okropny był ten stan niemocy. Czowała, że musi zacząć coś robić, natychmiast. Działać, żeby poczuć, że jakoś panuje nad swoim nowym, dziwnym życiem. Poszła do Zenka, tego od OPL-u. Wiedziała, że chłopcy prowadzą obserwację poddaszy po nalotach, czy nie ma tam żadnych zapalających bomb termitowych, że dokonują innych inspekcji, roznoszą wiadomości. Byli przydatni, potrzebni, działali. To ostatnie wydawało się teraz Barbarze najważniejsze – żeby robić coś ważnego.

– Bardzo dobrze, że jesteś – przywitał ją. – Każda para rąk na wagę złota.

Wiedziała to, bo widziała to każdego dnia. Skończył się czas prób i treningów, teraz była prawdziwa wojna.

– To co ja bym mogła, może na przykład... – zaczęła, zastanawiając się, czy na początek zleci jej noszenie leków, czy już od razu może te meldunki albo...

– Gotować trzeba. Głód się zaczyna. Kto ma dwie zdrowe ręce i dwie zdrowe nogi, jakoś sobie da radę. Ale ci starzy albo chorzy...

Gotować. Nie tak sobie wyobrażała wypełnianie swojego obywatelskiego obowiązku – żeby stać nad garnkami. „Też mi wyzwanie”, pomyślała lekceważąco, ale do czasu.

Rano zjawiała się na Grzybowskiej, w umówionym miejscu. Miała pomagać w przygotowywaniu darmowej zupy. Zastanawiała się, z czego ona będzie, pewnie jakaś zalewajka na kościach i resztkę warzyw. Gdy weszła na podwórko, zatrzymała się, niepewna tego, co widzi. Oczy mówiły swoje, rozum nie chciał tego przyjąć. Poczowała falę złości podjeżdżającą do gardła. Potem, gdy już wytarła usta i przepłukała je wodą, bez słowa zabrała się do porcjowania koniny.

To była pierwsza „zaprawka”, jak zaczęła nazywać te nowe doświadczenia.

*Zaprawka*, napisała w notesie. Pierwszy wyraz, jaki otworzył... nie, nie pamiętnik. O pamiętniku to myślała w zeszłe wakacje, kiedy była młoda, naiwna i zupełnie inna. O jakichś wycieczkach po Czystem z Hanką chciała pisać, o wyjściu do teatru z panią profesor Czajkowską, o tym, co widziała na plakacie kinowym. Takie przemyślenia panienki – może nie z dobrego domu, tylko takiego biednie zwyczajnego, ale takie właśnie miały być – sztambuchowe. Ostatni raz pomyślała o pamiętniku wtedy, nad Świdrem, kiedy poznała Zygmunta. Nawet sobie poukładała w głowie jakieś zdania mogące go rozpocząć, i wymyśliła ornament kwiatowy, którym mogłaby ozdobić pierwszą stronę.

*Zaprawka. Zaprawka, bo to będzie zaprawianie się w nowym życiu. Piszę ten początek w piwnicy naszego domu, za światło mając jedynie wąską strugę ze zsypu na węgiel. Zresztą, jakie to światło, skoro od rana jest szaro. Mrok, ciągle mrok. Głód, chłód i niewiadoma. Gdzieś huczy, gdzieś strzały. Całkowite niemieckie oblężenie.*

*Dziś na terytorium Polski wkroczył Związek Radziecki. Mówi się, że to pewnie z pomocą, bo przecież jest traktat o nieagresji.*

*Kilka dni później. Źle się mówiło, bo to nie akt przyjaźni, a agresji. Teraz wrogów jest dwóch, z dwóch stron. W piwnicy ktoś zapytał, czy wobec tego jest sens się bronić. Dużo kobiet przytaknęło, że nie, nie ma sensu. We mnie się coś oburzyło – oddać wolność za nic? Ot tak? Prezydent, premier i wódz naczelny już za granicą rumuńską. Żal, że jesteśmy sami.*

*Czytam, co napisałam w te ostatnie dni. Trochę się sama nie poznaję – mój notes, na okładce Barbara Leoniewska, mój charakter pisma, a w środku, w tych zdaniach – jakby nie ja. Do jednego chcę zrobić poprawkę – nie „żał”, znaczy żal też, ale i jakaś... czy ja wiem – mobilizacja. Mobilizuje się wojsko, żołnierze, mężczyźni, mieszkańcy. I ja też się tak czuję – pobudzona w stan gotowości, wrywająca się, by działać.*

*Dziś od rana aż do popołudnia ciągły atak lotniczy. Fale huków, rumoru i ognia. Podobno ponad sześćset bomb burzących i sto zapalających. Pożar, jakiego nigdy nie widziałam. W nocy była jasno jak za dnia. Płonęło przede wszystkim Śródmieście.*

*Myślałam o H., tam na tym placu Dąbrowskiego. Ale myślałam też o L. i Z. To wraca. Nie wiem, gdzie Z. mieszka.*

*Następny dzień. Był Henryk. Jest cały, choć jego, znaczy ciotki, znaczy pani Minkiewicz dom dostał. Zginęło 10 000 ludzi. Piszę to teraz słowem, żeby uwierzyć: dziesięć tysięcy ludzi. Ludzie masowo giną, śmierć już powszedniejsze nie, to wykreślam, bo „powszedniejsze” nie pasuje, ale nie mam lepszego słowa. Po prostu jak się widzi, wciąż i wciąż, ciała – sztywne, z wywróconymi oczami, zakrwawione, kobiet i dzieci, to... mózg to chyba musi traktować jako coś, co się po prostu wydarza, bo inaczej człowiek by oszalał. Pomagałam w szpitalu Świętego Ducha. Spłonął całkowicie, wraz z nim wielu pacjentów. Nie mogę.*

*Dziś byłam w Śródmieściu. To znaczy nie wiem, czy mogę tak napisać, bo Śródmieście to jedna wielka rana. Byłam w tej ranie. Zgliszcza i okropny fetor. Domy zniszczone, na bruku szkło z okien, latarnie powywracane. Gdziekolwiek da się mieszkać, bo „tylko” kawałek dachu brakuje. Gdzie indziej cały dom rozpruty, widać wnętrza mieszkań, jak flaki u tego konia, co to go na podwórku oprawialiśmy. Na ocalałych murach i ścianach kartki i karteczki – kto kogo szuka, co chce sprzedać, kupić. To jak ma za co. Wśród nowych rzeczy, których wcześniej nigdy nie widziałam – głód. Nie chodzi o to, że widzę brak jedzenia, brak towarów – ja widzę głód w oczach ludzi. Też chodzę głodna, ale jednak coś*

*każdego dnia jest, nawet bywa, że na ciepło. A ci biedacy się wpatrują w handlujących cebulą, cukierkami czy chlebem. Są tacy i w mundurach – gdzie często rękaw pusty – po ręce, lub nogawka – po nodze. Brudne bandaże i brak orzełków na czapce. I to wszystko za obronę Ojczyzny. Myślę o tej kobiecie z pociągu – czy jej mąż żyje, czy wrócił? Komu z nich gorzej, jeśli on poległ? Jemu, bo życie oddał za kraj, czy jej, bo musi ciągnąć swoje życie dla życia trojga ich dzieci? Które z nich jest większym bohaterem?*

*Pomagam, każdego dnia. Gotuję te zupy, teraz już na niczym prawie. Roznoszę chleb, jeśli jest. Lekarstwa, jeżeli są. Wodę noszę, jeśli jest.*

*Coraz mniej do noszenia.*

*Znów piszę: Warszawa skapitulowała.*

*Dzień później. To nie woda się rozlała, bo ta w cenie złota, dba się o nią. To łzy. Płakałam po raz pierwszy od początku wojny. Z tego smutku, lęku, osamotnienia.*

*Dziś już nie płaczę. Dziś piszę: skończyło się moje dzieciństwo, niedojrzałość. Wchodzę w dorosłość.*

*Co ona mi przyniesie?*





## Rozdział piąty



Maria Stankiewicz spojrzała przez okno. Było paskudnie. Chyba nigdy wcześniej tak nie pomyślała, zawsze coś ładnego, podnoszącego na duchu potrafiła dostrzec. Nawet wtedy, gdy...

Teraz – nie. Padał ni to śnieg, ni to deszcz – z szarego nieba na jeszcze bardziej szarą ziemię. Było też zimno; niby coś tam dorzucała do pieca, ale bardzo oszczędnie, bo było jasne, że zaraz wszystkiego zabraknie jeszcze bardziej niż teraz. Życie przyzwyczyło ją do oszczędności, taki los samotnej kobiety, ale terażniejszość wymagała od niej większego hartu ciała i głowy niż do tej pory, mimo że przecież swoje już przeszła.

Otrząsnęła się. Zawsze dawała sobie radę, to i teraz będzie dobrze, mimo tych wszystkich zakazów i nakazów. Gubernator Frank zmieniał życie Polaków w piekło. Za przecięcie kabli telefonicznych – kara śmierci. Za uszkodzenie majątku Niemca – kara śmierci. Za słuchanie radia – kara śmierci. Za handlowanie słoniną – kara śmierci.

– Kara śmierci za życie. – Westchnęła, pakując lekko wytłuszczone paczki do torby. Jedna jej została, bo dwie zabrała ostatnim razem Basia.

Basia...

Poczuła ciepło na sercu. Kochała tę dziewczynę, naprawdę. Basia nie była takim dzieckiem, które wszyscy kochają, bo ono do wszystkich się garnie. Nie, Basia była trochę inna, trochę z boku.

„Nieśmiała, wrażliwa”, mówiła Krysia. Maria myślała, że to prawda, ale że w Barbarze jest coś jeszcze – nieprzewidywalność.

Jak w jej ojcu.

Zastygła z pakunkiem w dłoni. Nie ma co wracać do przeszłości – było, minęło – teraz już dla wszystkich, nie tylko dla niej. Nikomu by się do tego nie przyznała, ale ta śmierć w jakiś sposób przyniosła jej... „Nowe rozdanie”, tak pomyślała, kiedy już minął pierwszy szok, a po nim – długi smutek. Teraz można było zorganizować codzienność w inny sposób, a ona mogła być bliżej Krysi i Basi.

I mogła czasem pomyśleć, w myślach poudawać, że Basia jest jej córką.

Kiedy pierwszy raz taka myśl pojawiła się w jej głowie, przestraszyła się jej. „Wariactwo”, wyrzucała sobie wtedy ze wstydem. Później już nie. Ludzie przecież żyją, jak potrafią. Póki nikomu nie robiła nic złego... A nie robiła. Przez całe życie nigdy nikomu nie zrobiła nic złego, nawet więcej – zawsze dobro innych stawiała ponad swoje.

Otrząsnęła się.

Więc nie szkodzi, że nie ma tamtych toreb, bo i tak by ich niczym nie zapełniła. Bała się, jak każdy. Choć może nie jak każdy, bo ona sama nie miała nikogo takiego formalnie najbliższego, tylko jej, jak mąż czy dzieci...

Znowu gula w gardle.

– Niedobrze, niedobrze – powiedziała to na głos, bo tak było jej łatwiej zapanować nad sobą.

Zatem jej śmierć, ewentualna, nie byłaby dla nikogo aż takim dramatem. Nie chciałyby oczywiście ginąć, bo to wbrew naturalnemu porządkowi rzeczy, taka nagła śmierć, no i żal by było nie móc pomagać Basi i Krysi.

Zapięła się, mocno owinęła głowę i szyję wełnianą chustą i sięgnęła po torbę. Dziś czekała ją dłuższa trasa, do Turczynka. Podniosła pakunek; nie był ciężki, ale bardzo niebezpieczny.

– Jakoś trzeba żyć – powiedziała do siebie. – I próbować nie umrzeć.

„Śmierć ostatecznie kończy wszystko”, pomyślała. Odruchowo spojrzała na krzyż powieszony w ciemnej sieni. Ledwie widziała jego kontur, ale wiedziała, że tam jest. Przeżegnała się; nie powinna tak myśleć, katoliczce nie wolno, ale tak było – jeśli jej życie ma być jeszcze inne, to tylko tu, w tej rzeczywistości. W tamtej już nic nie będzie od niej zależało.

Otworzyła drzwi i wyszła w oblepiającą chłodem i wilgocią zamieć. Po kilku chwilach kwiatowy ornament przy uszach torby przykrył się mokrą bielą.

\*

– Jest! – Ciemność przeszył jego krzyk. Nie tak głośny, jak potrafił krzyknąć, na przykład wtedy, kiedy się wygłupiali na otwockiej plaży, ale i tak zdecydowanie burzący spokój tej nocy.

– Ciszej! – Teraz w mroku rozpląnęło się upomnienie. Stanowcze, choć spokojne. To też był głos znad Świdra; tego, który wtedy wygrał przeciąganie liny.

– Poczekaj, zaświecę. – Znowu ten pierwszy głos.

Żółty strumień światła wyodrębnił wśród rozkopanej ziemi niewyraźny kształt.

– Co to jest? – Pierwszy głos przycichł i zmarkotniał. – Uprząż końska?... I podkowy. Że niby na szczęście?...

– Na szczęście, a jak. Trzymaj. – Drugi głos najpierw wypowiedział te słowa, potem światło zmieniło lekko kąt padania, bo inna ręka zaczęła trzymać latarkę, a później dało się słyszeć lekkie posapywanie.

Dwie młode męskie dłonie przełożyły uprząż obok kopca rozkopanej ziemi. Po chwili dołożyły podkowy.

– Uhh! – Drewniane wieko wreszcie ustąpiło.

W dole, na głębokości około metra, leżała skrzynia, od wewnątrz obita blachą cynkową.

– Brauningi, granaty, amunicja jakaś. – Pierwszy głos starał się opanować drzenie.

– Do mauzera chyba. – Drugi głos też lekko drżał.

– I hełmy. I granatniki. To znaczy... – zaczął ten pierwszy.

– Że jeszcze nie zginęła – dokończył drugi.

Skrzynie były trzy. Każda z podobną zawartością. Teraz ta metalowa zawartość płynnie wędrowała z wnętrza do płóciennych toreb, które ze sobą przynieśli.

– Fiu–fiit! – Rozległo się ciche gwizdnięcie. – Fiu–fiit! – Powtórzyło się znowu.

Od muru odkleiły się dwa cienie i podeszły do dwóch głosów zajmujących się pakowaniem znaleziska.

– Cholera! – zdziwił się trzeci głos.

– W trąbkę dmuchany! – Czwarty wyraził to samo.

– No. – To był głos numer dwa. – Potem się porozdziawiacie. Teraz pakować i w nogi.

Przez kilka minut słyhać było tylko delikatny metalowy pogłos i szelest materiału, aż w końcu każda ze skrzyń została opróżniona.

– Zamykamy i zakopujemy – zakomenderował pierwszy głos.

– Poczekaj. – Drugi go spokojnie, ale stanowczo zastopował. – Poświeć mi tu.

Żółta światłość przesunęła się z dołu na dwie ubrudzone ziemią dłonie, które powędrowały teraz ku klapie kieszeni na piersi. Wyjęły z niej papierowy kwadracik i ołówek. Kwadrat okazał się większym kawałkiem papieru złożonym na cztery. Lewa ręka sięgnęła po ołówek i na papierze pojawił się napis: „Jeśli to czytasz, to znaczy, że nam się udało. Do zobaczenia, może, w przyszłości”.

Po kilku kolejnych minutach ziemia na podwórzu posesji przy Targowej sześćdziesiąt pięć wyglądała tak samo jak pół godziny

wcześniej – równo uklepana i częściowo przykryta drewnianą skrzynią na miotły.

– Gotowe. I niechby... – Drugi głos zamilkł. Światło latarki zdążyło jeszcze uchwycić ruch lewej dłoni, jak wędruje do czoła, potem między piersi, na lewe i prawe ramię.

– Amen.

Latarka zgasła.

\*

Znicze układały się w napis: „Cześć Bohaterom”. Róg Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej błyszczał od ich płomieni. Wydawało się, że są ich tysiące. A może naprawdę tyle ich było? Zresztą takich płonących pamięcią miejsc było w Warszawie więcej, o wiele więcej. W kilkudziesięciu „zwykłych” miejscach – przy budynkach, na placach, na skwerach, obok dworca – były groby. Tymczasowe, ale Niemcy nakazywali ich usunięcie, jakby sądzili, że brak krzyży na widoku publicznym anuluje tamte tragiczne śmierci, za które byli odpowiedzialni.

Barbara wyciągnęła z kieszeni świeczkę. Jedną już dziś zapaliła, za ojca, na cmentarzu. O dziwo, nie rozplakała się. Może gdyby była z mamą, ale mama leżała w łóżku, walcząc z okropnym przeziębieniem. Obie miały nadzieję, że to tylko przeziębienie, a nie coś poważniejszego, bo na przeziębienie mógł pomóc syrop sosnowy od ciotki Marysi, a na coś poważniejszego – już nie. No i dostały od niej kawałek mięsa – na wagę złota i życia. Mama się przestraszyła, żeby siostra nie wpadła z tego powodu w tarapaty, ale ciotka się tylko uśmiechnęła. „Ja mam układ, tam, na górze”, podniosła wzrok ku sufitowi, „że trochę w taki sposób powalczyć z okupantem mogę. Jedna na trzy”, teraz popatrzyła na nie, „to chyba do przyjęcia proporcje?”.

\*

*Ciotka handlowanie mięsem i innymi produktami nazwała walką. Najpierw pomyślałam, że to na wyrost, bo to raczej zarobek, a potem, że ma rację – bo to też po prostu jedzenie, dzięki któremu ileś tam osób przeżyje – w lepszym zdrowiu, kondycji, może właśnie robiąc coś dla ojczyzny. Tak czy owak, potrzeba do tego odwagi. Czy ja bym się nie bała? Zwłaszcza gdyby chodziło o coś poważniejszego niż mięso?*

*Każdego dnia robię rzeczy ważne, jakiś dobry uczynek, coś, co przynosi komuś ulgę. Wciąż jednak wydaje mi się to niewystarczające. „Dla tych, co im pomagasz, jest wystarczające”, powiedział Zenek. „Czego ci brakuje?”*

*Chyba dotknął istoty problemu – mnie czegoś brakuje, nie im.*

\*

Był już zmrok; trochę jaśniejszy, bo śnieg rozbielał okolicę. Szczupły młody mężczyzna, który sprężystym krokiem szedł Świętokrzyską, zatrzymał się przy witrynie jednego z antykwariatów. Przyglądał się słabo oświetlonej wystawie, a potem przeniósł wzrok na ścianę obok, obwieszoną urzędowymi plakatami, i zaczął je studiować.

– Przyszłości pan tam wypatrujesz? – Tęgawy pięćdziesięciolatek w lichej, zbyt obszernej jesionce zatrzymał się obok.

Mężczyzna spojrział na niego, ale nic nie powiedział. Odwrócił wzrok od plakatów i znowu zaczął się przyglądać książkom umieszczonym za szybą. Wyglądał spokojnie, tylko dłonie, wciśnięte w kieszenie, mogłyby go zdradzić, bo zaczął nerwowo ścisnąć palce.

– Może proroctwa?... – Stojący obok ściszył głos. – Spełni się, czy nie, kto to wie, ale ducha ogrzeje. – Sprawnym ruchem ręki sięgnął do kieszeni płaszcza, skąd wyciągnął cienką broszurkę i równie płynnie przetransportował ją do kieszeni swojego rozmówcy.

Palce zastygły.

– No, miłego czytania – powiedział już normalnym tonem, nie patrząc wcale na obdarowanego, tylko na witrynę. Uchylił kapelusza i niespiesznie odszedł.

Mężczyzna przed witryną wyciągnął rękę wraz z broszurą z kieszeni.

„Kto zwycięży? Czyj los przypieczętuje niewola? Te pytania nieustannie zaprzatają umysły wszystkich ludzi, odpowiedzi jednak na nie mogą trafnie tylko prawdziwi jasnowidze i natchnieni przez Boga prorocy”.

Głęboko odetchnął. Więc było ich więcej. W różny sposób robili to samo. On na razie tak, ale już niedługo...

Sięgnął lewą dłonią do kieszeni umieszczonej na wysokości serca. Wyjął z niej papierowy pakunek. Rozejrzał się; mijali go zziębnięci ludzie. Zrezygnowani, zamyśleni, spieszący się do domów przed nastaniem godziny policyjnej. Nigdzie nie dostrzegł granatowego munduru ani wypastowanych wysokich oficerów.

Znowu stanął przed słupem; po chwili spokojnie odszedł i wtopił się w grupę przechodniów.

Skierował się w stronę placu Dąbrowskiego.

Urzędowe komunikaty zostały przesłonięte kartkami, na których ktoś starannie wykaligrafował: „Zapamiętaj kilka słów: będzie Polska wolna znów”, „Powie ci na ucho, że z Niemcami krucho”.

\*

– E, daj spokój. – Henryk machnął ręką. – Taki to dobry węgiel, że przez ruszt spada. Miał po prostu piasek. W elektrowni tramwajowej takiego się używa.

– No ale dobrze, że w ogóle jakiś jest. I praca taka lepsza niż żadna. – Barbara patrzyła na chłopaka ze współczuciem. Niby mu się poszczęściło z tym mieszkaniem na Dąbrowskiego, ale inne



sprawy szły jak po grudzie – widać losu nie da się tak łatwo odmienić, zresztą wobec wojny wszyscy byli jednakowo bezbronni.

– No, miał być Radio-Union, ale oni oberwali jako jedni z pierwszych. I wszystko poszło w proch i pył, taki jak ten węgiel.

– Poklepał worek. – No nic, idę, bo matka i ciotka czekają. I na węgiel, i na mnie. Zresztą mróz taki, że od samego wystawienia nosa na zewnątrz można się przeziębć. A tobie chyba chłodno?...

– Niby zapytał, ale w tym jego smutno-szarawym spojrzeniu była pewność.

Pokiwała głową. Na nią czekała jedynie matka, a ona niczego nie przynosiła do domu – nie miała siły, nie miała pieniędzy. Barbara wracała z zajęć ze szkoły handlowo-krawieckiej, daleko, bo aż na Grochowie, ale nie miała wyboru. Dzięki tym zajęciom dostała pracę, a pracować przecież musiała, jak każdy, kto skończył czternaście lat. Więc przed lekcjami wykrawała formy w zakładzie krawieckim, a potem się uczyła. Matka najpierw załamała ręce, bo myślała, że to naprawdę wyłącznie handlówka, a ona przecież chciała, żeby Basia szła wyżej i wyżej, bo tylko dzięki temu miała szansę na lepszy los. Tak naprawdę jednak pod tymi zwyczajnymi zajęciami kryło się dużo więcej, bo na przykład na zajęciach korespondencji handlowej używali *Lalki* Prusa i jego opisu sklepu Mincla. Trudno było się uczyć, kiedy było to zabronione, ale jak ktoś chciał... A Barbara chciała. Nie powiedziałyby mamie, że przede wszystkim dlatego, że nie chce żyć jak ona, bo to byłoby okrutne. Ciotce się jednak zwierzyła; tak delikatnie, trochę naokoło, ale ciotka zrozumiała. Barbara czuła się w pewien sposób podobna do ciotki. Niby stara panna, niby trochę dziwaczka, ale to był silny człowiek. Inni może tego nie dostrzegali, ale Barbara tak.

– A wiesz co? – Henryk zatrzymał się w pół kroku. Spojrzał na nią... Sama już się gubiła w domysłach na temat tego, co się mogło kryć za jego wzrokiem – czy smutek, że jemu się nie najlepiej układało, czy wstyd, że Barbara była tego świadkiem? –

Jutro idę na Karolkową, do Philipisa. Mam tam znajomego, który chodzi do ich szkoły handlowej. Mówi, że może by się udało i mnie tam zadekować. – Uśmiechnął się i wyprostował mimo tego worka. – To by było coś, prawda? Taki, można powiedzieć, awans.

„No tak, wciąż chciałby być lepszy, niż jest”, przebiegło Barbarze przez myśl.

– A to dla ciebie, znaczy dla twojej mamy i ciebie. – Wyciągnął z kieszeni gazetowe zawiniątko. Była w nim ćwiartka chleba.

„A jest lepszy, niż ja o nim myślę”, to było kolejne, co pojawiło się w jej głowie.

\*

Wracała do domu Grzybowską. Chciała dziś wydłużyć trasę, bo miała nadzieję, że spacer w wiosennym słońcu pomoże trochę na ból głowy. Głowa zaś bolała ją od tabletek przeciwbólowych, bo chyba z nimi przedobrzyła, ale jak ich nie łykać, skoro ząb dokuczał? Zaniedbała zdrowie pod każdym względem, ale nie miała do niego głowy – nawet wtedy, kiedy ta jej jeszcze nie bolała. Mama nie mogła dojść do siebie po tym późnojesiennym przeziębieniu, ale w takich warunkach to nic dziwnego – palić nie było czym, siedziały w domu w paltach i szczękały zębami z zimna. Do jedzenia chleb i marmolada rano i wieczorem, w środku dnia cienka zupka. Trzy razy od wybuchu wojny przyjechała ciotka z Podkowy i przywiozła im po kawałku mięsa, jakieś warzywa i trochę pieniędzy, ale to, co w organizmie osłabionej matki mogłyby naprawić cenne wartości odżywcze, psuł lęk o siostrę. „To się źle skończy”, kręciła głową, patrząc na Marię. „Źle to się zaczęło”, ta odpowiadała. „Ja mówiłam Baśce, że my do zwykłej walki nie jesteśmy stworzone, ale do innych działań wymagających odwagi – owszem”. A potem brała swoją jutową torbę i wracała na wieś.

\*

*Zazdroszczę ciotce tej pewności siebie. Braku lęku. Widziałam ją na ulicy, jak do nas szła. Zwykła kobieta ze zwykłymi zakupami. Potrafi zachować zimną krew, udać, że nie robi niczego zabronionego. Czuję, że i ja do tego dorastam. Na kilka-, kilkanaście tygodni zostawiłam na boku te chęci, żeby robić coś bardziej znaczącego, coś donioślejszego niż to, co teraz mi przypadło w udziale – roznoszenie posiłków (dobre sobie: posiłki; słowa w wojnę jednak zmieniają znaczenie. To, co dajemy chorym i niesprawnym, zapycha brzuch, ale czy posila?), gotowanie, czasem po prostu dotrzymanie towarzystwa. To wszystko jest potrzebne, to trzeba robić. „Masa takich drobnych spraw daje w sumie duże dobro”, powiedział Zenek. Ma rację, ale ja bym chciała, żeby to, co robię, było bardziej... znaczące? Żebym miała poczucie sensu, takiego dużego. Bo teraz ten sens mi się jakoś rozmywa. Zmiana opatrunku, ugotowanie zupy, wypranie ubrania – to potrzebne czynności, ale małe. Małe znaczeniem, bo w jednym Zenek ma rację – jest ich masa, to czuję każdego dnia. Wracam padnięta, a przecież jeszcze trzeba coś zrobić i u siebie, z mamą porozmawiać. Ostatnio, i to jest zysk tej mojej przymusowej pracy zarobkowej, próbuję szyć. Tam wykorzystywać maszyny, a w domu przygotowywać wykroj. Czego to się nie da zrobić, gdy jest potrzeba... No i dobrze, że przed wojną była moda na szerokie spodnie męskie, a teraz kobiety chudną – tym sposobem cztery kliny i spódnica gotowa.*

*Przeczytałam to wszystko, co napisałam od początku.*

*Najpierw chciałam się skupić na faktach; byłam taką jakby reporterką – wszystko uchwycić, podać. Czytało się to trochę jak relację wojenną. Nie o to mi chodziło. Nie chcę zostawić po sobie kroniki. Chcę, by to był ślad moich przeżyć, moich przemyśleń, emocji. Kronikarze są, fakty i czyny nie zginą. To ma być notes mojego rozwoju, przemiany, życia.*

*Dopisuję po dwóch dniach namysłu, choć przyszło mi to głowy prędezej, ale się wahałam, czy to utrwalić. Uznałam jednak, że tak, bo w tych swoich pisanych zaprawkach jestem sama ze sobą, ze swoimi myślami, więc jeśli tu nie będę szczerą, to gdzie będę? Zatem: W tej pracy „na rzecz ogółu”, o której wspomniałam wcześniej, chodzi mi też o to, żeby ktoś mnie docenił, zauważył. Tak wyraźnie. Tego bym chciała.*

\*

Na rogu Grzybowskiej minęła nieduży budynek dyrekcji Philipsa. Dalej była długa, parterowa hala. „To pewnie tu pracuje Henryk”, pomyślała. Udało mu się dostać tę pracę, zdążył się jej już pochwalić. Taki był rozpromieniony, jak nie wiadomo co. Barbara pomyślała, że w pewien dziwny sposób wojna mu służy, robi więcej, sięga po więcej niż wcześniej, jakby mu przybyło odwagi, sprytu czy determinacji. Dawał też wyraz swojej troski o Barbarę i jej matkę, przynosząc różne rzeczy – a to gruby plaster marmolady, a to pół chleba, kilka jabłek czy cebulę. I może wtedy oczekiwał, że...

Była mu wdzięczna, bardzo. Napływała do niej fala ciepła, jakiejś czułości. I chciała ją jakoś wyrażać, tylko...

Przechodziła właśnie obok wysokiego, sześciopiętrowego budynku, gdzie oprócz produkcji były chyba i biura.

I wtedy go zobaczyła. Pod słońce, ona szła po drugiej stronie ulicy, on był właśnie na wysokości kasztanowca, częściowo skryty pod jego gałęziami okrytymi niezłomną wiosenną zielenią. Teoretycznie były warunki ku temu, żeby się pomylić, ale to był on, na pewno. Nie zapomniała tej sylwetki, tej twarzy, tego spojrzenia i tego głosu.

Zygi.

Zygmunt.



## Rozdział szósty



*Spacerowałam tam kilka razy. Po zajęciach w szkole albo po pracy, zależy od rozpiski. Nie było go. Już sobie pomyślałam, że to jednak mi się przywidziało, że go z kimś pomyliłam, bo wzrok potrafi płatać figle, zwłaszcza jeśli się człowiek natyka proszków, ale potem zawsze do mnie wracało, że ja nie tyle go zobaczyłam i rozpoznałam, ile... poczułam.*

*Więc jednak się nie myliłam. To był Zygmunt. Dwa jeszcze razy, to znaczy w sumie trzy, widziałam go przy bramie Philipsa. Teraz to już Philips-Werke, bo kiedy Holandia upadła, zakład poszedł pod Niemców.*

*Zygmunt tam pracuje, na pewno. Ciekawe, czy gdzieś z Henrykiem, choć nie sądzę, bo oni są jednak z innej gliny, innego pochodzenia, to przy obsadzie pewnie miało znaczenie. Henryk coś mówił o termosach, muszę go wypytać.*

*Jestem pełna emocji, bo nie sądziłam, że tak to przeżyję. Już prawie o nim zapomniałam (no dobrze: nie tak prawie, bo miałam w pamięci Świder i plac Dąbrowskiego), a tu wszystko wróciło. Gdyby nie ten ząb, pewnie by to mną zawładnęło jeszcze mocniej.*

*Może zresztą tak być, bo zaraz idę do dentystki, więc ten problem się skończy i w głowie zrobi się miejsce na inne myśli.*

*Co za przedziwny stan.*

\*

Korytarz ciągnął się od drzwi wejściowych do gabinetu; na prawie całej jego długości była ustawiona niska drewniana ławka, w całości zajęta przez pacjentów. Wszyscy mieli zbolące miny, niektórzy, jak Barbara, także opuchnięte twarze.

– Dzień dobry! – przywitała się.

Odpowiedziały jej kiwnięcia głów. Pacjenci, bez słowa, jak sprawnie działający organizm, ścisnęli się, robiąc jej miejsce. Przycupnęła na krawędzi. „Siedem osób”, pomyślała. „Najmarniej ze dwie godziny”. Nawet gdyby można było iść, zajmwszy sobie kolejkę, to nie miała na to ochoty. Dziś, po kilku wyjątkowo ładnych dniach, było wietrznie i zimno. Mimo że obwiązała głowę chustką, przewiało ją tak, że teraz do bólu zęba dołączył ból zatok. Przymknęła oczy; zrobiło się troszkę lepiej. Nie mogła sobie jednak pozwolić na sen, na zmarnowanie tego czasu, bo jutro mieli omawiać *Balladynę*. Regularnie, między tymi handlowymi lekcjami, uczyli się „zwykłego” programu. Barbara często bywała zmęczona, głodna, śpiąca, ale starała się być zawsze przygotowana. Zbyt dużo poświęceń i pieniędzy kosztowała ją nauka, żeby odstawiać fuszerkę. Zresztą ten trud się przecież zwróci, kiedy już to wszystko minie... Znowu zamknęła powieki. Wyobraziła sobie, że jest już po wojnie, że znów jest ładnie (jak to wszystko naprawić, te żebra domów obudować zdrową, ładną tkanką?... nie, teraz to nieważne, przecież to wyobrażenie), a ona, starsza, mądrzejsza, po maturze, a może nawet już na studiach, ładnie ubrana, zresztą dojrzewanie uczyniło ją interesującą i ładniejszą, spaceruje ulicą, na przykład Grzybowską lub Karolkową, i spotyka Zygmunta, a on zwraca na nią uwagę. „Czy myśmy już kiedyś...?”, pyta. Barbara lekceważąco, ale zgrabnie macha dłonią: „Czy to ma znaczenie, skoro teraz się spotykamy?”. Nie musi jej pamiętać z tamtego okresu, ważne, by zauważył ją teraz. A potem...

Otrząsnęła się. Marzenia marzeniami, ale zadaną pracę trzeba zrobić. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej kopertę, w której miała przepisany tekst utworu Słowackiego do przeczytania na jutro. „Więc on ją widział... on ją widział nocą... z tego wianka kochanek żywy wyjdzie, a kochanka rozplomieniona miłością omdleje”. Poczowała ciepło na policzkach. Już dawno żadna lektura nie była

dla niej takim punktem odniesienia do własnego życia. No dobrze: do marzeń o własnym życiu. Znowu pochyliła się nad kartką. „Jak mało malin! A jakie czerwone, by krew. Jak mało, w którą pójde stronę? Nie wiem... A niebo jakie zapalone. Jak krew...” Ból głowy i zęba jakby się zmniejszył, tak ją zajął ten tekst. Czytała coraz zapalczywiej.

– ...wska?

„A ja wśród jagód chodzę obłąkana, jakąś rozpaczą i łzy gubię w rosie...”

– Panna Leoniewska?

To już dosłyszała, bo było miłym i łagodnym, choć dość głośnym tonem wypowiedziane.

„Zazdrość widziałem w maleńkiej iskierce, więcej niż zazdrość...”

– Pani doktor czeka.

Barbara wreszcie całkiem wróciła do terażniejszości. Oderwała wzrok od tekstu i przeniosła go na podłogę. Najpierw zobaczyła jasnobrązowe skórzane pantofle na smukłych stopach. Potem nogi, równie szczupłe, obleczone pończochami w pięknym złotobrązowym kolorze. „Gdzie teraz takie kupić? I za ile?”, przeleciało jej przez głowę, ale po chwili się zorientowała, że to nie pończochy, a skóra o takim pięknym odcieniu. Jak z tej reklamy Tokalonu. Albo... Przeniosła wzrok ku górze, przez szczupłe biodra i wąską talię, widoczne nawet pod białym fartuchem. Dalej były ładne dłonie z drobnymi palcami, łabędzia szyja, blond włosy i piękna twarz.

Lucyna.

Tym razem Barbara się zawahała. Jak? Skąd? Może jednak się myli? Powoli podniosła się z ławki.

– Pani doktor prosi. No, chodźmy. – Instrumentariuszka delikatnie wzięła Barbarę pod łokieć.

Tak, to była ona. Złota dziewczyna znad Świdra, która musiała zdumienie Barbary wziąć za oznakę strachu.



– Proszę. – Wprowadziła ją do gabinetu i delikatnie skierowała w stronę skórzanego fotela.

Barbarę, jak zawsze, lekko otumanił chemiczny zapach. I woń goździków. Zakręciło się jej w głowie.

– No, nie ma co się bać. – Lekarka odezwała się uspokajająco. Też była bardzo ładna, w pewien sposób podobna do Lucyny. – Proszę otworzyć usta. – Zaświeciła lampą. – Oj... zabałaganione. No, zobaczmy, co da się zrobić. Uprzedzę, że będzie bolało, niestety.

Barbara kiwnęła głową. Nie była przecież wydelikaccona. Intrygowała ją za to obecność Lucyny w tym miejscu. Dziewczyna asystowała dentystce i widać było, że ma w tym już pewną wprawę. Może była jej córką?

– Auu! – wyrwało się Barbarze. Nie chciała, to było silniejsze od niej. Poczula złość – że nie jest dość silna i że ten brak wytrzymałości okazuje przy tej pięknej dziewczynie.

– Zaraz kończymy. Lucynko, przynieś mi wodę utlenioną ze schowka, bo tu już pusta butla.

Dziewczyna kiwnęła głową i zniknęła w korytarzu.

– Jeszcze chwila. – Lekarka współczująco spojrzała na Barbarę. Sama też chyba była zmęczona. – Lucyna! – zawołała trochę za głośno.

Po chwili biały fartuch pojawił się w gabinecie.

– Przepraszam, ciociu, ale...

„A więc to ciotka”.

– ...była poczta i... – Dziewczyna dotknęła dłonią kieszeni fartucha, teraz wybrzuszonej od kopert.

– Coś dla nas? – Dentystka zapytała już spokojniej.

– Nie. – Dziewczyna pokręciła głową. – Tylko takie... prywatne. Do mnie.

– To daj tę wodę. – Lekarka nachyliła się znowu nad Barbarą. Metalowym szpikulcem sprawdziła coś w leczonym zębie. Znowu zabolalo tak, że Barbara odruchowo wykonała gwałtowny ruch

ręką, jakby się chciała obronić; jej dłoń trafiła w dłoń Lucyny przekazującej ciotce wacik nasączony wodą utlenioną. Biały gazik poleciał na ziemię.

– Przepraszam – bąknęła zmieszana. Siedziała w tym fotelu zmęczona, spocona, obolała, a teraz jeszcze zachowała się tak niezdarnie.

– Nie szkodzi, to się zdarza. – Lucyna miała głos anioła. Schyliła się, by podnieść opatrunek. Kiedy się wyprostowała, Barbara zauważyła, że na podłodze leżą dwa listy; musiały wypaść z fartucha. Oba zaadresowane do jakiejś Katarzyny z Jasnej. Adres się zgadzał, a imię?...

Dziewczyna zauważyła te koperty. Szybko i zgrabnie się po nie schyliła. Gdy wtykała je do kieszeni, Barbara dostrzegła z tyłu dwa różne męskie nazwiska.

„O co tu chodzi?“, pomyślała. „Jakaś podwójna gra?“ Poczowała falę złości; ta dziewczyna zbierała wszystkie spojrzenia, Zygmunta pewnie też, a teraz jeszcze flirtowała z innymi, udając, że to nie ona. Tymczasem Barbara...

– A! – Teraz też nie udało się jej powstrzymać krzyku.

Lekarka delikatnie poklepała ją po ramieniu.

– Proszę przyjść za tydzień o tej samej porze, zobaczymy, co z tego będzie.

Barbara pokiwała głową. Cholernie ją bolało, ale chciała tu wrócić.

\*

– Czyje to?

Maria Stankiewicz zadrżała, ale tak wewnętrznie, żeby tylko niczego nie dać po sobie poznać. Opanowała tę sztukę do perfekcji, taką przynajmniej miała nadzieję. Co innego jednak ćwiczyć obojętną lub pewną siebie minę, kiedy nie jest się w prawdziwym zagrożeniu.

Teraz była.

– Czyje?

Pociąg zakołysał się na zakręcie, Marię mocno odchyliło, musiała się złapać metalowego uchwyty przy drzwiach; moment odzyskiwania równowagi wykorzystwała na przepchnięcie nogą torby do tyłu. Nosiła długą, zupełnie niemodną sukienkę, która miała poświadczać jej wiejskie pochodzenie i niezdolność do większych niż drobny szwindel przestępstw.

– Ostatni raz pytam.

Maria utkwiała wzrok w wypastowanych oficerkach Niemca. Nie miała siły patrzeć na współpasażerów, zwłaszcza na tę trójkę. Byli pewnie w wieku Basi, dopiero co wchodzili w dorosłe życie. Czuła, że te ulotki należą do któregoś z nich. Reszta osób w przedziale to byli tacy handlarze jak ona albo ludzie zobojętniali już na wojnę, niewolę kraju, skupieni tylko na tym, by przeżyć.

Podniosła jednak wzrok. „Boże”, zakłuło ją w boku. Ależ oni byli młodzi, ta trójka dzieciaków, ledwie co dorosłych! I jacy ładni, zwłaszcza ta para blondynów; szatyn też, ale to tamci dwoje byli jak z zagranicznego żurnala. Dziewczyna niezwyklej wprost urody i chłopak, którego trzymała za rękę. Musieli się bardzo kochać, bo Maria miała wrażenie, że od ściskania dłoni aż im zbiegały stawy. Było w tym coś niezwykłego, takiego pewnego, bezwarunkowego...

Zrozumiała. To nie byli zakochani, to było rodzeństwo; teraz dopiero zauważyła podobieństwo między nimi. Pomyślała o sobie i o Krysi. Też ją tak kochała. I też by oddała za nią życie.

W pewien sposób zresztą to zrobiła.

Już by wołała, żeby ci Niemcy zaczęli od niej, żeby znaleźli jej torbę i to mięso. Na pewno by ją pobili, do krwi, może do utraty przytomności nawet, ale pewnie by przeżyła, bo wystarczyłoby im zwykłe, codzienne okrucieństwo. A za takie papiery... Podziwiała konspirację, no jak by mogło być inaczej, ale jednocześnie żał jej było tych dzieciaków, które chciały umierać za ojczyznę. Każdy ma

prawo do życia, ale kiedy ma się naście lat, to prawo jest najmocniejsze, niezbywalne. Przypomniała sobie siebie – była wtedy taka zakochana, szczęśliwa...

Przez moment.

A potem, w odstępie kilku miesięcy, umarli rodzice i zostały same z Krysią. Najpierw zajęła się siostrą i nie mogła, nie chciała, nie powinna była dbać o siebie. A później wyszło tak, że...

Życie jest nieprzewidywalne i nieobliczalne, to już wiedziała. Nikt nie wypełnił tej pustki obok niej. Zresztą – jak miłość jest prawdziwa, to się zdarza raz w życiu, i koniec, więcej nie będzie. Krysi też się raz trafiła i odeszła z ostatnim oddechem umęczonych płuc Leona.

Życie, to również paradoks, bywa i sprawiedliwe, nawet jeśli ta sprawiedliwość polega na odbieraniu. „Ciekawe, jak Basi z tą miłością pójdzie?“, pomyślała. I znowu przeszył ją bolesny skurcz, bo przypomniała sobie, jak ostatnim razem, znaczy cztery miesiące temu, siostrzenica opowiadała o potrzebie działania, że także by chciała coś więcej, niż być siostrą miłosierdzia. Dla Marii już te godziny spędzone na wędrówkach między chorymi, umierającymi, zawszonymi, głodnymi, samotnymi, potrzebującymi leków, opatrunków, nadziei, otuchy, chleba były godne podziwu, bo włożone przecież na wątle i młode barki. A gdyby Basia poszła dalej, głębiej i gdyby to ona stała teraz w tym pociągu...

– Och!... – Z zamyślenia wyrwał ją jęk mężczyzny w średnim wieku, który dostał kolbą karabinu najpierw w twarz, a potem w brzuch. Zgiął się, z rozdartego policzka skapywała na podłogę krew.

– Liczę do trzech i on dostanie kulkę. Raz...

Maria jeszcze dalej przepchnęła obcasem swoją torbę. Patrzyła na tę scenę, jakby jej tu wcale nie było albo jakby oglądała sztukę w teatrze. Głowa musiała się jakoś bronić przed tym okrucieństwem, inaczej sama by już umarła albo trafiła do wariatkowa.

– ...dwa...

„Czy jeszcze będą szukać?” „Może przestać z tym handlem?” „Czy on ma rodzinę? Żonę, dzieci?” „Żeby tylko Basia nie...” Te myśli ją dopadły, a ona się im poddawała; wszystko, byle tylko zagłuszyć strzał, który miał zaraz paść.

– To moje.

Skierowała spojrzenie w stronę, z której nadpłynął.

Głos był czysty, choć trochę drżący.

Należał do tego szatyna.

A na twarzy blondynki dostrzegła... i smutek, i ulgę.



## Rozdział siódmy



– Ach! Ała! – Chłopak zgiął się wpół, zachwiał i padł na kolana. Nie mógł się podnieść, uniósł jednak głowę i mężnie spojrział na swojego oprawcę.

– Nic wam nie powiem – wycharczał. – Nic – powtórzył.

– To inaczej pogadamy. Na Szucha nie takie rzeczy z ludzi wyciągają. – Górujący nad nim wziął zamach i kopnął go w brzuch.

– Ej, nie na serio, zgłupiałeś? – Leżący się poderwał i doskoczył do tego, który wymierzył mu kopniaka. – Przyłożyć ci?

– Dobra, dobra, już, koniec! – Henryk podbiegł do szarpiącej się dwójki i rozdzielił chłopców. – No, a teraz wytrzeć nosy i do matek, zapytać grzecznie, czy nie potrzebują, żeby śmieci wyrzucić. – Popchnął ich w przeciwne strony i otrzepał ręce. – O, Basia. – Głos mu zmiękł.

– Straszne, w co te dzieciaki się bawią. – Pokręciła głową.

Wracała z codziennego obchodu swojego rewiru. Dziś miała trzy zmiany opatrunków, z czego dwie rany wyglądały tak paskudnie, że pewnie już tych chorych nie zobaczy, bo albo pójdą do szpitala, albo umrą. W dwóch domach była właściwie tylko po to, żeby dodać otuchy, choć z tym było równie trudno co z chlebem. Kiedy była już blisko swojego mieszkania, zobaczyła tych chłopaczków odstawiających okropną scenkę.

– Bawią się w to, co widzą. – Henryk rozłożył ręce. – Właśnie byłem w sklepie, żeby Jurkowi kupić żołnierzyki, bo mnie męczył

od kilku tygodni.

– Żołnierzyki? – zdumiała się. – Mało mu?

– A ty wiesz, na czym polegają zabawy? – odpowiedział jej pytaniem na pytanie.

– No, na tym, że się różne historyjki odgrywa.

– Że się odtwarza w zabawie to, co się widzi w prawdziwym życiu. Lalki się na spacer w wózkach wozi, kotlety z kasztanów robi, chusteczką opatruje nieistniejące rany... I oni też się bawią w to, co widzą. W wojnę. W gestapo.

Nic nie powiedziała. Henryk miał rację. Coraz częściej ostatnio.

– No więc poszedłem do tego sklepu, a właściciel mi powiedział, że miał dużą partię, ale całą rozkupiono zupełnie. Nowy towar domówił. Powiedział też, że dzieciaki się dopytują o wojska spadochronowe – to już chyba z marzeń wzięte, bo na razie się nie zanoszą. – Westchnął. – Więc nic nie mam dla Jurka. – Wyciągnął na zewnątrz puste kieszenie spodni. – Nie muszę się spieszyć do domu. Może byśmy się przeszli?... – Spojrzał na nią pytająco.

Barbara się zawahała, ale kiwnęła głową. Spacer dobrze jej robi. Dziś wieczorem znowu czekała ją wizyta na Jasnej, u dentystki. Trzecia porcja bólu, tu nie było żadnej wątpliwości. Do tego konieczność wydatku, a brak gwarancji sukcesu. Ale może teraz spotka tam tę Lucynę, bo poprzednim razem jej nie było. Zastępowała ją inna praktykantka, zdecydowanie sprawniejsza, ale lekarce to nie pomagało w pracy, bo była rozkojarzona i chyba smutna. Czy to się wiązało z tymi listami? Czy ta Lucyna zrobiła coś głupiego? Jakies flirty pod zmienionym nazwiskiem? „To by do niej pasowało”, pomyślała zdjęta nagłą złością. „Ładna jest, pewnie ma wielu absztyfikantów, a czy Zygmunt...?”

– ...ale bym chciał pracować przy produkcji aparatów radiowych. – Z zamyślenia wyrwał ją głos Henryka.

Szli w kierunku zakładów Philipsa.



– Patrz, nawet po robocie mnie tam ciągnie. Tak mi się poszczęściło z tymi zakładami, no, jak ślepej kurze ziarno.

Pokiwała głową.

– Robota poważna, człowiek się uczy, do tego dwa posiłki dziennie, deputat żywnościowy, nawet buty. No gdyby tylko jeszcze te aparaty...

– A dużo was tam pracuje? – przerwała mu.

– No, dużo. To znaczy sporo, choć nie jest tak, że każdego tam przyjmują, zdecydowanie nie – zastrzegł szybko. – Jak już się uda, trzeba się wykazać. Ta praca wymaga dokładności i uważności.

– Rozumiem. – Pokiwała głową.

Chciała go zapytać o Zygmunta, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Że Henryk będzie go traktował jak rywala, to pewne, mimo że przecież nie dawała mu żadnych sygnałów, że między nimi mogłoby być coś więcej, niż jest.

A co właściwie było?

Sama się w tym gubiła. Bez Henryka byłoby jakoś pusto, na pewno gorzej, ale to jeszcze nie wystarczało...

Otrząsnęła się, bo poczuła, że on się jej przygląda.

– A macie tam różne... działy? Czy sekcje, czy jak to się nazywa?

Henryk się ożywił. Rozmowa na temat jego pracy sprawiała mu dużo przyjemności.

– No pewnie. Są żarówki, termosy i lampy radiowe. Są małe aparaty radiowe, ale to tylko dla Niemców się robi. No i aparatura dla ich marynarki wojennej. Są też... – ściszył głos – i inne linie produkcyjne. Takie właściwie stanowiska rzemieślnicze.

Popatrzyła na niego pytająco.

– Fuchy – szeptał wciąż. Nawet się obejrzał, czy nikt obok nich nie przechodzi. Byli bardzo blisko zakładów i tego kasztanowca, gdzie kiedyś zobaczyła Zygmunta. – Grzebienie z blachy aluminiowej, papierośnice, również z blachy, nawet zapalniczki.

– Ty też to robisz? – zapytała, dopasowując ton głosu do niego.

– Nie. – Pokręcił głową. – Ja tam nic do tego nie mam, każdy się ratuje, jak może, ale gdyby mnie kto przyłapał, wyleciałbym z hukiem, a ja chcę zostać, bo...

Nagle się wyprostował, kiwnął głową i stuknął butami albo tylko mu się tak nogi złączyły. Barbara przeniosła spojrzenie na mijającego ich człowieka w niemieckim mundurze.

– Dużo takich mundurów tam macie? – zapytała Barbara, kiedy oddalili się na bezpieczną odległość.

– Trochę – powiedział, znowu rozluźniony. – A wiesz, że ja też będę miał mundur? Wyjściowy, zakładowej straży pożarnej. – Teraz się wyprostował z udawanej dumy.

„Jak dzieciak”, pomyślała. Z czułością, aż się zdziwiła.

– I wiesz co? Dobrze, że się spotkaliśmy, bo... – Nachylił się ku niej.

„Czyżby znowu?...”, pomyślała.

– ...bo mam coś dla ciebie. – Sięgnął do torby i podał jej pakunek. – Dziś dostaliśmy dwie, więc jedną... – Podał jej konserwę mięsną. – Kilogramowa. – Uśmiechnął się.

Barbara pomyślała, że to także prawie jak wyznanie miłości.

\*

– Chcę kraść, chcę rabować, chcę jeść, chcę być Niemcem!

Chłopiec mógł mieć osiem–dziesięć lat. I był z za muru. To było widać od razu, na pierwszy rzut oka – chuda sylwetka, spod podartych spodni wystawały bose stopy, koszula na nim wisiała, ale nie w rękawach czy na długość, tylko była za szeroka – dwa razy mógłby się nią owinąć. Głowa ogolona tak, że prawie było widać kości pod pergaminową skórą. I te oczy – oczy, które nawet jeśli chłopiec byłby zwyczajnie ubrany i zachowywał się normalnie, i tak by go zdradzały – duże, ciemnobrązowe, przepełnione łękiem, głodem i szaleństwem.

Barbara zobaczyła go na Zielnej, niedaleko muru getta. Wykrzykiwał to jedno zdanie i kręcił się w kółko, jak zwierzę zbyt długo trzymane w ciasnej klatce.

– Boże, pani kochana, co to tam się dzieje! – Mijająca Barbarę kobieta odezwała się do swojej towarzyszki.

– Wczoraj też go widziałam, dalej, przy Królewskiej – ta jej odpowiedziała. – Ktoś nawet, również trochę szalony, no bo przecież to śmierć dla dwojga albo więcej osób, próbował go stamtąd zabrać, gdzieś, jakoś, no wie pani... Ale on nie chciał.

– Nie chciał?

– Nie. Szarpnął się, potem podbiegł do kogoś, wyrwał torbę z ręki, w tej torbie chleb był i chyba marchew, i uciekł.

– Sam się przecież nie schowa, no jak, gdzie?

– Do siebie wrócił. Znaczą tam, za mur. – Machnęła ręką w kierunku ściany z cegieł. – Oni wracają z tym, co tu się uda wyszarpać, żeby swoich ratować.

Barbara nagle poczuła, że torba, w której niesie konserwę od Henryka, nie waży już kilograma, a przynajmniej tonę. Najpierw zaczęła iść, potem truchtać, a na końcu już biegła w stronę tego chłopca.

Zauważył ją i chciał uciec, ale krzyknęła:

- Stój! Stój, proszę!

Dopadła do niego. Skulił się, niepewny, przyczajony, jak zwierzę.

– Chcesz to? – Wyciągnęła z torby puszkę.

Przez chwilę patrzył na nią, porwał okrągły metal i zaczął uciekać. Na moment, króciutki moment, odwrócił się i spojrzał na nią.

A potem zniknął jej z oczu.

\*

*Całe miasto głoduje, wszyscy warszawiacy. Kilogram czarnego chleba raz w tygodniu, raz w miesiącu marmolada z buraka i trochę cukru albo mąki.*

*Margaryna – zdarza się. Ziemniaków brak. Jedzenie z dnia na dzień droższe, kasza staje się towarem luksusowym. Po co ja to piszę? Bo ta puszka miała być dla mamy. Dla mnie też, ale mniej. A jednak nie mogłam zrobić inaczej. Nawet nie to, że tak postanowiłam, że się namyśliłam i dałam mu to jedzenie. To był impuls. Nie on jeden przecież w takim położeniu w getcie; kiedy się idzie wzdłuż muru, to co rusz takie obrazki – dzieci w łachmanach, wychudzone, własne cienie przypominające. Zebrzą albo próbują coś ze szmuglu przynieść. A za murami to już, mówiąc wprost: umieralnia. Ale dziś, w tym chłopcu... Chciałam mu pomóc, bo...*

*Nikt tego nie będzie czytał, a nawet jeśli, to przecież, bo już o tym wspominałam, jaki jest sens przelewania swoich myśli na papier, jeżeli one są nieszczerze? Więć żal, ból serca, ale też ochrona siebie. Tak, ochrona siebie, bo nie mogę być, nie mogę się stać otepiąta na widok śmierci. To, co przed wojną wzburzyłoby wszystkich – teraz jest codziennością. To, co było nie do pomyślenia dwa lata temu, teraz się rozmywa. Jak bardzo nam spowszednieją śmierć i okrucieństwo?*

*Wojna ma swoje prawa, wiem, kto tego nie zaakceptuje, ten od razu może się kłaść do grobu, ale czy to znaczy, że ja mam wszystkim tym prawom ulec? Zabić w sobie człowieka?*

*A jeśli mam nie zabić w sobie człowieka, to czy wolno mi nie kochać?*

*Mama, widzę, pcha mnie ku Henrykowi. Ja, kiedy wyobrażam sobie coś najgorszego, to czuję, że chciałabym, żeby on przy mnie był. Henryk jest taką opoką.*

*Ale jednocześnie Zygmunt...*

*Może to przez tę wojnę, może przez ten wiek, ale mam wrażenie, że nie panuję nad swoimi myślami, nad tym, co czuję. Jak ktoś, kogo widziałam kilka razy, rozmawiałam raz, może tak namieszać w głowie?*

*Ciotka, gdy była u nas kilka dni temu, na krótko, i taka jakby zdenerwowana, nic nie powiedziała, ale się ucieszyła, że ją odprowadzę na dworzec. Próbowałam jej opowiedzieć o swoich uczuciach, ale kiedy to ubierałam w słowa, to wydało mi się takie niepoważne – z tym Zygmuntem.*

*Ciotka słuchała i w końcu powiedziała: „Jak przyjdzie prawdziwa miłość, to jej nie przegapisz”. „A jak ją poznam?”, zapytałam. Niby ciotka nie powinna być*

*tu autorytetem, no bo jak, samotna? Ale ona ma w sobie coś takiego, że się jej wierzy.*

*„Czynem”, odpowiedziała. „Czynem”.*

\*

– Proszę, to te tabletki. Dwa razy dziennie. Kiedy opuchlizna zejdzie, proszę wrócić.

Lucyna była równie blada co młoda dziewczyna, którą wyprowadziła z gabinetu na korytarz. Barbara drgnęła. Była bardzo ciekawa, co się kryło za wcześniejszą nieobecnością instrumentariuszki. Czy to miało związek z tymi listami? Ale taki, żeby ona teraz wyglądała jak z krzyża zdjęta?... A może to coś z Zygmuntem?... I znowu ta fala smutku, drżenia i tego dziwnego ukłucia, który był i żalem, i pragnieniem.

– Kto teraz? – Dziewczyna w białym fartuchu spojrzała na czekających.

– My. – Siedząca obok niej kobieta najpierw się podniosła, a potem wyciągnęła rękę do opierającego się małego chłopca. – No, chodź, Józiu. – Musiała go podnieść z ławki i pokonać jego opór także podczas wchodzenia do gabinetu.

– Boi się – stwierdziła starsza pani z drugiego końca drewnianego siedziska, na chwilę odkładając książkę, którą czytała.

– Wojna dokoła, ludzie giną, a ten się boi bormaszyny – prychnął lekko otyły mężczyzna, który siedział między nimi.

– To dziecko. A nawet gdyby było starsze, to ma się prawo bać. – Kobieta nie dała się przekonać.

– E, mazgaj. – Facet machnął ręką. – Co z takiego chłopaka wyrośnie? Baba!

Kobieta tylko pokręciła głową z dezaprobatą i wróciła do lektury.

Z gabinetu zaczęło dochodzić zawodzenie. Najpierw cichsze, potem przybierało na sile.

Barbarze było żal tego dzieciaka. Niby nie ma wyjścia, bo leczyć trzeba, ale ten płacz był taki przejmujący.

– Mamo, ja nie chcę...

Teraz doleciało to na korytarz całkiem wyraźnie.

Barbara wstała.

– Na chwilę muszę wyjść. Wrócę niebawem, gdyby ktoś... albo ta sanitariuszka... to proszę powiedzieć...

– Eee – facet się ucieszył – panienka daje drapaka, co?

Pokręciła głową. Nie miała ochoty mu się tłumaczyć. Buc, nie zrozumiałby.

– Dobrze, ja powiem. – Starsza pani się do niej wychyliła.

– Babski klub. Gdyby ten mały przyszedł z ojcem albo dziadkiem...

Barbara już go nie słuchała; wyszła na klatkę, a z niej, zbiegając po dwa stopnie, na ulicę. Musiała się przewietrzyć; nerwy miała ostatnio bardzo na wierzchu. Jej życie, życie wszystkich dokoła, zwłaszcza tych, którym próbowała pomóc, było coraz bardziej liche. Jej starania, choć usilne, to jednak mało znaczące. Dużo pracy, a rezultat – mizerny. Końca wojny, końca tej mordęgi niewinnych ludzi – nie widać.

Szła, próbując się uspokoić. Miała jednak wrażenie, że dokoła niej są sami tacy jak ona – zastraszeni, przemykający się pod murami, cienie. Dwie sylwetki wyraźnie się odcinały od tej smutnej masy – wyglansowane czarne buty rytmicznie stukające o chodnik, odprasowane mundury, czapki częściowo zakrywające twarz. Ten ubiór sprawiał, że Niemcy odróżniali się od tłumu. Byli wyżej, lepsi, ponad. Mieli wzbudzać respekt. Barbara poczuła coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyła – nienawiść, taką czystą, krystaliczną, jakby ją ktoś w laboratorium przygotował.

Aż przystanąła, oszołomiona tym gwałtownym uczuciem, do tego w takim natężeniu. Już przed wojną zaczynała czuć to, co się

nazywa wchodzeniem w dorosłość – te różne, często sprzeczne myśli, które spadały na nią i robiły w jej głowie mętlik. To, co wczoraj wydawało jej się prawdziwe, dziś już nie obowiązywało, ale nie była pewna, czym te dawniejsze przekonania zastąpić. Nastrój zaczął się jej zmieniać, od radości po łzy. Tak było w czasach normalnych, a też, kiedy żadne normy nie obowiązywały...

– No niech pani patrzy! – Najpierw poczuła ból w ramieniu, a potem usłyszała kobiecy głos. Zagapiła się i wpadła na nią.

– Przepraszam – bąknęła, rozcierając rękę.

– Ech, wy młodzi – zachnęła się kobieta i schyliła po torbę, którą musiała upuścić. – Co wam w głowach siedzi, pewnie sama beztroška.

„Bardziej nie możesz się mylić”, pomyślała Barbara.

Poczekalnia była pusta. Barbara podeszła do drzwi gabinetu. Zostawiono je uchylone. Zobaczyła jeden cień, po chwili dołączył do niego drugi. Już miała zapukać i nacisnąć klamkę, kiedy usłyszała:

– ...wiem, wiem przecież... – To chyba była Lucyna.

– Wcześniej nie wiedziałaś? – A to ciotka, czyli dentystka.

Dziewczyna mówiła cicho, jakby przepraszająco. Ciotka – wręcz przeciwnie: miała lekko podniesiony głos, była w natarciu.

– Ale to...

– To było nieodpowiedzialne! Przecież on... Co by rodzice... Chłopak...

Do Barbary dolatywały tylko poszczególne wyrazy, bo dentystka była zdenerwowana i chodziła po gabinecie. Od razu pomyślała o tych listach i poczuła coś jakby satysfakcję – że nie wszystko tej pannie uchodzi płazem, nie na wszystko może sobie pozwolić.

– Ale udało się to załatwić...

– A gdyby się nie udało? Gdyby nie było pieniędzy? Gdyby coś ci się stało?... Lub...

Barbara poczuła, że pieką ją policzki. „Więc to takie buty!” To, co ona sobie czasem wyobrażała, te sceny, posklejane z książek, filmów i obrazków z Krochmalnej, gdzie o chwile przyjemności z młodą dziewczyną było łatwiej niż o chleb i chyba nie było to wiele droższe, przerabiane na sytuacje z nią i Henrykiem, a potem z Zygmuntem, ta dziewczyna uskuteczniała naprawdę, i to z takim finałem!... Zalała ją fala złości. Jaka to sprawiedliwość, że...

– Nie jesteś w czepku urodzona. – Dentystka miała twardy głos.  
– Jeśli już musisz, twoja sprawa, jesteś dorosła, ale rób to dyskretnie, rozumiesz?

To akurat zdziwiło Barbarę; widać ciotce chodziło tylko o pozory, nie o moralność. No tak, to pewnie rodzinne.

Nagle za drzwiami ucichło, a potem usłyszała kroki zbliżające się do drzwi. Odskoczyła.

– A, pani jeszcze na wizytę? – Spojrzały na nią błękitne oczy, niedawno wypełnione łzami.

– Tak, miałam przyjść.

– Pani doktor czeka. – Dziewczyna odchrząknęła i gestem zaprosiła ją do środka.

Barbara usiadła w fotelu.

– Poradzę sobie – powiedziała dentystka. – Idź do domu. Prosto do domu – dodała z naciskiem. – Proszę otworzyć usta – zwróciła się do Barbary. – No... zobaczymy. Trzeba się uzbroić w cierpliwość.

Barbara pomyślała, że jej życie ostatnio przede wszystkim na tym polega.





## Rozdział ósmy



– To jest jakiś koszmar. Po prostu koszmar. – Krystyna Leoniewska znowu się podniosła i podeszła do okna. – Dzień w dzień te łapanki. Przedwczoraj, wczoraj i dziś też. Każdego ranka wsiadam do tramwaju z duszą na ramieniu, bo człowiek nie zna dnia ani godziny. Do tej pory ciągle mi się udawało, ale kto wie...? – Odwróciła się od okna i spojrzała na córkę. – Co ty byś wtedy zrobiła?

– Dałabym sobie radę. – Barbara się uśmiechnęła, niby to lekceważąco, żeby trochę poprawić nastrój. Matka od kilku dni chodziła struta i smutna.

– Ale ja wiem, jak to jest, kiedy młoda dziewczyna musi sobie dawać radę. Myśmy to z Marysią... – urwała. – No i widzisz, ciotka też mnie martwi. Znowu nie daje znaku życia.

– Kartkę posłała. Że ma się dobrze – przypomniała Barbara.

– Papier to wszystko przyjmie. – Matka machnęła ręką. – A ja mam przecucie...

– Daj spokój, mamó. – Barbara ją objęła. – Będzie dobrze. Poza tym jest przecież chyba w życiu jakaś porcja nieszczęść, która może spaść na jednego człowieka?... Wy już swoją dostałyście, zwłaszcza ty.

Nie do końca tak myślała, bo wojna pokazywała, że cierpienie może być nieskończone, ale chciała pocieszyć matkę. Krystyna Leoniewska wreszcie doszła do siebie po tej paskudnej chorobie,

ale zregenerowane ciało nie wystarczy, jeśli nie nadaża za nim głowa, a ta u matki wciąż była znękana.

– Może. Może, Basiulku. – Przytuliła się mocniej do córki.

Przez chwilę milczały. O czym matka myślała, tego Barbara nie mogła wiedzieć, ale jej przyszło do głowy, żeby napisać do ciotki i zaprosić ją na kilka dni. Między siostrami była silna więź, mama zawsze się bardzo cieszyła z takich spotkań. Barbara też.

– Wiesz, to wszystko jest takie okropne, bo człowiek nie zna dnia i godziny. – Mama odsunęła się lekko od niej i spojrzała jej w oczy. – Nagle się pojawiają te ciężarówki, wysypują się z nich żandarmi i w ciągu kilku minut cała ulica...

– Mamo – poprosiła Barbara – nie wracajmy już do tego, przecież...

– Ale nie, nie, posłuchaj! – Matka uspokoiła ją gestem dłoni. – Ja teraz o czym innym. To tylko taki wstęp. Bo jedno to łapanie, a drugie to te wygarniania z domu. Wtedy to już całkiem bez szans, bo szupo wszystko obstawia, budy czekają i nikomu się nie uda przecisnąć.

– Mamo...

– No już, już. I teraz taka historia: zjechali się, pojawili jak widmo, bez żadnego uprzedzenia, sygnału ostrzegawczego, no jak zawsze po prostu. Wyobraź sobie taką sytuację: idzie mężczyzna, zupełnie normalny, zwyczajnym krokiem, i nagle widzi, co się dzieje. Pojmuje, że znikąd uciezki, znikąd ratunku. Do tego ponoć w płaszczu ma to, czego mieć absolutnie nie wolno: papiery czy broń. I co on zaczyna robić?

– Strzela. Ucieka. Nie wiem. – Barbara rozłożyła ręce. Nie miała pojęcia, co by jej przyszło do głowy w takiej sytuacji.

– Nic z tego zestawu. On zaczyna się zataczać. Jakby był pijany, rozumiesz. Potyka się, czka, coś tam mamrocze. Kiedy szupo go dostrzegają, on zaczyna iść w ich kierunku. Więcej, chce się dopchać do tych bud! Więc idzie tam i krzyczy, a właściwie bełkocze: „Gdzie naród, tam i ja!”. I co Niemcy na to?

– Nie wiem, ale opowiadasz to w taki sposób, że chyba nie zrobili mu krzywdy?...

– Nie, dali się podejść jak dzieci. Śmiali się i go przepędzali. – Mama również się uśmiechnęła. – Jakoś mnie ta historia podniosła na duchu. Że nie ma sytuacji beznadziejnych. Po to ci to mówię, ale też w tym celu, że gdyby kiedyś... Ach, no nic, przecież nie miało już być smutno. Odpukuję. – Trzy razy delikatnie stuknęła kostkami palców w drewniany stół. – Nas nic takiego nie spotka.

\*

„Postamt Warschau C1”. Wciąż trudno było się jej przyzwyczaić do tych niemieckich napisów. Wcześniej wzdychała z bezsilności, przejmował ją lęk, teraz czuła złość. Dużo w niej było ostatnio złości. Choć były i chwile czułości. Wyciągnęła z torebki list i pogładziła go. Mama się ucieszy. Napisała ciotce: „siostrzane serce tęskni”. I że to ma być niespodzianka. Uśmiechnęła się i weszła do budynku poczty.

Kwadrans później znów stała na placu Napoleona. Poczowała nieprzyjemny skurcz żołądka. Kanapki już zjadła, w domu miały ziemniaki i kilka cebul, luksus; byłby z tego całkiem sycący posiłek, potem mogłaby zakończyć jedzenie deserem w postaci sucharów z marmoladą. „A może ciotka przywiezie mały słoik miodu? Coś ostatnim razem mówiła...” Znowu jej zaburczało w brzuchu. Umysł uparcie podsuwał apetyczne obrazy. Pomyślała sobie, że dziś jest dobry dzień, żeby dać się im uwieść. W szkole wszystko sprawnie poszło, udało się jej sprzedać za całkiem dobre pieniądze spódnicę, którą szyła przez ostatnie trzy tygodnie. I że świeci słońce, a ona jest młodą dziewczyną, która ma prawo do... Poczowała rumieniec na twarzy. „Tak, do tego też masz prawo”, pomyślała. „Tego” jednak nie było na wyciągnięcie ręki, chyba że...

Henryk. Wciąż i nieustająco za nią, przy niej. Kiedyś był przecież taki czas, że wyobrażała sobie, jak on ją potajemnie całuje gdzieś w bramie. No bo skoro przynosił bukiety polnych kwiatów kupione gdzieś od babuleńki pod halą, mówił, że jest taka ładna, to mógłby i pocałować. No ale wtedy tego nie zrobił, a potem... Potem pojawił się Zygmunt. I wszedł Barbarze do głowy, spychając Henryka na boczny tor.

Westchnęła. Więc tego, o czym pomyślała, nie było, ale kawiarnia – tak. Spod poczty do Europejskiej był taki w sam raz spacer – nie za długi, nie za krótki, przyjemny, jak to w Śródmieściu. A potem może wrócić przy ogrodzie Saskim, a może przez plac Dąbrowskiego...

Otrząsnęła się i ruszyła przed siebie. Bywały takie chwile, kiedy udawało się jej choćby na krótko uciec od wojny. Przymknąć oczy – teraz dosłownie je mrużyła, bo oślepiało ją słońce – i wyobrazić sobie, że dokoła jest zupełnie inaczej. Europejska potrafiła w tym pomóc. Piękne, eleganckie miejsce. Nie dla niej, ale na ostatnie urodziny mamy, które obchodziły razem z ojcem... Przełknęła tę gulę.

– Nie teraz – powiedziała do siebie.

– Słucham? – Młody mężczyzna na chwilę przystanął. – Czy pani coś do mnie?...

Spojrzała na niego. Był całkiem miły, ale zupełnie nie w jej typie. Woli być sama i wyobrazać sobie, że jest z kimś innym, niż spędzać czas w niedobranym towarzystwie.

– Nie, zupełnie nie – odpowiedziała uprzejmie, ale stanowczo.

Wyglądał na lekko spłoszonego, widać nie spodziewał się kosza. Minęła go i poszła dalej.

W kawiarni było tłoczno, ale udało się jej znaleźć wolny stolik, szczęśliwie z jednym krzesłem, więc nikt się do niej nie przysiadzie. Zamówiła dwa ciastka – pączka i sernik. Do tego herbatę. Czekwała na kelnerkę z zamówieniem i czuła, jak ścisną się jej żołądek. Miała wręcz wrażenie, że się trzęsie i że to widać.

Organizm tak się domagał porcji cukru – i to wytwornie podanego cukru. No i cała ta otoczka, te piękne wnętrza, ten widok na ulicę...

– Przyjemnej konsumpcji. – Kelnerka postawiła przed nią talerzyk i filiżankę.

Barbara wzięła pierwszy kęs pączka. Ciasto było waniliowe, lekko zwarte, ciut tłuste, a na jego końcu odrobina chyba najprawdziwszej konfitury, bo smakowało tak, że...

I tej konfitury nie zdążyła przełknąć, bo go zobaczyła. Najpierw skórzane buty, potem bryczesy, wyżej samodziałową marynarkę.

Zygmunt.

Szedł z jakimś kolegą, kurs mieli zdecydowanie obrany na Europejską. Patrzyła, jak się zbliżają, i czuła, że serce zaczyna jej szybciej bić. Już się z tym pogodziła; była beznadziejnym, bo zauroczonym przypadkiem.

Zniknęli w drzwiach wejściowych, żeby po chwili pojawić się w środku. Usiedli w głębi sali, pośrodku. Kelnerka przyjęła od nich zamówienie, po krótkim czasie wróciła z okazałą porcją ciastek i dwiema filiżankami.

Barbarze trudno było nie patrzeć w ich stronę, ale się powstrzymywała. Udawała, że z zainteresowaniem obserwuje ulicę, czasem tylko przenosząc wzrok na salę kawiarnianą. Za oknem miarowo przesuwali się spacerujący Niemcy i spieszący dokądś warszawiacy. Zygmunt i jego towarzysz spokojnie siedzieli przy stoliku i jedli ciastka. Między nimi leżała gazeta, ale żaden z nich jej nie czytał. I tym razem Barbara nie przyciągnęła wzroku Zygmunta. Zresztą, znowu, niby od niechcienia, rozejrzała się po sali, było tu kilka ładnych, młodych, modnie ubranych kobiet, które po wyjściu z cukierni na pewno wrócą do domów zlokalizowanych w lepszym miejscu niż Krochmalna. Tyle że one były w towarzystwie, a Barbara siedziała samotnie.

Znowu spojrzała przez okno; i znowu na salę. Do stolika Zygmunta i jego kompana ponownie podeszła kelnerka. O czymś

rozmawiali; ona się śmiała, kolega ją emablował, Zygmunt nie pozostawał mu dłużny. Drzwi się otworzyły, Zygmunt się obejrzał, przesunął gazetę, do środka weszła ładna para. Kelnerka odeszła, oni dwaj odprowadzili ją wzrokiem. Fakt, od tyłu też prezentowała się bardzo ponętnie. Ugryzła sernik. Może jadła zbyt łapczywie, może pusty żołądek domagał się czegoś innego niż słodczyce, ale poczuła, że ją lekko mdli. Do tego gdzieś z oddali dobiegły ją dźwięki orkiestry, zbyt głośne, zbyt drażniące. Nagle wszystko to, co robi, wydało się jej bez sensu. Poczuła, że jest tu nie na miejscu, że tylko się wygłupiła, przychodząc tutaj i próbując się wpasować. I bez sensu wydała pieniądze, za które mogłaby mieć coś konkretnego. Straciła dobry humor. Dopiła letnią herbatę, sernik zawinęła w chusteczkę. Wstała od stolika, przeszła do drzwi. Kelnerka gdzieś zniknęła, Zygmunt i jego kolega dyskutowali, nie zwracając uwagi na otoczenie; z pewnością nie zauważył, że ona wychodzi. „A dlaczego by miał?”, pomyślała ze złością wymieszaną ze smutkiem. Przeszła niezauważona, tuż za drzwiami mijając się z dwoma mężczyznami. Eleganckimi, w jasnych płaszczach, z włosami obciętymi na niemiecką modłę. Młodszy, blondyn, częstował starszego, już szpakowatego, papierosem ze srebrnej papierośnicy. Poczuła zapach tytoniu i dobrej wody kolońskiej. Orkiestrę było słychać coraz bliżej. Skierowała się do Marszałkowskiej, omal się zderzając z mężczyzną, który szedł z naprzeciwka. Poczuła, że w tym starciu ucierpiał sernik, który miała w torebce. Nastrój zupełnie jej siadł. Orkiestra musiała być wojskowa, bo dźwięki robiły się coraz głośniejsze; nawet się jej wydawało, że zamiast uderzeń w bębny czy talerze słyszy kanonadę. Gdy była blisko przystanku tramwajowego, usłyszała inny głośny dźwięk – minęły ją niemieckie samochody, z dużą prędkością jadące w kierunku Europejskiej.

Zrobiło się jej najpierw gorąco, a potem zimno. To nie były odgłosy orkiestry, to były prawdziwe strzały. W Europejskiej ktoś

kogoś zabił. Marynarka zaplamiona krwią, piękne brązowe oczy nieruchomo wpatrujące się w jeden punkt na ścianie... Ten obraz wczepił się jej pod powieki i nie chciał zniknąć. Ci, co wchodzili do kawiarni, to musieli być Niemcy. W środku coś się wydarzyło, może przechodząc obok stolika Zygmunta, potrącili go, może on nie zrobił czegoś, czego od niego zażądali, na przykład nie ustąpił miejsca. Wszystko mogło się stać, przecież to Niemcy, oni nie potrzebują nawet pretekstu. A może nie, może ktoś inny im podpadł? Może tam wydarzyło się coś innego?...

Biegła, musiała się natychmiast przekonać. Serce boleśnie tłukło się jej w klatce piersiowej, złapała ją kolka. Zwolniła dopiero pod samą cukiernią. Byli już tam żandarmi, dwóch granatowych policjantów, odgradzających tłumek ciekawskich osób od witryny. Na drżących nogach podeszła do gapiów.

– Co tam się stało? – zapytała, z trudem odklejając język od podniebienia.

– Szkopów ubili. – W jej stronę odwrócił się jakiś mężczyzna w średnim wieku, widocznie ucieszony.

– Na pewno?

– No jak nie na pewno, jak dwa trupy leżą. Zobaczyć nie dadzą, to się człowiek bardziej nie uraduje. – Błysnął srebrną koronką.

– A nikt inny nie zginął? Nikt, kto tam był w środku?

– E, chyba nie. Pięknie to nasi załatwili. – Srebro znowu rozbłysło.

Odetchnęła głęboko. Kolana wciąż jeszcze jej drżały. Przez chwilę postąpiła razem z tłumem, a potem, tą samą drogą, powoli poszła w stronę domu.

*Nie tak miał ten dzień wyglądać. Chciałam mieć... przyjemność. Dlaczego za każdym razem, kiedy piszę coś, co nie pasuje do obecnych czasów, to się wstydzę? Wojna – przyjemność – to nie pasuje, tak się przynajmniej wydaje. Chociaż może wcale nie. Na zajęcia do szkoły chodzi ze mną między innymi taka Wanda. Nie jest mi szczególnie bliska, zresztą żadna z dziewczyn nie zdołała zająć miejsca*



*Hanki (przy okazji, czemu Hanulka nie odpisuje? Co może być tak ciekawego w Serocku, że nie ma czasu dla swojej przyjaciółki?), ale człowiek powinien mieć jakąś bratnią duszę, kogoś, z kim może wymienić sekretniejsze myśli. Więc jest ta Wanda, tyle że wymiana myśli raczej w jedną stronę biegnie; może dlatego, że to Wanda ma o czym opowiadać, ja – nie. Przyjmując oczywiście, że nie zmyśla. Chociaż – dlaczego by miała? Owszem, jest pewna siebie, zaczepna, wygadana, taka dziewczyna z Pragi. „Z Targowej”, poprawia mnie, twierdząc, że to lepsza ulica, jak „u nas” Marszałkowska. Ja z kolei nie poprawiam jej, że Marszałkowska ani w ogóle Śródmieście nie są „moje”. Jej wystarcza, że mieszkam po drugiej stronie Wisły. Więc Wanda opowiada o swoim chłopcu. I robi to w taki sposób, że ja się czerwienię. Opisuje mi, co oni razem robią, rano, jeszcze przed zajęciami, gdy jej ojciec wyjdzie do fabryki, a mama – na bazar handlować. Słownictwo, to raz. Mama by powiedziała: „rynsztokowe”. To, co się między nimi wydarza – też. Chociaż... Zasada szczerości: to brzmi intrygująco. Nie: pociągająco. Tak, że kiedy ona o tym mówi i jeszcze doprawia to gestami, to czuję gęsią skórę. Pulsowanie krwi, takie nabrzmiate. Tak jak wtedy nad Świdrem, tylko zdecydowanie bardziej. I wyobrażam sobie siebie i Zygmunta. Boże, to jest silniejsze ode mnie – nie mogę go sobie wybić z głowy. Zresztą co tu sobie wybijać, skoro do niczego nie doszło, on nawet nie pamięta, że ja istnieję, bo już dwa razy mnie widział i nic. Właściwie to niewiele osób o mnie pamięta, dla niewielu jestem ważna, znacząca. No tak, mama i ciotka, ale to rodzina. Henryk. Boże, gdyby Henryk był Zygmuntem... Dobry, fajny, znany Henryk, którego Zygmunt przyćmił. Trudno mi to pojąć, czasem nawet mi żal – i siebie, i Henryka. Może nawet już powoli robiło się tak, że Zygmunt się oddalał, zacierał w pamięci, ale kiedy go zobaczyłam w tej kawiarni, to znowu wróciło. I to jak!*

*Wanda mówi, że Staszek, co ma praktyki w zakładzie stolarskim i mieszka obok niej, na Targowej, jest mną zainteresowany. Pokazała mi go kiedyś. Nie, zupełnie nie, nic. Nawet gdyby był ostatnim chłopcem w Warszawie, to też nie. Wygląda gorzej jak Henryk, w głowie też ma dużo mniej. Zresztą co mnie inni chłopcy obchodzą – tych dwóch, w tej dziwnej konstelacji, to już nadmiar.*

*Wanda opowiadała także inną historię – o tym, co się działo niedaleko niej, również na Pradze, w jednym z mieszkań, gdzie się ukrywali Żydzi. Grupka, to podkreśliła, żeby było jasne, że to nie była rodzina. Sprawa była beznadziejna,*

*bo oni oddali ostatnie pieniądze czy kosztowności na tę kryjówkę, tyle że starczyło, by się zadekować. Ale potem już nie było czym płacić i... Po co kropkuję, to trzeba napisać – przyszedł granatowy policjant, zobaczył, czy można ich jeszcze z czegoś oskubać, a potem ich wydał. Rozstrzelali ich na podwórku. Wszystkich, jednego po drugim. Byli wśród nich młoda kobieta i trochę starszy mężczyzna. Wanda twierdzi, że kiedy ten policjant do nich przyszedł, bardzo wcześnie rano, to oni się kochali. „Już musieli wiedzieć, bo żadnych pieniędzy, znikąd ratunku, że to się zaraz skończy. I zamiast się modlić, uciekać, płakać, to oni do siebie dopadli”.*

*I ja to zrozumiałam, mimo że jeszcze nic o tym wiedzieć nie mogę. Tyle tylko, że to są siły, z którymi nie da się walczyć.*

*I chyba nie trzeba, bo one najmocniej trzymają przy życiu. A w wojnę człowiek trzyma się życia jak nigdy indziej.*

*Aha. No i uczyć się muszę, mimo że dokoła wojna, a w głowie taki zamęt, jak wyżej. Siedzę nad książkami, tego nie odpuszczam, ale myśli mi uciekają. Matura coraz bliżej. Zepnę się, musi się udać, w końcu przecież ja zawsze sobie daję radę.*



## Rozdział dziewiąty



Maria Stankiewicz jeszcze raz spojrzała na krótki list od siostrzenicy. Nie planowała teraz wyjazdu do Warszawy, bo nie bardzo było z czym. Ona już dawno nie miała niczego ze swoich upraw i zapasów, chłopom z okolicznych wsi też się pokończyły, a nawet jeśli jeszcze coś mieli pochowane, to albo ceny były takie, że jej pośrednictwo się nie opłacało, albo zbywali to u siebie, lokalnie, albo trzymali na „gorsze czasy”. „Gorsze?”, zapytała jednego z nich. „A to mogą być gorsze?” „Zawsze mogą być gorsze. A wtedy zarobek – lepszy”. Miał rację, tak właściwie.

Bała się jeszcze tego, że wszystko przepadnie. Już mniej innych przykrości czy śmierci, bo podobno ostatnio po prostu zabierali wszystko, co mogłoby wyżywić Warszawę, i tyle. Pośrednicy jechali z towarem, po pieniądze, wracali bez towaru i bez pieniędzy. A Warszawa głodowała. Ale gdyby tylko tak trochę, minimalnie, żeby było dla Krysi i Basi? To się jakoś da przeprowadzić, żeby nawet podczas przeszukania nie wyszło. Tym razem ubierze się na „miastową”, z jedną tylko torbą się wybierze, i to chudą.

Pojedzie. Jeśli Basia pisze sama, i do tego w konspiracji, czyli nie mówiąc niczego matce, to pewnie jest taka potrzeba. I żeby ją odwiedziła, i żeby coś na podtuczenie przywiozła. Tego napisać nie można, więc to oczywiste.

Basia prosi w imieniu matki, ale Maria pojedzie tam dla siostrzenicy. Myśli o tej dziewczynie często. Im starsza jest i im

bardziej podobna do Leona... Ostatnio nawet Maria pomyślała sobie...

– Jezus!... – Przeżegnała się.

Co się z nią działo? Jak to możliwe, że takie myśli przychodziły jej do głowy? To na pewno przez te kobiece sprawy, które teraz ją męczyły. Koniec kobiecych spraw, organizm jej mówił, że za chwilę już nie będzie pełnowartościowa – zupełnie jakby wcześniej była.

Kiedy Basia się urodziła... Miała być córką Marii, nie Krystyny. Krysia o niczym nie wiedziała. O niczym! Maria ją zawsze chroniła, przed wszystkim. Biedna, poszkodowana, więc trzeba się nią zająć, nie myśleć o sobie. Dorosła, Maria uznała, że to już, że ją wypuszcza na wolność, a sama wróci do tego, co odłożyła na bok, ale o czym nie zapomniła. Napisała list, czekała, aż on przyjedzie, i przez te emocje nawet nie przejęła się tak strasznie tym, co jej Krysia powiedziała. Cóż, nie ona pierwsza, nie ostatnia. Krew nie woda, a jak się chłopak chce żenić, i do tego porządny, to może nawet lepiej, bo teraz już pod jego opieką Krysia będzie.

Jednego tylko Maria nie przewidziała – bo kto by mógł to przewidzieć? Tak to by mogło być w kinie, na jednym z tych filmów, na które tłumy walą drzwiami i oknami, choć tam nieprawdopodobne sploty okoliczności. No to Marii trafiło się coś takiego – tyle że naprawdę.

I teraz pomyślała sobie, że gdyby Krysia umarła podczas wojny, to Maria zajęłaby jej miejsce, zaopiekowałaby się Barbarą. Byłaby taką trochę matką.

Znowu się przeżegnała.

Wyjrzała przez okno. Chłodno, i dobrze, bo policzki miała rozgrzane. Znowu nią ten gorąc telepał, raz ciepło, zaraz potem zimne poty.

Wzięła kilka głębszych oddechów.

Do zmroku jeszcze ze trzy godziny, nie ma co zwlekać. Przejdzie się do tego, co ostatnio. Dla rodziny, to zrozumie, może nawet

skóry nie zedrze. Jutro, najdalej pojutrze, pojedzie do Warszawy.

\*

Znowu szła pieszo. Była zmęczona, głodna, organizm chciałby tylko odpocząć, położyć się, nie wstać. Dziś, jutro, pojutrze... Dlatego ona nie słuchała organizmu; gdyby mu uległa, już by było po niej. Kto się poddaje, ten umiera. Trzeba działać: wstawać, wychodzić rano, iść na naukę, do pracy, próbować coś kupić, coś zrobić, coś sprzedać, pomóc w gotowaniu w kuchni dla potrzebujących, zrobić „objazd” po chorych i samotnych. Początkowo wydawało się jej, że ta mobilizacja to już duże osiągnięcie, teraz chciała czegoś większego.

Doszła do placu Narutowicza i skręciła w prawo. Zobaczyła szyld sklepu Meinla. Poczowała ssanie w żołądku. To też był jeden ze sposobów znęcania się nad mieszkańcami – te wszystkie miejsca, gdzie można było kupić delikatesowe towary lub zjeść wytworny obiad – niedostępne dla Polaków, z wyższością odwiedzane przez Niemców. „Cukierek wystawiony za szybą”, pomyślała. Znowu ją brzuch szarpnął.

A po chwili jeszcze mocniej, bo zobaczyła Henryka.

Nie, nie pomyliła się, mimo że nic tu nie pasowało – Henryk z Krochmalnej, nawet po przeniesieniu się na plac Dąbrowskiego, nie nadawał się do delikatesów. Nie jego świat, nie jego możliwości, nie jego...

Broń.

Barbara odruchowo przyklękła. Drżącymi palcami poprawiała zapięcie pantofli, wciąż jednak wpatrywała się w obrazek przed sklepem.

Broń. Broń była Henryka. W ręku trzymał pistolet, na ramieniu miał wypchaną torbę. Podobnie wyglądał jego towarzysz. Nie wychodzili ze sklepu, wycofywali się z niego tyłem. Gdy tylko

zamknęły się za nimi drzwi, wsunęli pistolety za paski spodni i spokojnie poszli w kierunku Śródmieścia.

Jakby nic się nie stało.

\*

– Bo ty, Baśka, to jesteś za bardzo myśląca. – Wanda przejrzała się w małym, okrągłym lusterku, które wyciągnęła z torebki. Nie była zadowolona z tego, co zobaczyła; pogrzebała znowu i wyjęła czarną kredkę do oczu i mocno poczerniła nią brwi. Potem wzięła jeszcze pomadkę, nabrała małym palcem kawałek tłustego karminu i rozsmarowała go po ustach. – No – cmoknęła do trochę zmatowionego szkła – teraz to dobrze, Antek będzie zadowolony.

Barbara pomyślała, że Wanda wygląda tandetnie. I wyzywająco.

– Nie podobam ci się, co? – Położyła rękę na biodrze i zakreśliła nim.

Barbara się zawahała. Z Wandą chyba można było tak, jak ona z ludźmi – szczerze.

– Nie szkodzi – ubiegła ją w odpowiedzi. – Nie tobie się ma podobać, a Antkowi. A on jest bardzo, bardzo zadowolony. – I zrobiła coś jakby kabaretową pozę.

– Tak, pewnie. – Barbara się w końcu odezwała.

– Ja ci coś powiem – Wanda nachyliła się ku niej – choć ty pewnie myślisz, że nie potrzeba ci rad ode mnie. Ludzie lepszego położenia często tak myślą o tych z nizin. Znaczący ja nie jestem z nizin, ale niżej niż ty. Więc ja ci powiem – ty tyle nie myśl. Ty po prostu żyj. Słuchaj bardziej ciała niż głowy. Ciało nie oszukuje, myśli – tak. Poza tym, i to już prawda obiektywna – ani ty, ani ja, ani nikt inny nie wie, ile mu jeszcze czasu zostało. A podczas wojny to już całkiem się nie wie. To co – lekko się ku niej nachyliła, aż Barbara poczuła jej ciepło – umówić cię ze Stachem? Z Pragi, ale honorowy i uczciwy. Żadna bandyterka.

– Nie, naprawdę. – Barbara pokręciła głową. – To miłe – dodała, bo naprawdę tak myślała – ale ja nie jestem zainteresowana.

– No masz! To kim jest ten twój? I nie gadaj, że nie ma żadnego, bo wtedy to okropne marnotrawstwo. – Przejechała dłonią od szyi przez pełne piersi i zatrzymała dłoń na biodrach.

– Nikim, znaczy nikogo nie ma. – Barbara odpowiedziała ciut za szybko.

– Oj, Baśka, Baśka... Ja głupia przecież nie jestem... No, ale jak chcesz, kwiatuszk. – Wanda cmoknęła powietrze przy jej policzku i poszła w stronę domu.

\*

*Siedzę i patrzę na tę małą karteczkę. „Powinszowania z okazji imienin ślą: Elżbieta Antosiewicz, Roma Śniegulska i Marian Zacharewicz”.*

*Ta pocztówka z tulipanami i żonkilami przewiązany mi wstążką to moje... świadectwo maturalne! Nie może być inne, przecież teraz żadnej nauki nie ma, egzaminów tym bardziej. Mam się z nią zgłosić po wojnie, kiedy wszystko będzie „normalnie”.*

*Na razie powiesiłam ją na ścianie w salonie. Mama mnie wyściskała, w prezencie kupiła mi apaszkę. Niby taki drobiazg, ale jedwabna, na pewno dużo ją kosztowała. Bardzo mnie to wzruszyło. Ciotce też się pochwalę, jak tylko przyjedzie. Pewnie od niej również coś dostanę, bo ciotka także zawsze bardzo mi kibicowała, mojej nauce też.*

*„Henrykowi powiedziałaś?”, zapytała mama.*

*Coś tam bąknęłam, że byłam w takich emocjach, że nie, zresztą nie widzieliśmy się już jakiś czas (nieprawda, był tu kilka godzin temu, ale schowałam się w bramie obok).*

*Rozczarowanie, wielkie rozczarowanie. Widać tak musi być w życiu – coś na plus, coś na minus. Byle tylko bilans był więcej niż zerowy.*

\*



Chodzenie powoli stawało się jej obsesją. Oczywiście, z komunikacją bywało różnie, przepełniona, ścisk, duchota, na Pradze gorzej niż w Śródmieściu, ale ona po prostu musiała chodzić. Czuła w sobie niepokój, który był jak ptak trzepoczący się w klatce. Szybki marsz pomagał go uspokoić.

Dziś znowu na Świętokrzyską, a z niej – na plac Dąbrowskiego. Tamten mężczyzna powiedział jej, że nikt nie zginął, tylko Niemcy, zresztą następnego dnia przeczytała o tym w gazecie. Razem z mamą siedziały przy stole; mama zapytała, nad czym się tak Basia pochyla, a ona odpowiedziała. „Dobrze i niedobrze zarazem”, westchnęła matka. „Dla nich nie ma okoliczności łagodzących, ale każda taka akcja powoduje potem odwet na Polakach. Ciekawe, ilu tym razem”.

Dwudziestu. Tylu zostało zatrzymanych w łapance i rozstrzelanych. Barbara usłyszała o tym w tej swojej handlówce, na prawdziwych, nie konspiracyjnych zajęciach. Rachunki mieli. „20 za 2”, wpisała. Żadna arytmetyka nie pomogłaby jej tego rozwiązać. Z jednej strony dobrze, bo to Niemcy, ci, co wydają i wykonują wyroki, oni nie mają żadnej litości, a każdy z nich ma na sumieniu na pewno więcej niż dwadzieścia polskich czy żydowskich istnień. Z drugiej jednak strony – w ramach reperkusji giną niewinni ludzie. Idą sobie ulicą, może do pracy, może z pracy, może na obiad albo do domu, gdzie dzieci i żona, i nagle dopadają do nich żołnierze z bronią. Krótki komunikat, lufa widziana bliżej lub dalej albo, i to jeszcze gorsze, sznur na szyi i tyle, światło gaśnie. A w czym oni zawinili? Czy można płacić ich życiem, jak jakąś walutą? A z trzeciej strony, jeśli by taka była, to jest wojna. Wojna się żadnymi logicznymi prawami nie rządzi, a już na pewno nie uznaje praw moralnych, nie nagradza dobra i nie karze zła. Wojna jest ślepa. Zresztą co wymagać od wojny, kiedy ci, o których dobrze się myśli, okazują się zwykłymi przestępcami.

Skreśliła ze Świętokrzyskiej w lewo. Wąska ulica była zacieniona. Mimo wszystko odetchnęła. Lubiła słońce i ciepło, ale w takim natężeniu, wśród murów, było za duszno, za gorąco.

Henryk. Tego by się po nim nie spodziewała. Wcześniej rozmawiali o tych „dodatkowych” pracach w Philipsie. Twierdził, że on nic nie robi na boku, niczego nie wynosi, żadnych fuch tam nie skutecznia. Może po prostu nie miał możliwości, a może był uczciwy. Tak, wtedy myślała, że jest uczciwy – przecież to Henryk, na Boga! Zresztą gdyby powiedział, że jednak coś zakładowego bierze dla siebie, zrozumiałaby. Oni też żyli bez ojca, miał młodszego brata, a zakłady są niemieckie. Kradzież Niemcowi to nie kradzież. Ale napad na sklep? To jest jednak bandyterka, nawet jeśli to delikatesy dla Niemców. Gdyby w innym celu, takim dla dobra ogólnego, a tak to...

Wyszła na plac. Znowu gorące oślepienie. Przymknęła oczy.

Rozczarowanie. Po prostu się Henrykiem rozczarowała. I pomyśleć, że był czas, kiedy wyobrażała sobie... Dobrze, że go nie spotkała od tamtej pory, boby nie wiedziała, jak się zachować. Trudno by jej było ukryć, że coś ją gniecie. Postara się go unikać, bo...

– Aaa! – zdążyła jeszcze krzyknąć, kiedy jakieś silne ramię chwyciło ją przez pas i wciągnęło do bramy. Poczowała chłód muru przy policzku z jednej strony, z drugiej – ciepło czyjejs twarży.

– Nie krzycz – usłyszała stanowczy głos.

Męska dłoń zasłoniła jej usta.

Zdążyła jeszcze zobaczyć twarz napastnika.

To był Henryk.



## Rozdział dziesiąty



Tupot podkutych butów na schodach. Łomot rozlegający się na kolejnych piętrach. Niemieckie pokrzykiwania. Szczęknięcie otwieranego zamka. Rozmowa, pewnie, bo tego nie mogła dobrze słyszeć. Znowu stuknięcie futryny. I głuche odgłosy oficerek na marmurze. To wszystko słyszała w kamienicy obok; ona natomiast wciąż stała przyciśnięta do muru bramy. Nie potrafiła wykonać żadnego ruchu, po prostu zdrętwiała.

– Chodź. – Wreszcie pociągnął ją w kierunku klatki. W odrętwieniu pokonała kolejne schody, aż na ostatnie piętro. Zatrzymali się przed drewnianymi drzwiami zamykanymi na skobel. Henryk szarpnął je i otworzył. Poczła specyficzny, duszno-mdły zapach niesprzątanego i zaanektowanego przez zwierzęta miejsca. Mocno trzymał ją za rękę; pajęczyna oblepiła jej twarz. Z obrzydzeniem starła wolną dłonią lepka maź z policzka. Tak się teraz czuła – złapana w sieć. Jak naiwna, głupia mucha.

– Czekaj – rozkazał ponownie.

Puścił ją, ale nie zrobiła kroku. Zresztą dokąd?...

Zamknął drzwi, dodatkowo zastawił je przyciągniętym z kąta krzesłem i jakąś belką.

– Chodź – dodał bardziej miękko, ale ona i tak drżała.

„Tak się pomylić, tak się pomylić, tak się pomylić...”, obijało się jej w głowie. Nie potrafiła krzyknąć, zresztą co by to dało? No i tam obok jakaś akcja się działa, chyba oblawa. Może dlatego ją

capnął, bo takie właśnie okoliczności, że ratunku znikąd?... A może on w ogóle jakiś kolaborant? Boże, a ona uważała, że zna go jak własną kieszeń. „Czy wszystko ma się zaraz skończyć? W tym miejscu, tak po prostu?”, myślała. A może on jeszcze, zanim ją zabije, będzie chciał ją wykorzystać? Przypomniała się jej Wanda. Okazało się, że miała więcej rozumu niż Barbara. Skosztowała życia i jej smakowało. A Barbara? Poczula, że ma mokre policzki. Jak bardzo było jej siebie żal – tego, co przeżyła, i tego, czego nigdy nie przeżyje. I matki, która zostanie sama. „Dobrze, że ciotka przyjedzie”, przebiegło jej przez głowę; intuicja słusznie podpowiadała, żeby wysłać list.

– No chodź. – Popchnął ją w stronę kolejnych drzwi.

Domyśliła się, że wyjdą na dach. Wtedy, gdy była u niego na początku wojny, też ją zabrał na dach, tyle że w innej kamienicy. I w innym celu. Teraz byli obok tej, gdzie mieszkali Lucyna i jej brat.

Kolejne drzwi skrzypnęły i owionęło ją gorące powietrze. Mimo wszystko nabrała je w płuca. Nagle zaczęła odczuwać wszystko niezwykle intensywnie – podmuch ciepła na policzku, błękit nieba. Nie chciała umierać, Boże, jak bardzo nie chciała umierać!...

Pociągnął ją za rękę tak, że omal się nie przewróciła.

– Schył się – powiedział.

Sam też kucnął.

– No, niewiele brakowało. Przepraszam, ale nie było czasu, tam, na dole. – Pogładził ją po włosach.

Zdrętwiała. I od tego gestu, i ze zdumienia.

– Boże, ty drżysz. No naprawdę, źle to wyszło, ale tam była akcja i... – Popatrzył na nią, a potem, pochylony, przesunął się w stronę rynny. Położył się i tylko lekko podnosząc głowę, dociągnął się do brzegu dachu. Przez chwilę tkwił w tej pozycji. Barbara znieruchomiała. Słyszała odgłosy z dołu, nawoływania,

stukanie butów, wreszcie odpalenie silników. Jeszcze przez chwilę te dźwięki się mieszały, a potem wszystko ucichło.

Henryk się podniósł i wrócił do niej.

Cofnęła się, ale się nie odezwała. Nie wiedziała, co tam na dole i obok się wydarzyło, nie widziała, dlaczego nie uciekła, tylko wciąż tkwiła w tym samym miejscu. Wiedziała jednak, co widziała kilka dni temu.

– Chyba się udało – powiedział, patrząc na nią. Miał tak pogodne spojrzenie, że prawie się dała na nie nabrać.

– Co się udało? – zapytała, z trudem opanowując drżenie głosu.  
– Napad na delikatesy?

Zdziwił się. Tak naturalnie, odruchowo i szczerze, że znowu prawie, prawie mu uwierzyła.

– A skąd ty wiesz?

– Widziałam – odparła twardo.

Wciąż patrzył jej w oczy.

– Ja... – urwał.

„Tyle mu przynamniej przyzwoitości zostało”, pomyślała.

– Musimy porozmawiać. Chodźmy do mieszkania ciotki, znaczy pani Minkiewicz. – Położył rękę na jej ramieniu.

– Nie chcę nigdzie z tobą iść. Nigdzie, rozumiesz? – Gwałtownie strąciła tę dłoń.

– Basiu, to wszystko nie tak, jak myślisz – powiedział spokojnie.

– A skąd ty wiesz, co ja myślę? Ja myślę, że ty jesteś bandyta. – Złość w niej buzowała.

– Chodź.

Mimo wszystko pokonała razem z nim powrotną drogę. Znowu znaleźli się na dole, w tej samej bramie, do której ją wciągnął. Barbara postanowiła od razu skręcić w lewo, w kierunku Świętokrzyskiej, i uciec. Jeśli będzie ją gonił, ktoś na pewno zareaguje, to go powinno powstrzymać. Gdy tylko jednak wyłonili się z mroku na jasno oświetlony chodnik, oboje gwałtownie przystanęli, bo zobaczyli to samo, to znaczy tę samą osobę.

Lucynę.

Młoda kobieta rozejrzała się i szybkim krokiem zaczęła przemierzać plac w kierunku Królewskiej.

– Uff – wyrwało się Henrykowi. – Udało się jej.

Barbara już nie myślała o ucieczce; ten dzień, to miejsce, te zdarzenia – to wszystko było niezwykle dziwne.

– Skąd ty ją znasz? – zapytała.

– A ty? – Na jej zdziwienie odpowiedział swoim zdziwieniem.

– Zaczęło się od straży pożarnej, zakładowej. – Usiadł przy stole i przysunął w jej stronę filiżankę z kawą. Zakręciło się jej w głowie. Tak, ten zapach rozchodził się po Europejskiej, ale żeby w domu? I to u Henryka w domu? Kiedy one ostatni raz piły prawdziwą kawę na Krochmalnej? Na początku wojny, z resztek. Potem już tylko te erzace, palona pszenica i żołądzie. Później i tego zabrakło. A tu...

– A to z Meinla, co? – Znowu sobie przypominała tę scenkę. Popatrzyła na niego pogardliwie. „Nie będę piła”, pomyślała. Powonienie chciało inaczej, usta się rwały, ale to by było jak usankcjonowanie tego rabunku.

– Poczekaj. – Podeszedł do kredensu i wyjął z niego czekoladę.

– Jeśli myślisz, że to mnie jakoś przekupi, to nisko mnie... – Uniosła się z krzesła.

– Siadaj, Basiu – powiedział ciepło, ale stanowczo.

Usiadła. Nawet nie patrzyła w kierunku filiżanki i talerzyka z ciemnobrązowymi kostkami.

– Więc zaczęło się od tej straży. Bardzo chciałem w niej być, bo to mundur i prestiż. I fajne chłopaki. I jeszcze, co też bezcenne – nocna przepustka. To teraz cenniejsze niż kawa czy czekolada. Pij, bo ostygnie. – Spojrzał na nią, ale nie sięgnęła po filiżankę. – Zacząłem się kolegować z dwoma chłopakami stamtąd, dobrze nam się gadało. Jakiś czas potem coś się zdarzyło. Musiałem, co nie należało do moich codziennych obowiązków, wziąć udział w wywózce odpadów szklanych na wysypisko śmieci. I wtedy coś

znalazłem. W ostatnim kontenerze był nieduży pojemnik, a w nim części. Wiedziałem, do czego to – do radiostacji. Było jasne, że z fabryki wyjechało coś, co nie powinno opuścić jej murów. Wahałem się, co zrobić, bo nie miałem pewności, co to znaczy – czy to przypadek, że ja to odkryłem, to znaczy, że odkryłem konspirację na terenie fabryki, czy może próba – jak się zachowam, gdy coś takiego znajdę. Tu też nie miałem pewności, kto by mnie mógł próbować: Niemcy, żeby sprawdzić uczciwość, znaczy lojalność wobec nich, czy może właśnie konspiracja – czy jestem swój, czy kapuś. Miałem odruch, żeby to schować i z powrotem wrzucić, że niby nic nie widziałem, ale to może także był test – że jaki ze mnie pracownik, skoro coś takiego puściłem. Spociłem się jak mysz, ale coś trzeba było postanowić. Zaryzykowałem i zabrałem ten pojemnik. Ukryłem go w piwnicy na Krochmalnej, tam się mniej można spodziewać trzepania niż tu. Wróciłem na plac Dąbrowskiego, noc nieprzespana, rano wyglądałem jak z krzyża zdjęty. Poszedłem do roboty, podbiłem kartę, zacząłem swoją pracę. Nic się nie działo, nikt do mnie nie przyszedł. Wybrałem się na obiad, ale żołądek miałem tak ściśnięty, że jeść było trudno. I wówczas przysiadł się do mnie jeden z tych chłopaków ze straży. Zagadywał, że coś mi się chyba przytrafiło, bo blado wyglądam. Wahałem się, ale to był moment, bo nagle postanowiłem mu powiedzieć, co się stało. Ja już od jakiegoś czasu podejrzewałem, że w Philipsie działa komórka konspiracyjna. To były drobiazgi, spojrzenie, gest, słowo. Zresztą teraz to coraz więcej nas jest...

– Nas? – przerwała mu. Henryk z OLP, Henryk lokalny, sąsiedzki, dzielnicowy, no to wszystko zgoda, chociaż ten napad... Ale konspiracja? – Ty jesteś w kon...

– Ci...! – Przyłożył palec do ust i obejrzał się w stronę drzwi. – Przecież matka jest w domu.

– Ona nie wie? – Barbara też ściszyła głos.

Uśmiechnął się.



– Nie wie. To jest podstawa, rozumiesz? Nikt, kto również nie jest, nie może wiedzieć. – Nachylił się ku niej. – To jest sprawa bezpieczeństwa.

– Twojego. – Kiwnęła głową. Powoli zaczynała dopuszczać do siebie myśl, że to, co widziała na Ochocie, może mieć inne wytłumaczenie.

– Nie, jej. Każdego, kto wie. Gdyby kiedyś coś się stało, nikogo nie wyda. No i śpi spokojniej. – Znowu się uśmiechnął.

– To i ja nie powinnam wiedzieć. – Patrzyła na niego.

– A będziesz teraz zasypiać, myśląc o mnie? – Uśmiechnął się.

Nie pomyślała o tym w ten sposób; nie będzie się bała o niego, tylko o siebie. Że w sytuacji, gdyby on wpadł, a oni ją jakoś z nim powiązali, musiałyby robić wszystko, żeby go nie wydać. Słyszało się, jakie metody stosowali Niemcy. Jeśli ktoś nie puścił pary z ust, to chyba dlatego, że szybko umierał podczas tych tortur. Czy ona by to wytrzymała? Na pewno nie, wolałaby umrzeć. Ale czy chciałaby umierać za Henryka? Nie, za nikogo by nie chciała umierać. No, za mamę albo ciotkę...

– Basiu. – Znowu ściszył głos i pochylił się ku niej.

Nie odsunęła się.

– Ja ci to mówię, bo myślę, że ty byś również chciała. Mogła. Pamiętam nasze rozmowy z początku wojny, Zenek mi także mówił, że ty się rwałaś, żeby coś zrobić. Coś ważniejszego, trudniejszego... A tu potrzeba kobiet, bo są zadania, do których mężczyźni się nie nadają. Dlatego ci o tym mówię. Trochę może cię zostawiam bez wyboru, bo tego, co już ci powiedziałem, nie zapomnisz, nie wymażesz, ale...

– Tak, chcę – przerwała mu.

Poczuła dreszcz... sama nie wiedziała czego. Chyba ekscytacji. Wyzwania. Celu. Przypomniała sobie Europejską. Ten ciekawski, ale też pełen uznania tłum. Tego faceta ze srebrną koronką. I teraz się okazuje, że i Henryk jest częścią tego innego, podziwianego świata.

– Tak myślałem. To słuchaj dalej. Wtedy, na tej stołówce, kiedy on się do mnie przysiadł, to ja go zapytałem – najpierw opłótkami, a potem wprost – czy on wie, co się tu dzieje, zwłaszcza w odpadach szkła. On na mnie patrzył, a potem kiwnął głową. I że spotkamy się po robocie. Wyszedłem, był. Szliśmy, gadaliśmy. On powiedział, że jest komórka w zakładzie. I czy ja bym chciał. Przytaknąłem, jak ty. Wróciłem do domu, podminowany i w ogóle. Rano on przychodzi i mówi, że zdałem test, bo oni mnie obserwowali cały wieczór, noc i rano, czy ja do nikogo z tymi wiadomościami nie idę. I tak się to zaczęło.

– A tam, na Narutowicza?...

Może to wszystko było prawdą, pewnie tak, bo po co miałyby kłamać, ale przecież widziała to, co widziała.

– E. – Machnął ręką. – Trzeba sobie jakoś radzić. Nam potrzeba pieniędzy, żoły niskie, ale mają być podniesione. To wszystko dla sprawy, rozumiesz? No, prawie. – Spojrzał na stół. – Reszta sprzedana i pieniądze z tego dla tych, co mało oficjalnie pracują, a w podziemiu – dużo.

– A ty co robisz?

– Ja... – zaczął, ale się zawahał i urwał. – Na pierwszy raz tyle ci powiem. Resztę powoli. Zabiorę cię na spotkanie, to się więcej dowiesz. Ludzi poznasz, wciągniesz się. To jak? – Wstał i wyciągnął do niej dłoń.

Przez krótką chwilę się zawahała, ale też wyciągnęła ku niemu rękę.

– To co, teraz się poczęstujesz?

Kiwnęła głową. Wzięła z talerzyka ciemnobrazowy, prawie czarny kawałek czekolady. Podniosła się z krzesła, żeby rozprostować nogi. Czuła, jakby z napięcia jej mięśnie się przykurczyły przez ostatnie godziny. Przeszła przez pokój, zatrzymała się przy oknie. Podniosła rękę do ust. I wtedy znowu ją zobaczyła.

– A ona? – zapytała gwałtownie. W tych emocjach zapomniała o Lucynie.

Henryk stanął obok niej.

– A, Złotko.

– Złotko? – powtórzyła za nim.

– No, naprawdę to Lucyna, ale my się nie posługujemy prawdziwymi imionami. Im mniej szczegółów, tym lepiej.

„Złotko”. Tak, pasowało do niej, do tej dziewczyny, która mogłaby zastąpić modelkę Tokalonu. „Więc nie jest pustą lalą, tylko działa w konspiracji”, pomyślała Barbara. „I do tego jest piękna. I jeszcze...”

– Poznałem ją w naszej grupie, przez jej brata. Jego zaś z kolei przez tego kumpla ze straży w Philipsie. On też oczywiście ma ksywkę, chociaż akurat u niego to bliskie imienia.

Nie musiałby mówić, bo ona już przecież wiedziała.

– Zygi się nazywa.

Barbara poczuła, że ma lepką dłoń. Podniosła ją lekko i rozwarła palce. Twarda czekoladowa kostka zmieniała się w lepką maź.



## Rozdział jedenasty



*Łączność z obozami jenieckimi. Korespondencję prowadzi się jako fałszywe, nieistniejące naprawdę osoby. Adresy się zmienia, zmienia się też charakter pisma. Wiadomości, które się śle, są szyfrowane. Tak się wydaje rozkazy, przesyła prasę konspiracyjną, mapy czy pieniądze. I tym właśnie zajmuje się Lucyna. Jest korespondentką. To te listy wysypały się jej w gabinecie u ciotki. Ja myślałam, że to jakieś zabawy damsko-męskie, a ona działa w specjalnej komórce.*

*Jest mi teraz głupio. Nie lubię tej dziewczyny, chociaż jej nie znam. Zazdroszczę jej wszystkiego – od urodzenia przez urodę do...*

*Zygi. Więc on też tam jest. Wszystko zaczyna się układać w logiczny ciąg. Grupa harcerska – to taka naturalna trampolina do wspólnego działania w...*

*Głupio piszę, bo gdyby to ktoś znalazł, to też by była trampolina – tyle że do piachu.*

*A jednak dokończę, a potem zamażę, co trzeba. Nie, lepiej wyrwę te strony i spalę. A może gdzieś schowam? Żeby kiedyś, gdy się wojna skończy, móc to wszystko razem przeczytać. Zobaczyć, jaka byłam kiedyś, a jaka będę w przyszłości. Przekonać się, że wiele obaw i kompleksów było nieuzasadnionych. Chciałabym, żeby tak było, żebym była z siebie dumna. Żeby inni byli ze mnie dumni. Na razie moim osiągnięciem jest to, że udało mi się przeżyć. To jest sporo, bo wielu innych nie dało rady. Ale co ja zrobiłam dla innych? Dobrze, służba w opeelu była i jest, ale to drobnica. Ważna, bo suma ziaren piasku daje pustynię, tylko ile by tych ziaren trzeba? Od wczoraj czuję nieustanne podminowanie. Dołączę do nich i będę działać – dla innych, dla ojczyzny.*

*Czy to przypadek, że w taki sposób znowu spotkam Zygmunta? Nie wydaje mi się. Henryk oczywiście nic nie wie, powiedziałam mu tylko, że zobaczyłam kiedyś Lucynę nad Świdrem – ją i brata, i że ją zapamiętałam, bo zwraca uwagę. Zgodził się; powiedział, że właśnie dlatego działa w takim ukryciu, że trudno by jej było się nie wyróżniać. I że ostatnio prawie, prawie wpadli; ona miała kogoś ubezpieczać, chłopaka złapali z bibułą, ledwo uszedł z życiem, jakimś fuksem zwiął z tramwaju czy pociągu (to mnie jakoś ucieszyło, nie wszystko idzie jej jak z płatka; czy ja jestem podła?).*

*Więc co do niej prawda, trochę bolesna, ale prawda. Ale ja nie mam takich ograniczeń.*

*Jestem zwyczajna. Przezroczysta.*

\*

Przymknęła oczy. Przejechała dłonią po piasku. Był gorący, ale to prącenie sprawiało jej przyjemność. Poczowała się jak wtedy, na tej plaży w Otwocku. Dlatego wciąż trzymała zamknięte powieki – gdyby je podniosła, obraz by się rozmył, wspomnienia uciekły.

„Że to zatoczy takie koło”, pomyślała. Nabrała piasku w dłoń. Zacisnęła palce w pięść i podniosła rękę. Drobinki zaczęły uciekać wąską strużką.

– Nie trzeba zaciskać. Kiedy zrobi się tak, piasek pozostaje w miejscu.

Otworzyła oczy.

Nie widziała go dobrze, bo stanął pod słońce, ale głos rozpoznała; troskliwie schowała go w pamięci. Podniosła się i stanęła obok mężczyzny. Teraz mogła mu się przyjrzeć – zmężniał, rysy mu się lekko wyostrzyły, miał inną fryzurę, ale te same piękne brązowe oczy, ciemną karnację i to coś, co przyprawiało Barbarę o dreszcze.

– Nic nie uciekło. – Wciąż trzymał uniesioną otwartą dłoń z kupką nieruchomego piasku.

Mimowolnie spojrzała na swoje palce; powoli je rozprostowała i zobaczyła, że piasku zostało mniej niż połowa.

Mężczyzna strząsnął perłowe drobinki na ziemię, otrzepał dłonie o spodnie i wyciągnął rękę w jej stronę.

– Zygi.

Nim zdążyła mu odpowiedzieć, usłyszała głos Henryka.

– Serwus wszystkim!

Zbliżał się od strony mostu średnicowego; towarzyszyło mu kilka osób.

Zygmunt też się odwrócił w ich stronę.

– A coście tak zabałaganili? – Przyjrzał się grupce, która do nich doszła. Barbara rozpoznała Lucynę i jej brata. Oprócz nich była jeszcze jedna dziewczyna i dwóch chłopców. Wydawało się jej, że też ich widziała wtedy na plaży, ale nie miała pewności. Byli zwyczajni, z trudnymi do zapamiętania i odróżnienia twarzami.

– To moja wina. Cholerne sandały, pasek znowu się urwał. – Lucyna zamachała butem, którego podeszwa trzymała się na plecionych sznurkach tylko z jednej strony. – Wojenna jakość. – Zaśmiała się jednak na koniec, obnażając perłowe zęby.

„Idealna”, pomyślała Barbara. Zazdrość ją ukłuła.

– To jak, robimy to samo, co wszyscy młodzi, weseli ludzie? – Rzuciła sandały na piach, obok nich kocyk w kratkę. Zgrabnym ruchem rozpięła guziki z boku spódnicy i gładko zsunęła ją z bioder. Po chwili na kupce wylądowała też jej bluzka. Lucyna stała teraz przed nimi w granatowym kostiumie przepasanym kolorowym paskiem, który podkreślał jej talię.

– I znowu ta golizna... – Zygmunt westchnął teatralnie.

– „W okresie ogólnej golizny jedyny miły widok sprawia golizna na plaży warszawskiej”. – Lucyna zacytowała fragment filmu reklamowego sprzed wojny. – A teraz... O! – Dopiero teraz zwróciła uwagę na Barbarę. – Dzień dobry.

Barbara poczuła, że pieką ją policzki. Pewnie od słońca; miała jasną karnację, nie opalała się na taki ładny karmel, jak Lucyna

czy Zygmunt. Drugi powód był taki, że dopiero teraz została dostrzeżona, jakby nie stała tu obok przez cały czas.

– To jest nasza nowa koleżanka – przedstawił ją Zygmunt. – Zaanonsowana przez Żołnierza.

„Więc tak się Henryk nazwał”, pomyślała Lucyna.

– Ja jestem Złotko. – Lucyna teatralnie dygnęła i się zaśmiała. – To jest Zygi albo Zyguś. – Dołeczki w jej policzkach się powiększyły. – Tu stoi Płowy, przed wojną powiedziałabym „mój brat”, dalej Nina i Kamień. Cieszymy się, że możemy cię poznać. Pierwsze spotkanie na łonie natury, zanim... – znacząco urwała.

„Nie pierwsze”, pomyślała Barbara. Widać żadne z nich jej nie zapamiętało.

– Ale ze mnie gapa! – Lucyna dotknęła palcami czoła. – Nie dałam ci możliwości, żebyś się przedstawiła. Ale nie swoim imieniem. Wymyśl sobie jakieś zastępcze.

– Żeby cię dobrze opisywało. Niepowtarzalna szansa nazwać się lepiej, niż mamusia i tatuś to zrobili. – Zygmunt się zaśmiał.

– Ma... – zaczęła Barbara.

Chciała dokończyć: ...ta Hari, ale nagle się zawstydziła. Co oni sobie o niej pomyślą? Że głupia gęś wpatrzona w przebój kinowy. Dlatego powiedziała:

- ...rta. Po prostu Marta.

I dopiero wtedy, gdy to zrobiła, Lucyna raz jeszcze się jej przyjrzała.

– A czy ty czasem nie leczyłaś zgorzeli u dentystki na Jasnej?

Barbara kiwnęła głową. Ona by Lucynę zawsze i wszędzie poznała – i to nie po chorym zębie.

\*

– „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej, kładę swe ręce na ten Święty Krzyż, znak męki i zbawienia, i przysięgam być wierną Ojczyźnie mej,



stać nieugięte na straży jej honoru, i o wyzwolenie jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary z życia mego. Dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszna, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało. Tak mi dopomóż Bóg”.

Trudno było jej powstrzymać drżenie głosu.

– Teraz to już naprawdę. I do końca. – Sęp, czyli szef, uściśnął jej dłoń. – My się ewakuujemy, bo robota czeka. – Spojrzała na Płowego. – Ciebie w pierwsze zadanie wprowadzi Kamień. – Odwrócił się od nich i poszedł w kierunku korytarza. Przy drzwiach się jeszcze zatrzymał. – To jest służba. Ale taka, że same chęci czy umiejętności nie wystarczą. Czasem to los decyduje, czy ktoś ma być szczęściarzem, czy pechowcem.

Pokiwała głową. Przecież dobrze o tym wiedziała.

– Ale o wielu innych sprawach decydujemy my. Jesteśmy jak rodzina. Każdy by za każdego życie oddał.

„O tym dopiero się przekonam”, pomyślała.

\*

Maria Stankiewicz stała na peronie w sukience w drobny rzucik. Do tego dobrała kopertową torebkę, wąski pasek i pończochy. I to przez te pończochy było jej teraz niewygodnie. Wiedziała, że moda się zmieniła; nie tyle sama moda, ile rzeczywistość. Pończochy trudno było dostać, więc kobiety przestały je nosić, że niby taki nowy szyk. U Marii było odwrotnie – to ona ich nie wkładała, bo zaraz by się jej tu podarły, zresztą długa spódnica zasłaniała nogi. Teraz jednak chciała się dobrze przygotować, żeby nic, absolutnie nic nie wzbudziło podejrzeń. Dlatego męczyła się w nylonie; pod śliskim materiałem czuła delikatną wilgoć. Było gorąco, a do tego jednak trochę się denerwowała. Miała piękny kawałek żebra, na zupę i do zjedzenia, i pręgę. I jeszcze miód, co to go już dawno temu Basi obiecała. Malutki słoik, ale ten zapach... I jeszcze kilka

jajek i słoik śmietany. Nie były to duże porcje, akurat się zmieściły w tym sekretnym dnie torby, które wczoraj przez cały dzień majstrowała. Wyszło wybornie. Na wierzch włożyła dwie bluzki, jakąś apaszkę i zioła. Gdyby trzepali, powinni się tym zadowolić – ot, paniusia na wywczasie była, przywozi jakieś ciuszki i kwiaty.

Spojrzała na zegarek. Pociąg się lekko spóźniał, ale do tego to już się wszyscy zdążyli przyzwyczaić. Oby tylko przyjechał i ją zawiózł, bo się to wszystko zaśmierdnie. Będzie musiała obsmażyć albo upiec. Denerwowała się i z innego powodu. Czuła z tego listu, że jest potrzebna w Warszawie. I to bardziej właśnie Basi. Martwiła ją ta małomówna, nieśmiała dziewczyna. W zwykły czas nie było jej łatwo, a podczas wojny to już w ogóle – brak jej było pewności siebie, siły przebicia. Opowiadała, jak się udziela w tym opeelu, czy jak to tam się nazywało, a Maria się zastanawiała, jak ona to znosi.

Spojrzała na zegarek. Piętnaście minut opóźnienia. Z drugiej strony jechał pociąg z Warszawy, więc już nie było źle, przecież będzie wracał.

Musi to przegadać z Basią. Trzeba się zachowywać patriotycznie, jasne, ale gdyby coś się jej stało... Maria poczuła bolesne ukłucie w okolicy serca. Raz to przeżyła, drugi raz mógłby ją dobić. Basia była przecież przedłużeniem Krysi. I Leona.

Kolejka wtoczyła się na stację, zazgrzytały hamulce. W oknach było widać sporo ludzi; tłumek zaraz wytoczył się na peron i przepłynął na ich stronę.

Maria stała z boku, ale teraz przesunęła się jeszcze bardziej pod parkan. Poczowała, że pod pachami zrobiło się jej mokro. Wyciągnęła chusteczkę z torebki i się rozejrzała. „Trzeba się ciut odsunąć”, pomyślała. Zrobiła kilka kroków w bok i niby to rozglądając się, dyskretnie sięgnęła najpierw pod jedną, potem pod drugą pachę. Odetchnęła z ulgą. Nie lubiła być taka przeupocona, z nieładnym zapachem. Odwróciła się z powrotem w stronę torów, przeszła kawałek i stanęła przy torbie. Najpierw usłyszała, a potem

zobaczyła nadjeżdżający pociąg w kierunku Warszawy. „Więc jednak się uda”, pomyślała. Jeszcze godzina i będzie na Krochmalnej. „Jak wszystko dobrze pójdzie”, dodała w myślach. I sama się skarciła, bo przecież nie raz i nie dwa upominała siostrę, żeby nie zakładała porażek. „Myśl dobrze, to będzie dobrze”, mówiła jej.

Choć akurat u Marii to nie zadziało.

– Będzie dobrze – powiedziała jednak pod nosem.

Konieczność musi tego optymizmu nauczyć Basię. Tej wiary, że wszystko się ułoży, nawet jeśli obecne okoliczności temu przeczą; inaczej nie da się żyć. I jeszcze ta sprawa z tym chłopakiem. Raz go widziała i ubzdurała sobie, że... No, z Krysią niby było podobnie, ale u niej to się błyskawicznie rozwinęło, a tu się nie ma co rozwijać. Mrzonki, i tyle. Inaczej z tym Henrykiem, tak przynajmniej Maria czuła. Tak, o tym też jeszcze musi jej powiedzieć, jakoś tak delikatnie, bo Basia lekko wycofana, ale i uparta. Może jednak zrozumie, że czasem pewne sprawy z boku widać dużo lepiej...

I kiedy kolejka już prawie wjechała na peron, coś się zaczęło dziać – jakiś ruch, hałas, zamieszanie. Obejrzała się – na peron wbiegli Niemcy, na ulicy pojawiły się jeszcze kolejne samochody.

Zdrętwiała.

„Oddychaj”, powiedziała sobie. „Oddychaj”.

Powoli się schyliła, żeby podnieść torbę; kątem oka obserwowała jednak sytuację. Pewnie dlatego dopiero gdy dotknęła dłonią ucha torby, zorientowała się, że to nie jej pakunek. Szybko spojrzała w dół. Niby podobna, ale inna – nie ten kolor, trochę niższa a szersza, uszy odmiennie, no i nie było kwiatowego haftu. Ciężar też nie ten – ta ważyła dużo więcej. Ktoś się musiał pomylić. Nerwowo się rozejrzała.

– Stać. Postaw to – usłyszała nad głową.

Podbiegł do niej mężczyzna w mundurze. Wycelował w jej stronę broń.

– To nie moje... – próbowała wytłumaczyć.

– Postaw! – Odepchnął ją na bok.

Z trudem zachowała równowagę. Teraz dobiegł do niego drugi. To on przejął rolę pilnującego, wciskając jej lufę pistoletu w bok. Pierwszy natomiast sięgnął po torbę. Odwrócił ją spodem do góry. Zachrząściło i zastukało; na betonowy peron najpierw sfrunęły jakieś papiery, a potem wypadły pistolety, głucho stukając o beton.

Dokoła zapadła cisza. Jedyne, co Maria Stankiewicz słyszała, to było bicie jej serca.

– Ja... – próbowała coś powiedzieć, wyjaśnić, ale ostry ból policzka, a potem uderzenie w brzuch odbierające dech uniemożliwiły jej to. Zachwiała się, ale udało się jej utrzymać w pionie. Nie wiedziała, co się dzieje, ale zdjął ją nagły strach, że będzie źle – taki zwierzęcy, który zna tylko jedną komendę – „uciekaj!”. Odwróciła się więc i zaczęła biec. Zrobiła dwa kroki, gdy usłyszała świst i poczuła ból pod łopatką.

Znowu się zachwiała, ale tym razem upadła.

I wtedy zobaczyła swoją torbę. Trzymała ją bardzo piękna młoda kobieta. Maria już gdzieś kiedyś widziała tę blondynkę. Zaraz, zaraz, gdzie to było? Ach tak! Wtedy, w tym pociągu, gdy...

A potem coś huknęło, najpierw gdzieś obok, a później jakby w głowie Marii. Tak głośno, że aż ją to zabolalo i zamknęła oczy.

I już ich nie otworzyła.



## Rozdział dwunasty



– E, bujać to my, nie nas. – Wanda się znacząco uśmiechnęła i usiadła na ławce. Sandały postawiła na krzesle, spódnicę trochę podciągnęła, pokazując krągłe kolana.

– Naprawdę, po co miałabym kłamać? – Barbara wzruszyła ramionami.

– Bo nie chcesz dobrej koleżance powiedzieć, co to za miły chłopiec cię zatrzymał rano. – Wanda zaplotła ręce i patrzyła wyczekująco na koleżankę.

– No naprawdę nie, jak Boga kocham! – To akurat Barbara powiedziała z pełnym przekonaniem. Już się przestraszyła, że Wanda mogłaby się czegoś domyślić, choć nie miała pojęcia, jakim cudem mogłoby się to wydarzyć.

– Taka jesteś... – Wanda nachyliła się ku niej – ...rozogniona. W emocjach. Jakby pierwszy raz... – Zaśmiała się.

Barbara poczuła ciepło na policzkach. „Owszem, pierwszy raz, ale nie taki”, pomyślała. Ten, który Wanda miała na myśli... Ciepło się zintensyfikowało.

– Tylko żeby dzieci z tego nie było, pamiętaj. Jakby co, to pomogę w tej kwestii. – Wanda zeskoczyła z ławki, poprawiła spódnicę i bluzkę. – To do jutra. I żeby cię ten biedny ząb nie bolał – Parsknęła śmiechem na odchodne.

*Boże, ależ to były emocje! Wanda w sumie miała rację, to musiało być po mnie widać. Tylko przyczynę tych emocji źle obstawiła. Tu się sprawdza to, co powiedział Kamień – dziewczyn się nie podejrzewa o „poważne” działania. Młode kobiety to zawsze dla świata zabawa, trzpiotowatość, nic na serio. One tylko mogą pomagać; nawet ciotka tak uważa – z bronią jedynie mężczyźni. Więc ja nie z bronią, choć częściowo...*

*Znowu będzie kartka do wyrwania.*

*Pierwsza akcja. Zaraz po zaprzysiężeniu chciałam... chciałam wszystkiego. Chyba sobie wyobrażałam, że ja po prostu ratuję całą Warszawę, co tam – Warszawę, Polskę! – przed okupantami. Chciałam działać, walczyć, zbawiać świat. Sęp, szef, przekazał przez Kamienia pierwsze zadanie – dostarczyć broń. Poczułam się rozczarowana, bo wydało mi się absolutnie błahe. Bierzesz pistolet, chowasz, idziesz na wyznaczone miejsce, zostawiasz pistolet i serwus, po sprawie.*

*Wiele rzeczy w życiu człowieka jest takich, że póki się ich nie spróbuje, gdy się jeszcze ich nie doświadczyło, to są w wyobraźni jak bułka z masłem.*

*I to jest naiwność. Piszę to swobodnie, szczerze i prawdziwie.*

*Więc było tak: rano, znaczy chwilę po dziesiątej, miałam się stawić w mieszkaniu na Złotej. „Znajome mieszkanie”, powiedział Kamień, znaczy kogoś, kto też konspiruje. „Torbę gospodarską weź”, tyle tylko mi wcześniej przekazał.*

*Już kiedy wychodziłam z domu, poczułam, że to nie takie proste – pozbyć się emocji. Głowa wie, że powinna, ciało nie słucha. „Uważaj na siebie”, usłyszałam od mamy. Mama mówi tak przy każdej okazji, ale do tej pory to było takie zwyczajowe, teoretyczne. Tym razem nabrało innego znaczenia.*

*Nie poszłam do szkoły, wymyśliłam, że się wymówię z nieobecności wizytą u dentystki (na razie nie potrzebuję, plomba siedzi, zresztą nie wiem, czy teraz bym chciała, żeby ona, Lucyna, mnie w takiej mało korzystnej sytuacji oglądała, ale jak będzie mus, to będzie). Dzień ładny, choć już czuć jesienią. Całkiem szybko przeszłam ten kawałek, trochę się zadyszałam, gdy doszłam na czwarte piętro. Może to pośpiech, może schody, a może jednak nerwy.*

*W środku byli Kamień i dziewczyna, której nie znałam. Ona właśnie klęczała na podłodze i kluczykiem, bardziej kawałkiem blaszki, majstrowała przy parkiecie. Po chwili klapka odskoczyła i zobaczyłam w podłodze wnękę, a w niej*

– metalową skrzynkę. Dziewczyna ją otworzyła, wyjęła z niej dwa pistolety i mi podała. „Na stole masz marchew i cebulę. Po akcji – smacznego”, uśmiechnął się Kamień. Włożyłam te pistolety do torby, poprzekładałam warzywami. „Dobra, to teraz na róg Świętokrzyskiej i Mazowieckiej”, powiedział Kamień. „Tam jest bar Za Kotarą. Wiesz gdzie?” Kiwnęłam głową. „W sali po prawej będzie siedział chłopak, trochę starszy od ciebie. Kędzierzawy, taki rudawy blondyn. Ma być w brązowej marynarce. Jak wejdziesz, on spojrzy na zegarek i wstanie od stolika. Ty się zatrzymasz, niby to lustrując, czy gdzieś jest ktoś, z kim się umówiłaś. On się zbliży, a gdy będzie blisko, podasz mu dyskretnie broń. Będzie miał pod pachą gazetę, tam ją przytrzyma. Ty się chwilę jeszcze porozglądasz i też wyjdziesz. Jasne?” Kiwnęłam głową, było jasne. Już było ciut inaczej, bo jednak trzymać prawdziwą broń w ręku i mieć ją pod pachą, to działa na wyobraźnię. I wtedy Kamień dodał, tak niby od niechcenia: „Na rogu Mazowieckiej i Kredytowej jest Arbeitsamt, przy Nowym Świecie niemiecki magazyn, a obok komenda granatowych. No i policja przy Szpitalnej”. „A przy Poczcie Głównej zawsze duża grupa żołnierzy”, dodała ta dziewczyna. To też wiedziałam, ale kiedy to wybrzmiało... „Ale dasz radę, nie?”, on mnie zapytał. I to mnie zmobilizowało. „Dam, jasne”.

Poszłam z tą torbą, która mi ciążyła. Wiedziałam jednak, że muszę iść jakby nic. I tak szłam – zwyczajna dziewczyna na zatłoczonej ulicy. Doszłam do baru. Przy wejściu facet, chyba właściciel. Sam bar z rodzaju takich niewyględnych. I ja bym się tu miała umawiać? Nic, przeszłam na prawo, zatrzymuję się przy kotarze i się rozglądam. Jest kędzierzawiec w brązie. Patrzy na mnie, tak przelotnie, potem na zegarek, wstaje i składa gazetę. Idzie w moją stronę, zatrzymuje się. Ja trzymam dłoń w torbie, czuję, jak pocą mi się palce. Serce mi wali, dobrze, że tam dość głośno. I wtedy on się odzywa: „Może ja bym się nadał, skoro on nie przyszedł?”. Dość głośno to powiedział, tak że dwóch przy stoliku obok, chyba już w słuszniejszym humorze, zarechotało. „Wolę nic od rydza”, powiedziałam spokojnie, aż się sama zdziwiłam. Kamień nic nie mówił, że będzie jakaś rozmowa, to musiała być inicjatywa tego chłopaka. On się roześmiał, tak naprawdę szczerze. Ci dwaj znowu rehot, teraz jeszcze większy. Naturalnie to wyszło bardzo, a do tego całkiem zgrabnie mu podałam tę broń. „Zatem szczęścia w miłości”, on się uklonił i poszedł. Ja, jak było umówione,



*jeszcze chwilę postać, niby to zmartwiona i wystrychnięta na dudka, i skierowała się w stronę wyjścia.*

*A na ulicy... No, nogi to mi się trzęsły, ale w środku, tak w sercu i głowie, to byłam z siebie zadowolona – że mi tak sprawnie poszło, że mu przytomnie odpowiedziałam. Miałam takie poczucie... No, że to było coś. Że chciałbym więcej. Już dawno się tak nie czułam.*

*Chciałabym się tym z kimś podzielić. Chyba najbardziej z ciotką, bo ona by mnie zrozumiała, te emocje.*

*Cieszę się, że przyjedzie.*

\*

– No jesteś wreszcie. – Krystyna Leoniewska stała w korytarzyku, jakby czekała na córkę pod drzwiami.

– Jestem, dlaczego miałoby mnie nie być? – zdziwiła się Barbara. Coś w jej wnętrzu jednak drgnęło; najpierw Wanda, teraz mama. Wanda przestrzeliła, ale mama...

– Bo tak jakoś... Przeczucia mam takie, że... – Przeszła do pokoju i stanęła przy oknie. – Sen mi się okropny śnił wczoraj w nocy. I dziś też, podobny.

– A jaki? – Barbara mimo wszystko się ucieszyła, że mama jej tego nie powiedziała rano. Szłaby na tę akcję z nastawieniem, że coś by mogło pójść nie tak.

– Właśnie trudno powiedzieć jaki... Dziwny. Bo szare i bure kolory, jakiś chodnik czy plac jakiś, i buty, te, wiesz, niemieckie, oficerki, wyglansowane, bezwzględne, depczące. Zresztą one coś chyba deptały. Kopały. Głowy. – Mamie załamał się głos.

– Mamuś. – Barbara ją objęła z czułością. – To chyba przez to getto. Przez to, co się tam na wiosnę działo. W ogóle cały czas, ale wtedy to przecież było najgorzej. Ja też... – Przypomniała sobie tego chłopca, któremu dała konserwę. On już pewnie nie żył, jak oni wszyscy zresztą.

– To też, na pewno. Kiedy oni ich tam palili... – Mama przesuwiała palcami po kołkowej firance, wciąż patrząc na ulicę. – Ja to w ogóle jeszcze nie do końca sobie przyswoiłam, że tego świata obok nas to nie ma. Tyle lat się chodziło Krochmalną, mijano te domy, tych ludzi, a teraz tam pustka i cisza. A oni jakby się w powietrzu rozplynęli... No patrz, jak ja to głupio powiedziałam, tak nieczule jakby – bo przecież oni są w powietrzu, no przez te kominy... – Jej ramiona zaczęły się trząść.

– Oj, mamuś, mamuś. – Barbara ją objęła. – Wojna to okropieństwo. Nie myśl sobie, że ja nie czuję tak samo, ja tylko...

– Wiem, wiem. – Matka jej przerwała. – Ja to sobie powtarzam, że trzeba się jakoś chronić przed tymi emocjami, boby człowiek zwariował. Ale jak się tak całkiem chronisz, nie dopuszczasz ich do siebie, to się robisz skorupą, nie człowiekiem, prawda?

Barbara pokiwała głową. Ona sama nie była skorupą, wręcz przeciwnie, kotłowało się w niej. To znaczy sprawy osobiste ją wprawiały w takie drżenie, bo na rzeczywistość dokoła jednak trochę się uodporniła.

– Pamiętasz dom doktora Korczaka? – zapytała matka, ocierając oczy.

– Pewnie, że tak – przytaknęła Barbara, trochę zdziwiona tym pytaniem. Jak mogłaby zapomnieć, skoro to było na Krochmalnej, kilka numerów od nich. Samo miejsce było smutne, tak z założenia, bo przecież mieszkały tam sieroty, ale codzienność rozganiała ten smutek, ponieważ doktor dbał o to, by dzieci miały tam jak najlepiej. Widywała je bawiące się na podwórku, na zieleńcu, grające w orkiestrze, często maszerujące na jakieś wycieczki. To wszystko zniknęło jesienią czterdziestego roku, kiedy utworzono getto. Mur stanął przed kamienicą Barbary, więc nie objął też Domu Sierot, przesuniętego jeszcze bardziej na zachód. Doktor i dzieci musieli się wtedy wyprowadzić, potem

w getcie również zmieniali siedzibę. Aż wreszcie wyruszyli po raz ostatni, na Umschlagplatz. – Dlaczego pytasz?

Matka usiadła przy stole.

– Sama nie wiem, ale oni także mi się śnili. Wiesz, ja zawsze sobie myślałam, że jak już komuś los dał sieroctwo, to on nie mógł lepiej trafić, bo doktor był takim dobrym człowiekiem. I od razu potem myślałam sobie, że na moje sieroctwo też nie mogłoby być niczego, nikogo lepszego niż Marysia. No, potem jeszcze twój tata, ale on... – Mamie zaszklify się oczy. – Dobrze, że mam ciebie i twoją ciotkę. I chyba to, że tak dawno się nie widziałyśmy, wzbudza we mnie ten podświadomy lęk. Może by do niej pojechać, co? W niedzielę na przykład? Tak mnie jakoś ciągnie... – Spojrzała pytająco na córkę.

– No... – Barbara nie miała pomysłu, jak odwieść mamę od tego planu. „Przecież ciotka zaraz się zjawi”, pomyślała. „To miała być taka fajna niespodzianka, szkoda by to było popsuć”. – Wiesz, te jazdy pociągami nie są zbyt bezpieczne, zwłaszcza jak ktoś mniej doświadczony, jak na przykład ty. Różne rzeczy się tam dzieją.

– Tak, a co znowu? – Mama się zaniepokoiła. – Znaczy wiem, że ciągle coś, ale czy jakaś szczególna sytuacja?...

– No, podobno tak.

Barbara słyszała rozmowę Kamienia z tą dziewczyną na Złotej. Ona już wychodziła, oni rozmawiali tak półsłówkami, więc wyłapała tylko trochę, ale zrozumiała, że gdzieś pod Warszawą ktoś z ich grupy zaliczył wpadkę. Szczęśliwą, bo tylko „stracili towar”, tyle usłyszała, ale gdyby jednak wpadli i oni, to może nie sami – odpowiedzialność często była przecież zbiorowa. Tak czy owak, kontrole były teraz jeszcze częstsze.

– A skąd te wieści? W gazecie to może było czy ktoś mówił? Henryk na przykład?

– Nie, nie w gazecie, gdzieś na mieście... – Barbara udała, że się namyśla. – A, w szkole, to było w szkole.

– No tak, tak... A w tej drugiej, prawdziwej, to jak ci idzie? Będę miała córeczkę z egzaminem dojrzałości, skoro mała matura tak dobrze jej poszła? – Mama pogładziła jej rękę.

– Taki jest plan. – Barbara się uśmiechnęła. Ostatnio, co prawda, nie miała głowy do nauki, bo ciągle myślała o czymś innym, ale chciała iść jeszcze dalej z nauką. „Iść dalej” to była myśl, która jej ostatnio towarzyszyła.

– To dobrze, bo wiesz, nauka i wykształcenie to jedyne, co mogę ci dać. A ty, pólsierota – znowu zadrzał jej głos – nie masz dobrego startu w życiu. Takie jesteśmy same... A z Henrykiem to jakoś się widziałaś ostatnio?

„Tak, składając przysięgę”, pomyślała Barbara. Powiedziała zaś:

– Czasem. Jak wraca z Philipisa, to bywa, że się spotkamy i chwilę porozmawiamy.

– To dobrze. Bo ja go lubię. To fajny chłopak, więc gdyby mnie...  
– Mama zawiesiła głos.

– Mamo! – Barbara przewróciła oczami, udając oburzenie. – Przecież myśmy już o tym rozmawiały. Ja też go lubię. I się z nim spotykam. Ale „nie tak”.

To akurat była sama prawda.

– No dobrze, dobrze. – Mama pokiwała głową. – Ja po prostu... Boże, ja tu sobie siedzę, tak cię przepytuję, a ty pewnie głodna! – Mama się poderwała. – Lane kluski mam. Z cebulą. I buraki do tego. – Widać, że była dumna z tego zróżnicowanego zestawu.

– Ja też coś mam. – Barbara sięgnęła po torbę i wyjęła z niej warzywa. – Nie pytaj skąd. – Uśmiechnęła się tajemniczo. – Ale jak dobrze pójdzie, to będę je regularnie przynosić.

Mama się zawahała.

– Ale ty nic...

Barbara nie dała jej dokończyć.

– Nic, zupełnie nic. Wszystko jest, jak należy. Przysięgam.

To ostatnie słowo trochę podrapało jej gardło, ale przecież musi przywyknąć do kłamstw w wyższym celu – dla matki i swojego

bezpieczeństwa.

– To dobrze, córeczko, to dobrze. – Mama ją przytuliła.

– A do ciotki to ja napiszę. Żebyś była spokojna.

Kolejna półprawda, bo przecież już napisała. Szło jej coraz lepiej z tymi pół-, ćwierć- i zeroprawdami.

– Dobrze, córeńko – odparła mama i poszła do wnęki kuchennej.

„Wszystko się układa”, wyszeptała Barbara do swojego lekko zamglonego odbicia w naściennym lustrze.

\*

Kupka ziemi rosła. Czarnej, żyznej.

– W takiej to marchew powinna korzenie zapuszczać. Albo ziemniaki obrodzić, a nie... – Kobieta w długiej spódnicy i nie najczystszej koszuli machnęła ręką.

– No – odpowiedział jej mężczyzna. Też był w roboczym ubraniu, i, podobnie jak ona, ogorzały i lekko przykurzony.

– Co to się dzieje, ja wciąż pojąć nie umiem. – Kobieta patrzyła, jak jej towarzysz wybiera łopatą kolejne porcje ziemi.

– No.

– Ale żeby takie coś?... – Pokręciła z niedowierzaniem głową.

– No.

– Ludzie za nic mają swoje życie – ciągnęła. – I to po co? No chyba nie dla pieniędzy, nie?

– No.

– Ech. – Westchnęła.

Chwilę pomilczała, nachyliła się i zapytała:

– Starczy już chyba?

Mężczyzna przyjrzał się wykopanemu dołowi.

– No, będzie dość. – Odłożył łopatę, obszedł spory kopczyk ziemi i podszedł do płachty brązowego materiału rozłożonego na betonie. – Pomóż. – Spojrzał na kobietę.

– Ja od nóg. Od głowy tak jakoś... – Wzruszyła ramionami.

– Niech będzie. – Przesunął się na drugi koniec płachty. – No. – Znowu na nią spojrzał.

Oboje się schylili i unieśli ciało. Sprawnie przesunęli się nad wykop. Mężczyzna dał znak, żeby kobieta pierwsza opuściła zwłoki, potem sam się nachylił i powtórzył jej ruch.

– Płótno to wezmę, nie? Nigdy nie wiadomo, czy się nie nada. Znow albo na co innego – powiedziała kobieta.

Mężczyzna kiwnął głową.

– A sprawdzałeś, czy ona coś tam ma?... – Ręką wskazała miejsce, ale nie patrzyła na zwłoki.

– Oni sprawdzili. Nawet jeśli co miała, to już nie ma. – Sięgnął po łopatę.

– Czekał. – Kobieta spojrzała na niego. – Ale czy sprawdziłeś? Pokręcił głową.

– Ech – rzuciła ze złością.

Teraz to on wzruszył ramionami, ale nie nabrał pierwszej porcji ziemi. Czekał.

Kobieta przyklękła na brzegu wykopanego dołu. Trochę ziemi się osunęło.

– Dobrze, że płytko – stwierdziła.

Przechyliła się, jedną ręką oparła o dno, drugą zaczęła oklepywać nieruchomą sylwetkę.

– A, widzisz. – Teraz w jej głosie zabrzmiała żwawsza nuta. – A jednak coś szkopy puściły.

Z kieszeni w spódnicy wyciągnęła jakąś kartkę. Podtrzymującą do tej pory dłoń odepchnęła od wilgotnej ziemi. Wstała. Rozłożyła papier; ze środka wypadł inny. Podniosła go.

– Koperta – powiedziała ni to do siebie, ni to do niego. – I list.

Przebiegła zapiski wzrokiem, ale nic nie powiedziała.

– Gadałeś, że do stolicy do rodziny jedzie, nie?

– No.

– No. – Po chwili dodała: – To szkoda.

Nie bardzo zrozumiał, do czego to „szkoda” się odnosi, ale nie zapytał.

– Tego, coś jej rano sprzedał, też nie było? – Z tonu można było wnioskować, że tamten wątek jest już zamknięty.

– E, gdzie tam. – Wreszcie się ożywił. – Nic, zero. Torba zniknęła. Ludzie gadali, że ona miała taką, z której oni broń i jakieś papiery wyjęli. Ja nawet ją widział, i to była inna, bo ona miała taką z kwiatami. Nie rozumiem nic z tego.

– I nie zrozumiesz, bywa i tak. Dobrze tylko, żeby to do ciebie nie wróciło, bo i ty byś mógł... – Odwróciła się i splunęła za siebie.

– No, pacierz to trzeba zmówić. I przy okazji w intencji własnej ochrony. A jej rodzina to wie?

– Nie chyba, bo jak. Kowalskim, co mieszkają przez ścianę, powiem. Oni się więcej znali. I tę kartkę dam, co? – Spojrzał na nią.

– Niech będzie. No, mówmy, bo się późno robi: Ojciec nasz...





## Rozdział trzynasty



Zobaczyła ich, jak szli od zakładów Philipsa. Serce zaczęło jej szybciej bić.

Zygmunt był taki przystojny!... Teraz, w zestawieniu z Henrykiem, to było jeszcze bardziej widoczne. Wysoki, szczupły, ale nie chudy, z głową uniesioną wysoko; Henryk wyglądał przy nim jak uboższy krewny z prowincji. Barbarze mimo wszystko zrobiło się smutno po tej myśli; Henryk był naprawdę w porządku, zwłaszcza kiedy się okazało, że robi to, co robi. Drugi smutek wynikał z tego, że różnica między Henrykiem a Zygmuntem była taka, jak...

„Między mną a Lucyną”, pomyślała.

– O, witam dawną sąsiadkę! – Henryk dostrzegł Barbarę.

Dyskretnie się rozejrzała. Coś, a raczej ktoś musiał stać za takim powitaniem, bo ta forma była do Henryka niepodobna. Może tych dwóch, co też szli od zakładów?... Teraz była zdecydowanie czujniejsza; z dawnej, ciągle zamysłonej, zagapionej Barbary niewiele już zostało.

– Cześć, sąsiedzie – dopasowała się do tego stylu.

Dopiero teraz zauważyła, że Zygmunt ma obwiązaną dłoń. Wcześniej trzymał ją pod torbą, dlatego to jej umknęło. Już chciała zapytać, co się stało, ale się powstrzymała. Iluż zwykłych nawyków musiała się pozbywać.

– O, czy to ta piękna panna została przyczyną kontuzji kolegi? – usłyszała męski głos. To był jeden z tych dwóch, na których

zwróciła uwagę. Wyczuła w nich... „zaczepność”, pomyślała. Dobrze, że posłuchała intuicji i sama nie zaczęła tego tematu.

– Tak. – Zygmunt kiwnął głową.

Barbara się zorientowała, że coś, zapewne związanego z drugim życiem Zygiego, się wydarzyło, ale oficjalna wersja musiała być oczywiście inna. Mimo tej wiedzy zrobiło się jej przyjemnie. „Piękna panna”. I to było o niej, Barbarze! Niby Henryk też ją komplementował, ale teraz to wybrzmiało tak publicznie.

– I co, dała choć buziaka? – Teraz odezwał się ten drugi. I zarechotał.

Barbara się wzdrygnęła. „Prostak”, przebiegło jej przez głowę. Taka fabryka, taka okolica, takie tu wszystko, i wojna tego nie zmienia, wręcz przeciwnie.

– Teraz da – powiedziała głośno i z uśmiechem.

Wspięła się lekko na palce, położyła dłoń na ramieniu Zygmunta i pocałowała go w policzek.

– Uuuu, no to było warto. – Znów rehot, ale teraz jakby na siłę.

– Nie zazdrość, Franek, może i tobie się kiedyś poszczęści – odezwał się ten pierwszy. – No, to nie przeszkadzamy w tym romantycznym tête-à-tête. – Ostatni wyraz wypowiedział niepoprawnie. – Heniu, ty też się powinieneś usunąć w cień, miłość trójkątów nie lubi.

I znowu śmiech.

Ani Henryk, ani żadne z nich nie zareagowało.

– No, to do jutra, koledzy. – Pierwszy w końcu odpuścił. – Uszanowanie panience.

Barbara kiwnęła głową. Patrzyła, jak idą w kierunku Woli.

– Przejdziemy się? – zapytał, a właściwie bardziej zaproponował Henryk.

– Pewnie – odparła.

Wciąż jeszcze czuła zapach Zygmunta. Trochę mydła i trochę jakiejś ładnej wody kolońskiej. I ciepło policzka. I przyjemna szorstkość zarostu. I...

– Co się stało? – zapytała szeptem, po tym, gdy dyskretnie obejrzała się za siebie – tamci dwaj byli już daleko od nich, a mimo wszystko ściszyła głos.

– Jak pytasz o tych dwóch, to mętne typy. Własną matkę by sprzedali, innych pewnie też. – Henryk wzruszył ramionami.

– A ta ręka? – Teraz Barbara spojrzała na dłoń Zygmunta.

– Była taka sprawa na Bielanach. – Zygmunt się uśmiechnął. – Do rozliczenia.

– Rana?...

– Tak. Ale nie od broni.

– My nie zawsze... – zaczął Henryk i zamilkł.

– Czyścimy – dokończył za niego spokojnie Zygmunt.

„Czyścimy”. Tak się o tym mówiło. Barbara jednak do tej pory nie zapytała Henryka, kto się zajmuje „czyszczeniem”. Że brali udział w akcjach, to było oczywiste. Przejęcie broni, materiałów, odbicie więźnia, akcje w pociągach – to wszystko się działo i w tym wszystkim uczestniczyli wszyscy chłopcy. Nie wszyscy natomiast brali udział w... „zabijaniu”, tak teraz pomyślała. Na co dzień też używała określenia „czyszczenie” lub „likwidacja”. Było to taką konspiracją w konspiracji, jakby nawet przed sobą czy wśród siebie nie nazywać rzeczy po imieniu. Było też zgrabniejsze, przyjemniejsze. Zresztą... Barbarze przypomniała się scena z Europejskiej. Podziw mężczyzny ze srebrną koronką. Akceptacja tłumu. Jej przecież również się to udzieliło, a mimo wszystko głupio jej było tak wprost okazywać radość czy satysfakcję z zabijania.

– Była taka sytuacja z dziewczynką. Pracownik stacji pomp ją znalazł rano, jak szedł do pracy. Mała miała może ze trzy lata, a na sobie najlepsze ubrania, które i tak nie dawały rady odciągnąć uwagi od złego wyglądu. – Zygmunt spojrzał na Barbarę. – To było w czasie powstania w getcie. Ten człowiek nie wiedział, co ma robić, poza tym, że trzeba małą ratować. Stary kawaler, mieszkał z ojcem, sam by się nie potrafił zająć, więc

zabrał dziecko do najbliższego sklepu. Szczęściem pracowała tam kobieta, która miała męża, domek, ale dziecka nie miała. Zabrali tę małą. I teraz, dla odmiany – pech. Obok nich mieszkał dawny urzędnik poczty, który w swoim przerobionym domku urządził kawiarnię, żeby jakoś sobie radzić w okupację. Niedaleko były koszary, więc jego gośćmi często byli lotnicy niemieccy. Taka działalność to wiadomo – hałasy, śpiewy, randki i tak dalej. To się nie podobało sąsiadom, tym, co wzięli dziewczynkę. Już wcześniej się nie podobało. Zwracali uwagę, prosili, bez rezultatu. I teraz sytuacja się odwróciła – właściciel kawiarni postanowił wziąć odwet. Przyuważył, że ta mała się pojawiła. Pewnie się bał, bo wiadomo, jak znajdą Żyda, to wiele głów leci. Dodatkowo on tam nielegalne towary miał, a wokół pełno Niemców. No i jeszcze się zemścić chciał. „Za szykany”, jak mówił. Napisał donos do żandarmerii. Przyjechali, we trzech, z przyczepką. Ten, co dał małej dom, od razu wystawił na stół wszystko, co miał, przede wszystkim bimber. Tak popili, że w końcu zygzakiem odjechali, o małej zapomnieli i nawet ten anonim na stole zostawili. Anonim trafił do nas, a my do właściciela kawiarni.

– I?... – Barbara zawiesiła głos.

– Pierwsza myśl: zlikwidować.

– Ale to na pewno on napisał? – Była wojna, działy się okropne rzeczy, w Barbarze jednak jeszcze się kołatały przedwojenne prawa.

– Na pewno, bo on już wcześniej robił aluzje do dziecka, tu nie było wątpliwości. Ale zawsze, nawet w przypadku największej gnidy, która dopuściła się zbrodni przy świadkach, muszą być śledztwo, proces i wyrok. Bez tego nie wolno. Więc żeby oszczędzić czas, wybraliśmy się w kilku do niego. Długo jeszcze za barem nie stanie. – Zygmunt poklepał dłoń w bandażu. – No, nam też się oberwało, w sumie to tylko Henryk bez szwanku wyszedł.

„No proszę”, pomyślała zdziwiona.

– Nie zrobi więcej tego samego? – zapytała Barbara.

– Zapowiedzieliśmy mu, że nawet jak pomyśli o czymś podobnym, to my się o tym dowiemy i wrócimy. – Zygmunt się uśmiechnął. Po chwili jednak spowaźniał. – My się zawsze trzymamy prawa. Wojenne, specjalne, podziemne – ale prawo. Teraz musi działać jeszcze szybciej, bo sytuacja coraz gorsza...

Przez chwilę szli w milczeniu. Barbara powinna się pożegnać, zawrócić, bo przecież oni szli do Śródmieścia, a jej celem była Krochmalna. Planowała dziś raz jeszcze iść na miasto, na pocztę, żeby ponownie wysłać list do ciotki. Żał jej było matki, chciała to jak najszybciej załatwić, ale tak się rano spieszyła, że nie zabrała koperty. Mogłaby kupić nową papeterię i od razu po zajęciach nadać list, ale postanowiła jednak wrócić do domu. No i była głodna, a w domu czekała zupa z tych warzyw pozostałych po akcji. Jeśli jednak teraz nie zawróci, to pewnie już nie będzie się jej chciało wychodzić.

Szli w milczeniu.

– Ja... – zaczęła Barbara, ale nie dość głośno, bo ani Henryk, ani Zygmunt nie zareagowali.

Chciała powtórzyć, ale kto inny przerwał panującą między nimi ciszę.

– Henio! – Z naprzeciwka biegł ku nim Jurek, brat Henryka.

– A ty tu co robisz? – zdziwił się Henryk.

– Mama mi pozwoliła wyjść po ciebie. Kazała Grzybowską iść, a jakbym cię do zakładów nie spotkał, to wrócić. Ale spotkałem. I mam dla ciebie kartkę. Od mamy. – Chłopiec wyciągnął z kieszeni wymięty kawałek papieru i dalej kręcił się wokół brata.

Henryk rozłożył karteczkę i przebiegł tekst wzrokiem.

– No, to takie polecenie, że na Foksal trzeba iść. Nie wariuj tak, bo ci sił zabraknie. – Próbował zatrzymać młodszego brata w miejscu, ale bezskutecznie. – To ja się już pożegnam. – Spojrzał na Barbarę, a potem na Zygmunta.

Oboje kiwnęli głowami.

– A ty, Basiu, to przypadkiem nie do domu szłaś? – Henryk jeszcze nie odchodził.

Z tonu i spojrzenia wywnioskowała – był zazdrosny.

– Ach, widzisz, tak mnie ta nasza... to nasze hobby wciągnęło. – Roześmiała się niby lekko, ale czuła się dziwnie.

Henryk chyba próbował o nią... zaważczyć.

– Chodź, chodź, bo mama prosiła, żeby to szybko załatwić. – Jurek pociągnął brata za rękę.

– Jak mama prosiła, to nie ma wyjścia. Ja Basię odprowadzę, nie ma obawy. – Zygmunt się uśmiechnął. Jedną rękę, tę zdrową, położył Barbarze na ramieniu, drugą, w bandażu, wyciągnął w stronę Henryka.

Po chwili syknął.

– Przepraszam – zatroskał się Henryk – ja tak z przyzwyczajenia, mocno, po męsku, a tu... gapa jestem.

Barbara była przekonana, że to rozmyślnie. Takiego Henryka nie znała. Nie było to ładne, ale zrobiło na niej wrażenie.

– Nie szkodzi. – Zygmunt machnął ręką i znowu syknął. – Widzisz, nawet ja sam zapominam.

– Każdemu może się zdarzyć. To w sumie nie bardzo wiadomo, kto kogo ma prowadzić... – Barbara się uśmiechnęła i podała ramię Zygmuntovi.

– To się nazywa przysługa. – Zygmunt zaplótł jej ramię ze swoim. – Właściwie to miałbym prośbę o jeszcze jedną...

Barbara już nie patrzyła na Henryka.

\*

*Siedzę i się namyślam.*

*Przedziwne popołudnie, przedziwny wieczór.*

*Zygmunt odprowadził mnie do domu. Od takich odprowadzeń wiele się zaczyna, przynajmniej tak książkowo albo przedwojennie. Teraz jednak wojna, a rzeczywistość nie przypomina powieści. Pierwsza rysa – i pomyślałam o tym*

dopiero wtedy, kiedy już szliśmy w moją stronę. Przecież wiem, gdzie mieszka Lucyna i Płowy, mogę się domyślić, gdzie Zygmunt. To ludzie innego pochodzenia, innego statusu. Okupacja wiele zmienia, ale jak ktoś przedtem żył w Śródmieściu, potem na Krochmalnej nie wyląduje. Powiedziałam, żeby mnie do hal na Mirowie odprowadził, że niby tam sprawunki mam do załatwienia. Zapytał, czy poczekać, ale odmówiłam. Zapytał też, gdzie mieszkam, ale odpowiedziałam, że to niech zostanie tajemnicą, dla bezpieczeństwa. Miałam wrażenie, że ta odmowa i ta tajemniczość jakoś go zaintrygowały. Gdyby znał ich podłoże... Może poznać, bo wystarczy, żeby zapytał Henryka. Ale jak zapyta, znaczy, że jest mną zainteresowany. A Henryk będzie jeszcze bardziej zazdrosny.

Ta zazdrość jakoś mi zaimponowała, bo Henryk pokazał, że mu zależy, że zawalczy. Wcześniej tego nie robił, był taki wycofany. Wcześniej też myślałam, że źle ulokował uczucia, że ja...

Teraz już nie wiem. Mętlik mam w głowie. Myślę sobie, że to jednak jest prawo młodości.

A co do tego spaceru... Dziwna była ta rozmowa między nami, niewiele spraw osobistych, no bo „lepiej nie wiedzieć”. Zygmunt o sobie więcej opowiedział. Już po egzaminie dojrzałości, „na razie na gębę”, się roześmiał, „papiery po wojnie będą”. Jak to „po wojnie” zabrzmiało... Jak obietnica niemożliwego. Na studia chce iść, inżynierem zostać. Mnie pytał o moje plany. No mój Boże, jak tu lawirowałam! Słysząc tego pewnie nie było, bo przecież nie takie zaprawki – jak choćby całe to „zaprawkowe” pisanie – już przechodziłam. Powiedziałam więc, że ja też marzę o studiowaniu. I to prawda. No, ćwierćprawda. Przed wojną bym nigdy nie pomyślała, ale przed wojną mój świat się ograniczał do naszej czynszówki, a kiedy ojciec umarł... Zorientowałam się teraz, że mi oczy nie zwilgotniały, kiedy pomyślałam o tacie. Smutek jest, ale nie ma już tej bezradności, poczucia beznadziei. Jestem po prostu silniejsza. Może to głupie, bo jedna akcja (kartka znowu do wyrwania, niedługo ten zeszyt będzie jak oskubana kura) przecież wiosny w moim życiu nie czyni, ale czuję się silniejsza. Teraz to się umocni, bo ta prośba Zygmunta dotyczyła mojego udziału w kolejnej, ważnej. Jak to usłyszałam, to trochę zmarkotniałam, bo sobie wyobraziłam, że to będzie coś osobistego (niech będzie, że jestem głupia, naiwna, ale przynajmniej szczerą). Nie było, ale sama prośba... Zaczęło się od Lucyny. „Lucyna. Coś ci o niej powiem”. Przełknęłam ślinę, czekałam jak na szpilkach.

*A dalej on mówi, że Lucyna na razie zadekowana po nieudanej akcji. Od razu mi się przypomniała rozmowa Kamienia z tą dziewczyną na Złotej. To o to szło! Ten „stracony towar” – to Lucyna za tym stała! Pomyślałam sobie, poczułam raczej – satysfakcję. Wiem, wiem, to okropne, ale czy można coś poradzić na to, co się czuje? Można to ukrywać, nikomu nie mówić, można (a nawet trzeba) krytycznie o sobie pomyśleć, nie najlepsze świadectwo moralne sobie wystawić, ale na samo uczucie nic się poradzić nie da, tak człowiek jest skonstruowany. Trochę chciałam podpytać, ale nie tak, żeby się zdradzić z jakimś niezdrowym zainteresowaniem. Zresztą: zainteresowanie jest, bo jednocześnie czuję smutek, że coś w akcji nie poszło; porażki, nawet jeśli nie moje, też mnie dotyczą, bo naprawdę czuję, że to nasza wspólna sprawa. Wiem trochę więcej, ale bez szczegółów – to miała być spora akcja, dostawa broni, skład był kilkuosobowy. Wydawało się, że będzie bezpiecznie, ale albo ktoś doniósł, albo po prostu pech, zjawili się Niemcy. „Dobrze, że nasi się w porę zorientowali”, powiedział Zygmunt. Strata bolesna, ale objęła tylko sprzęt. Niemniej tych kilkoro, w tym Lucyna, wycofani na razie z innych akcji. Mają się przyciąć, nie pokazywać, bo nie wiadomo, czy zdekspirowani, czy nie, zwłaszcza że Płowy, który nie brał udziału w tej akcji, przyuważał potem jakichś typków kręcących się pod ich kamienicą. On sam się wyniósł na kilka dni do kolegi, Lucyna gdzieś pod Warszawą, u babki, na dłużej – trochę tam posiedzi. Nie napiszę, że mnie to nie cieszy, bo cieszy, zwłaszcza że to chyba już drugi raz, bo wcześniej też przecież coś było, to, o czym ta ciotka dentystka mówiła. Nie zawsze bycie tak ładną się opłaca. Sam wygląd może gubić, a jeśli jeszcze do tego jest duża pewność siebie – a Lucyna ją chyba ma – to...*

*I druga sprawa, ta, o którą Zygmunt chciał prosić. Bo Lucyna miała za kilka dni brać udział w kolejnej akcji, ale teraz nie może. Potrzeba zastępstwa. Sprawa ważna, bo ktoś ważny likwidowany. A jak ważny, to wiadomo, że warunki trudniejsze. Trzeba dostarczyć, przeczekać likwidację, a potem zabrać broń. I to wszystko w mocno trudnych warunkach – ja bym miała to zrobić. Zgodziłam się od razu, bez wahania. Szczegóły poznam przed samą akcją.*

*Więc teraz siedzę i o tym wszystkim myślę.*

*Jestem w emocjach – z powodu jego osoby, z powodu akcji. Jest ważna, jeśli się uda, to... duma. Jeżeli nie... pytanie jeszcze, co to znaczy, że się nie uda – bo*



*jest tu wszystko: i niezlikwidowanie celu, i śmierć któregoś z chłopaków, i własna. A jeszcze wcześniej może być przesłuchanie.*

*Paradoks – te zmiany w moim życiu to przez Henryka. Gdyby nie on, tobym nie weszła do tej grupy. On sam, taki zwyczajny, przeciągnął mnie (też do tej pory zwyczajną) w inny świat. Przyznaję, zaczynam o nim myśleć ciut inaczej. Może do tej pory czegoś nie widziałam?*

*No i w końcu nie poszłam na pocztę. Trochę się jeszcze łudzę, że to jakieś opóźnienie z tym listem albo że ciotka po prostu nie mogła tak szybko przyjechać.*

*Trudno, nadrobię to jutro.*

*A za dwa dni zebranie na Złotej.*

\*

– Synku mój, synku... – Drobną kobietą w za dużym płaszczu padła na kolana. Wyjęła z kieszeni chusteczkę i zbierała na nią krew z chodnika. Potem ją pocałowała i tkliwie włożyła do torebki; na jej policzku została czerwona smuga.

Ludzie obok niej też klęczeli; jedni modlili się cicho, inni zawodzili, płakali. Ulica była gęsto wypełniona takim ludzkim nieszczęściem.

– Za co to, za co? – Inna kobieta, z małą dziewczynką, która stała obok i nic nie rozumiała, głaskała ścianę kamienicy w Alei Niepodległości. – Przecież miało być lepiej, miały być amnestie, przecież bolszewicy już podobno blisko...

– Nic z tego. Nic. Nic już nas nie uratuje. – Starszy mężczyzna położył teczkę na ziemi i wyciągnął z niej znicz. Zapalił go i się przeżegnał. – Nic nam nie pomoże. Albo nas zdradzili, albo pokonać ich nie potrafiamy. A my sami przecież nie damy rady.

– Zrobiamy z nami to samo co z Żydami. – Zza jego pleców odezwał się inny głos. – Wybiją nas. Będą tak do nas codziennie strzelać na ulicy. Albo w tramwaju, w pociągu, na dworcu, gdziekolwiek. – Mężczyzna wypowiadający te słowa pokręcił głową. – Oni są

bezwzględni. I wszystko planują – *Ordnung*, psia krew. Getto zrobili tak, żeby Żydzi sami zaczęli umierać; ci, co jeszcze do roboty się nadawali, to ich wycisnęli jak cytrynę, a potem transportem do obozu. Tam jeszcze ostatnie dobra zabrać, to futro, to pierścionek czy złote zęby, potem piec i po sprawie. U nas będzie tak samo, zobaczycie.

Kobieta, która wcześniej gładziła podziurawioną od kul ścianę, patrzyła teraz na tego mężczyznę.

– Ale jak tak samo? Przecież my... nas... więcej jest. I Rosjanie, i Europa.

Mężczyzna się zaśmiał – nieprzyjemnie, głośno. Dziewczynka schowała się za matkę; zza spódnicy wystawał teraz tylko jasny warkocz.

– Wie pani, gdzie oni nas mają? W... – Spojrzał na dziewczynkę i machnął ręką. – Więc tam nas mają. Albo głębiej. My to zawsze tacy szarpani byliśmy, i teraz też jesteśmy. Ziemia potrzebna, majątek, a ludzi tyle tylko, co do pracy. I takich, co będą pracować bez szemrania. Zniemczy się ich, o, albo Ruskimi zrobi.

– Ale jak to? Przecież to wyzwoliciiele?... – Kobieta patrzyła na niego okrągłymi ze zdumienia oczami.

Mężczyzna znowu zaczął się śmiać; tym razem histerycznie. Dziewczynka już całkiem schowała się za matkę.

– Wyzwoliciiele? – powtórzył po niej. – A w Katyniu to kto był? Tra-ta-ta-ta i już! Polska inteligencja do piachu. Szkopy zrobią to samo. – Machnął ręką i się odwrócił.

Barbara, która przysłuchiwała się tej wymianie zdań, miała ściśnięte gardło. Przyszła w Aleje jak wielu innych warszawiaków. Żeby zobaczyć, zapalić świeczkę, pobyc w tym miejscu. Nie spodziewała się, że będzie tu tylu ludzi. I tyle krwi – na chodniku, jeszcze niewsiąkłej. I na tynku – jakby go ktoś czerwoną farbą oblał – od wysokości około metra sześćdziesięciu, czyli jakby ustawić kogoś pod ścianą, to tu by była jego głowa, krwiste zacieki

spływały na chodnik. I taki koszmarny wzór się ciągnął i ciągnął...

I jeszcze teraz ten mężczyzna...

– Wariat... – Kobieta z dziewczynką popatrzyła na nią. Chyba oczekiwała potwierdzenia swoich słów, ale Barbara milczała. Jeszcze we wrześniu nastroje były lepsze, mówiło się, że koniec wojny bliski. Na tych samych chodnikach, teraz zbroczonych krwią ludzi z łapanki, pisano „October”, żeby Niemcy wiedzieli, że wszyscy już zaznajomieni z ich sytuacją, że klęska i ich koniec blisko.

Nic z tego się nie sprawdziło, a w połowie października zaczęły się zbiorowe egzekucje.

– Ja wariat? Ja? – Nie odszedł zbyt daleko. Nagle znowu znalazł się przy nich.

Dziewczynka aż pisnęła, tak głośno się odezwał.

– Nie jestem wariatem. – Nachylił się do młodej kobiety, a ta się odsunęła z przestrawieniem. – Nie jestem – dodał już spokojniej. Wyprostował się. Teraz patrzył na Barbarę. – Pani chyba więcej rozumie – ni to zapytał, ni to stwierdził. – Więc pani to powiem: tylko taką samą bezwzględnością można by ich zniszczyć. Tylko tak. Inaczej nie przetrwamy – dorzucił i powoli odszedł. Tym razem naprawdę.

Barbara nic nie odpowiedziała. Stała w miejscu i dławiła się własną bezsilnością. Jeszcze przed chwilą wydawało się jej, że robi coś wielkiego, coś, co może zmieniać bieg wydarzeń, kogoś uratować, ale to było mało, dużo za mało. Wydawało się jej, że kiedy tu przyjdzie i postoi, modląc się nad płomieniami zniczy, to znajdzie w tym ukojenie.

Nie znalazła.

Przymknęła powieki i zacisnęła pięści. „Tylko taką samą bezwzględnością można by ich zniszczyć”.

Przestała dygotać.



## Rozdział czternasty



Tramwaj usypiająco stukotał. Na zewnątrz było całkiem ciepło, w środku – jeszcze bardziej. Dziś Barbarze nie przeszkadzał ten ścisk, ta obecność innych ludzi. W ogóle mało co z takiej zwyczajnej rzeczywistości ją dotykało. To znaczy dotykało, bo te plecy i ramiona były tuż przy niej, ale przynajmniej mogła się oprzeć, zwłaszcza że motorniczy pędził, hamował, zarzucał tramwajem na zakręcie. Teraz też coś głośno zgrzytnęło. Skręcili w Marszałkowską i jechali w kierunku Sosnowej.

Barbara zaczęła się przesuwać ku wyjściu; byli już niedaleko Złotej. I wtedy zauważyła, że głowy ludzi są skierowane w jednym kierunku; współtowarzysze podróży wypatrywali czegoś, co znajdowało się przed nimi, na trasie jazdy.

Przepchnęła się w kierunku pomostu, żeby mieć lepszy widok.

Motorniczy przejechał przystanek, na którym powinna była wysiąść – po prostu się nie zatrzymał. Nic dziwnego – przy bramie stały samochody i żandarmi z karabinami maszynowymi wycelowanymi w górę, w kierunku okien; zresztą mundurów było więcej – cała okolica była obstawiona. Dokoła zaś kłębił się tłum, jak tam, wtedy, pod Europejską.

Barbara miała wrażenie, że odgłos jej walącego serca jest głośniejszy niż stukot kół o szyny. Coś niedobrego się tu stało. Istniał cień szansy, że nie u nich, że w innym lokalu, ale to by był dobry przypadek, a w życiu, a zwłaszcza podczas wojny, złe przypadki są zdecydowanie częstsze.

„Kto był w mieszkaniu, kto był w mieszkaniu?...”, kołatało się jej w głowie. Ona zjawiała się przed czasem, niesiona emocjami i chęcią wykazania swojego zapału. A inni? Mogli przecież już być na miejscu, omawiać inne sprawy. Henryk nie, teraz był w zakładzie. A czy Zygmunt?...

Zeskoczyła z pomostu.

Czuła, że rozsadza jej głowę i klatkę piersiową. Aż dziw, że nikt tego nie dostrzegął; że w środku człowieka może się tyle dziać, a on dla ogółu wygląda spokojnie.

– A co to tu, że tyle ich? – Kobieta w beżowym płaszczu wodziła wzrokiem za żołnierzami.

– To panią dziwi? Z zamorskich wakacji pani wróciła? – Mężczyzna z teczką pod pachą wzruszył ramionami. – Okupacja przecież jest. Czy to pierwszy raz?...

– Zabrali kogoś? – Kobieta pominęła tę uwagę.

Barbara przysłuchiwała się ich rozmowie w napięciu. Miała nadzieję, że czegoś się od nich dowie.

– Nie wiem... Nic nie widziałem, a stoję tu już trochę. Trzepią i trzepią... – Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Zabrali, ja widziałem. – Barbara odwróciła się w stronę tego głosu. Starszy mężczyzna w marynarce z mocno przetartymi rękawami podniósł laskę i wskazał na górne piętra. – Gdzieś stamtąd. Chłopaka jakiegoś.

– Jakiego? – zapytała Barbara. Głos jej drżał.

– Młodego – odparł mężczyzna z laską.

– Ale wysoki, niski? Blondyn, szatyn, brunet? – Nie chciała pokazać, że jest bardziej zainteresowana tą sprawą, ale trudno jej było opanować emocje.

– Ja nie wiem, daleko to było, tam nie dopuszczają, tych w mundurach szpaler... A czemu pani pyta? To narzeczony? Jeden z tych, co... – urwał.

Nie miała pojęcia, jakie są intencje tego mężczyzny. Może i aprobata, jak pod Europejską, a może to taki typ, jak ten od

donosu na tę żydowską dziewczynkę.

– Pytam, bo tu mój znajomy ze szkoły mieszka – odpowiedziała spokojnie. – A teraz to, co robią Niemcy na ulicach, te masowe egzekucje... Podobno już nawet ludzi z domów biorą, ot tak, jak w wyliczance...

– No tak – mruknął.

Też było trudno ocenić, czy jest tą odpowiedzią usatysfakcjonowany czy wręcz przeciwnie – rozczarowany.

– Wysoki był. Ciemny taki. Nie w sensie, że Żyd, tobym od razu powiedział, po prostu taki typ urody.

Kolana Barbary nagle zmiękły.

„Boże, tylko nie to, bardzo cię proszę, tylko nie on”. Zacisnęła dłonie w pięści. Opis pasował do Zygmunta, bez dwóch zdań.

– O, chyba się zwijają. – Kobieta machnęła torebką w kierunku żołnierzy.

Rzeczywiście, mundurowi wycofywali się z bramy, wskakiwali na samochody, a po chwili ciężarówki z łoskotem wyjechały na ulicę.

Tłum pod kamienicą rzedł. Trochę gapiów jeszcze zostało; wśród nich – Barbara.

Nie wiedziała, co robić. To, że Niemcy odjechali, niczego nie przesądzało. Walka z nimi to była ciągła gra – i to taka bez reguł. Znacząca zasadą było to, że za wszystko można było dostać kulkę w łeb, poza tym – nic nie było pewnikiem. Mogli naprawdę się zwinąć, mogli się gdzieś przyczaić i obserwować rozwój sytuacji.

Mimo to postanowiła pójść na górę. Na ramieniu miała tę swoją gospodarską torbę; teraz był w niej tylko jeden zeszyt, ten „oficjalny”, z nauki w szkole zawodowej. Jakieś szkice, wykroje, kilka zdań o niciach. To, czego miała się uczyć, żeby tylko zdobyć zawód, być przydatnym trybikiem w zniewolonym kraju. Poczowała złość – ostatnio zupełnie zapuściła naukę, a to tak, jakby się poddawała. „Przysiędę fałdów, żeby tylko...”, pomyślała, idąc po

schodach. Wszystko była gotowa obiecać w intencji zachowania Zygmunta przy życiu.

Z trudem pokonywała kolejne drewniane stopnie. Do trzeciego piętra nie było żadnych oznak niedawnej akcji.

Na kolejnym półpiętrze zobaczyła męską chustkę do nosa. Schyliła się po nią; beżowy materiał był zaprasowany w kwadrat; w rogu widniała wyhaftowana ciemnoniebieska litera „Z”.

Barbara usiadła na schodach. Nie mogła złapać oddechu. „Przecież prosiłam...”, pomyślała bezradnie i spojrzała w sufit, jakby chciała się przebić tym spojrzeniem wyżej, do nieba.

A mimo wszystko to, czego już się nauczyła, wzięło górę. Nie może tu siedzieć, nie może płakać, nie może zrobić żadnego błędu.

Wstała i pokonała kolejne półpiętro. Drzwi do „ich” mieszkania były uchylone, ale nie roztrzaskane. Nigdzie nie dostrzegła śladów krwi. Rozejrzała się – nikogo nie było widać i słyszeć.

Weszła do środka. Panował tu duży bałagan – szuflady z komody były powyciągane, drzwi od szafy otworzone, dwa krzesła przy stole – przewrócone. Na podłodze leżały skłębione ubrania, pościel, poduszki zrzuczone z tapczanu, kilim zerwany ze ściany. Wciąż jednak nie dostrzegła oznak walki. Zygmunt by się chyba bronił?... A może właśnie nie?

Rozgarnęła zmięte materiały; próbowała sobie przypomnieć, gdzie dokładnie była skrytka. Po kilku chwilach wymacała delikatną rysę na deszczułce – ta była wyjmowana. Widać było, że nikt jej teraz nie ruszał. Kiedy Barbara się podnosiła, pod jedną z niesprzątniętych poduszek dostrzegła dowód. Podniosła go.

– Ewa Śmigielska – przeczytała cicho. Rozpoznała dziewczynę ze zdjęcia – to była ta, którą widziała wtedy w mieszkaniu.

„Jakim cudem szkopy to przeoczyły?”, pomyślała. Wydawało się to wprost niemożliwe. A jednak. To może i Zygmunt ocalał?... Przypomniał się jej wiersz Konopnickiej, który omawiali przed maturą na kompletach: „W niezgasłe gwiazdy ufam wśród zawiei – przeciw nadziei. *Contra spem – spero*”.



Więc może, nie tak poetycko, a prozaicznie, jednak?...

Nagle usłyszała jakiś dźwięk na klatce schodowej. Zesztywniała, a po chwili, cicho, najciszej, jak umiała, przeszła w stronę korytarza. Na szczęście porozrzucane ubrania bardzo ograniczały skrzypienie parkietu. Przez szparę między ścianą a drzwiami zobaczyła kwiecisty materiał, a potem jasne, długie włosy. To była kobieta, na pewno. Drzwi skrzypnęły i do mieszkania weszła...

Lucyna.

\*

Ostatnim razem, gdy stała przy tym oknie, trzymała w ręku kawałek czekolady. Z emocji tak go ścisnęła, że zamiast rozprowadzić tę wytrawną słodycz po podniebieniu, musiała ścierać chusteczką lepkaż maż z dłoni.

Teraz skubała liść paprotki.

– Lokal spalony, na pewno na dłuższy czas, może już na zawsze.  
– Zygmunt siedział przy stole i wybijał palcami jakiś trudny do rozpoznania rytm. – Ten młody chłopaczek... Przecież to młokos, dzieciak jeszcze.

– Siedemnaście skończone – powiedział Płowy.

– I nie wiem, czy więcej będzie. – Zygmunt bębnił palcami w stół. – Ja rozumiem, że chce się walczyć, że w imię ojczyzny, ale martwi nic nie pomogą.

Barbara odwróciła się od okna. Zygmunt miał twarde spojrzenie. Choć nie – raczej: smutno-twarde.

– A do tego niewiele brakowało, żeby i Lucyna do niego dołączyła. To jest skrajna nieodpowiedzialność. Skrajna, rozumiesz? – Teraz Zygmunt wpatrywał się w Płowego, jakby to on sam zrobił coś głupiego.

– Luśka się dowiedziała i widać nie mogła się powstrzymać. – Płowy zaczął ją tłumaczyć. – Wuj był rano w Warszawie, akurat wtedy, kiedy zgarnęli Zbyszka. Luśka była z wujem, miała tylko

coś zabrać z domu i wracać do Turczynka, wszystko było pod kontrolą, żadnego chodzenia po mieście, kapelusz, okulary, nie przypominała siebie. I wszystko by się potoczyło zgodnie z planem, ale wuj spotkał Józka, tego granatowego policjanta, co z nami współpracuje. Zobaczyli się na ulicy, a ten mu, że taki i taki chłopak trafił na Pawiak i że oni chyba są rodziną. Są, Zbyszek to nasz kuzyn. Wuj zbladł, bo nic nie wiedział, że Zbyszek w coś zaangażowany, ja zresztą też nie wiedziałem. Wuj wsiadł w pociąg, z powrotem do Turczynka, po pieniądze, żeby chłopaka wyciągać. Lucyna miała siedzieć cicho w domu, na placu Dąbrowskiego, i czekać na jego powrót, a po południu pojechać do babki. No ale ten Józek powiedział wujowi, że jeszcze innego przywieźli razem ze Zbyszkiem. Też ze Złotej... Lucyna musiała pomyśleć, że to ktoś od nas... – Popatrzył na niego.

Zygmunt milczał, więc Płowy kontynuował:

– Potem się okazało, że ten chłopak to już wcześniej był na tej pace, po drodze go zgarnęli i nic nie ma wspólnego z naszą sprawą. Tego wuj nie wiedział, no bo wtedy nie mógł wiedzieć. Zresztą wtedy nic nie było wiadomo, tyle tylko, że sytuacja jest dramatyczna i trzeba działać szybko. Wuj pomyślał, że Zbyszek jakąś głupotę strzelił, ale nie mógł wiedzieć, jaką, no bo co Zbyszkowi do głowy wpadło, żeby się po mieście z bronią włóczyć... Tak czy owak, Lucyna nie mogła wytrzymać i przysłała na Złotą. Złamała słowo, bo emocje wzięły górę...

Barbara odwróciła od nich wzrok. Patrzyła przez okno, na plac Dąbrowskiego. Ludzie chodzili tu jak mrówki w mrowisku – w różne strony, szybko, przecinając swoje szlaki. Gdyby zjawili się tu kilka minut później lub wcześniej, nie spotkaliby się, nie minęli. Może to nie miałyby żadnego znaczenia dla ich życia, a może miałyby ogromne. Przypadek. Tak, życie było sumą przypadków. Kiedy przed mieszkaniem na Złotej Barbara zobaczyła Lucynę, zdębiała. „Przecież miała siedzieć na tej wsi, dekować się”, pomyślała. A tu – proszę jest, zjawia się – i to zaraz

po takiej wpadce. Okazało się, że była w mieszkaniu tuż przed Barbarą; to Barbara ją spłoszyła. Nie mogła uciekać w dół, więc schowała się piętro wyżej.

– Rozkaz to jest rozkaz – powiedział Zygmunt. Tym razem w jego głosie było więcej twardości niż smutku.

– Jest. Ale wiesz, jak to jest, gdy się o kogoś boisz... – Płowy bezradnie rozłożył ręce.

Barbara wiedziała, bo przecież sama pchała się na górę, żeby sprawdzić, co się tam wydarzyło.

W mieszkaniu były razem tylko chwilę. Barbara pokazała jej chusteczkę. Lucyna najpierw zbladła, ale szybko doszła do siebie. Musiała wiedzieć, że to nie Zygmunta, ale nic Barbarze nie powiedziała. Zapytała, czy Barbara coś jeszcze znalazła, więc powiedziała o dowodzie. I tyle, więcej nie rozmawiały, bo to nie było miejsce na rozmowy. Lucyna zeszła pierwsza. Barbara widziała ją przez okno na klatce – wyszła z bramy jakby nigdy nic, pewnym krokiem, elegancko. Po prostu była sobą. Zresztą Barbara też, tyle że w jej wykonaniu oznaczało to torbę na ramieniu, zwyczajny krok i szybkie wtopienie się w tłum.

A za rogiem prawie wpadła na Lucynę i Zygmunta. I zobaczyła, jak ona go ściska. I najpierw spłynęła na nią ogromna, wręcz obezwładniająca radość, że on jednak żyje, że to nie jego zgarnęli, a potem...

Poczuła nagłe ukłucie i poczuła ciepłą, kleistą lepkość. Spojrzała w dół; na swoich palcach dostrzegła kilka kropli krwi i zieloną smugę, a na podłodze – zgniecione, oberwane liście.

\*

Nie wiedziała, co to tak stuka – czy gdzieś na podwórku, czy na ulicy? A może u sąsiadów? Raczej tak, bo odgłos wydawał się całkiem bliski. A może jej się to przyśniło? Był chyba środek nocy, bo ciemno, a ona – nieprzytomna. Długo nie mogła zasnąć, kręciła

się w łóżku, aż mama się zaniepokoiła, czy przypadkiem nie jest chora.

Nie była chora. Była... rozbita. Smutna. Szczęśliwa. Rozedrgana. Splątane wszystko razem. Sen miał pomóc, ale teraz ten hałas ją wybudził. I znowu będzie się wierciła. Co za dzień...

Poderwała się z poduszki. Teraz to już nie było pukanie, a walenie w drzwi – do ich mieszkania.

– Zostaw, on jest w takim stanie, że nic nie powie. – Krystyna Leoniewska położyła rękę na ramieniu córki. – Przecież widzisz...

Barbara widziała. Henryk był pijany. Walił w ich drzwi, a kiedy w końcu przerażona otworzyła, wtoczył się do środka. „Basia, Basia...”, tyle powiedział, a raczej wybełkotał.

Od razu też przyszła matka. O ile stukania nie słyszała, o tyle łupanie w drzwi obudziłoby każdego. Zresztą Barbara usłyszała szuranie na klatce, więc któryś z sąsiadów musiał zaniepokojony wyjrzeć na schody.

– Henryk? – Krystyna Leoniewska widziała, że to on, ale w takim stanie nigdy go wcześniej nie oglądała. – Co się stało? – zwróciła się do córki, bo jasne było, że on nie odpowie na żadne jej pytanie.

Barbara wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce w geście bezradności. Co miała powiedzieć?

– Co jemu się stało? To zawsze był taki rozsądny chłopak. A teraz... W nocy, na ulicy. Jakby go zobaczyli... – Spojrzała w dół, na wytarty chodnik, gdzie, oparty o ścianę, półsiedział, półleżał ich niespodziewany gość.

– Ma przepustkę nocną. Z pracy.

Barbara próbowała opanować drżenie. Co za cholerny dzień! I jeszcze teraz ten Henryk!

– Ale chyba nie był teraz w pracy? – Krystyna spojrzała na córkę.

– A skąd ja mam wiedzieć? – Barbara pilnowała tonu. Problem jednak polegał na tym, że rozmawiała z matką, która ją przecież

doskonale znała – każdy gest, nieprawdziwe słowo, fałszywa nuta, ucieczka wzrokiem – wszystko to zostanie natychmiast rozpoznane. Matka na pewno i teraz w niej czytała, jak w otwartej księdze.

– Basiu... – Krystyna Leoniewska zaczęła, ale urwała. Chciała chyba, żeby Barbara sama skomentowała tę sytuację. Barbara jednak milczała.

– Przecież ty wiesz, o co chodzi. No? – zachęciła ją, ale bez rezultatu, dlatego w końcu sama powiedziała: – To się źle skończy.

Matka nie mogła mieć na myśl ich konspiracji, no jak, skąd?... Więc pewnie znowu chodziło o to samo.

– Ale co ja mogę? Przecież mu nie zakazę, żeby do mnie przychodził.

– To nie, prawda. Ale widuję was czasami razem. Zawsze to on cię spotyka?

– Mamo, to nasz sąsiad.

– Od ponad trzech lat już nie.

– Pracuje tu niedaleko.

„Jak w badmintonie”, pomyślała Barbara. I która z nich pierwsza skusi?

– Ale gdybyś nie chciała się z nim spotykać, tobyś się nie spotykała, prawda?

No i wyszło, że to Barbara przegrała tę słowną rozgrywkę. Co miała powiedzieć matce – że się spotykają, bo łączy ich konspiracja? Dobre sobie, toby matkę kompletnie rozbiło, już całkiem by się posypała. Ojciec, wojna, strach o córkę, strach o siostrę...

„Szlag!” Znowu nie poszła na tę pocztę, a przecież z placu Dąbrowskiego miała tak blisko! Ale jak iść nadawać list, skoro właściwie nie wiedziała, jak pokonała drogę do domu? Taki natłok w głowie, taki zgrzyt w sercu.

– Mamo...

Henryk, do tej pory cichy i sprawiający wrażenie nieuczestniczącego w rozmowie, teraz otworzył oczy. Przekreślił się na bok, wsparł na rękach i przytrzymując się ściany, podniósł się. Lekko się chwiało, ale oczy miał otwarte.

„Trzeba go położyć, zanim nas zdradzi”, pomyślała Barbara.

Ale było już za późno:

– O którego z nas się bałaś? – Obie usłyszały to powoli i, niestety, zrozumiale zadane pytanie.

Barbara zaczęła w panice obmyślać odpowiedź, okazało się jednak, że odpowiedź może zostać chwilowo odroczone – Henryk, wstrząśnięty gwałtownym skurczem żołądka, zwymiotował.

– Trzeba to posprzątać. – Pierwsza odezwała się Krystyna.

Barbara kiwnęła głową.

Trzeba było posprzątać.

– Śpi jeszcze? – Krystyna Leoniewska miała podkrążone oczy; widać było, że ta noc dała się jej we znaki. Barbarze zresztą też.

– Śpi. Ale zaraz go obudzę. Do roboty się spóźni.

– Obudź. I porozmawiaj z nim jak z człowiekiem.

Barbara kiwnęła głową.

– Jakkolwiek by było, trzeba się dobrze zachować, rozumiesz? Los do człowieka wraca, pamiętaj o tym.

To akurat Barbara wiedziała.

– Dobrze, mamó. – Starła się uspokoić matkę. – Nie martw się, to się więcej nie powtórzy.

– A kiedy on tak pytał... – Matka zawiesiła głos. – To kogo miał na myśli? Jest ktoś?...

Barbara machnęła ręką.

– Nie ma nikogo.

– Na pewno? Mnie możesz powiedzieć, ja przecież...

– Nie ma nikogo, mamó. Nikogo.

Twarde zaprzeczenie chyba trochę uspokoiło matkę. Patrzyła jeszcze przez chwilę na córkę, a potem westchnęła:

– Oby, bo wiesz, ja nie miałabym siły martwić się i o ciebie. Ojca nie ma, a ja teraz wciąż myślę o Marysi. Jak nie da znaku życia, to ja...

– Da, na pewno! – zapewniła ją żarliwie Barbara. – Teraz się zaczęły te potworne akcje Niemców, ludzie przecież unikają dworców, kolejek dojazdowych. Ciotka na pewno o tym wie i dlatego nie przyjeżdża.

„Zaraz pójde na pocztę”, pomyślała.

– No, może, może. Prawda, teraz jechać do Podkowy to strach, ale jak się Marysia nie odezwie... – Zawiesiła głos. – Ja, co prawda, nawet do tramwaju mam obawy wsiadać, ale trzeba iść do pracy. – Mama patrzyła na nią. – I co z ciotką, też trzeba będzie sprawdzić.

Barbara pokiwała głową. Wyrezy w tym matkę.

– A ty słyszałaś, co się działo kilka dni temu na Muranowie? – Mama nagle zmieniła temat.

– Na Muranowie? Tam już przecież nic, nikogo nie ma.

Barbara poczuła ukłucie w okolicy serca.

Getto powoli znikało; mur trwał, ale to, co otaczał, stało się już historią. Niemcy metodycznie burzyli wszystko, co zaświadczało, że kiedyś było tam jakiegokolwiek, to znaczy: żydowskie życie. Nie do końca skutecznie, bo mówiło się, że w gruzowisku wciąż się ukrywają ludzie. Barbarze trudno było sobie to wyobrazić. Myślenie o tym, jak i wcześniej o getcie, bolało ją. Kiedy nie myślała, to znaczy starała się nie myśleć, też ją to bolało.

– Tych ludzi nie ma, ale Niemcy sobie upodobali to miejsce.

„To miejsce”, „ci ludzie”, „ta sprawa”. Matka nie była nieczuła, po prostu się broniła przed prawdą, której nie dawała rady unieść.

– W pracy mówili... bo Grażyna, znasz ją, mówiłam ci o niej, prawda?

Barbara kiwnęła głową. Kojarzyła imię, choć ostatnio opowieści mamy przynoszone z pracy mało ją zajmowały; słuchała, czasem komentowała, szybko zapominała. Myślami była gdzie indziej.

– Więc ona mieszka tam niedaleko, obok cmentarza. I dwa dni temu w nocy słyszała strzały. Przez kilka godzin, takie regularne. Do strzałów to ona przywykła, jak każdy, do tych z... z tego miejsca też, ale teraz to one są rzadziej, jak kogoś znajdą, to... I już. A tu – godzina za godziną. Ucichło, kiedy zaczęło się przejaśniać. I potem się okazało, że to z Pawiaka. Ponoć sześćset osób. Kazali się rozebrać, pognali ich w ten gruz i tam zabili.

Barbara patrzyła na matkę. Nie rozumiała, po co jej to mówi. Przecież chyba nie podejrzewała?...

– Ona to opowiedziała w pracy, podczas przerwy. Że taka jest zmęczona, kołowata, bo spać nie mogła. I wtedy się okazało, że inna kobieta, ja jej nie znam, bo ona pracuje w zakładzie obok, nie w biurze, miała tam syna, to znaczy on trafił kilka dni wcześniej na Pawiak. Więc kiedy ona to usłyszała, to po prostu zemdląca. I ja sobie wtedy wyobraziłam...

Barbara już chciała zaprzeczyć, że nie ma nic wspólnego z takimi działaniami, od razu zamknąć tę sprawę, kiedy matka dokończyła:

– Mamę Henryka. Ona też wdowa, ma ich tylko dwóch. Serce by jej pękło, gdyby on...

Więc to o Henryka chodziła, nie o nią.

– Ale dlaczego myślisz, że Henryk miałby się w coś takiego wplątać?

– Nie wiem, tak tylko mówię. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. To porządny chłopak. Więc skoro tak się upija, to ma jakiś problem. Jeśli nie z miłością, to może taki.

Barbara pokręciła głową. To było lepsze niż jakiegokolwiek słowa.

– No nic, tak tylko mówię. Tobie też. Bo czasem człowiek się wplącze w takie rzeczy, że potem...

Barbara poczuła nieprzyjemny dreszcz. Matka nie mogła nic wiedzieć, ani o niej, ani o Henryku. To były pewnie takie lęki, jakie miewają teraz wszystkie matki. Postanowiła, że od tej pory musi się bardzo pilnować. I rozmówić z Henrykiem – żadnych



odwiedzin na Krochmalnej, zwłaszcza że, jak widać, potrafi się doprowadzić do takiego stanu, w którym zupełnie traci nad sobą kontrolę.

Ostatnio wciąż się dowiadywała o nim nowych rzeczy. Niby nie były to jakieś chwalebne sprawy, a mimo to trochę jej imponowały, bo pokazywały, że jemu na niej naprawdę zależy.

Krystyna Leoniewska pocałowała córkę w czoło i się odwróciła. Gdy położyła dłoń na klamce, rozległo się pukanie. Nie takie, jak to wczorajsze. Zwykle, delikatne. Barbara jednak i tak podskoczyła. Musi się uspokoić, bo nic z niej w tej robocie nie będzie. W ogóle nic z niej nie będzie.

Matka otworzyła drzwi. W progu stał listonosz.

– Dzień dobry. List mam. Chyba dobry, bo z Podkowy. – Uśmiechnął się. Znał je i wiedział, że mają tam rodzinę. Podał kopertę i poszedł na górę.

Barbara odetchnęła, matka też się rozpromieniła.

„Czyli z tą pocztą to jednak dobrze wyszło”, pomyślała Barbara. Czasem los decydował za człowieka, i słusznie.

– Od Marysi, to widzę. – Matka przysunęła kopertę do oczu. – Nie chcę już okularów zakładać, więc ty przeczytaj, kochanie.

Barbara wzięła list z jej rąk. Rzeczywiście, nadawczynią była Maria Stankiewicz, Krystyna Leoniewska i Krochmalna osiemdziesiąt dwa też się zgadzały, ale... W korytarzu było ciemnowo, matka bez okularów mogła tego nie zauważyć – litery były duże, niby wyraźne, ale jakby niepewnie stawiane. Różniły się od starannego pisma ciotki.

Barbara poczuła ścisk w żołądku. Próbowwała podważyć zamknięcie palcem, ale było solidnie zalepione, poszła więc do pokoju po nożyk do papieru. Wsunęła go pod papier i przejechała po zgięciu. Drżącą ręką wyciągnęła kartkę.

Nie było tam wiele – trzy zdania, pisane tą samą ręką co na kopercie.

– No, co ciocia pisze? Kiedy będzie?

„Nigdy”, pomyślała Barbara. „Nigdy”.



## Rozdział piętnasty



*Boże, Boże, Boże!*

*Nie wiem, co mam napisać...*

*Zresztą wiem – prawdę. Człowiek musi mieć takie miejsce, gdzie wolno mu wyrażać prawdę, boby oszalał. Tym miejscem są moje „zaprawki”. Doszłam do takiego momentu w życiu, że – w całości – nigdzie i przed nikim nie mogę być do końca szczerą. Każdemu daję tylko wycinek, wyimek prawdy. Nawet jeśli nie kłamię wprost, to przemilczam pewne sprawy. Tylko tu, tylko przed sobą, mogę być zupełnie szczerą.*

*Ciotka nie żyje.*

*„Stankiewicz Maria zmarła. Nie była chora ani nie był to wypadek. Pochowana na cmentarzu tutajszym”. I jeszcze podpis: „Sąsiedzi”.*

*Piętnaście wyrazów, które nieodwołalnie obwieściły kres życia ciotki. Nie było wiadomo, co się stało, tyle tylko, że coś, o czym pisać nie wolno.*

*Przeczytałam i nie rozumiałam, jakbym czytała zadanie z geometrii. Każdy wyraz pojedynczo jasny, ale razem – nie dają żadnego spójnego sensu.*

*Potem od razu pomyślałam, że to przeze mnie, że skoro po tym pierwszym wysłanym liście nie było reakcji, trzeba było szybciej coś przedsięwziąć. Bo może ten pierwszy list nie dotarł i dlatego ciotka nie przyjechała. A gdyby przyjechała, toby była tu, bezpieczna, u nas, a tak to zginęła, samotnie, gdzieś tam. Albo może właśnie się wybierała, też zestresowana brakiem wieści od nas.*

*„Zawaliłam”, myślałam. „Cholernie zawaliłam”.*

*A mama stała i patrzyła na mnie. Nie płakała, nie szlochała, po prostu patrzyła. „To co tam Marysia pisze?”, zapytała, zupełnie jakbym nie przeczytała przed chwilą tego listu, jakby nie usłyszała tych piętnastu słów. I dopiero ta obrona mamy, to jej niedopuszczenie do siebie faktów mnie powaliły.*

*Przyszedł Henryk. Zatrzymał się obok mnie. Przywitał się, najpierw z mamą. Trochę niepewnym tonem, czyli musiał pamiętać swoje nocne zachowanie. Druga niepewność wynikała z tego, że mnie po policzkach ciekły łzy. Nie napisałam, że „płakałam”, bo to było tak, jakbym ja w ogóle nie miała udziału w tym płaczu, te łzy się po prostu wylewały ze mnie. A mama mu odpowiedziała „dzień dobry”, jakby nic się nie stało. On stał, nic nie rozumiał, więc podałam mu tę kartkę. „Boże, co się wydarzyło?”, zapytał. I dopiero na to jego pytanie mama zareagowała: „Ale o co pytasz?”. Przeszliśmy do pokoju, ona usiadła przy stole, włożyła okulary na nos i przeczytała sama, wtedy do niej dotarło. Chciała natychmiast jechać, patrzeć, oglądać, choć przecież już nie było czego, kogo... Potem jeszcze się łudziła, że to może pomyłka albo jakiś podły żart – wszystko, byle nie prawda. Jakie to są straszne historie, kiedy na człowieka spada taka wiadomość, z którą nie może sobie poradzić. We wszystko by wtedy uwierzył, wszystko by sobie tak w głowie ułożył, byle tylko nie poznać prawdy.*

*Nie mogę pisać, to mnie przerasta.*

*Dopisek. Jest wieczór. To był koszmarny dzień. Mama pojechała w końcu do pracy. Henryk wreszcie wyszedł. Ja w końcu zjawiłam się na zajęciach. „Wyglądasz jak z krzyża zdjęta”, powiedziała Wanda. „To przez tego chłopaka, co go nie ma?”, zapytała tym swoim tonem, który miał sugerować, że oczywiście ktoś jest i ja robię z nim to samo, co ona z tym swoim Antkiem. Odburknęłam, żeby mi dała spokój, bo zupełnie nie trafiła. I że ciotka nie żyje. Przejęła się, zaraz zeskoczyła z ławki, uśmiech jej zszedł z twarzy, objęła mnie, przytuliła. To jest w sumie dobra dziewczyna, naprawdę. Ona jest takim jakby Henrykiem w spódnicy; właśnie – kiedy wróciłam do domu, to znowu zobaczyłam Henryka. Chciał zapytać, jak ja się czuję, jak matka się czuje. Tego ostatniego nie wiedziałam, bo zatrzymał mnie przed wejściem. Nie zaprosiłam go, bo pomyślałam, że mama wołałaby tylko naszą samotność. „Ja się mogę tobą, wami zaopiekować”, powiedział. Co do mamy – pomyliłam się. „Teraz masz już tylko mnie. Nie chcę myśleć, co się stanie, gdy mnie zabraknie. Nie odsuwaj od siebie Henryka”.*

*A co do siebie? Czego ja chcę?...*

*Tak, to jest dobry chłopak; ma wady, takie bezsprzeczne i takie, które może tylko mnie wadzą. Wanda mnie zabawia opowieściami, co to ona z Antkiem... Może chce mnie zszokować, może chce się podzielić swoim szczęściem, nie wiem.*

*W każdym razie to ma mnie zachęcić do korzystania z życia. I powiedziała jeszcze, że tak to już jest, że człowiek goni za tym, czego mieć nie może, a nie poważa tego, co blisko. I tak ze śmierci ciotki przeszliśmy do tematu przeciwnego – miłości i kochania. Gdyby mi ktoś przed wojną powiedział, że tak ta rozmowa może się potoczyć, nie uwierzyłabym. I wydałoby mi się to piekielnie niestosowne. Teraz myślę zupełnie inaczej; jest wojna, każdy dzień może być ostatni, więc jak można nie myśleć o miłości?*

*Tylko czym jest miłość? Ciotka, Panie zadbaj o nią, bo ona o siebie nie dbała dostatecznie, powiedziała, że prawdziwej się nie pomyli. Może ja jednak myślę?*

*Więc kolejna, druga noc trudna. Nie mogłam spać z powodu tych myśli. Nie płakałam, sama nie wiem dlaczego. Tak jak wcześniej był taki moment, gdy łzy same ze mnie ciekły, to teraz miałam suche oczy. Może już całkiem wyschły, a może ja już nie chcę płakać. Kiedyś już chyba tu pisałam, że czuję, jak zaczynam twardnieć. Dzisiejszy dzień to był taki kamyk do ogródka tego twardnienia, jeśli mogę tak napisać. Kamień właściwie. Nie chcę się czuć słaba i nieporadna. Nie chcę, żeby inni się mną opiekowali. Chcę sobie sama dawać radę. Więcej – chcę być taką osobą, którą inni by prosili o pomoc, o zaopiekowanie się.*

*Ten mężczyzna w Alejach... Nie, nie był wariatem. Tylko działanie może nas uratować – i jako pojedynczego człowieka, i jako naród.*

*I miłość – byle ją rozpoznać.*

\*

– Na peronie stała.

Mężczyzna z ogorzałą twarzą ani nie wyszedł przed dom, ani nie zaprosił Barbary do środka. Przedstawiła mu się, powiedziała, że jest od ciotki, pokazała kartkę, którą sąsiedzi wysłali do matki. Dodała, że to oni powiedzieli jej o jego wizycie i o tym, że to on ich poinformował o śmierci Stankiewicz Marii. Słuchał, nic nie mówił. Potem wziął podaną przez nią kartkę z tym nieporadnym pismem, spojrzął, ale jakoś tak za długo się przyglądał literom. Barbarze przyszło do głowy, że może nie potrafi dobrze czytać, pisać pewnie też nie. Nawet jeśli tak było, to nie wyglądał na

takiego, co nie radzi sobie w życiu. Była w nim jakaś... siła, „pierwotny spryt”, pomyślała, „instynkt przetrwania”.

Oddał jej kartkę, pokiwał głową, chyba na znak, że wystarczająco mocno udokumentowała swoje pokrewieństwo z zabitą, i powiedział to jedno zdanie, które miało, zdaje się, wystarczyć za cały komentarz do sytuacji. Albo nie był rozmowny, albo uważał, że ona więcej już wie; nie wiedziała. Sąsiedzi ciotki byli wiekowi i przestraszeni; odesłali ją do tej chałupy po informacje. „Nas tam nie było, my teraz przy domu jesteśmy”.

On też był przy domu, ale przecież Barbara wiedziała, że wychodzi, bo prowadzi „interesy”.

– Ciocia od pana kupowała... te różne rzeczy?

Chciała go zachęcić do mówienia, pokazać, że już go poznała z opowieści ciotki, że nie jest jej tak całkiem obcy, a zatem w jakiś sposób są już znajomymi. Wyszło jednak nie najlepiej.

– Ja tam nic nie mam, nic nie wiem. – I lekko się cofnął w głąb ciemnej sieni.

– Nie, nie – zaprzeczyła gwałtownie, bojąc się, że mężczyzna całkiem się wycofa i nic jej nie powie. – Mnie nie o to chodzi, że pan coś... Po prostu ciocia opowiadała... zresztą ja i mama bywałyśmy tu często przed wojną... – Popatrzyła na niego prosząco. Jeśli nie przekonają go słowa, to może to spojrzenie.

– No – zgodził się w końcu.

– Pan nas zna?

Wzruszył ramionami.

– No... Tak jakby. Mówiła, że do siostry jeździ. I czasem brała dla was coś.

– Właśnie, dla nas. Ja jestem Barbara, moja mama to Krystyna. Mama i ciotka były bardzo żyte, bo ciocia się nią opiekowała, kiedy ich rodzice umarli. Dlatego mama bardzo teraz rozpacza i chciałyby wiedzieć, jak wyglądały ostatnie chwile życia jej siostry. To co się stało?... – Spojrzała na niego jeszcze łagodniej, jeszcze bardziej prosząco.

Odwrócił wzrok, ale się odezwał.

– Ja tam nic nie wiem. Niewiele znaczy wiem. Wtedy, na tym peronie, to ja wracałem... no, przypadkiem byłem blisko. I się zaczęło – nagle pełno ich, szkopów znaczy, ruch taki, jak w stolicy. I strzały, to słyszałem. Ale nie wiem dokładnie, bo byłem w oddaleniu. Potem kolejka odjechała, szkopy też, a ona tam leżała. Poznałem ją, bo przecież rano kupowała... No. – Podrapał się w głowę. – I tyle tego. – Zdjął rękę z za ucha i się przeżegnał. – Pochować trzeba było, obowiązek chrześcijański. Tośmy pochowali... U was to pewnie już i tak nie ma gdzie grzebać?

Pokiwała głową.

– A wie pan, dlaczego właśnie ona? Czy to z powodu tego, co przewoziła?

– Co przewoziła? – Od razu się usztywnił. Już stał przed progiem, teraz znowu się cofnął. – Że ode mnie? Tu żadnej mojej winy. Każdy za siebie odpowiada. Każdy jeden.

– Nie, nie, ja nie mówię o winie – zastrzegła prędko. – Ja bym tylko chciała wiedzieć, co się stało. Dlaczego właśnie ona. I czy dlatego, że miała przy sobie coś, czego mieć nie wolno.

Właśnie to chciała wiedzieć. Czy ciotka zginęła dlatego, że Barbara ją prosiła o kawałek mięsa i odrobinę miodu? Musiała to wiedzieć; ciotka nie żyła, nic tego nie odwróci, ale Barbarze byłoby lżej, gdyby powód był inny, na przykład te okrutne i zintensyfikowane łapanki, które się rozpoczęły w połowie października i na które nikt, prócz losu, nie mógł nic poradzić.

– No. Miała coś takiego.

„Więc jednak...”

Deklarowana wczoraj w zaprawkach twardość nagle trochę zmiękła.

– Broń. – Nachylił się ku niej tak, że poczuła jego nieświeży oddech.

– Broń? – powtórzyła po nim, choć przecież dobrze usłyszała.

Skąd u ciotki broń? To było absurdalne. Niemożliwe.



– No. Ludzie, co tam wtedy byli, tak gadali. Że szkopy zrobili łapankę na peronie, taką, jakby wiedzieli, że coś będzie. I było.

– U ciotki? – Nie mogła w to uwierzyć. Przypadek, jakaś akcja odwetowa, ta nieszczęsna kontrabanda, ewentualne ukrywanie Żydów – to wszystko by się mogło wydarzyć, ale broń?

– No, przecie mówię – zniecierpliwił się. – Broń. Nie nic innego – dodał znacząco.

Stała i patrzyła na niego. Wciąż nic z tego nie rozumiała. On chyba jednak opacznie odebrał to milczenie, bo odezwał się, znowu się ku niej nachylając.

– Rano była tutaj. Dostała to, po co przyszła. Dla was, tak gadała, to cenę dałem lepszą, na moją stratę. Wsadziła to do torby, taką specjalną miała, że dwa dna jakby, a wyglądała jak zwykła, tyle że w kwiatki była. Na peronie zaś leżała zwykła szmacianka, tej nie było. Może w domu ją zostawiła? Żal by było, żeby się zepsuło. Wojna wojną, śmierć śmiercią, a jeść trzeba. No. Świeć, Panie, nad jej duszą.

Tym razem naprawdę się wycofał w głąb chałupy i zamknął za sobą drzwi.

\*

Barbara najpierw poszła na cmentarz. Wąski pas świeżej ziemi, sięgający do łydki, z przodu wbity nieduży krzyż o wąskich ramionach, na nim tabliczka „Maria Stankiewicz zm. 1943”. I tyle, już – całe życie się w tym zmieściło.

Kucnęła. Zagłębiła dłoń w ciemny kopiec; przesyłała grudki między palcami. Ziemia w głębi była cieplejsza niż z wierzchu. Barbara aż się wzdrygnęła, przecież powinno być odwrotnie, chyba że to ciało... Mimo wszystko nie wysunęła rąk; to było jej ostatnie pożegnanie z ciotką. Bliską, choć trochę tajemniczą, samotną, dobrą kobietą. Barbara pomyślała, że właściwie niewiele wiedziała o ciotce. Lubiła ją, bo ciotka nie była wścibska, nie była

w żaden sposób męcząca, jak to niektóre ciotki czy krewni potrafią być. Kochała też, bo to w końcu najbliższa rodzina, ale to lubienie było równie ważne, bo można kochać, a lubić – nie. Ciotka kochała mamę, ją, Barbarę, zresztą też. „A czy nas lubiła?”, zastanowiła się nagle Barbara. Troszczyła się, pomagała, dbała, ale... Mamę traktowała trochę jak swoją córkę, której nigdy nie miała. Może był w niej jakiś podświadomy żal, że przez to opiekowanie się młodszą siostrą straciła szansę na własne życie? Mamie się wszystko udało, i mąż, i ona, Basia, a ciotka wyniosła się tu, do wynajmowanego, skromnego domku i żyła samotnie. Może dlatego wtedy, gdy ojciec jeszcze żył, ciotka rzadko przyjeżdżała? Nie chciała być jak kwiatek do kozucha – oni razem, szczęśliwi, ona – pojedyncza.

Barbara wyciągnęła rękę z kopczyka. W dłoni miała garść ziemi. Poczula, że chciałaby ją zabrać, zamykając w niej to wszystko, o czym przed chwilą pomyślała. Nie przygotowała się na taki pomysł, to było całkowicie spontaniczne. Przez chwilę się namyślała, w co mogłaby ją zapakować. Rozejrzała się bezradnie dokoła – niczego odpowiedniego. Poczula, że swędzi ją szyja, pewnie z nerwów. I wtedy przyszło jej do głowy, że owinie ziemię swoją chustą. Wybrudzi się, ale trochę szarego mydła jeszcze miała. I trochę zmarznie, ale to też do przeżycia, postawi kołnierz.

Kiedy wychodziła z cmentarza, zobaczyła, że ktoś się zbliża; rozpoznała sąsiadkę ciotki, wiekową panią, która szła, podpierając się laską.

– Panienska tu, to dobrze – ucieszyła się, gdy była już całkiem blisko. Wzrok też miała zużyty. Cała zresztą wyglądała, jakby od jakiegoś już czasu żyła życiem pożyczonym.

– Już idę. – Barbara wytarła łzę rękawem płaszcza.

– Do domu? – zapytała staruszka.

– Do domu, na pociąg – odpowiedziała Barbara.

– A ja pytałam, czy do domu pani Marii. Bo trzeba by przyjść, przepatrzeć, zabrać, co panienska uważa. Właścicielka na pewno

odnajmie, przecież puste nie będzie stało, zwłaszcza w taki czas jak teraz. Szkoda by było, żeby się coś zgubiło. Ja wcześniej tego nie powiedziałam, bo mi z głowy wypadło, a panienska się spieszyła, to pomyślałam, że tu znajdę i powiem.

Barbara spojrzała na nią bezradnie.

– Ale ja jestem nieprzygotowana, nie sądziłam... – Wyciągnęła w jej kierunku swoją małą torebkę. I zawiniątko z ziemią.

– Wiele do zabrania nie ma – stwierdziła staruszka.

Barbara zerknęła na zegarek. Nie była dziś przygotowana na taką pracę. Miała ciut ponad godzinę do pociągu, nie uzgodniła z matką – bo wcale jej o tym wyjeździe nie powiedziała – co ciotycznego zabrać, a co zostawić. Inna sprawa, że ciotka żyła skromnie, meble nie były jej, a cały dobytek mieścił się w jednym pokoju i korytarzu.

– Dobrze – postanowiła. – Zobaczę, wezmę najważniejsze, a co nie dam rady, to może by pani przechowała? Niedużo, na krótki czas?...

„Teraz wszystko na krótki czas”, pomyślała. Wszystkie dłuższe perspektywy straciły rację bytu.

Staruszka kiwnęła głową.

– To ja pójdę. Szybciej. Bo mam pociąg i... – Barbara kiwnęła głową.

– Przed wojną bym powiedziała, że z pośpiechu diabeł ma radość, ale teraz... Z Bogiem.

– Z Bogiem.

Szła naprawdę szybko. Była na siebie trochę zła, że nie przemyślała tego wyjazdu, że emocje wzięły górę, no i konspiracja – tym razem ta domowa, przed matką. Nie dałaby jej jechać, nie teraz, gdy Niemcy robili warszawiakom piekło. Barbara wiedziała jednak, jakie to dla matki ważne; wyobrażała sobie, że tę ziemię potraktuje niemal jak relikwię. Wojna wszystko zmieniała; z jednej strony oziębiała uczucia, ciosała emocje, ale z drugiej – z drobiazgów potrafiła uczynić sprawy wielkie.

Lekko zgrzana, zupełnie nie odczuwając braku chustki na szyi, mimo że się ochłodziło, doszła do domku. Drzwi do ciotki był otwarte; sąsiedzi mieli klucz, widać po wyjściu Barbary nie zamknęli drzwi. W tym na pewno starsza pani miała rację – teraz takie czasy, że jak coś bez właściciela, to się długo nie ostanie.

Weszła do środka. Niskie pomieszczenie, już trochę ciemne, bo słońce przewędrowało na południowy zachód. Rozejrzała się: stół i dwa krzesła, wnęka z małym kredensem i dużą balią, maszynka do gotowania, kilka talerzy, filiżanek, jakieś sztuce. Półeczka przy wąskim łóżku, gdzie leżała książka w bordowej, marmurkowej oprawie. Barbara schyliła się po nią.

– *Samotnicy* – przeczytała tytuł. – Irena Zarzycka – dołożyła autorkę.

Ona sama przeczytała *Dzikuskę*. I dobrze pamiętała te emocje. Teraz już inaczej by to przeżywała, bo trochę się od przedwojnia zmieniło, ale wtedy... Oczywiście na film nie poszła, bo była za młoda.

– Za młoda, za młoda... – powiedziała to na głos. – A potem już albo za stara, albo nieżywa. – Spojrzała na chustkowe zawiniątko.

Książka wyglądała na często czytana. Barbara się zawahała; chętnie by ją przeczytała, ale czy to jest najważniejsza rzecz do wzięcia? I czy podczas kontroli nie podpadnie z polską publikacją? Czy będzie czas na tłumaczenie, że to beletrystyka, że niczego złego o Niemcach tu nie ma?...

Odłożyła książkę na stół. Podeszła do szafy. Zawartość była równie skromna co wystrój całego pokoju – trzy sukienki, stara grubsza jesionka, rozpinany blezer, komplet bielizny. Barbara poczuła nagle okropny smutek. Tyle zostało z całego, niespełna pięćdziesięcioletniego życia ciotki. Przybliżyła się do wieszaków. Sukienki pachniały mydłem i wodą konwaliową. Już słabo, ledwie wyczuwalnie. Znowu wciągnęła ten zapach. Poczuła w oczach łzy; było jej smutno także dlatego, że mamie bardziej się należało to wspomnienie; w końcu były siostrami. Jak opowiedzieć o takim

pożegnaniu, jak streścić te chwile?... Pogłaskała pończochy – pocerowane, pozaciągane, tylko kształt się zachował. Przeniosła dłoń na blezer ułożony na półce nad wieszakami. Był ładny, mama go chwaliła. Barbara postanowiła, że zabierze książkę i ten sweter. Niczego bardziej osobistego w tym pokoju nie było. Torebkę z dokumentami ciotka miała na pewno ze sobą. Zniknęła. Niemcy, ktoś postronny, a może nawet ten chłop – jakie to teraz miało znaczenie? Zniknęła, już jej nie było.

Barbara sięgnęła głębiej po zielony materiał. Kiedy go wydobyła, na podłogę spadła jakaś paczuszka. Nieduża, wielkości zeszytu, niewiele też grubsza. Barbara schyliła się po nią. W okładce z pozółkłego papieru złożonego na pół i przewiązanego wyblakłą wstążeczką były jakieś koperty, dokumenty. Spojrzała na zegarek – musiała się spieszyć. Jeśli nie wyjdzie za kilka minut, utknie tu na noc, a matka odejdzie od zmysłów ze strachu. Szybko rozwiązała wstążkę, rozłożyła pierwszy papier. Akt urodzenia ciotki. Drugi dokument – akt urodzenia matki. Papier o przyjęciu Krystyny Stankiewicz do sierocińca. Zdjęcie, na którym na dłużej zatrzymała wzrok: pani w sukience, roześmiana, obok pan, w spodniach od garnituru i koszuli, przed nimi, siedzącymi na ławce, dwie dziewczynki. Barbara dopatrzyła się w nich podobieństwa do ciotki i mamy. Poczowała drapanie w gardle. Dobrze, że sięgnęła po sweter; pakunek leżał głęboko, mogłaby go przeoczyć. Resztę przeczyta w domu, z mamą.

Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiejś torby; przy kredensie znalazła jutowy worek, chyba służył na kartofle, ale nic lepszego nie dostrzegła. Torby w kwiaty nie było, musiało się coś temu chłopu pomylić. Tak czy owak, dobrze, że wtedy ciotka spakowała jej wałówkę w dwie identyczne, też wyszywane jej ręką, będą miały z mamą pamiątkę.

Wytrzepała worek, na dno położyła sweter, potem książkę, papierowy pakunek, a na górę – worek z ziemią.

Raz jeszcze się rozejrzała, przymknęła powieki, jakby chciała zapamiętać ten obraz, i wyszła.

Do pociągu wpadła zdyszana. Albo jej zegarek się późnił, albo kolejka przyjechała za wcześnie, zresztą jakie to miało znaczenie? Grunt, że udało się jej zdążyć.

Stała na korytarzu i próbowała uspokoić oddech. Nie zdążyła kupić biletu w kasie, więc musi odszukać konduktora, tylko chwilkę ochłonie. Czuła ciepłą strużkę potu spływającego jej po plecach.

Pociąg miarowo i głośno kolebał się przez jesienny krajobraz. Przypomniła sobie tamtą pierwszorzeczną jazdę, gdy w całym wagonie były tylko ona i ta biedna kobieta w ciąży. „Ciekawe, co z nią?”, pomyślała. „Co z jej mężem, dziećmi?” Miała rację – kobietom, które zostały, nie było wcale wiele lżej. Też walczyły, każdego dnia – o przeżycie. Bez broni... Pomyślała o ciotce. Już nigdy się nie dowie, o co chodziło z tą bronią. Jakaś piramidalna pomyłka, ale kto by się teraz nad tym pochylił. „Świat to suma przypadków”, pomyślała. „Czasem na plus, czasem na minus”.

Pociąg przyhamował, co znaczyło, że wjeżdżali na kolejną stację. Postanowiła wysiąść i peronem przejść naprzód. Wąskim korytarzem trudno by jej było przepchać się do konduktora.

Słońce zniknęło, zaczynała się szara godzina. Gdy postawiła nogę na betonie, zobaczyła ich – niemieckie mundury wpadające na stację i parkujące w pośpiechu ciężarówki.

Przełała się przez nią fala obezwładniającej słabości. Więc to tak. To było jej przeznaczenie – dać się tu złapać i zginąć na miejscu albo w jakimś obozie.

Żołnierze wpadli do pociągu. Wyciągali i wyrzucali ludzi, pokrzykiwali. Barbara stała jak w stuporze, tuż obok schodków. Widziała wypadających w pośpiechu ludzi, widziała, że Niemcy dokonują szybkiej segregacji i popychają mężczyzn ku ciężarówkom. Jeden z tej kolumny nagle się odłączył i rzucił

w kierunku zagajnika. Rozległy się strzały. Zamknęła oczy, chciałyby krzyknąć, ale się bała. Usłyszała kobiecy płacz; po chwili jeden wystrzał i płacz ucichł; ta cisza została poprzedzona głuchym plaśnięciem ciała o beton. Wciąż nie patrzyła. Znowu niemieckie krzyki. „*Raus, raus, raus!*...” rozsadzało jej głowę. W końcu spojrzała dokoła siebie. Mężczyźni byli gnani do samochodów. „Więc jednak jest nadzieja, że nas wszystkich nie zabiją”, pomyślała. I wtedy zobaczyła, że inna grupa mężczyzn stoi z rękami uniesionymi do góry, w rządku. Byli starsi, jeden młodszy, ale z ręką na temblaku. Poczowała skurcz pustego żołądka i żółć podchodzącą do gardła. Ci odjadą, ku dalszej śmierci, tych śmierć spotka już tu. Znowu jakieś krzyki; obróciła się w ich stronę. Kobieta, widać, że ze wsi, wyciągała spod fartucha i różnych fałd ubrania pakunki. Żołnierz kazał jej odwinąć jeden – mięso. I znowu strzał. I głuche uderzenie. „Mięso obok mięsa”, pomyślała. A teraz seria strzałów i kolejne, te męskie, zużyte ciała, padały jedno po drugim. Z tyłu stało dwóch innych pasażerów, w sile wieku, z łopatami w rękach. „Wykopią, a potem albo legną na górze, albo pojedą z tamtymi do obozu”. Jednego nie można było Niemcom odmówić – doskonałej organizacji. „Nie ma drugiego, podobnie zorganizowanego narodu”, przyszło jej do głowy. I w tym ten mężczyzna z Alej też miał rację – metodycznie przeprowadzali swój plan. Napaść, wytłuc wykształconych, odmiennych, innych, buntujących się i zostawić tylko tych, z których da się zrobić trybiki w maszynie. Wyobraziła to sobie – całą Polskę jako wielką maszynę z niemieckimi napisami, a w niej ludzi-elementy tej maszyny, eksploatowane i wymieniane na kolejne. To nie było smutne, to było zabawne. Uśmiechnęła się, najpierw delikatnie, potem szerzej, aż w końcu zaczęła się śmiać głośno. I nawet kiedy już się nie chciała śmiać, bo ten humorystyczny element się zgubił, to i tak się śmiała. Śmiała się i płakała jednocześnie. Łzy płynęły jej po policzkach, oddech się rwał, a ona się śmiała.

Jeden z żołnierzy podszedł do niej. Usłyszała świst i poczuła piekący ból policzka. Ten Niemiec coś do niej mówił, ale przejeżdżający obok pociąg zagłuszył jego słowa. Zrozumiała jednak, czego chciał – zobaczyć zawartość jej torby. Trzęsącymi się dłońmi wyciągnęła węzełek, blezer, książkę i papierowy pakunek z dokumentami.

Niemiec lufą pistoletu przeszukał te rzeczy, a potem przywołał ruchem ręki jakiegoś mężczyznę. Tamten, bez czekania na instrukcję, zwrócił się do niej po polsku.

– Co tu masz?

Podniosła z ziemi sweter, wyciągnęła na lewą stronę jego puste kieszenie. Rozwiązała papierowy pakunek, rozłożyła pierwszą kartkę.

– Akt urodzenia. Dokumenty rodzinne.

Polak wziął od niej papiery, przejrzał je i podał Niemcowi.

– *Dokumente. Polin.*

Tamten wziął je do ręki, przełożył kilka kartek i rzucił na kupkę leżącą na ziemi. Spojrzał na książkę.

Podala ją temu Polakowi.

– Powieść.

– *Roman. Liebesroman* – potwierdził po krótkim przekartkowaniu.

Niemiec się uśmiechnął, Polak powtórzył ten grymas.

– *Was ist das?* – Teraz patrzył na jej chustkowy tobołek.

– Co w tej chuście? Rozwiąż. – Polak przetłumaczył, choć zrozumiała.

Palce odmawiały jej posłuszeństwa, ale zdołała poluzować węzeł.

– Co to jest? – zapytał.

– Ziemia – odpowiedziała.

– Ziemia? Jaka ziemia?

Wiedziała, że jedyne, co daje jej szansę, choć nikłą, na przeżycie, to spokój i niedenerwowanie ich.



– Zwykła ziemia. Z grobu ciotki. Chciałam trochę zabrać do domu.

Przez chwilę się wahał, ale przetłumaczył to, mimo wszystko trochę zdziwiony, choć wyglądał na takiego, który na wiele się już napatrzył i niewiele potrafiło go zdziwić.

Niemiec wykonał ruch głową, Polak przytaknął. Schylił się, zaczął przesypywać palcami czarnoziem. Barbara patrzyła na niego, na tę czerń, której część otuliła ciotkę, a część miała być po niej pamiątką. Czego oni tu szukali? Broni? Pieniędzy? Bibuły? Złota? Znowu poczuła ten skurcz przepychający powietrze z klatki piersiowej i uruchamiający szczękę. I znowu zaczęła się śmiać. Nie potrafiła przestać. Wiedziała, że to histeria, już przecież raz się jej to zdarzyło, na pogrzebie taty. Stała nad grobem, trochę jak teraz nad tą rozsypaną ziemią i pewnie jak nad swoją mogiłą, bo jaki mógłby być jej koniec?, i śmiała się, do łez, do utraty tchu. Aż się zgięła i uklękła. Sama nie wiedząc, po co właściwie, zebrała z betonu trochę tej rozsypanej ziemi, nachyliła głowę nad dłonią ułożoną w koszycek. Wciągnęła powietrze – zapach ziemi był jedyny w swoim rodzaju – słodko-zielny, ciepło-zimny. Zapach życia i zapach śmierci.

Czekała na strzał, świst, uderzenie, ból, ciemność. Już, zaraz, bo nie chciała czuć bólu, wyobrażając sobie rozpacz mamy. I nie myśleć o tym, czego już nigdy nie doświadczy. Wanda miała rację – trzeba brać, kiedy życie daje. Nie szukać daleko. Życ, żyć, żyć!...

Zamiast strzału usłyszała jednak śmiech. Chrapliwy, głośny, nieprzyjemny śmiech. Podniosła głowę; czuła, że na nosie i policzku ma drobiny ziemi.

To śmiał się ten Niemiec.

– *Verrückt.*

I obok niej sfrunęły papiery, które zabrała z szafy ciotki.

Niemiec się odwrócił i podszedł do grupy kobiet, które też wpychano na ciężarówki.

Wciąż klęczała na betonie, z brudną twarzą, brudnymi rękoma, ale żywa.

– Wariatka. To powiedział – usłyszała. A po chwili: – Pociąg zaraz ruszy.

Spojrzała na niego. Wzruszył ramionami i poszedł w stronę ciężarówek. Niemiec na nią nie patrzył; on i inni mundurowi nie byli już zainteresowani tymi, co zostali na peronie.

– Wsiadać. Wsiadajcie. – Ten Polak jeszcze się odwrócił w ich kierunku.

Ludzie zaczęli w pośpiechu iść do wagonów.

Żyła i będzie żyć. Niewiele jeszcze z tego rozumiała. Przetarła rękawem twarz, wepchnęła do torby blezer i książkę. Zaczęła nerwowo zbierać rozsypaną ziemię do chustki. Usłyszała gwizd konduktora. Szybko pozbierała papiery i ściskając je w rękę, poszła w stronę pociągu. Bała się biec, bała się odwrócić. Właściwie wciąż czekała na strzał. A jednak – nic takiego się nie wydarzyło. Weszła po metalowych schodach i usiadła na wolnym miejscu. Mechanicznie, jakby była takim trybikiem z tej niedawno wyobrażonej maszyny. Pociąg ruszył. Dopiero wtedy odważyła się wyrzucić przez okno – zostawiali za sobą peron, ciężarówki, Niemców, martwe ciała, tego Polaka. A ona wciąż żyła.

– Ojciec nasz, któryś jest w niebie... – Obok niej, mimo że teraz w pociągu zrobiło się luźno i wiele miejsc było wolnych, klęczała zakonnica. Oczy miała półprzymknięte, w rękach różaniec.

Barbara się obejrzała. Inni podróżni, a właściwie podróżne, nie licząc małego chłopca pod oknem, siedzieli w zupełnej ciszy.

Barbara też się nie odezwała. Nie miała również potrzeby, by się modlić. Pierwszy raz podczas tej wojny pomyślała, że modlitwa straciła swoją moc. Może i nie była skuteczna wcześniej, ale wcześniej prośby kierowane do Boga nie były tak ważne, tak podstawowe, bo decydujące o życiu i śmierci. Wyjątkiem był ojciec, który mimo jej usilnych próśb wyszeptywanych w kościele i tak umarł. Tam jednak sprawa była trudna – choroba nie zna litości,

bakterie nie znają litości, to natura. A wojna? Wojnę wywołują ludzie, ludzie pociągają za spust. Wydawałoby się, że Bóg ma większy wpływ na ludzi niż na bakterie, zwłaszcza że Niemcy są przecież wierzący. W ogóle wszyscy wierzący, a mimo to... Wszystko, co się działo dokoła, było przypadkiem. Wszystko. Chyba.

W głowie miała zamęt. A tego, co się przed chwilą wydarzyło, jeszcze nie potrafiła wepchnąć do szufladki „wspomnienia”.

Wyjęła z torebki chusteczkę, przetarła twarz. Wciąż czuła na skórze drobinki ziemi. Zszarzały materiał wsunęła do kieszeni płaszcza. Wyjęła wszystkie przedmioty, byle jak upchnięte do jutowego worka. Powoli złożyła blezer i z powrotem umieściła go w torbie. Otrzeпаła książkę i położyła ją na swetrze. Rozwiązała chustę i raz jeszcze – tym razem starannie – zrobiła na niej supeł. Ziemi było mniej, ale pakunek nadal był pękaty. Teraz zaczęła rozprostowywać i ponownie składać papiery. Akt urodzenia – ciotki i mamy, papiery z sierocińca, zdjęcie rodzinne. To już widziała. Były jeszcze inne, których nigdy wcześniej nie oglądała. Świadectwo ukończenia szkoły ciotki, umowa najmu tej połowy domku, pokwitowania kolejnych wpłat. I koperta. Niezaklejona, więc podniosła trójkątne zamknięcie. W środku było kilka kartek, które wyglądały jak list. Zawahała się. To były sprawy prywatne, widać, że sprzed lat, bo papier pożółkł, a atrament wyblakł, więc należało to zostawić, ale... Ciotka nie żyła, a Barbara poczuła nagle, że to, co właśnie trzyma na kolanach, to takie przedłużenie życia ciotki, o którym przecież nie wiedziała zbyt wiele. „Krystyna”, mignęło jej przed oczami. A na samym dole „Twoja Maria”. Pomyślała, że to listy, które siostry pisały do siebie. I że mama się ucieszy, wzruszy, że to będzie taka pociecha, ale jednocześnie jeśli Barbara teraz ich nie przeczyta, to już nigdy ich nie przeczyta i zostanie z tą niewiedzą, z tą wybrakowaną, wątlą historią rodzinną. Poza tym tak bardzo potrzebowała teraz jakiejś

otuchy, czegoś ciepłego i dobrego, czystej miłości. Wciąż się trzęsła.

Sięgnęła po kartki. Ta z podpisem to była ostatnia strona, więc zaczęła szukać pierwszej. Kartki były trzy; zaczęła je odwracać i w końcu zobaczyła nagłówek.

„Kochana Krysiu”, takiego rozpoczęcia listu oczekiwała.

„Kochany Leosiu”, taki był prawdziwy początek.



## Rozdział szesnasty



Zachciało się jej spać. Szum wiatru, riksza podskakująca na nierównej jezdni, napięcie, które z niej schodziło – to wszystko sprawiło, że teraz czuła się jak szmaciana lalka.

Z nerwów prawie nie zmrużyła oka tej nocy. To była pierwsza taka akcja, gdzie cały czas miała się znajdować blisko likwidatora. Obawiała się, że może nie dać rady, że może pęknąć, zrobić coś głupiego, co narazi i ją, i tego chłopaka.

Takie obawy miała wcześniej, przed wyjazdem do Podkowy. Przed łapanką, w której mogła stracić życie, a nie straciła. Udało się jej. Uznała, że to znak. Od Niego, od losu, od opatrności.

Od przypadku?...

A potem przeczytała ten list. Nie powinna, a zrobiła to.

W nocy wyciągnęła swój notes z powyrywanyymi kartkami, które wkładała do starej puszeki po korzennych ciastkach, a potem wynosiła do piwnicy i chowała za dwiema obłuzowanymi cegłami. Teraz też musiała wyszarpnąć stronę, zejść w wilgotną ciemność i dołożyć kolejny fragment swojego życia. Powinna była poczekać, przecież to już by nie uciekło, bo się wydarzyło wiele lat temu. Co by się miało zmienić?

Jej emocje. To już wiedziała – jeśli jakąś sytuację najpierw długo obracała w głowie, to potem spisywała swoje przemyślenia, a nie emocje. Już nie opowiadała prawdziwej historii, a robiła z tego czytanekę.

A przecież chciała prawdy. Bo jeżeli miałyby jej tam nie być, to jaki był sens tych zaprawek?

*No więc chciałam prawdy i oto ją mam. I co ja mam z nią zrobić? Gdyby mnie ktoś zapytał, tak w teorii, przed rokiem trzydziestym dziewiątym, czy człowiek powinien znać prawdę, tobym odparła bez wahania, że tak. Bo prawda wyzwala, prawda pozwala na życie w świetle oświecenia i tak dalej, i temu podobne.*

*Ale wtedy byłam cztery lata młodsza i o życiu nie wiedziałam nic. Teraz wiedzy mi przybyło – nie szkodzi, że tej szkolnej nie tak prędko, jak bym chciała. Okazuje się, że to, co wtedy powiedziała ta kobieta przed ambasadą i co ja znałam z gimnazjum, czyli że Historia magistra vitae est, to prawda.*

*A inne prawdy?*

*Czy potrzeba mi było tej wiedzy o miłości ciotki do ojca? Takiej miłości, która przez pięć lat zajmowania się młodszą siostrą nie wygasła, nie rozplynęła się – więcej – pomagała jej przetrwać biedę, smutek, żalobę i wszystkie przeciwności losu? Jaka to musiała być miłość!*

*No, może taka, jak do Zygmunta, którego poznałam przed wojną, a moje zauroczenie nim, cholerne, nieusuwalne, trwa. Tak pomyślałam w pierwszym odruchu. Czy to się czymś różni? Różni. Ciotka była związana z Leonem, moim ojcem, na pewno się spotykali, pewnie snuli plany, pewnie coś sobie obiecywali – tak by wynikało z tego listu. „Gdy będę mogła być wolna, natychmiast dam Ci znać. Będę myślała o Tobie każdego dnia”. I pewnie tak było; po ciotce bym się nie spodziewała takich emocji, ale przecież – na siebie patrząc – wiem, że to możliwe. Zresztą ja ją znam od wtedy, kiedy – jeśli idzie o tę miłość – dla niej wszystko się skończyło. I to jak!... Skończyło się małżeństwem, a więc i miłością (to nie zawsze prawda, ale tu tak było, ja to widziałam u rodziców) jej ukochanego i jej siostry.*

*Kiedy to przeczytałam, to mnie zemdlilo. Zwymiotowałam – tam, w pociągu, przy tych ludziach. Dla nich to nic, bo przecież kwadrans wcześniej wszyscyśmy uszli śmierci, więc że ktoś to odreagowuje – zwykła rzecz. Ta zakonnica powiedziała do mnie: „Wszystko już dobrze, Pan Bóg ma cię w swojej opiece, ocalił cię”.*

*Nie wiem, czy to Pan Bóg. Wyszło na to, że to raczej ciotka. Bo jechałam od niej z domu, z tą książką, ze starymi listami i z papierami, ze swetrem. I z cmentarza, z ziemią z jej grobu. „Wariatka” powiedział ten Niemiec. Też bym tak pomyślała. To wszystko, co miałam przy sobie, mnie ocaliło. Mnie, córkę jej siostry, która zabrała jej przyszłego męża.*

*Czy to jest normalne? Przecież jest w tym jakaś niepojęta przewrotność losu! Gdyby taką powieść Zarzycka napisała, pewnie bym pomyślała, że to zbyt literackie, zbyt wymyślne. Ale to się stało, i ja miałam w tym swój udział. W tej kopercie był list ciotki do ojca i jego odpowiedź na ten list. Odestał go jej. „Żeby nigdy nie wpadł w niepowołane, tj. Krysi, ręce. Nie uniosłaby tego ciężaru”. I dalej, że ona nie wiedziała i że on też nie wiedział. Że przyjechał z Płocka do stolicy akurat wtedy, gdy ten list Marii szedł do niego, na płocki adres. I że spotkał piękną dziewczynę, w której nie rozpoznał raz tylko, i to przelotnie, widzianej młodszej siostry Marii, kiedy jeszcze była dzieckiem. I że to był moment, błysk, sam nie wie co, ale po prostu jak piorun, z jej strony też. Zjawił się do pracy, na siedem tygodni. Początkowo miał się do Marii odezwać, choć ona prosiła, by poczekał na jej znak, że takie bycie-niebycie razem tylko ich rozdrażnia, ale jak przyjdzie czas, gdy ona się upora z tymi wszystkimi obowiązkami, które na nią spadły, a które skutecznie by zabiły ich uczucie, bo proza życia i znój tak działają, ona mu da znać i przyjedzie do niego.*

*Dała znać i czekała. Tymczasem Krysia, piękna, młoda Krysia, moja mama, poznała mężczyznę, który ją zafascynował. Ona też nie miała pojęcia, że to ktoś, na kogo czeka jej siostra, bo Maria z nią o tym nie rozmawiała, Maria nigdy nie wypominała Krysi, że komplikuje jej życie, że przez nią Maria coś, kogoś traci. Krystyna żyła w nieświadomości, że siostra czeka na jakiegoś mężczyznę. I że właśnie na tego mężczyznę ona, Krystyna, wpadła w okolicach dworca i wszystko potoczyło się tak szybko i naturalnie...*

*„Miałem Ci zaraz po powrocie do Płocka dać znać; najszczerzej przeprosić i zwolnić Twoje uczucia; wiem, że byś zrozumiała, że serce nie jest służką. Ale przysięgam, że wtedy, gdy to się zaczęło, nie miałem pojęcia o Waszym pokrewieństwie, a Krysia – o naszej znajomości. Zrozum, proszę, tyle lat w rozłące – to musiało nadwątlić uczucie. Ja chciałem przecież żyć, tak naprawdę...”*



*Czy ja bym uwierzyła? Że najpierw nie dostyszał nazwiska, Dankiewicz Krystyna, tak rozumiał. Że ona mu nie opowiadała o swoim położeniu, bo się bała, że jej sieroctwo i bieda go zniechęcą, więc o siostrze dowiedział się później, tuż po tym, gdy w końcu przeczytał ten przeleżały list. I gdy Krysia powiedziała mu, że jest „w stanie błogosławionym”.*

*Ja byłam tym „błogosławieństwem”.*

*I wobec tego „błogosławieństwa” wyjście z sytuacji było tylko jedno – „honorowe, czyli ślub”.*

*To dlatego zapewne dziadkowie nie lubili mamy i mnie. Że taki szybki finał znajomości, że panna młoda już z brzuchem i tak dalej.*

*Czy gdybym ja się nie uległa pod sercem mamy, to coś by zmieniło? Czy ojciec wypełniłby daną kiedyś ciotce obietnicę, czy ta nowa, nagła miłość i tak by ją przekreśliła?*

*Pewnie nie, bo napisał też: „Miłość jest piękna, ale i bezwzględna”.*

*Ciotka chyba nigdy nie odpisała na ten list. Nigdy też, przenigdy nie opowiedziała nikomu o tej historii. Jestem przekonana, że mama nie wiedziała. Czasem tylko mówiła, że ciotka taka delikatna, bo nie chce wchodzić w ich małżeńskie szczęście. I że żal, że ona sama nigdy podobnego nie zaznała. Czasem nawet zdarzało się mamie powiedzieć, że jest jakiś wujek koleżanki z biura czy wcześniej owdowiały sąsiad i że może by ciotka...*

*Boże, jak to ciotkę musiało boleć! Na pewno dlatego nie była u nas w domu częstym gościem, dopiero gdy tata umarł.*

*I jeszcze to – kochała mnie, na pewno. Mnie, która definitywnie oddzieliła ją od miłości jej życia.*

*Znowu mnie mdli. Jak to przyswoić? Jak teraz z tym żyć? Byłoby łatwiej, gdybym mogła się tym ciężarem podzielić z mamą, ale nie mogę. To byłoby okrutne. Wierzę, że to nie jej wina, że, jak napisał ojciec, nic nie wiedziała. Co by miała teraz zrobić? Jak zadośćuczynić ciotce, kiedy ona właśnie umarła?*

*Zaraz zacznie świtać, a przede mną trudny dzień. Może gdyby dziś coś poszło nie tak, nie musiałabym już o tym myśleć, o niczym bym nie musiała myśleć.*

*Miłość; co to za siła.*

*A mimo wszystko, mimo tego, co się stało w tej historii, jednak jej chcę. Może nawet bardziej niż przedtem. Nic nie pcha do działania tak, jak to uczucie.*

*„Czekanie osłabiło to uczucie...” Jeszcze raz wróciłam do tego fragmentu.*

*I pomyślałam o Henryku.*

\*

Przymknęła oczy. Napięcie powoli odpuszczało. Najgorsze miała już za sobą – kręcenie się po ulicy, że niby to zakupy, niby to na koleżankę czeka, a może na chłopca. Bała się, że komuś jednak wyda się podejrzana, ale nie, nic na to nie wskazywało. Cień w bramie, umówiony znak, na chwilę tam zniknęła, by ponownie pojawić się na ulicy. Niby nic się nie zmieniło, poza tym, że teraz w pustym wcześniej futerale na skrzypce znajdował się karabin maszynowy. Równym krokiem, nie spiesząc się zbytnio, poszła przed siebie, mimo że za jej plecami już zaczęły się rwetes i bieganina.

Udało się. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, nie wzbudziła niczyjego zainteresowania.

„Przezroczysta”, pomyślała i na chwilę odepchnęła od siebie senność. Ta nijakość, pospolitość, mimikra – to była teraz jej największa broń. Coś, co zawsze wydawało się jej wadą, brakiem, teraz przekuwała w zaletę. Los jej nie obdarzył niczym szczególnym, zresztą los od początku podchodził do jej istnienia niefrasobliwie.

Przypomniała sobie ten list.

Poczuła falę ciepła na policzkach. Może lepiej było nie wiedzieć? Może lepiej było nie znać prawdy?

To już było bez znaczenia, bo poznała fakty. Przypadek, wszystko w życiu jest przypadkiem. I albo się go przeciągnie na swoją stronę, albo nie.

Całe życie myślała, że jest taka nijaka, do niczego. I szła za tym głosem, ale teraz miała już dość. Znowu poczuła, że płoną jej policzki. Ze złości, zdumienia, z nerwów, sama już nie wiedziała z czego.

Rozpięła górny guzik koszuli, tak gorąco się jej zrobiło. Zauważyła, że rikszarz, młody chłopak, zaczyna rzucać w jej stronę coraz dłuższe spojrzenia.

– No i taki widok – usłyszała od niego.

Przez króciutką chwilę myślała, że to takie zaloty, ale jednak nie chodziło o jej pełny dekolt. Przed nimi zobaczyła żandarmów kontrolujących ludzi. „A więc mobilizacja nastąpiła szybko”, pomyślała. Mimo że odjechali już kawałek od miejsca egzekucji, Niemcy rzucili tu sporą grupę swoich funkcjonariuszy. Pewnie w wielu miejscach Warszawy trwały teraz takie kontrole – w sumie nic dziwnego, gdy ginie ktoś ważny...

Po jej plecach spłynęła strużka potu. Więc jednak los wcale nie jest dla niej łaskawy. Przypadkiem pozwolił jej zjawić się na tym świecie, pożyć byle jak kilka lat, a teraz koniec i po balu, panno Lulu!

Chwilę, mgnienie oka później, poczuła jednak przypływ sił. Znowu targnął nią ten bunt – od teraz nie los i nie przypadek będą decydowały o jej życiu, tylko ona sama. Przypomniała się jej opowieść mamy o tym mężczyźnie, który wpadł w sam środek łapanki. Wydawałoby się, że to już stracona sprawa, a on...

– Masz papierosa? – Powoli odwróciła się do chłopaka i spokojnym tonem zadała mu to pytanie.

Zdziwiony przytaknął. Nim wyjął jednego, Barbara rozpięła dwa kolejne guziki bluzki i podciągnęła spódnicę powyżej kolana. Rozpuściła włosy. Gdy ponownie na nią spojrział, zobaczyła w jego oczach zdumienie.

I... pożądanie.

W oczach żandarmów zobaczyła coś innego – swoje odbicie – lekko pijanej, rozchełstanej, ale na swój sposób ponętnej i swawolnej prostytutki.

Rzucili coś pod nosem, jeden z nich obleśnie się uśmiechnął, a potem nachylił się do kolegi i powiedział mu coś na ucho. Obaj parsknęli śmiechem. Barbara wytrzymała to spojrzenie i ten

śmiej. Nie poruszyła się, nie zmieniła pozycji. Powoli wypuściła z ust tytoniowy obłoczek.

Jeden z tych dwóch Niemców machnął na nich ręką, żeby jechali dalej, mimo że riksę obok zatrzymali do kontroli.

Przejechali. Barbara wciąż siedziała nieruchomo. Wypaliła papierosa i może nawet nie było widać, jak bardzo drży jej ręka. Po raz drugi w życiu miała papierosa w ustach.

W Śródmieściu też było gęściej; widać, że Niemcy rzucili duże siły, by złapać tych, co brali udział w akcji.

– Pod Europejską – nagle zmieniła zdanie.

Zamówiła kurs na Traugutta, ale teraz chciała zmodyfikować ten plan. To było impuls. „Słuchaj ciała”, radziła Wanda. Więc ciało chciało wysiąść, pójść do kawiarni, a potem spacerem na umówione miejsce.

Chłopak kiwnął głową i skręcił w prawo. Po kilku minutach dojechali do kawiarni. Barbara ostatni raz zaciągnęła się papierosem i rzuciła niedopałek na ziemię. Zgniotła go czubkiem trzewika; wyszło nadspodziewanie zgrabnie. Nie poprawiła bluzki, nie otuliła się płaszczem, mimo że miała taki odruch. Wyprostowała się, choć do tej pory raczej pochylała ramiona ku przodowi, prawie równając je z biustem. Teraz piersi zdecydowanie przodowały. Sięgnęła do torebki, wyjęła portmonetkę i podała chłopakowi monetę.

– Bez reszty – powiedziała i się uśmiechnęła.

Chłopak wyciągnął do niej rękę; ich dłonie się spotkały. Barbara delikatnie musnęła go palcami. Chłopak lekko się zaróżowił, a ona się roześmiała – lekko i perliście.

– Ja... – zaczął niepewnie. – Może byśmy się umówili? – wypalił, patrząc na swoje buty.

Nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, dodał:

– Mam pieniądze.

I szczerwieniał jeszcze mocniej.

– Może, może, kto wie. A na razie – *adieu!*

Podniosła futerał z siedziska i poszła w stronę kawiarni. Nie obejrzała się za siebie.

Dopiero kiedy wylała odrobinę kawy na talerzyk, zobaczyła, jak drżą jej dłonie. Starła serwetką ciemnobrązową plamę.

Do lokalu weszło trzech Niemców. Widać było, że się rozglądają po sali. Może szukali wolnego miejsca, a może – tego, co ci, których spotkała wcześniej. Ręka znowu jej zadrżała, kawa zakołysała się w filiżance. Odstawiła porcelanę, sięgnęła po torebkę. Wyjęła z niej lusterko i pomadkę. Poprawiła karmin na ustach, przyglądała włosy. Powoli wstała od stolika i równie powoli skierowała się ku wyjściu. Minęła Niemców, łapiąc poządlivy wzrok jednego z nich.

Nie spiesząc się, poszła w kierunku Traugutta. Wiedziała, że jest już kwadrans spóźniona, ale mimo to nie zmieniła tempa. Wszystko, co teraz robiła, robiła w sprzeczności z dotychczasową sobą. Mimo to, a może właśnie dlatego – szło jej świetnie.

W bramie dostrzegła Kamienia. Niby naprawiał rower, ale zauważyła, że jest zdenerwowany. Obok kręciło się dwóch podpitych mężczyzn.

Podeszła bliżej.

– A może miłe popołudnie? – Uśmiechnęła się.

– Nie... mam dziewczynę – odpowiedział.

Widziała zdziwienie w jego oczach. I chyba strach.

– Ja bym nie odmówił – zarechotał jakiś chudy pięćdziesięciolatek z torbą pod pachą.

– Nie twoje progi, Krystek, nie twoje. – Jego kompan poklepał go po plecach.

Barbara oparła się o mur i wysunęła kolano do przodu.

– Szkoda. Może innym razem, w innym życiu. – Posłała Kamieniowi całusa.

Zgrabnie wsunęła futerał w ciemny róg bramy i odeszła.



## Rozdział siedemnasty



– Wszystko poszło świetnie, choć strach był.

Zygi stał przy oknie mieszkania na ulicy Hożej, które służyło im za nowe miejsce spotkań.

Barbara się uśmiechnęła. Od wczoraj żyła w takim rozdwojeniu – z jednej strony czuła się dobrze, z Traugutta prawie odfrunęła na Krochmalną, ale z drugiej, po przekroczeniu progu mieszkania wpadła w studnię smutku. Matka siedziała przy stole, bez słowa, za to z mokrą chusteczką przy twarzy. Barbara aż stanęła na ten widok. Nie zapomniała, że ciotka umarła, no skąd, ale to i tak było...

*...jak przełączenie rzeczywistości. Nie wiem, jak to napisać, bo nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyłam. Nigdy wcześniej nie było mi tak dobrze z samą sobą, bo nigdy wcześniej się nie podziwiałam. Nie czułam, że potrafię – szkoły tu nie wliczam, bo tam potrafiłam, ale to było takie teoretyczne. A teraz, mimo że nauka poszła w lekką odstawkę (próbuję, ale w głowie mi huczy), to czuję, że umiem działać i to działanie przekłada się na życie. Kiedyś, dawniej jeszcze, Henryk powiedział mi coś podobnego: nauka w ławce to jedno, a w życiu przydają się inne umiejętności, zdecydowanie bardziej. Wtedy pomyślałam, że to takie mądrości chłopaka z ulicy; trochę to cofam, zwłaszcza że Wanda mówi podobnie. Dziwne, teraz poczułam, że tych dwoje jest mi bardzo bliskich, najbliższych. Tak czy owak, zrobić coś przydatnego także dla innych i przez nich docenionego, to jest bardzo miłe uczucie.*

*Poprawka: to jest cholernie miłe uczucie.*

*Poprawka druga: obie te rzeczy są cholernie miłe, docenienie, podziw – zwłaszcza. Wcześniej też przecież robiłam dobre rzeczy dla innych ludzi, którzy mi za to dziękowali, ale to nie było takie... (brak mi słowa, dopiszę potem).*

– ...skąd wiedziałaś?

Ocknęła się. Z wczorajszych zaprawek i z zamyślenia wyrwało ją pytanie Kamienia.

– O czym? – Nie rozumiała jednak, o co ją pyta.

– No o tym, że zrobią obstawę. Kilka minut przed twoim przyjściem ją zlikwidowali. Mysz by się nie prześlizgnęła. A już na pewno nie dziewczyna z futerałem.

– No, był kocioł – odparła. Znowu się uśmiechnęła. Mina tego riksarza. I nawet tego Niemca. Poczwała ciepło rozlewające się na dekolcie. – Dlatego wysiadłam wcześniej i poszłam do Europejskiej, i dopiero stamtąd...

– Poszłaś do Europejskiej? – Teraz pytał Zygmunt.

Był zdziwiony. Raczej nieprzyjemnie zdziwiony.

– Tak – odparła trochę zbita z tropu. – Bo zaczęło się robić gęsto, żandarmów było dużo, trzepali wszystkich obok nas...

– Czyli nie wiedziałaś o wąskim gardle przy Zachęcie? – przerwał jej.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Nie. – Pokręciła głową.

– Gdybyś tam dotarła kwadrans wcześniej, byłoby po tobie. I po nas. – Kamień się w nią wpatrywał. – Miałaś cholernego fuksa. I my też.

– Miała. Ale plan był inny.

O ile w głosie Kamienia wyłapała podziw, o tyle Zygmunt brzmiał krytycznie.

– Był – zaczęła powoli.

Czuła, że tętno jej przyspiesza. Po wczorajszej dumie i dzisiejszym zadowoleniu z początku spotkania teraz zrobiło się jej nieprzyjemnie.



Poczuła, że pocą się jej dłonie. Obecni w pokoju patrzyli na nią i na Zygiego. Nie był szefem, ale był jego prawą ręką. I w jakiś naturalny sposób wpasowywał się w przywódczą rolę. Każdemu zależało na jego podziwie; Barbarze też, i to podwójnie.

– Ale się zmienił. Zmieniłam go. Uznałam, że okoliczności tego wymagają.

Jakby to nie ona mówiła. Słyszała się i trochę nie dowierzała. Pewny siebie głos i spokój, przynajmniej na zewnątrz.

Zygmunt przez moment jeszcze patrzył na nią bez słowa. W pokoju wciąż panowała cisza.

– Plan jest dla wszystkich. Każdy jest jak jeden mechanizm w zegarku. Jak ktoś coś zmieni, to wszystko się posypie i...

– Ale się nie posypało – przerwała mu.

– Nie mogłaś tego wiedzieć. Przecież nie miałaś pojęcia o Zachęcie, sama powiedziałaś. I do tego poszłaś z bronią do kawiarni. Pchałaś się im w łapy!

Barbara wzięła głęboki oddech. Gdyby ta sytuacja i ta rozmowa zdarzyły się kilka tygodni temu, rozplakałaby się albo milczała. Teraz powiedziała:

– Nie miałam, ale podjęłam taką decyzję. Przeczucie, intuicja, nie wiem, jak to nazwać. I okazało się, że „pchanie się im w łapy” zadziałało odwrotnie – nikt mnie nie sprawdził, nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

– Ech, dziewczyny... Jakbym Luśkę słyszał. – Kamień zażartował.

Barbara pomyślała, że chce załagodzić atmosferę.

Odwróciła się w stronę Zygmunta, mimo że to przecież nie on teraz mówił. I to do niego powiedziała:

– Ale ja nie spaliłam akcji. Wręcz przeciwnie.

Nie przywołała imienia Lucyny, było jednak jasne, w opozycji do kogo się stawia.

Znowu cisza. Gęsta, brzęcząca, niepokojąca.

– Tamta nieudana akcja z bronią sporo nas kosztowała. – Zygmunt też nie użył imienia Lucyny. – Straciliśmy broń, zginął ktoś postronny, musieliśmy wycofać kilka osób. Kilkoro naszych wciąż siedzi cicho i nie działa. Potem ta historia ze Zbyszkiem...

– A co z nim? – Henryk, do tej pory milczący, wreszcie się odezwał. – I co się tam właściwie wydarzyło?

– Udało się go wyciągnąć. Naprawdę pokaźna kwota, a i tak nie było łatwo. Stawki rosną, coraz dłuższe i trudniejsze łańcuszki do opłacenia. Gdybyśmy go nie wyjęli, byłoby krucho. Dobrze, że zemdlął po pierwszym przesłuchaniu, inaczej nie siedzielibyśmy teraz tu wszyscy razem – powiedział Zygmunt.

Barbara przypomniała sobie historię opowiadaną przez matkę – o tych kilkuset więźniach straconych jednej nocy na Pawiaku. Gdyby ten chłopak trafił tam w innym momencie... Gdyby nie miał bogatszej rodziny... Gdyby...

– A jak to z nim właściwie było?

Barbara nie potrafiła ocenić, czy Henryk jest naprawdę zainteresowany tą sprawą, czy próbuje odwrócić uwagę od wczorajszej historii.

– To chłopaczek. Ma szesnaście lat. Coś mu się uroiło o walce i bohaterstwie, i jeszcze o handlowaniu bronią. Kuzyn Lucyny, musiał ją podsłuchać, coś może zauważył, cholera wie, bo milczy i nic nie mówi, ale Złotą wychwyił i przyjechał tam z przedwojennym gruchotem z domu dziadków, żeby go i siebie zaoferować. Adresu dokładnego nie znał, pałętał się, wszedł do kamienicy, kiedy już była obława, w innej klatce. I tam wpadł w ręce szkopów, przypadkowo, ale dalszy ciąg, gdyby się wydarzył, doprowadziłby do nas.

„Lucyna. Więc znowu Lucyna”, pomyślała Barbara.

Zygmunt chyba czytał w jej myślach.

– Lucy wciąż na „wakacjach”. To skoro... – teraz znowu patrzył na Barbarę – Marta ma takie umiejętności, opowiem o kolejnej akcji...

\*

– A mnie powiesz, dlaczego tak zrobiłaś? – Henryk zaproponował, że odprowadzi ją do domu.

Zgodziła się. Z Hożej wychodziła jednak z tarczą, nie na tarczy. Na sam koniec Zygmunt wziął ją na bok i powiedział, że fakt, wyszło dobrze z tą akcją, a teraz jeszcze widzi, że ona, Barbara, jest spokojna i opanowana. Uniosła się jak balonik. Henryk obok też ją teraz cieszył, bo przecież był świadkiem tych pochwał, więc w sumie mogła się przez dłuższą chwilę rozkoszować również jego podziwem. Zresztą... Ostatnie dni i wydarzenia sprawiły, że zaczęła inaczej na niego patrzeć.

– Ty o tej... o tym moim spacerze do i z kawiarni? – zapytała lekko.

Dokoła był duży ruch. Obecność innych ludzi była powodem niemówienia wprost; była też jednak inna przyczyna – Barbarze zaczynała wchodzić w krew ta tajemniczość. Czowała, że takie zachowanie wzbudza podziw otoczenia. A podziw to było to doświadczenie, które dopiero poznawała – i robiła to z dużą przyjemnością.

– No. – Kiwnął głową. – Skąd wiedziałaś? Jak?

Patrzył na nią tak po Henrykowemu – z zainteresowaniem, sympatią, wyczekująco. Gotowy, by podziwiać ją jeszcze bardziej.

– Ja...

Zawahała się. Przed nim nie musiała grać, bo po co – i tak wypadła w jego oczach dobrze. Zarazem – ta nowa rola była pociągająca. Przypomniała sobie, jakie emocje wzbudzała w niej Mata Hari, a przecież wiedziała, że to postać fikcyjna, że to wszystko wymyślone. A jednak – ulegała takiej fascynacji, zresztą nie ona jedna – wielu widzom prawdziwe życie mieszało się z bajką, traktowali Matę Hari jak kogoś naprawdę istniejącego.

Wobec Henryka wybrała jednak szczerłość.

– Nie wiem. To była nagła myśl. Po prostu tak poczułam, tak jak to powiedziałam. – Spojrzała na niego. – Nie umiem ci tego wytłumaczyć. Widać są w życiu takie sprawy, których się wytłumaczyć nie da. Czasem jest tak, że to nie człowiek decyduje o sobie, tylko coś zewnętrznego za niego działa. Intuicja to chyba dobre słowo.

– Intuicja... – powtórzył po niej. – A ona odpowiada tylko za takie działania czy za uczucia też?

Zapytał jak nie Henryk. Zdumiała się. Po raz pierwszy dostrzegła w nim coś takiego... Nie potrafiła tego nazwać, ale poruszyło to w niej czułą strunę.

– Posłuchaj... – zaczęła. Chciała z nim porozmawiać, po raz pierwszy tak poważnie i otwarcie, opowiedzieć mu o tym, co jej w duszy gra i że jeszcze nie umie złożyć z tych dźwięków piosenki, bo one są różne i nie zawsze się komponują, kiedy zobaczyła ten plakat. „*Bekanntmachung*”. Różowa płachta wybijała się na gettowym murze przy Złotej.

– Ile tu nazwisk? – Henryk też zwrócił na niego uwagę. Nachylił się w stronę muru. – Sto – odpowiedział sobie i jej.

Barbara czuła, że dygocze. Warszawiacy już się zaczęli przyzwyczajać do ulicznych egzekucji. Do nazwisk zamordowanych w przypadkowej łapance czytanych przez megafony. Do wielu strasznych rzeczy. Ten plakat niby mówił o tym samym, ale jego różowy kolor, taki żywiołowy, wesoły...

– Skąd oni biorą taką farbę? – zapytała.

Może to było głupie pytanie, a może wcale nie. Dokoła było szaro-buro-ziemiście. Za tym murem – trupio i czarno. A tu taki róż.

– Żeby było widać, z daleka. Żeby przyciągało uwagę i ostrzegało – powiedział Henryk.

Tak, to było oczywiste, ale przecież nie o to jej chodziło.

– To jest takie podłe. Ten róż pasuje do takiego okropnego, okrutnego obwieszczenia jak... jak... wcale nie pasuje. Co z nich

za potwory. Mordują za nic, wybili wszystkich Żydów, bez litości, ostatnio na Pawiaku jednej nocy zastrzelili kilkaset osób i...

Zabrakło jej tchu. Ten różowy kolor był jak iskra, która uruchomiła wszystko to, co w sobie tłumiała. Wkładała w siebie te wszystkie okropności i nie miała z kim o nich rozmawiać. Z mamą przecież nie, z ciotką – już nie (a jednak zdławiła ją nagła żalność), Hanka się w końcu odezwała, ale zajmowały ją zupełnie inne, prozaiczne kwestie, aż dziw, że kiedyś się przyjaźniły, a teraz tak się rozjechały, ojciec nie żył, Wanda akurat tego by pewnie nie zrozumiała, zresztą z tą swoją otwartością na pewno by komuś powiedziała. Więc nie mówiła nikomu i wydawało się jej, że jakoś sobie radzi, że skutecznie to wszystko upchnęła w swoim wnętrzu i potrafi trzymać w ryzach. Okazało się jednak, że nie.

Trzęsła się. Jeszcze godzinę temu była w dobrym nastroju, gotowa góry przenosić, a teraz...

– A pamiętasz tę sukienkę? – zapytał nagle Henryk.

– Sukienkę? – powtórzyła po nim ogłupiała. – Jaką sukienkę?

– Taką, co miałaś w ostatnie wakacje przed wojną. Też była w tym kolorze.

Barbara patrzyła na niego bez słowa. Rzeczywiście, mama zamówiła jej taką sukienkę. Piękny kolor, bardziej piwonia niż róż. Pierwsza w kobiecym kroju, z zaszewkami, odpowiednimi do jej zmieniającej się sylwetki. Barbara nie cieszyła się nią długo, kilka miesięcy zaledwie, bo przez nieuwagę wypaliła w niej dziurę żelazkiem. Była jesień trzydziestego dziewiątego, wróciła do domu roztrzęsiona, po drodze mijała świeże groby, spalone domy, ludzi jak widma. Wtedy robiło to na niej piorunujące wrażenie. Więc chciała wyprasować tę wypraną już sukienkę i odłożyć ją do szafy na kolejne lato, ale zbyt długo trzymała stopę żelazka na materiale – w centralnym miejscu na piersi zrobiła duży, brzydki, ciemnobrązowy trójkąt. Potem, już w szkole, chciała ją przerobić na spódnicę, ale okazało się, że i w pasie trzeba by ją zmieniać, za dużo zachodu, więc ostatecznie wykorzystała materiał na jedno

z zamówień, którymi dorabiała. I tyle zostało z tej pierwszej dorosłej sukienki. Szczerze mówiąc, zapomniała o niej – jak o wielu rzeczach z dawnego życia. Ale że Henryk nie zapomniał?

– Tak ładnie w niej wyglądałaś...

Wciąż milczała.

– Ty w ogóle taka ładna jesteś...

Zrobił krok w jej stronę. Delikatnie się cofnęła, tak że prawie dotknęła plecami muru. On chyba tego nie zauważył; wpatrywał się w jej twarz z napięciem.

– Basiu, ja...

Czuła, jak wali jej serce. Była kompletnie wytrącona z równowagi – ten plakat, te nazwiska, wczorajsza akcja, śmierć ciotki, krew na ulicy, strach o jutro, wieczne napięcie, niepokój, myśli o plaży nad Świdrem, wspomnienie gorącego piasku, różowa sukienka zostawiona na kocu, pierwsze spotkanie z Zygmuntem, gorąca skóra jej ud i ramion, czułe spojrzenie Henryka, samotność, nieodkryta kobiecość, ciepłe usta domagające się innych ust...

Przymknęła oczy. Jak bardzo nie chciała tu być, jak bardzo by chciała być w innym życiu, gdzie...

Poczuła przyspieszony oddech na szyi i ciepłą miękkość warg na swoich ustach. To było takie przyjemne...

– Taki z ciebie kolega, że kumplowi pannę podbierasz? – usłyszała nagle.

Natychmiast się ocknęła. Oddech zniknął, usta zniknęły. Przed sobą zobaczyła Henryka – zaczerwienionego: złością i speszeniem. A przecież wyobraziła sobie, że to... A na chodniku zobaczyła chłopaka, którego już wcześniej widziała – wtedy, gdy przy fabryce spotkała Henryka i Zygmunta z obwiązaną ręką. Wówczas można było pomyśleć, że jest jego dziewczyną, że to w bójce o nią tak pokieroszował dłoń.

– Nieładnie, nieładnie. – Zaśmiał się i pogroził mu palcem. – Ale jak postawisz piwo, będę milczał jak grób. W końcu miłość nie

wybiera, nie?

*Spektakularne. Tego słowa zapomniałam wcześniej. To, co raz mi się udało z tą akcją, było spektakularne. Czułam się nierzeczywiście dobrze. Wspaniale. Wszyscy, mimo tych uwag Zygiego, mnie podziwiali.*

*A potem, z Henrykiem...*

*Boże, co się ze mną dzieje (nie wiem, czy Bóg tu pasuje)! Może raczej, co się dzieje z moją głową. Pod tym murem to wprowadziłam się w taki stan, że na moment byłam gotowa uwierzyć, że te usta są Zygmunta. Gdyby nie ten chłopak / mężczyzna i jego prostacka odzywka, pewnie bym Henryka pocałowała, zwłaszcza że temu towarzyszyły takie emocje, coś takiego we mnie, zupełnie fizycznego. Jestem beznadziejnie głupia w tych sprawach, niedoświadczona. Z jednej strony te kobiety u nas, na Krochmalnej, „kobiety z bramy” albo „kobiety z ulicy”, jak mówiła mama, całą sobą dają znać, że robią coś paskudnego, okropnego, a z drugiej – nic. „Pewne rzeczy się wyjaśnią, jak dorośniesz”. No, dorosłam, i to szybko, a „rzeczy” się nie wyjaśniły.*

*A mama... Wracam do tego listu ciotki. Mama musiała się w ojcu zakochać albo zadurzyć, w każdym razie szybko się jej te „rzeczy wyjaśniły”. Taka rozbieżność między tym, co mnie mówiła, a tym, co sama robiła. Zarazem – gdyby było inaczej, mnie nie byłoby na świecie, może nigdy, a może bym była – jako córka ciotki.*

*Czy tym światem rządzi wyłącznie przypadek?*

*Czy ja chcę Henryka, czy Zygmunta?*

*Czy ja samej sobie mogę ufać?*





## Rozdział osiemnasty



– Złapał dwóch naszych przetokowych.

– Kogo? – Barbara nie знаła tego słowa.

– Przeładunkowych – wyjaśnił jej Kamień.

Stali na peronie. On ją niby odprowadzał na pociąg, ona niby jechała. To znaczy ona miała jechać naprawdę.

– Pracowali przy rozładunku pociągów, brali dla nas środki opatrunkowe i medyczne. W końcu wpadli, złapali ich Niemcy i odstawili do kripo w Pruszkowie. Tam ich przesłuchiwał komendant Karpiniuk. Będę tęsknił... – Przytulił ją.

Poddała się temu uściskowi, jednocześnie dyskretnie się rozglądając. Również zauważyła dwóch mężczyzn w garniturach i z gazetami, którzy maskowali się zdecydowanie gorzej niż oni.

– Ja też. – Poglaskała go po policzku.

– On się nie kapnął, że oni są od nas, wziął ich za zwykłych złodziei. – Kamień wciąż się w nią wpatrywał ciepłym wzrokiem.

– I zaczął ich wypytywać o ukrywających się Żydów. Czy wiedzą, kto i gdzie. Z tego żyje, menda. Jest wyrok, by go zlikwidować.

– Gdzie broń? – zapytała, przytulając go.

Garnitury wciąż spacerowały po dworcu, niedaleko nich.

– Nie tym razem. Jedziesz do Pruszkowa. Idziesz do kripo, do Karpiniuka, że niby masz dla niego wiadomość o ukrywających się Żydach. Proponujesz mu adres za kasę. Idziecie tam natychmiast, bo mówisz, że oni mogą się ewakuować. Tam są nasi i go zdejmują.

Barbara poczuła, że puls jej przyspiesza.

– A jak go poznam?

– W kripo pracuje nasza wtyka, jest tłumaczką. Będzie się kręciła po korytarzu, jak on wyjdzie, zwróci się do niego głośno, wskazując ci go. Ona wie, jak ty wyglądasz. No, za pięć minut masz pociąg.

Przez chwilę stała bez ruchu, ale szybko się ocknęła. Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w policzek. Garnitury minęły ich bez większego zainteresowania.

Wsiadła do pociągu.

Wciąż czuła przyspieszony puls. Nie spodziewała się takiego zadania, myślała, że będzie jak zawsze – odebrać broń, wydać broń, odebrać broń. Bez kontaktu z „celem” czy „obiektem”. A teraz taka informacja. Wcześniej sądziła, że przekazywanie instrukcji i rozkazów bezpośrednio przed akcją wynika ze względów bezpieczeństwa na wypadek wpadki, teraz pomyślała, że pomaga także w opanowaniu się – gdyby wiedziała wcześniej, denerwowałyby się, zastanawiała, spalała. A tak – pół godziny i będzie musiała stanąć przed tym mężczyzną.

W pociągu było trochę ludzi, ale raczej pustawo. Zdecydowanie większy ruch był w drugą stronę. Na poranne kursy na warszawskim dworcu czekała spora grupa ludzi. Jeśli przyjezdni mieli coś na sprzedaż, natychmiast było to rozkupowane. Ceny – niemożliwie wysokie. To wiedziała od Wandy, sama tam nawet nie podchodziła, nie miała z czym. Zresztą nie musiała aż tak bardzo, regularnie dostawała jedzenie od Henryka. Po tamtej scenie pod murem nie mówili o tym, nie było okazji. W każdym razie Henryk dbał o nią teraz tak, jakby coś się między nimi zmieniło, jakby myślał, że to był wstęp do czegoś więcej.

Czy był?... Znowu ten kłębek splątanych uczuć.

Jej palce szybko pracowały, drąc na małe kawałki karteczkę z planem miasta i zaznaczonymi na nim dwoma obiektami – siedzibą policji i domem, gdzie mieli się „ukrywać Żydzi”.

Dojeżdżali do Pruszkowa. Puls znowu poszybował.

Wysiadła z pociągu, rozejrzała się i podeszła do kosza na śmieci. Szybko wyjęła z kieszeni paltła papierową kupkę i wsypała ją do pojemnika.

Ruszyła przed siebie. Idąc, odtwarzała w głowie ten wyrysowany plan. Z tym było całkiem łatwo; z trafieniem pod „trefny” adres też nie będzie problemu. Natomiast samo spotkanie z tym komendantem... Jak się rozmawia z takimi ludźmi? Czy ona wypadnie przekonująco? Jak wygląda i mówi ktoś, kto jest gotów spieniężyć życie innych ludzi?

Doszła przed budynek policji. Zatrzymała się przed wejściem. Nagle obleciał ją potężny strach. Tamto, co się do tej pory wydarzyło, to była łatwizna, betka, nawet to w rikszy. A teraz?... Żeby zyskać na czasie, przyklęła. Pod jedno kolano podłożyła rękawiczkę, drugie wysunęła do przodu. Zziębniętymi dłońmi zaczęła poprawiać sznurówkę. I wtedy usłyszała dźwięk, którego początkowo nie potrafiła zidentyfikować – coś jakby zwierzęcy jęk, przyduszone zawrodozenie. Rozejrzała się. Dostrzegła małe piwniczne okienka. Były zakratowane i zasłonięte dyktą albo jakąś płytą, które nie do końca tłumiły dochodzące odgłosy. Zrozumiała, że tam mieszczą się więzienie i pewnie sale przesłuchań. Zaczęła się trząść. Gdyby to ona wpadła i gdyby to ją tam torturowano? Ile można tak wytrzymać?

Podniosła się. Na lekko drżących nogach weszła do środka.

Prawie od razu w wejściu zauważyła ładną ciemną blondynkę ze starannie ułożonymi włosami. Ona też ją dostrzegła; spojrzała na nią, a potem przeniosła wzrok na koniec korytarza, gdzie stało dwóch rozmawiających mężczyzn. Lekko skinęła głową; Barbara zrozumiała. Otworzyła torebkę, wyjęła chusteczkę i lusterko; markowała przecieranie oka, jednocześnie ukradkiem spoglądając na korytarz. Mężczyźni skończyli rozmowę. Większy, z marynarką opinającą się na brzuchu, ruszył w jej stronę, drugi, niepozorny szatyn, został w miejscu i przeglądał jakieś papiery. Barbara

obstawiała, że to ten zbliżający się do niej jest Karpiniukiem, ale kobieta go minęła. Podchodząc do tego drugiego, powiedziała głośno:

– Dzień dobry, panie komendancie.

Rozpromienił się na jej widok.

– Pani Anna. Będę miał coś do przetłumaczenia.

Znowu się uśmiechnęła. Stała bokiem do Barbary, więc Barbara dobrze widziała ten uśmiech. Dałaby mu się zwieść, wyglądał prawdziwie.

Zacisnęła dłonie w pięści, rozprostowała je i ruszyła przed siebie.

Kobieta ją minęła; gdy była na jej wysokości, po raz drugi wykonała ten ruch lekkiego skinięcia głową. Karpiniuk właśnie naciskał klamkę, by zniknąć w pokoju. Już do jego pleców Barbara powiedziała:

– Panie komendancie.

Odwrócił się.

– Tak? – zapytał z lekką rezerwą.

Wyglądał absolutnie nijako. Mógłby leczyć zęby, sprzedawać guziki, wykładać łacinę lub kierować tramwajem. Na pewno nie posądziłaby go o wydawanie ludzi na śmierć. „Zło ma zwykle pospolitą twarz”, usłyszała na jednym ze szkoleń. Jeśli tak, to ten człowiek był złem wcielonym.

– Przychodzę z pewną sprawą... – Zawiesiła głos.

– Tak? – Wciąż trzymał dłoń na klamce.

– To sprawa poufna. – Nachyliła się w jego stronę.

Przez chwilę się jej przyglądał. Wiedziała, że się zastanawia, co zrobić.

– Zapraszam. – W końcu otworzył drzwi. Począł, aż wejdzie, sam także wszedł i starannie dociągnął klamkę.

– Słucham. – Obrócił się w jej stronę.

– Przychodzę z tym, że... – Zawahała się, ale tylko na moment.

– Że mamy w jednej z kamienic nadprogramowych, niechcianych

lokatorów.

Patrzył na nią, ale nic nie mówił.

– Rozumie pan? – zapytała.

Nie wiedziała, jak go podejść, na której nucie zagrać.

– A dlaczego pani z tym do mnie, nie tam, na dole?

– Bo wiem, że pan to przeprowadza skutecznie. I jeszcze, proszę wybaczyć, ale ja mieszkam sama z matką, a czasy są ciężkie, więc gratyfikacja za taką informację byłaby miła.

Słyszała, jak wypowiada te słowa, i sama nie potrafiła w nie uwierzyć.

– Kto pani powiedział, że ja mogę załatwić takie sprawy? – Patrzyły na nią te nijakie oczy w nijakiej twarzy.

– Tego nie mogę zdradzić. Jeżeli się pomyliłam... – Zrobiła krok w kierunku drzwi.

Zagroził jej drogę.

– Tego nie powiedziałem. Adres?

On uwierzył w jej słowa.

\*

Szedł za nią, w bezpiecznej odległości kilku kroków. Nie oglądała się, ale wiedziała, że tam jest. Znowu odtwarzała w głowie trasę z kartki. Z Parkowej na Kraszewskiego. Niedaleko, kilkanaście minut. Prosto, w prawo, w lewo. Musiała iść tak, jakby doskonale wiedziała, dokąd go prowadzi, jak inaczej bowiem mogłaby mieć informacje o ukrywających się Żydach? Poczula, że znowu się trzęsie. „Kraszewski, urodzony w Warszawie, założył Macierz Polską, wydał cykl *Trylogia saska* i *Dzieje Polski...*”, powtarzała sobie wiadomości z polskiego, żeby się na czymś skupić.

Byli już na Kraszewskiego. Jeszcze chwila i trafią pod właściwe drzwi. Zatrzymała się. Karpiniuk doszedł do niej. Znowu zaczęła dygotać.

– Numer? – zapytał.

Był spokojny. „Nie pierwszy przecież raz”, pomyślała. Nienawiść do niego podziałała na nią dziwnie uspokajająco.

– Osiem – odparła. I znowu ten przebłysk intuicji; w jego spojrzeniu było coś takiego, że poczuła, iż nie do końca jej ufa. – A... pieniądze? – zapytała więc.

I wtedy się uśmiechnął. Obnażył grube bladoporóżowe dżiąsła i małe żółtawe zęby.

– To już nie gratyfikacja, tylko po prostu pieniądze? – zapytał zaczepnie.

– Wojna jest, trzeba żyć. – Wzruszyła ramionami. Starala się powiedzieć to tak, jakby to zrobiła na przykład Wanda.

Podziałało.

– Będzie. Ale najpierw towar.

„Towar”.

Kiwnęła głową.

Zastukała. Drzwi się uchylily i zobaczyła w nich znajomą twarz. To była Ewa, ta dziewczyna, którą widziała kiedyś na Złotej i której dowód znalazła.

– Słucham? – zapytała, jakby się nigdy nie widziały. Wyglądała na przestraszoną, zwłaszcza gdy zobaczyła Karpiniuka. – To chyba pomy... – Chciała zamknąć drzwi, ale on już postawił but przy ościeżnicy.

– Wejdzimy – powiedział stanowczo i pociągnął Barbarę za rękę.

Po chwili drzwi się zamknęły.

\*

– Przepraszam. – Bezradnie wzruszył ramionami. – Najpierw u ciebie w domu, dzisiaj tam. Ja nie sądziłem, że to jest takie... trudne.

Barbara spojrzala najpierw na niego, potem na pakunek w swojej ręce. W torbie niosła zapraną spódnice. Mimo sporej

ilości wody i szarego mydła zapach wymiocin wciąż był wyczuwalny. Dobrze, że w tym mieszkaniu były jakieś ubrania. Nie jej rozmiar, ale wywinęła pas, związała zebrany nadmiar materiału sznurkiem i jakoś wyglądała w tej pożyczonej spódnicy.

– Zdarza się – powiedziała. – Naprawdę – dodała miękko.

– Jak Twardy nas szkolił, wtedy, kiedy ciebie jeszcze nie było, zresztą to było dla chłopaków, ze strzelania, to wszystko wydawało się prostsze. – Spojrzał na nią. – Zapytał nas: „Wiesz, ile jest warte twoje życie?”. Myślałem, że dużo, ale odpowiedział: „Tyle co nabój. Cudze tyle samo jest warte. A wiesz, ile jest warte życie zdrajcy?”.

„Nic”, pomyślała.

– „Nic”, tak powiedział. A ja dzisiaj... – Odwrócił głowę.

– On wydawał Żydów. Szantażował ich, wyłudzał pieniądze, a jak już ich ograbił ze wszystkiego, wyciągał ich z kryjówek i przekazywał Niemcom. Jego życie nie było nic warte – powiedziała to bez zawahania.

– Basiu, ja to wiem, ale jednak zabić człowieka!... – wybuchnął i rozejrzał się dokoła. Na szczęście szli na stację mało uczęszczaną ulicą, więc nikt go nie usłyszał. – To jest...

– Za pierwszym razem tak. Z każdym pierwszym razem tak jest. Potem powszednieje – powiedziała. Tak jej podpowiadało życie.

Zatrzymał się i złapał ją za rękę.

– Nie każdy kolejny raz powszednieje. I nie mówię tu o zabijaniu. Basiu, my robimy takie rzeczy, że każdy raz może być tym ostatnim. I dlatego ja bym chciała...

– Jesteś w emocjach. – Poglaskała go po ramieniu. – Pociąg słyszę, chodź.

On miał problemy z zabijaniem, ona – z rozeznaniem się we własnych uczuciach.

*Kartka do pudełka, od razu wyrwałam. Prosto z Pruszkowa pojechałam do szkoły, spóźniona. Znowu się wymówiłam leczeniem zęba. Nauczyciel techniczny spojrzął na mnie i chyba uwierzył, bo widać, że sam ma problemy z uzębieniem. „Bujać to my, nie nas”, powiedziała natomiast Wanda. „Nie widać, żebyś była przybita, raczej ożywiona. Gadaj”.*

*Ona myśli, że to damsko-męskie sprawy. Wcześniej sądziłam, że to dlatego, że świat Wandy się do takiego obrazu ogranicza. Ona chyba wszędzie i zawsze z tym swoim Antkiem to robi. Już mnie to nie szokuje. Przed wojną sobie myślałam, że z wiankiem się do ślubu czeka. A tu się okazało, że nawet moja mama nie czekała. Widać wiele osób się nie zastanawia nad tym, co robi. A może przeciwnie – właśnie się zastanawia i nie widzi sensu w czekaniu? Gdyby mama poczekała, czy ojciec by z nią został, czy wrócił do ciotki? Gdyby Wanda zginęła podczas wojny, to łatwiej by jej było ginąć, nie mając za sobą tylu doznań?*

*Boże, no co ja piszę? Tak w ogóle, i to jeszcze dziś. Z bliska widziałam, jak zginął człowiek. Chwilę wcześniej stał obok mnie, a za moment – kula wyryła mu dziurę w czaszce. To znaczy najpierw przeszła bok, potem już celniej, trafiła w ramię, a dopiero trzecia, gdy leżał na podłodze, weszła w środek czoła. „Nie strzelaj, mam pieniądze”, to powiedział do Henryka. A Henrykowi drżały ręce, cały się trząsł. Ten mu mówił o pieniądzach, bo na nich oparł całe swoje życie, a Henryk... Henryk je oparł na uczciwości – jak widać aktualnej także wobec najbardziej nieuczciwych.*

*Twardy, bo z dziewczynami też rozmawiał, powiedział, że wrogów trzeba zabijać, bezwzględnie. I że kapelan AK wszystkich rozgrzesza z takich działań. „Trzeba do nich strzelać, jeśli zasługują”, tak podobno mówi.*

*Więc jeżeli kapelan uznaje, że Bogu nie wadzi zabicie drugiego (niby bliźniego...), to miłość miałaby mu wadzić? Jeśli człowiek może zabić drugiego, żeby ten nikogo już nie skrzywdził, to czy nie może drugiemu dać tego, co w życiu najważniejsze – miłości?*

*Wychodzi na to, że Wanda znowu ma rację.*

*Może też być tak, że ja grzeszę (bo kapelan to chyba jednak nie).*





## Rozdział dziewiętnasty



– Wychodzę.

„Znowu”, pomyślała Barbara.

– Mamo... – Popatrzyła na nią. – Jest zimno, ty jesteś zmęczona...

– Ale to moja siostra. – Matka zacisnęła usta.

Barbara pomyślała, że usta mamy są teraz jak bardzo wąska linijka, a kiedyś przypominały pączek młodej róży. Krystyna Leoniewska wyglądała tak, jakby uchodziło z niej życie. „Nie życie, a duch”, poprawiła się Barbara w myślach. Ciało mamy dawało radę; przydatne było tu wsparcie aprowizacyjne Henryka. Duch zaś... Śmierć ciotki zmieniła matkę. Nie od razu; przez krótki czas wydawało się, że mama sobie z tym poradzi, że dojdzie do siebie. Balansowała na tej linii niepewności i jednak zaczęła spadać. Coraz niżej i niżej. „Tyle lat byłyśmy razem, zawsze blisko, wszystko by dla mnie zrobiła, ja dla niej też”, powtarzała jak mantrę, gdy Barbara próbowała ją przywrócić światu żywych. Bo matka stała w takim rozkroku – tu ją trzymała tylko córka, tam – ciągnęli ci, co odeszli.

Barbara to rozumiała, przecież sama opłakiwała ojca – długo i boleśnie. Śmierć ciotki też nią wstrząsnęła, choć chyba równie mocno przeżywała tę niesprawiedliwość miłości – jakiś ponury żart losu – tobie dam, a tobie nie.

„Gdyby matka wiedziała...”, pomyślała.

Ale nie wiedziała i nigdy się nie dowie. W obecnej sytuacji to by ją zabiło. Barbara niekiedy myślała, że gdyby się tym z matką podzieliła, byłoby jej łatwiej. Przez pewien czas nie wiedziała, co zrobić z tą wiedzą, ale potem uznała, że nie było tu niczyjej winy, po prostu taki splot wypadków. Tyle że mama nie miała pojęcia, że to ona wygrała na tej loterii życia. A teraz to z siebie robiła ofiarę, choć przecież tak czuła.

„Jak to człowiek potrafi czasem czuć wbrew faktom”, pomyślała Barbara.

– Muszę iść. – Matka zapinała płaszcz chudymi palcami. Potem obwiązała szyję wełnianą chustką i wsunęła na dłonie pocerowane rękawiczki. Na taborecie przy drzwiach Barbara dostrzegła kwiaty – bukiet z trzech róż.

– Kwiaty są takie drogie – powiedziała.

Jakoś ją to zezłościło.

Matka spojrzała na nią.

– Marysi się należą. Modlitwa też.

Barbara poczuła nieprzyjemne szarpnięcie w gardle. Wiedziała, że zaraz zacznie się denerwować. Na podwórku ich kamienicy stanął ołtarzyk, gdzie co wieczór grupa mieszkańców, w większości mieszkanek, się modliła. Można było pominąć godzinę policyjną, bo podwórko było zamknięte. Matka wychodziła do tej kapliczki każdego dnia po pracy. Najpierw było to naturalne, Barbara też tam schodziła, ale potem zaczęło się to zmieniać w jakąś manię lub przymus. Matka wracała z pracy, jadła kilka łyżek zupy i szła pod kapliczkę. Zaczęła kupować znicze i kwiaty. Barbara raz czy dwa przebąknęła, że lepiej by było, żeby kupiła sobie coś do jedzenia czy choćby rękawiczki lub nową czapkę, ale mama się zaimpregnowała na te rady. Zresztą nie była w tym sama, bo zawsze towarzyszyła jej duża grupa modlących się. I nie tylko u nich, na Krochmalnej, tak było, lecz także w Śródmieściu czy innych miejscach Warszawy. Barbara widziała w tym przejaw nie tyle wiary, ile jakiejś już egzaltacji.

– Ja wiem, ale przecież to jej nie zwróci życia – próbowała delikatnie.

– Pamięć jest ważna. Ludzie żyją w naszej pamięci. – Matka popatrzyła na nią z, jak się Barbarze wydawało, wyrzutem.

Barbara szybko przestała chodzić pod kapliczkę, fakt.

– Tak, ale ty potrzebujesz...

– Ja sama wiem, czego ja potrzebuję.

Krystyna Leoniewska była rozżalona. Smutna i zła.

Barbara zacisnęła zęby. Pokiwała głową. Postanowiła spróbować z jeszcze innej strony:

– Pamięć jest ważna, ale ty pamiętasz, ja też pamiętam. To pamiętanie nie może zastąpić prawdziwego życia.

– A gdzie ty tu masz prawdziwe życie? – Matka zrobiła krok w jej stronę. – Ja wiem, co to jest prawdziwe życie, bo żyłam naprawdę. Miałam ojca, ciebie, siostrę, miłość, śmiech. A co mam teraz?

Odwróciła się, podniosła różę z taboretu i wyszła z mieszkania.

*Nie mogłam spać przez mamę. Jest mi jej żal, jestem na nią zła. Coraz częściej zdarza mi się tak, że jedna sytuacja wywołuje we mnie dwie skrajne emocje. Kiedyś widziałam świat prosto, czarno-biało. Teraz – miota mną od ściany do ściany. Podobno z wiekiem człowiek mądrzeje. I to niby ma być to mądrzenie? A może właśnie tak? Może właśnie to, że człowiek nie wie, nie ma prostych ocen, to oznaka, że jest dojrzały i mądry?*

*Jedynym miejscem, gdzie mogę sobie tak porozmyślać, jest ten notes. Nie ma nikogo, komu bym mogła powiedzieć wszystko o sobie i o tym, co mi się w życiu dzieje. Każdy zna tylko fragment i tylko przez pryzmat tego fragmentu mnie ocenia, zresztą już chyba o tym pisałam. Tak czy owak, dla różnych ludzi jestem więc zupełnie inną osobą.*

*A dla siebie?*

– A co to, Antek już cię nie kocha? – Barbara usiadła na krześle obok Wandy. Do rozpoczęcia zajęć zostało jeszcze dziesięć minut. Wanda zwykle kręciła się przed budynkiem, bez względu na pogodę. Czekala na Barbarę lub rozmawiała z kimś. Widać było, że energia ją roznosi. Dziś zajęła miejsce w końcu korytarza. Torbę położyła na ziemi, dłonie zaplotła na podolku i wpatrywała się w ścianę przed sobą.

– No, żartuję przecież. – Barbara przysiadła się obok.

– Cześć – usłyszała.

I tyle. Głos też nie był taki jak zawsze.

– Wanda, przepraszam, jeśli naprawdę coś między tobą a twoim Antkiem, nie wiedziałam, bo ty tak o nim zawsze...

– Nie, z Antkiem jest dobrze. – Odwróciła się do niej.

Dopiero teraz Barbara zauważyła, że Wanda ma zapłakane spojrzenie.

– No to co się stało? Coś z rodzicami? Z tobą? A może ty...

Nie dokończyła. Co by mogło doprowadzić do łez młodą dziewczynę, która ma chłopca, a nie męża, i która z nim żyje?

– Co?... A, nie, nic takiego, przecież ja sama ci mówiłam, że mogłabym ci w tej sprawie pomóc... – Wanda na chwilę się ożywiła. – Nic z tych rzeczy. Chodzi o coś zupełnie innego.

Rozejrzała się dokoła. W drugiej części korytarza stało już kilka osób.

– Nie mogę tu, teraz – wróciła do szeptu. – W ogóle nie wiem...

– Patrzyła teraz na Barbarę, nie spuszczać z niej wzroku. – Baśka, a tobie można zaufać? – zapytała; bardzo poważnie, jak nie ona.

Barbara patrzyła na nią zdumiona. Wanda i takie kwestie? Taki ton?

– Przecież mnie znasz, to już trzeci rok będzie.

Nie wiedziała, jak wystawić sobie lepsze świadectwo.

– Znasz, nie znasz. Ludzi się poznaje, jak coś się stanie. – Wanda po swoim wzruszyła ramionami.

– Czyli się stało...

Wanda przez moment jeszcze się jej przyglądała.

– Dobra, po zajęciach. Wyjdziemy razem i wtedy ci powiem.

\*

Szły i milczały. Wanda skręciła w stronę parku Skaryszewskiego.

– Czyli cię nie odprowadzam? – zapytała w końcu Barbara, bo ta cisza zaczęła jej ciążyć.

– Odprowadzasz, ale tak na oko. Poczekaj, zaraz ci coś powiem. – Wanda rozejrzała się dokoła.

– To będzie długa historia, co? – zażartowała Barbara.

Czuła się trochę nieswojo z taką nową Wandą. Mimo wszystko uważała, że nie usłyszy nic strasznego. Wanda nie pasowała do strasznych opowieści. Barbara myślała o niej, że potrafi się przystosować do wszystkich, nawet najgorszych sytuacji. W pewien sposób podziwiała tę jej umiejętność brania z życia tyle, ile ono daje, a nawet więcej.

– Nie, całkiem krótka. – Wanda pokręciła głową. Spojrzała na Barbarę. – Mój wuj nie żyje. I jego syn też nie żyje.

Nie, tego Barbara się nie spodziewała.

– Bardzo mi przykro. – Zrobiło się jej głupio, że tak przed chwilą powiedziała. – A co im się stało?

Wiedziała, że Wanda ma rodzinę na wsi, pod Wyszkowem. Trochę o nich opowiadała, słysząc było, że ich lubi, że są ze sobą zżyci.

– Zabił ich taki jeden, ścierwo jedno. – Wanda zacisnęła pięści.

– Niemiec?

– Niby tak. To znaczy na końcu tak, bo on pociągnął za spust, ale wyrok wydał na nich Polak. Gdyby ten szkop sam, to jakoś by było łatwiej to przyjąć. Jak twoją ciotkę zabili, to było jasne – szkopy i już. Nie to, żeby to była mniej gorsza śmierć, tylko człowiekowi się wydaje to takie zwyczajne, w tym sensie, że

nieuniknione, bo okupant, bo Hitler, no po prostu tak jest, jak jest wojna. A tu? Polak, rodak! Ja głupia nie jestem, dobrze wiem, że tak się dzieje, ale póki to było tylko z opowieści mi znane, to też jakoś inaczej... Zresztą ta gnida to nie żaden obcy, tylko z Pragi, ze Szmulek, niedaleko od nas. I ciotkę znał z dawnych czasów, kiedy ona mieszkała na Pradze, bo to przecież siostra mamy, razem się tu wychowały. Można powiedzieć, że sąsiad. Do tego ona była jedną z nielicznych osób, które mu nie dokuczały, bo on taki ryży, znaczy rudy. I ona nigdy się z niego nie śmiała, wręcz przeciwnie, nawet go kilka razy wzięła w obronę. Rozumiesz? Baśka, czy ty to rozumiesz?

Znowu przystanęła i patrzyła na nią.

Barbara delikatnie pokiwała głową. Rozumiała, zdecydowanie lepiej, niż się Wandzie wydawało.

– Ale dlaczego? – zapytała, choć jednocześnie podskórnie czuła, że chyba zna odpowiedź na to pytanie.

– Jezusie przenajświętszy, no właśnie! – Wandzie załamał się głos. – Ciotka... ja ci powiem, ale powiem ci też, że gdybyś ty jednak się okazała mendą, to ci nie daruję i znajdę cię wszędzie.

Barbara aż się od niej odsunęła.

– Przepraszam. – Wanda odetchnęła. – Nerwy jak postronki, bo żeby takie coś... – Pokręciła głową. – Ciotka ukrywała u siebie dwie Żydówki.

„Więc jednak”. Barbarze natychmiast stanęła przed oczami scena z pruszkowskiego mieszkania. Komendant – przychodzący jak po swoje, Ewa, właściwie Luna, bo taki miała pseudonim – dobrze grająca rolę przestraszonej właścicielki mieszkania, Henryk – który wyszedł z drugiego pokoju i się trząsł; nim Karpiniuk zrozumiał, że to nie ze strachu przed nim, już miał kulkę w ramieniu, a chwilę potem – w głowie. Jak to wyglądało u rodziny Wandy?...

– One były, znaczy chyba są, bo uciekły, więc może jeszcze żyją, z Warszawy. Ciotka i mama znały je, znaczy ich matkę i babkę,

długo przed wojną. Nie żeby jakieś zażyłości, ale i handel, i jakieś inne sprawy, no tak po ludzku się znały. Przyszła wojna, jakoś się im jeszcze żyło, coś tam matce dały, matka im w zamian pieniądze, więcej, niżby na rynku zapłaciła. To była forma pomocy. Potem poszły do getta i było jasne, że nie wyjdą stamtąd żywe. Rodzina, ta żydowska, bo oni w dużej rodzinie żyli, zebrała kasę, żeby te dwie ratować: Rebekę i Miriam. Znali, tak lepiej, tylko matkę, znaczy tą, co była matką dla Rebeki i babką Miriam. Poprosili moją matkę, ale my tu nie mogliśmy, no jak, w kamienicy człowiek na człowieku, zaraz by się ktoś dowiedział. Zresztą byli tacy inni niedaleko, to wiesz, jak to się skończyło, opowiadałam ci. Mama pomyślała o siostrze. I pojechały... Było dobrze przez prawie rok, ale potem ta gnida się zwiedziała. Był po pieniądze, ale oni nie mieli, naprawdę. Tamte dwie to już się dawno wyzbyły wszystkiego, wujostwu też nie najlepiej szło, trzymali je bez żadnych pieniędzy od nich. Ciotka się zebrała, do nas przyjechała, coś tam matka jej dała. Taka niespokojna była, nawet mówiła ciotce, że to może czas, żeby te dwie... No bo życie za życie, to taka sytuacja, nie można od nikogo wymagać aż tyle. Ale ciotka się zaparła. Wróciła, a tam wuj i brat mój cioteczny nieżywi. Ta gnida przyszła ponownie, tym razem z żandarmem, po złości, że nic nie ugrał, kipsisz zrobili, znaleźli w stodole legowisko w ziemiance i... już, zastrzelili ich. – Wanda zaczęła się trząść. – Ciotka i bez tego by się domyśliła, bo kto by to mógł być, ale on jeszcze rozpowiadał o tym, że to on do tego rękę przyłożył, żeby to było takie ostrzeżenie dla innych. Boże, no Boże mój!

Wanda się zatrzymała i upadła na kolana. Zaczęła płakać.

Barbara przykucnęła przy niej. Była mniejsza, drobniejsza; nie udało się jej całkiem objąć Wandy; po prostu przykleiła się do jej boku i głaskała ją po plecach.

– Tak mi przykro, Wandziu, naprawdę. Ja wiem, że nie ma takich słów, żeby cię pocieszyć, ale... ale przecież jest w życiu sprawiedliwość. Zobaczysz, że kiedyś los wyrówna te rachunki... –



mówiła cicho i szybko; brała zlepkki zdań, jakie się wypowiada w takich sytuacjach, wszystko, byle tylko jakoś ukoić ból Wandy.

Wanda na chwilę przestała się trząść. Wytarła nos i policzki rękawem jesionki. Spojrzała na Barbarę.

– Nie ma sprawiedliwości, Baśka. Przed wojną też był z tym problem, ale mniejszy. A może i nie mniejszy, ale było jakieś prawo, jakiś posłuch. A teraz – nie ma i już. I człowiek jakoś z tym żyje, póki go to nie trzepnie mocno. A jak już trzepnie, to dwa razy bardziej nie ma życia. Rozumiesz?

Barbara niepewnie pokiwała głową. Rozumiała, ale nie przypuszczała, że od Wandy usłyszy takie słowa.

– Oni nie żyją, ciotka od zmysłów odchodzi, sama została z córką, te Żydówki to nie wiadomo gdzie są, a ta gnida sobie chodzi po ziemi jakby nigdy nic. To jest właśnie dwa razy bardziej – że cierpisz, bo ci bliskich zabili, i nic nie możesz zrobić temu, kto za to odpowiada. Ja to powiedziałam Antkowi, bo jemu też można zaufać, on jest dla mnie cudowny, najlepszy na świecie, i on się od razu do bitki chciał brać, ale mu nie dałam. Antek silny, duży, ale same pięści nie poradzą. A tamten by się dowiedział, kto mu to zrobił, i by Antka utłukł. Tu można tylko w jeden sposób sprawę załatwić. I ja wiem, jakby to trzeba. I ja kogoś takiego znajdę, jakoś dojdę. Nie odpuszczę, boby mnie to zżarło, rozumiesz?

Barbara pokiwała głową.

– Słuchaj, ja cię przepraszam. – Wanda ją przygarnęła do siebie. – Tak wybuchłam i tak ci o tym wszystkim powiedziałam, a ty przecież jesteś daleko od takich spraw. Delikatna i dobra dziewczyna z lepszego brzegu Wisły. W twoim świecie tak nie ma.

Barbara milczała. Nie, absolutnie nie mogła jej nic powiedzieć. Dla Wandy, i dla każdego innego, musi być taką trochę niemotowatą panienką.

– No, spódnice otrzep, bo się śniegiem osypała, o. – Wanda chciała strząsnąć ręką tę biel, ale zbrylona gruda przyczepiła się

do materiału i nie chciała odpaść. – No, bo zimno ci będzie. – Wanda nachyliła się, żeby ją oderwać. – Co tu tak jakoś... – zapytała, wciągając nosem powietrze, kiedy oczyszczała rąbek spódnicy. – Jakby kto pawia puścił?... – Podniosła się. – A nie, wydawało mi się. Dobra, chodźmy, bo zaraz będzie ciemno i całkiem zimno.

*Wróciłam do domu. Mama pod kapliczką. Te róże, co wczoraj brała, mróz ściął. Kilka godzin i po kwiatach. Takie zeszywniałe, pociemniałe.*

*Każde życie ma teraz krótszą przydatność.*

*Nie mogę przestać myśleć o Wandzie. Żal mi tej jej ciotki, wuja i kuzyna. Dobro zostało w taki sposób „wynagrodzone”. Nie sposób się z tym pogodzić. Co takiego siedzi w tych donosicielach? Pieniądze potrafią zmienić człowieka w bestię? Kiedy ktoś się boi, kiedy od tego, co robi, zależy jego życie, no, to może tak być, w końcu człowiek jest też (a może przede wszystkim) naturą, a natura chce przetrwać. Ale tu?*

*Widziałam też Antka. Pierwszy raz naprawdę, bo wcześniej to go znałam z opowiadań, kilka razy go widziałam z daleka, jak szedł z Wandą do szkoły lub po nią przychodził, ale nigdy nie był na tyle blisko, by się przywitać. Pasują do siebie, są tacy podobni, jakby z jednego materiału zrobieni. Wyściskała go, pocałowała, a on ją przytulił. Jaki on jest w nią wpatrzony...*

*Pozazdrościłam jej. Ma kogoś najbliższego, na dobre i złe. A ja jestem sama.*

*Po południu znowu widziałam Henryka, szedł z pracy. Już nawet nie ukrywa, że tak to planuje, byśmy się minęli. Ja też nic na to nie mówię. I nawet, pod wpływem tego wszystkiego, co ostatnio, zdjęła mnie jakaś czułość na jego widok.*

*A potem pomyślałam, że może... Henryk mnie kocha, stara się, a ja potrzebuję kogoś. Czasem mi się wydaje, że potrafię być sama, ale kiedy indziej, że z tej samotności zaczynam wariować i miesza mi się w głowie. I że tym, przy kim by się mieszało mniej, byłby Henryk.*

*Wtedy, te usta... Oczywiście wyobraźni widziałam Zygmunta, ale to przecież był Henryk. No co za galimatias!*

*Matka kochała ojca z namiętnością, ciotka nie wyszła za mąż z rozsądku, Wanda nie może się od Antka odkleić.*

*Co będzie ze mną?*



## Rozdział dwudziesty



– ...przyjedzie na Główną z Bydgoszczy. Około trzydziestu lat, brunetka, wschodnie rysy. Ubiera się elegancko, ostatnio w długi płaszcz z brązowym futrem i bordowy toczek. – Zygmunt sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął z niej lekko sfatygowane zdjęcie.

– Kobieta? – zapytał Henryk.

– No, mówię. – Zygmunt nie zmienił wyrazu twarzy. Przesunął po stole fotografię w ich stronę.

– A wiadomo, kto to jest? – Henryk też nie okazywał specjalnych emocji.

Barbara domyślała się, że obu sporo to kosztuje, ale Henryka – więcej. Podniosła czarno-biały kartonik. Spojrzała na nią ładna młoda kobieta.

– Nie, tylko tyle. Rozkaz jest.

Henryk milczał.

– Wcześniej różnie bywało, też nie zawsze było wiadomo. – Zygmunt wstał od stołu i podszedł do okna.

– Tak – zgodził się w końcu Henryk. – Ale to kobieta – dodał. I od razu po tym, szybko i głośniejszym głosem: – Rozumiem, sąd, wyrok, rozkaz.

Zygmunt odwrócił się od okna.

– Sąd, wyrok, rozkaz – powtórzył po nim. – Wezmę tę robotę.

– Ja... – zaczął Henryk.

– Dobrze jest – przerwał mu Zygmunt. – Czasem lepiej nie, jeśli ma się spalić. A po Pruszkowie jak?

Barbara widziała, że Henryk się zawahał. Oni nie spotkali się z Zygmuntem od tamtej akcji, Ewa – może tak. Więc może Zygmunt znał szczegóły. A może nie. Może pytał z ciekawości, a może z intencją.

– Dobrze. Wykonane. – Henryk ograniczył się do tego komunikatu.

– Bez problemów?

– Bez. Bez większych.

Zygmunt podszedł do Henryka i położył mu rękę na ramieniu, a potem kilka razy go klepnął. Trochę po przyjacielsku, jak równy z równym, ale i tak jakby po ojcowsku – była w tym wyrozumiałość dla słabości, choć może i pewna wyższość – tak to Barbara odebrała.

– Baśka, idziesz ze mną. – Teraz odwrócił się do niej.

Ucieszyła się. Właściwie też miała w sobie jakiś opór, podobnie jak Henryk, ale fakt, że przed nią nowa akcja, i to z Zygmuntem, chwilowo odsuwał tę przykrość.

\*

Znowu stała w Śródmieściu, wpatrując się w duże, szerokie drzwi, nad którymi znajdował się napis „Warschau Hauptbahnhof Warszawa Główna”. W torebce miała zdjęcie tej kobiety, choć już go nie potrzebowała – tyle razy je obejrzała, że potrafiłaby ją rozpoznać i bez tego wspomagania. Była bardzo ładna – efektowna, elegancka, ubrana z klasą. Rzeczywiście, miała lekko skośne oczy, ale to tylko dodawało jej urody.

„Szkoda, że niedługo umrze”, pomyślała.

We wnęce obok wejścia stał Zygi. Gdyby nie wiedziała, że tam czeka, pewnie by go nie zauważyła. Plan był taki, że kiedy ona wśród wychodzących z dworca wypatrzy tę kobietę, powoli ruszy jej śladem. Zygmunt opuści wtedy swoją miejscówkę, podbiegnie do Barbary, przywita się z nią i dalej pójdą już razem, jako para.

Tak, ten element planu przykrywał przykrość, którą dzieliła z Henrykiem, choć głośno tego nie powiedziała; czuła się nieswojo, obstawiając likwidację kobiety. Im mniej czasu zostawało do finału tej akcji, tym bardziej.

Zauważyła ją. Była ładniejsza niż na zdjęciu. Ciemna oprawa oczu, ciemne włosy, elegancja. Widać było, że zdaje sobie sprawę z własnej atrakcyjności. Barbara poczuła ukłucie zazdrości. Ich cel był w jakiś sposób podobny do Lucyny – chodziło o tę pewność siebie i o urodę. Ta kobieta była ciemna, Lucyna świetlista, ale to były dwie strony tego samego piękna.

– Kochanie! – Zygmunt wziął ją pod rękę i pocałował w policzek. Jemu ta scena wyszła bardzo realistycznie, dobrze ją rozegrał. Barbara swoich emocji tak grać nie musiała.

Poszli za kobietą.

Barbara wiedziała, jaki jest plan. Ich obiekt zmierzał do mieszkania na Tamce. A ich celem było nie dopuścić, by tam dotarł. Akcji nie można było przeprowadzić w Śródmieściu, za dużo ludzi. Mieli za skazaną pójść na Powiśle, gdzie był już Kamień, i tam przeprowadzić likwidację.

Doszli na przystanek tramwajowy. Zygmunt wciąż trzymał ją pod rękę.

– Opowiedz coś o sobie. Coś więcej – powiedział do niej cicho. – Jak dziewczyna milczy, idąc z chłopakiem pod ramię, to jakby jej było z nim źle. To od razu zwraca uwagę. – Uśmiechnął się do niej. Tak szczerze.

– Ja... – Trochę mu już o sobie opowiedziała, choć na tamtym spacerze to raczej on mówił; głównie o pracy. – Lubię spacerować. Wszędzie chodzę, nie jeżdżę. Najbardziej lubię wiosnę, bo to jakby nowe rozdanie – nowy rok, nowe nadzieje. Wszystko może się zacząć inaczej. Mieszkam z matką, same jesteśmy. Lubię kino, to znaczy przed wojną lubiłam, bo teraz lubić nie można. Uczę się. I przy okazji też uczę się w szkole zawodowej, właściwie to na odwrót. Niby śmieszna ta nauka, bo to krawiectwo, ale okazuje

się, że bywa przydatne. I mam w tej szkole znajomą, taką bliższą, Wandę. I ona... – wypływało to z niej, a on słuchał i wyglądał na prawdziwie zainteresowanego.

– Szlag! – zaklął nagle cicho.

Wysiedli, zgodnie z planem, na moście Poniatowskiego. Ich obiekt też opuścił tramwaj, ale zamiast schodzić teraz samotnie z mostu na Solec, tkwił w objęciach jakiegoś mężczyzny.

– Tego nie przewidzieliśmy – powiedział do Barbary.

Przytulił ją tak, by mieć możliwość obserwowania pary. Wiedziała, że to gra, ale i tak było jej miło.

– Idą – szepnął jej do ucha.

Ładnie pachniał. Tak orientalnie-sosnowo. Wciągnęła ten zapach. Poprawiła torbę na ramieniu. Miała dwie – jedną mniejszą, drugą z drutami i wełną. Po akcji miała tam włożyć pistolet Zygmunta.

Znowu podał jej ramię i ruszyli za parą.

– Plan się trochę sypie – powiedział. – Najlepiej by było, żeby oni się rozstali, zanim dojdą do tego mieszkania.

– Nie wyglądają, jakby mieli się rozstawać. Wyglądają, jakby byli ze sobą blisko – stwierdziła Barbara.

Kobieta była mocno przytulona do ramienia tego mężczyzny. Szli tak, jakby byli połączeni, synchronicznie, zgodnie, płynnie.

– Może. W końcu każdemu wolno kochać, nawet takim jak ona. On pewnie też nie jest niewiniątkiem, ale jego sprzętnąć nie możemy, na niego wyroku nie ma.

– To co robimy?

– Idziemy za nimi. Jeszcze mamy chwilę. Opowiedz coś więcej o sobie. To mnie uspokaja. – Uśmiechnął się do niej.

Bardzo w czas, bo akurat w tym momencie śledzona się obejrzała; jeśli zahaczyła o nich wzrokiem, to zobaczyła przystojnego młodego mężczyznę wpatrzonego w swoją partnerkę.

– Więc mówiłam, że się uczę. Szkoła dla picu, trzeba, ale pod tą przykrywką, czy raczej kołdrą, skoro to szkoła krawiecka, jest

drugie dno, zwykła, to znaczy tajna nauka.

Niespecjalnie miała się tu czym chwalić, bo po maturze jej tempo nauki ciut siadło, zresztą o czym innym chciała z nim porozmawiać. Sprawa z Wandą nie dawała jej spokoju, dlatego raz jeszcze zrobiła ten wstęp.

– I tam poznałam dziewczynę, bardzo miłą, w porządku. Z Warszawy, ale ma rodzinę pod Wyszkowem. I ostatnio spotkała ich tragedia – zginął jej wuj i kuzyn, bo ktoś doniósł, że oni ukrywają...

– Schodzą – przerwał jej Zygmunt.

Barbara zauważyła, że para znika w suterenie, gdzie była pralnia. Przed chwilą weszła tam matka z dzieckiem.

– Za ciasno. I Kamienia nie widzę. – Patrzył w napięciu na wąskie schodki i równie wąskie drzwi.

Barbara poczuła, że Zygmunt ma lekko spoconą dłoń.

– Wychodzą. Mamy jeszcze kawałek, żeby ją doprowadzić – powiedział.

Znowu ruszyli za nimi. Teraz szli Solcem. Kobieta trzymała na ramieniu pakunek z pralni; dość cienki, spod papieru wystawał jasny materiał, pewnie sukienka.

– Cholera, dalej nie możemy jej puścić – stwierdził Zygmunt.

W głębi, na Tamce, w okolicach skrzyżowania i za nim tłum gęstniał.

– Kamień – powiedziała.

Zauważyła go na rogu Tamki i Solca. On też ich dostrzegł, tak przynajmniej się jej wydawało. Para zatrzymała się przy wózku ze słodyczami. Przed nimi stała jakaś młoda kobieta, dokoła było względnie pusto. To był ostatni i najlepszy moment.

Zygmunt uniósł rękę, zdjął kaszkiet i założył go znowu. Kamień powtórzył ten gest. Barbara poczuła, jak Zygmunt lekko się od niej odsuwa i sięga pod płaszcz, na plecy. Wiedziała, że chłopcy tam, „na nerkach”, noszą broń.



Zygmunt zrobił dwa szybkie kroki w kierunku straganu i strzelił. Raz, od tyłu, w głowę. Trafił idealnie. Kobieta osunęła się na ziemię, jak duża szmaciana lalka. Odrzuciła prawą rękę na bok, upuściła trzymany pakunek z pralni na chodnik. Barbara miała teraz niezwykle wyostrzone zmysły. Już w Pruszkowie przeżyła coś podobnego, ale tu było to bardziej nateżone. Świat składał się w tym momencie z pojedynczych odgłosów, ruchów, kolorów i zapachów. Nic nie było całością, wszystko było szczegółem. Dlatego wyłapała – wśród szumu miasta – metalicznie głuchy dźwięk. Zrozumiała, że prócz miękkiej tkaniny sukienki kobieta upuściła coś jeszcze.

Po chwili do tego dźwięku dołączył kolejny, dużo intensywniejszy; na skrzyżowaniu doszło do kolizji – wóz z węglem gwałtownie zahamował, jego tyłem zarzuciło, chwilę się chygotał, a potem przewalił. Czarne kostki potoczyły się na bruk. Z drugiej strony na krawężnik wjechało auto, zapewne po to, by uniknąć zderzenia z wozem, ale nie uniknęło zderzenia ze ścianą.

Skrzyżowanie zostało zablokowane, Barbara straciła Kamienia z oczu.

Towarzysz zabitej najpierw spojrział w kierunku tego rwetesu, a dopiero potem w bok. Odrzucił papierową torebkę na chodnik, landrynki potoczyły się po bruku. Pochylił się nad partnerką, ale błyskawicznie się podniósł; nawet z tej odległości, w jakiej stała Barbara, jasne było, że kobieta nie żyje.

Mężczyzna trafnie wypatrzył Zygmunta. Zygmunt próbował przeładować broń, ale się zacięła. Kamienia nie było widać. Mężczyzna jednym susem znalazł się przy Zygim i szarpnął go za ramię. Zygmunt nie wypuścił broni z ręki, ale zachwiał się i po chwili został przygięty do chodnika.

Barbara patrzyła na tę scenę tak, jakby widziała ją w filmie. Podobnie było w Pruszkowie, ale wtedy Henryk szybko oddał kolejny strzał – celny i kończący; tu nie było na to szans.

Dalej też było jak w filmie, ponieważ wydawało się jej, że widzi siebie jakby z boku, że ogląda Barbarę, która podchodzi do zabitej, omija stróżkę wypływającej z jej głowy krwi, podnosi pakunek z wyprasowaną sukienką, wyjmuje spod niego pistolet, odwraca się w stronę mężczyzny, który szarpie się z leżącym na ziemi Zygmuntem, zbliża się i strzela mu w głowę. Mężczyzna na moment zastyga, a potem pada obok Zygmunta. Barbara chowa broń do torebki, wyciąga z niej chusteczkę. Podaje ją Zygmunтови, który błyskawicznie się podnosi i wyciera skroń z rozbryzgów krwi zabitego. Jeszcze raz patrzy na tę parę, leżącą obok siebie z takim samym pustym wzrokiem. Bierze Zygmunta pod ramię i pewnie, szybkim krokiem kieruje się do Wisły. Tu spotykają zdenerwowanego Kamienia, zablokowanego przez wypadek na skrzyżowaniu. Barbara przejmuje broń od nich obu; wkłada ją do torby, teraz między kłębki wełny leżą dwa metalowe przedmioty. Poprawia torbę na ramieniu, ponownie układa na ręce pakunek z pralni i skręca w lewo, w kierunku Starówki. Zygi i Kamień zostają ze jej plecami, ale wie, że się rozdzielają. Ona idzie spokojnie. Wciąż przeżywa to samo – jest sobą i jednocześnie sobą nie jest, bo niby wszystko czuje, ale przecież i widzi Barbarę skręcającą w ulicę Bednarską i wchodzącą do pierwszej bramy po lewej, gdzie jakiś mężczyzna zamiata korytarz. Patrzy na nią i pyta: „Pani z Bydgoszczy?”. Ona kiwa głową i szybko podaje mu oba pistolety wyjęte z torby. Wychodzi z bramy i wspina się ku Krakowskiemu Przedmieściu. Wciąż jeszcze jako ona-nie-ona idzie wzdłuż ogrodu Saskiego, mija wysadzoną w powietrze synagogę na Tłomackiem i dopiero przy Halach ten obraz znika. Na Mirowie znowu jest sobą, pojedynczą Barbarą.

Minęła zakład szklarski. Przypomniała sobie podobny moment, ten z początku wojny, po kopaniu rowów. Wtedy szła po maski, na Świętokrzyską. Zorientowała się, że jest umorusana ziemią, chciała się przejrzeć w szybie zakładu kapelusznikarskiego. Tamto szkło było lekko zmatowiałe, zobaczyła tylko nieostry zarys

swojej sylwetki. Teraz widziała się wyraźnie; tak, to ona, w granatowej wełnianej chustce na głowie, w brązowym płaszczu z futrzanym kołnierzem. Jej mysie włosy na kołnierzu i jej niebieskoszare spojrzenie. Wszystko się zgadzało, a jednak znowu miała wrażenie, że ta kobieta, choć bardzo podobna, nie jest nią. Coś je różniło.

Dopiero teraz, w tym momencie, w styczniu czterdziestego czwartego roku, na ulicy Chłodnej w Warszawie, niedaleko drewnianej kładki oddzielającej miasto żywych od dzielnicy umarłych, Barbara uświadomiła sobie, w czym rzecz.

Powoli sięgnęła do małej torebki. Podniosła klapkę. Kobieta z lustra zrobiła to samo, co ona. Po chwili stały obie wpatrzone w siebie, z bronią w ręku.

„Ona zabiła człowieka”, pomyślała Barbara.

„My zabiłyśmy człowieka”, poprawiła się po chwili.

– Ja zabiłam człowieka – powiedziała do lustra.



## Rozdział dwudziesty pierwszy



– O – powiedziała Krystyna Leoniewska, patrząc na córkę.

Barbara przeglądała się w lustrze w przedpokoju. Światło było tu słabe, tafla zmętniała, ale i tak widziała, że wygląda dobrze, bardzo dobrze.

Matka również to zauważyła.

– Bardzo elegancka. Skąd ją masz?

Barbara była przekonana, że matka jeszcze śpi. Ona spać nie mogła, zamiast przewracać się z boku na bok wstała i przymierzyła tę sukienkę. Nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego, to był impuls. Zabrała ją wczoraj, bo była dobrym rekwizytem maskującym. Potem mogłaby ją wyrzucić, ale właściwie czy musiała?... Trwała wojna, wszystko było na wagę złota, jeśli nie ona by wzięła to ubranie, to ktoś inny, a poza tym ta kobieta zrobiła coś, za co państwo podziemne wydało na nią wyrok. O tym wszystkim myślała sobie w tę bezsenną noc. A nad ranem, kiedy już miała dość przekręcania się z boku na bok, po prostu wstała i ją włożyła. Była trochę za długa i rękawy też należało skrócić o mankiet, ale wszędzie indziej bardzo pasowała.

– Z... zajęć – odparła Barbara.

Nie przygotowała odpowiedzi na to pytanie. No i mamie, bez względu na wszystko, trudno było kłamać.

Matka podeszła bliżej. Barbara zauważyła, że ma mocno podkrążone oczy. „Z każdym dniem mocniej”, pomyślała. Krystyna Leoniewska zaczynała przypominać ducha.

Barbara spojrzała w lustro. Matka też tam utkwiała wzrok. Obie patrzyły na siebie; Barbara była w tym odbiciu ładna, elegancko odmieniona dzięki tej kremowobeżowej sukni; to lustro tak ładnej Barbary jeszcze nie widziało. Matka przesunęła się na drugi koniec skali; nigdy nie odbijała się tak smutno, tak źle.

Krystyna Leoniewska wyciągnęła rękę i przejechała dłonią po materiale.

– Wełna. Jaka delikatna. – Uniosła rąbek sukni i wsunęła dłoń pod spód. – Podszewka z jedwabiu. Pięknie odszyta. – Spojrzała na córkę. – Wy tam takie rzeczy robicie?

Być może nijak by nie skomentowała kłamstwa Barbary, ale ono i tak nie miało sensu, więc Barbara powiedziała:

– Nie. To tylko do poprawki, drobna rzecz.

– Aha. – Matka pokiwała głową. Wciąż trzymała w dłoni dół sukni. – Musiała być bardzo droga. Właścicielka byłaby bardzo niezadowolona, gdyby się dowiedziała, że ją włożyłaś. I jeszcze – matka podniosła ten rąbek wyżej – że tak ją zachlapałaś. To od buraków?... – Palcami przesunęła po czerwonej szramie.

\*

Wanda znowu siedziała na tym samym krześle co ostatnio. W półcieniu, zgarbiona, ramionami nachylonymi ku sobie przykrywała krągły biust. Głowę zwiesiła i wpatrywała się w swoje złączone dłonie, których palce przeplatały się w jakimś nerwowym rytmie.

Barbara przez chwilę przyglądała się tej scenie.

– Cześć, Wandziu – powiedziała wreszcie.

Usiadła obok. Może to ten ciemny koniec korytarza, może nastrój Wandy, a może to, czego doświadczyła rano, kiedy szła na zajęcia. Miała teraz pusty, zszarpany żołądek. Podobnie odczuwała swoją głowę. Miała też nadzieję, że Wanda, po tej ich ostatniej rozmowie, doszła jakoś do siebie i że może, po staremu,

zajmie Barbarę opowieściami o sobie i Antku albo o czymś innym, i po swojemu, jak kiedyś, odciągnie Barbarę od różnych codziennych nerwów i smutków.

Wanda odwróciła się w jej stronę.

Barbara stężała. Wanda wyglądała podobnie jak jej matka dziś rano. Była szaroblada, miała podkrążone oczy i trochę nieobecny wzrok.

– Pamiętasz, jak ci mówiłam o ciotce?

Barbara kiwnęła głową. Czuła, że zaczyna się trząść, że pusty żołądek domaga się, żeby go czymkolwiek zapełnić, inaczej wyśle do głowy sygnał do omdlenia, bo wymiotować już nie miała czym.

– I o jej córce. Pamiętasz, nie?

Wanda nie zmieniła pozycji ani miny.

– Tak – odkrztusiła Barbara przez spieczone gardło. Nie miała siły na roztrząsanie kolejny raz tego samego. Nie zdążyła porozmawiać z Zygmuntem, ale nadrobi to.

– Więc to nieaktualne.

Barbara się wyprostowała.

„Czyżby jednak Antek się z nim rozprawił?”, pomyślała, a zaraz potem: „I coś mu się stało?”. Znowu szarpnęło jej żołądkiem. Nie miała dziś energii i słów na pocieszenie Wandy. Zapytała jednak:

– Czy on?...

No, prawie zapytała.

– On? Kto? – Wanda na chwilę wybiła się ze swojego smutku.

– No, Antek. Czy on... czy z nim wszystko dobrze?

– Dobrze. Jeszcze nie wie.

Teraz to Barbara się zdziwiła.

– Myślałam, że coś mu się stało. Wiesz, w związku z tą sprawą.

– Nachyliła się do niej.

– To jest w związku z tą sprawą. Kuzynka przyjechała, dziś rano. Sama. Ciotka się powiesiła.

*Zwymiotowałam w parku Skaryszewskim, choć niedobrze zrobiło mi się już wcześniej. Zaczęło się, kiedy wstałam, a potem po tej rozmowie z mamą. Właściwie to zaczęło się wieczorem, po tym wszystkim. TYM. Ciekawe, jak wiele może się pod trzema literami zmieścić. Myślałam, że jak się przejdę, to mi minie, ale nie minęło. Przypomniał mi się Henryk. Jemu to zajęło mniej czasu, od razu w tamtym mieszkaniu targnęły nim torsje. Może dlatego, że tego komendanta tak na raty zabijał? A potem jeszcze ten rozbryzg...*

*Może. A może dlatego, że Henryk jest wrażliwszy ode mnie. Może tak być, że ten zewnętrznie mocny chłopak z Czystego ma w sobie więcej delikatności niż ja. Przed wojną...*

*A nie, jednak nie – ile razy można wspominać to, co było? I tamtym się tłumaczyć?*

*Do tej pory uważałam, że tamte czasy to był jakiś wzorzec, z którym trzeba się równać, teraz już tak nie myślę. Zwykło się sądzić, że wojna ludzi zmienia, że oni nie są sobą. A co, jeśli właśnie podczas wojny są sobą? Co, jeżeli dopiero teraz, w takich granicznych warunkach, można zobaczyć prawdziwy charakter człowieka?*

*A jeśli tak jest, to kim ja jestem? Jaka ja jestem? Bojaźliwa, wycofana, szlachetna czy odważna, a może bezwzględna?*

*A może po prostu skuteczna?*

*Bo przecież gdybym wczoraj nie zrobiła tego, co zrobiłam, Zygmunt pewnie by nie żył. Ten mężczyzna w końcu by mu zabrał pistolet. Ewentualnie zaraz by ściągnął jakiegoś granatowego czy innego żandarma. Musiałam zrobić to, co zrobiłam. Ten człowiek znalazł się tam w niedobrym czasie, ale był z tą kobietą związany; pewnie, jak przypuszczał Zygmunt, też był po złej stronie.*

*Zgoda na to wszystko; przed wojną by mi to nie wystarczyło, ale, jak napisałam, to już minęło, bo już nie jest „przed wojną”.*

*A mimo wszystko – zwymiotowałam; jakby organizm sądził inaczej niż głowa.*

*Drugie mimo wszystko – kiedy szłam na Bednarską, czułam się jak bohaterka. Uratowałam Zygmunta życie. JA. To na pewno zrobiło na nim duże wrażenie. I na innych też robi. Ta myszka Barbara okazała się nie taka szara, za to bardzo skuteczna.*



*A potem jeszcze sprawa z Wandą. Co za okropność. Ciotka się powiesiła; już była tego bliska po tym, kiedy znalazła męża i syna nieżywych. Jakoś została przy życiu, może dla córki?... W każdym razie nie na długo, bo te dwie Żydówki wróciły, że nie mają dokąd iść, bo nie mają pieniędzy, we wsi i okolicy nikt ich nie zadekuje, dalej – tym bardziej. I ciotka, jak to córka zeznała, nie dała im schronienia. Ja bym to zrozumiała. Ja, gdybym była tymi Żydówkami, nie prosiłabym o więcej, bo i tak już dużo dostały – życie tych dwóch mężczyzn.*

*A może wcale nie? Może miałabym w nosie ich życie, życie tej ciotki i jej córki, bo tylko swoje bym chciała ochronić?*

*Więc one wróciły, a ona je odesłała.*

*A potem się powiesiła.*

*Córkę wysłała do ciotki, znaczy do mamy Wandy. Że odpocznie, że towarzystwo kuzynki jej posłuży, takie tam powody, które miały uspić jej czujność. Dziewczyna się wróciła do domu po jakimś kwadransie, bo czegoś zapomniała, a tam matki nie ma.*

*Znalazła się w stodole, pod belką, na sznurze.*

*Kartkę zostawiła, że tyle śmierci dokoła, i to bezsensownej, bo oni dwaj, Żydówki dwie – na zmarnowanie. I że ona tego dłużej nie wytrzyma.*

*Córki mi żal, bo została sama. Matka wybrała śmierć dla męża i syna, a dla córki – nieżycie.*

*A może ja to źle widzę, źle to oceniam.*

*Teraz jest wojna, wszystko się miesza.*

*A co będzie po wojnie?*

\*

– ...to trudne, bo... O, Marta. Wreszcie jest okazja do podziękowania, takiego bardziej oficjalnego.

Barbara stanęła w progu. Lekko się spóźniła, bo po drodze musiała jeszcze kupić chleb. W spiżarni wionęło pustką. Matka coraz częściej przynosiła do domu kwiaty zamiast jedzenia. Albo nie przynosiła nic.

– No tak. – Odchrząknęła.

Najpierw spojrzała na Zygmunta, a potem na czubki swoich butów. Chciała tych podziękowań, liczyła na nie, wyobrażała je sobie, a kiedy przyszło co do czego, zachowała się jak zawsze, czyli skromnie.

– To po prostu...

Nie chciała umniejszać swoich zasług, ale do tego właśnie była przyzwyczajona, całe życie wycofywała się w cień. Teraz też.

– Tego jeszcze nie mieliśmy.

Odwróciła się. Poznała go, chociaż widzieli się tylko raz, wtedy, kiedy składała przysięgę. Sęp podszedł do niej i podał jej rękę.

– Dziękuję w imieniu sprawy. I Zygmunta. Nigdy dotąd się nie zdarzyło, żeby kobieta... – na moment umilkł – zlikwidowała obiekt. To wyjątkowa sytuacja.

Pokiwała głową. Zrobiło się jej miło. Strasznie miło. Nagle ten cały ciężar, który ją gniótł, zniknął. Niepewność ją oplatająca – puściła. Barbara czuła teraz dumę. Zadowolenie. I kilka par oczu skupionych na niej. Nigdy wcześniej nie przeżywała czegoś podobnego. Wyprostowała się i uśmiechnęła. Znowu miała to uczucie – że jest tuż nad podłogą.

Zygmunt zbliżył się do niej. Wyciągnęła dłoń w kierunku jego dłoni, ale on ją ominął, zatoczył ramieniem szerszy łuk i ją objął.

– Dziękuję – szepnął jej do ucha. – Dziękuję – powiedział głośniej, kiedy się od niej odsunął. – Chyba uratowałaś mi życie. To znaczy: uratowałaś mi życie.

Barbara znowu poczuła, że jest sobą i sobą nie jest. Rozpierała ją taka radość, że miała wrażenie, że się nie mieści w swoim ciele, więc stoi sobie obok i patrzy na tę Barbarę, na którą patrzą i wszyscy inni, i ją razem z nimi podziwia.

– Dobra, ta akcja do archiwum, a my mamy kolejne w planach. Są wyroki; kilka prostych, z jednym będzie trudno. Ale poradzimy sobie, co? – Sęp zakończył tę chwilę chwały.

Wrócił do stołu i rozłożył na nim jakieś kartki.

– Pewnie. Pod jednym warunkiem. Że się opije poprzednią sprawę. – Kamień wyciągnął z za siebie flaszkę.

Sęp się zawahał.

– Jest co. Zygi ma od dziś nową datę urodzin – dodał Kamień.

Sęp kiwnął głową.

– To wy. Ja dziś jestem czynny. Zresztą wy też musicie być zawsze na chodzie.

Wszyscy przytaknęli, nawet Barbara, która zawsze była na chodzie i nigdy nie piła alkoholu. Kilka razy nalewkę i wino, i tylko w ilościach poprawiających trawienie.

– Dobra, zaczynamy od drobnicy, potem będzie i ta gruba ryba. Wy możecie później krótko... odreagować, byleście potem mogli stanąć na baczność.

\*

Pokój stracił stabilność; ściana po prawej nieustępliwie się obniżala. Barbara wysunęła lekko prawą nogę w bok, a lewą przygięła w kolanie, żeby utrzymać równowagę.

Znowu poczuła nieprzyjemne gniecenie w dołku. „Za dużo ciastek”, pomyślała. Spojrzała na stół; na paterze były jeszcze kawałki sernika i babki piaskowej. „Ładna ta patera”, przyszło jej do głowy. „Pewnie Ewa ją wystawiła, bo kobiety są wrażliwsze na codzienne piękno”. Rozejrzała się. Ewy nie widziała. Nie było też Henryka. Kiedy ona wyszła – nie pamiętała. Henryk – owszem. Miał drugą zmianę w fabryce, musiał iść. Nie mógł też pić. I chyba nie pił, bo był taki poważny. I spięty. Pożegnał się z nią jakoś tak... Barbara nie miała dziś nic. Poza domem oczywiście. I matką. Która przyjdzie, przesunie się przez korytarz jak cień, a potem siądzie na krześle, żeby zjeść nic i pójść pod kapliczkę. Nie, Barbara nigdzie nie musiała się spieszyć. I mogła się troszkę napić, żeby to napięcie zluzować.

Oparła rękę o krzesło, bo lekko zawirowało jej w głowie. Wyprostowała się i rozejrzała. Przez moment zapomniała, gdzie jest łazienka, ale już sobie przypomniała. Dobrą miała pamięć do miejsc i schematów. Ruszyła w kierunku korytarza.

Stała przed umywalką i splukiwała dłonie. Podniosła głowę; twarzy też by się przydało orzeźwienie, bo była pąsowa. Dotknęła policzka – ciepły. Już miała nabrać wody, kiedy pomyślała, że wtedy zmaże róż i pomadkę. W sumie z pomadki niewiele zostało, musiała ją zjeść razem z ciastkami i wypić z winem. I chyba wódką, bo wino tak nie osłabia człowieka.

Chyba.

Obok umywalki była niewielka szafka. Pociągnęła drzwiczki, z których delikatnie łuszczyła się farba.

– No proszę... – Sięgnęła ręką. Na jednej z półek leżała pomadka.

Barbara nie wiedziała, do kogo należy, nie wiedziała też, czyje jest to mieszkanie na Hożej. Pewnie jakiejś kobiety, bo obok pomadki był też flakon perfum. Bardzo ładny – wyglądał jak jakiś orientalny kielich.

– Shalimar – przeczytała etykietę.

Potrząsnęła buteleczką. Była pusta. Prawie pusta – udało się z niej wydusić kilka mgiełek zapachu. Małe pomieszczenie wypełniła orientalna woń. Taką czuła wtedy, w kawiarni, z rodzicami. Zapach luksusu, lepszego świata. Nie jej świata.

– Przed wojną – powiedziała to do lustra. – Wszystko przed tą cholerną wojną.

Odstawiła flakon na miejsce, zamknęła szafkę.

Wyszła z łazienki.

I wpadła wprost na Zygmunta.

– Przepraszam – bąknęła, rozcierając ramię, którym go potrąciła.

– To ja przepraszam. – Uśmiechnął się.

Chyba.

W korytarzu było ciemnawo, w kloszu lampy zamiast trzech żarówek osadzona była tylko jedna.

– Jaki ładny zapach. Nie czułem wcześniej.

Dobrze, że było mrocznie, boby się zawstydziła. W końcu wzięła te perfumy bez pytania. Objęła się ramionami. Tę sukienkę też wzięła bez pytania. Tyle że ona już się tej kobiecie nie przyda... Wstrząsnął nią dreszcz.

– Dobrze się czujesz? Zimno ci? – zapytał ją.

Sama nie wiedziała, co i jak jej jest. Prócz tego, że on się jej jednak podoba. Wciąż i wciąż. I że stoją w tym korytarzu obok siebie. I że ona by chciała...

Chyba.

Nachylił się do niej. Też pachniał; tą swoją wodą kolońską i czymś innym, mocniej alkoholowym.

Zatrzymał się, gdy jego głowa była już bardzo blisko jej głowy. Dzielili ich odległość chuchnięcia. Było ciepłe, wilgotne. Zapach perfum i wódki się mieszał, tak jak mieszało się jej w głowie.

Pocałował ją. Najpierw delikatnie, po prostu przyłożył swoje usta do jej ust. Potem mocniej, szybciej. Czują, że jej wargi pęcznieją, raz one zagarniają jego wargi, raz są przez nie zagarniane. Oparła się plecami o ścianę, a może to on ją docisnął? Żadne z nich nie miało takiej równowagi jak wtedy, na początku akcji. I wówczas to udawali tę bliskość, a teraz...

Chyba.

Barbara poczuła, że Zygmunt wsuwa jej jedną rękę za szyję, dociskając ją do siebie. Jego druga ręka uniosła jedwab i wełnę i sunęła znad kolana ku górze.

„Co ja?...”, majaczyło jej w głowie, ale to pytanie było zagłuszane przez inne impulsy.

– Chcesz? – Na moment przestał ją całować.

Mrok korytarza otulał ją jak kokon. W kokonie jest bezpiecznie, więc...

Kiwnęła głową.

Chyba.

Wziął ją za rękę i przeprowadził kilka kroków dalej. Zatrzymał się, zauważyła, że przesuwa dłońią po ścianie, i usłyszała zgrzyt naciskanej klamki.

Z pokoju wypłynęła struga światła. Pociągnął ją w tamtym kierunku. I wtedy dźwięk się powtórzył, ale dobiegł z innej strony. Pojawiła się też druga struga; przecięły się, a Barbara znalazła się w miejscu ich spotkania.

– Dzień dobry – usłyszała.

Za głosem pojawiła się Lucyna.



## Rozdział dwudziesty drugi



– Gdzie byłaś wczoraj? – Krystyna Leoniewska już prawie stała przy drzwiach, ale jednak zawróciła do pokoju, w którym znajdowała się jej córka.

Barbara siedziała na łóżku. Powinna się już zbierać, wiedziała o tym, ale mimo wszystko wciąż nie zmieniła koszuli nocnej na ubranie. Mimowolnie spojrzała na krzesło, na oparciu którego wisiała jasna sukienka.

Wzrok matki podążył w tym samym kierunku. Barbara natychmiast odwróciła spojrzenie.

– Na spotkaniu – powiedziała.

Podniosła się. Przeszła obok krzesła, ściągnęła sukienkę i podeszła do szafy. Wyjęła z niej swoją zwykłą, niebieską, a tę odwiesiła na jej miejsce.

– Na spotkaniu? A z kim?

Matka od jakiegoś już czasu nie pytała jej o nic osobistego. Ograniczała się do szkoły, zakupów, prania, braku pieniędzy. Barbara miała wrażenie, że nawet do tego się przymusza.

– Ze znajomymi – odparła, wygładzając niebieski materiał. W porównaniu z tamtym wydał się jej szorstki. I zmechacony. Tak, był taki – codzienny, nijaki, nie najlepszej jakości.

– Ze znajomymi?

– No przecież mówię, mamo. – Czowała, że zaczyna się denerwować.

– Ja nie znam tych twoich znajomych, prawda?



– Nie, chyba nie.

Nie potrafiła odpiąć guziczka przy kołnierzyku.

– A ty skąd ich znasz?

– Czy to przesłuchanie? – Barbara w końcu wybuchła. Bolała ją głowa i chciało się jej pić. I jeszcze ten cholerny guzik!

– Przesłuchanie? Nie. Ja po prostu jestem ciekawa. I boję się o ciebie. Żebyś nie zrobiła czegoś... niewłaściwego.

Barbara podeszła do stołu. Odłożyła sukienkę na blat. W szklance, którą przygotowała sobie na noc, było jeszcze trochę wody. Dopiła ją. Jak rozmawiać z matką, kiedy nic jej nie można powiedzieć? Kiedy ona myśli, że Barbara się bawi, podczas gdy...

– Nie robimy nic złego. Zresztą w tej grupce znajomych był i Henryk. – Odchrząknęła.

„Henryk” to było słowo-hasło, które zawsze matkę uspokajało.

– Widziałam go wczoraj. Szedł do pracy. Ja akurat wracałam, wcześniej, bo mi krew z nosa poleciała, nie miałam siły dłużej siedzieć.

Może był w tym zdaniu wyrzut, że Barbara się nią wczoraj nie zainteresowała, a może nie. Henryk szedł do pracy na drugą. Barbara wróciła do domu blisko pięć godzin później. Matka zdaje się spała. W każdym razie leżała tyłem do drzwi i nie podniosła się, gdy Barbara się pojawiła.

– Jeśli się znowu spotkacie, to go pozdrów. I waszych wspólnych znajomych też.

Krystyna Leoniewska powoli poszła w kierunku drzwi.

Już się nie odwróciła.

\*

*Płaczę. Nie płakałam od... wydaje mi się, że od śmierci ciotki.*

*Co się ze mną dzieje? Co się dokoła dzieje? Wszystko mi się miesza.*

*Teraz na przykład podeszłam do lustra, żeby jeszcze przed wyjściem róż na policzki nałożyć. I patrzę w to lustro, a tam obca kobieta. Ta, co zabiła*

*człowieka. Ta, co się gziła z chłopcem wczoraj. Ona podpita, on podpity. Ona chciała miłości, on – no wiadomo. A może nie? Może ona chciała i miłości, i przyjemności? Bo co to – dziewczyna ma nie chcieć przyjemności? A może to dziewczyna, której sodówka do głowy uderza, bo wreszcie jest zauważana?*

*A chwilę potem, jak ona zaczęła płakać, to pomyślałam sobie – już o sobie – że to nie tak. Że to ja, tylko dorosła, zmieniona przez wojnę. Walcząca, dla dobra narodu. I dla dobra narodu przekraczająca swoje sumienie. I tak, pragnąca miłości, tylko zagubiona.*

*Tylko co to jest miłość?*

*To pytanie wraca; pojawiło się wtedy, w tej rozmowie z ciotką. Nie potraktowałam go w tamtym momencie bardzo serio, bo, po pierwsze, wydało mi się trochę bezradne w ustach samotnie żyjącej ciotki, a po drugie – bezzasadne, bo miłość to coś takiego, co nie wymaga definicji i pytań.*

*Co do obu spraw się myliłam.*

\*

– Po prostu się przechadzasz, nic specjalnego nie robisz. Jakbyś czekała na pociąg albo na kogoś, kto przyjedzie, i się chroniła w przejściu podziemnym przed chłodem. I obserwujesz, kto wrzuca listy do skrzynki. Notujesz sobie kolejność, bo skrzynkę przerobiliśmy tak, że jest specjalny mechanizm i listy się nie mieszają. Jasne? – Kamień spojrzał na nią.

Kiwnęła głową. Było jasne. Tym razem szukali kogoś, kto pisał donosy na Polaków do gestapo. Ich wtyka wyłapywała korespondencję sianą ze skrzynki znajdującej się w przejściu podziemnym przy dworcu kolejowym Warszawa-Włochy, która była opatrzona tylko numerem. Teksty pisane bez błędów, poprawną polszczyzną, więc najpewniej donosił Polak. Tyle wiedzieli.

– A ta sprawa, o której mówiłam wczoraj?

Kiedy omawiali najbliższe zlecenia, Barbara, korzystając z tego, że jest Sęp, zreferowała im historię Wandy. Powiedziała wszystko,

co wie, nie wchodziła jedynie w szczegóły, skąd się z Wandą znają. Powiedziała o kompletach pod przykrywką tej szkoły handlowo-krawieckiej. Że Wanda na nie chodzi, tylko do samej szkoły zawodowej – już nie. Jakoś głupio jej było przyznać, że jej bliska koleżanka jest tak mało ambitna. A chwilę potem zrobiło się jej głupio, że tak o Wandzie pomyślała. Tak czy owak, wydawało się jej, że zaraz się tym zajmą, bo przecież ten mężczyzna robił to samo co komendant w Pruszkowie. Sęp jednak zanotował sobie adres, pod którym donosiciel mieszkał, i powiedział, że „przekaze, komu trzeba”. I że wróci do sprawy po wyroku, choć może nie im przypadnie jego wykonanie. Poczuli się trochę zawiedziona. W imieniu Wandy, ale i swoim. Znała procedury, oczekiwała jednak... większego entuzjazmu.

Teraz też się tak czuła. Myślała, że dostanie coś poważniejszego do roboty, skoro się sprawdziła. I to jak! Był w niej żal, ale jednocześnie odetchnęła z ulgą. Nie miała dziś siły na nic bardziej wyczerpującego.

Zygmunta ani Lucyny nie było na odprawie; widać zostali przydzieleni do czegoś innego albo byli już wcześniej, ewentualnie mieli się zjawić później. Szykowała się na to spotkanie z nimi, a jednocześnie myśl, że ich zobaczy, wprawiała ją w dygot.

Wczoraj wieczorem, kiedy Lucyna weszła do mieszkania, zamknęła za sobą drzwi i zatrzymała się w korytarzu. Stamtąd się z nimi przywitała. Grzecznie, z uśmiechem, jak to panienska z dobrego domu. Barbara nie widziała, zresztą jak, było przecież ciemnowo, co tam na tej jej twarzy się odbija. I ile dostrzegła. W każdym razie, nawet jeśli coś, to nie dała nic po sobie poznać.

Barbara bąknęła słowo powitania. Nie była rozmowna, bo wcale się Lucyny nie spodziewała – że już wróciła z tego swojego przyczajenia. Zygmunt również był oszczędny w słowach i gestach.

Choć nie, on zrobił coś więcej. Zdjął rękę z klamki i odsunął się od drzwi, które chwilę wcześniej chciał otworzyć, żeby...

W jej gardle pojawiła się gula. Nie wiedziała, co czuć. Wstyd, żal, zawód? Niedługo potem poszła do domu. Oni zostali.

– Baśka, dobrze się czujesz? – Głos Kamienia przywołał ją do rzeczywistości.

Kiwnęła głową.

– Masz tam wartę przez dwie godziny. Potem Luna cię zastąpi.

„Dziewczynka, lat około dwanaście”, zapisała ołówkiem w notesiku. „Wątpliwe”, pomyślała. Przed tą dziewczynką była jeszcze kobieta w średnim wieku, w chustce na głowie. Też raczej nie pasowała. Młody chłopak, wyglądał na robotnika – również raczej nie. Tyle mówiła jej intuicja. Poza tym – nie było nikogo więcej.

Ta robota, niby prosta i mało atrakcyjna, była jednak trudna. Tak się kręcić, żeby nie było jej widać. I to jeszcze po takiej nocy. I bez rezultatów, na które liczyła. Ziewnęła.

– A z kim tak panienka nie spała? – Ktoś zarechotał jej nad głową.

Podniosła wzrok. Wysoki, głowę wyższy od niej młody mężczyzna, lekko wstawiony.

„Cham”, pomyślała. A mimo to poczuła ciepło wstydu na policzkach. Odwróciła się do niego plecami. Po chwili usłyszała zgrzyt metalowej pokrywki od skrzynki. Spojrzała przez ramię. On też wrzucił jakąś kopertę. Zaczęła powoli iść w przeciwnym kierunku; po drodze wyjęła notesik i pod numerem cztery zapisała: „Podpity, młody, zaczepiał”.

W sumie to samo można by wczoraj powiedzieć o Zygmuncie. Lub o niej.

– Do matki napisałem, żeby się nie martwiła, nie? – Nagle poczuła jego ramię tuż obok jej ramienia. – Bo się martwi, że jestem nie... nie... nieustna... nieustatkowany. To jak, może jednak się umówimy?

Zdrętwiała. Wiedziała, że jeśli się przyczepił, to się łatwo nie odcepi, zwłaszcza że, teraz czuła to wyraźnie, trochę musiał wypić. Nie mogła zwrócić na siebie uwagi, bo ma się tu pojawiać cyklicznie, aż zidentyfikują tego donosiciela. Szybko spojrzała na zegarek. Do przyścia Ewy zostało dziesięć minut. Trudno, zapisze tę opustkę w notesie.

Prychnęła wyniośle, naprawdę dobrze jej to wyszło, i skierowała się w stronę schodów na peron.

Idealnie w czas, akurat zbliżał się pociąg do Śródmieścia. Odetchnęła. Wykonywanie nawet takiego prostego zadania w takim stanie ducha i ciała, było trudne.

Pociąg zasyczał i zapiszczał. Poczekała, aż pasażerowie wysiądą. Kiedy stawiała stopę na metalowym schodku, uwiązał jej obcas. Schyliła się, żeby wydostać but i nie zedrzeć skóry. I właśnie wtedy, w takim półobrocie, dostrzegła na schodach znajomą sylwetkę.

Do przejścia podziemnego kierowała się Złotko.

\*

– Taka piękna i taka samotna... A ja tu mam kwaterę. W domku! Z ogródkiem! – Podchmielony patrzył na młodą kobietę z wyraźnym zainteresowaniem. Kiedy ją zobaczył, zawrócił od wyjścia. – A pani jest taka piękna. To chyba naturalny blond?... – Wyciągnął rękę w jej kierunku, jakby chciał dotknąć jej włosów.

Delikatnie się odsunęła.

– Naturalny.

– Bardzo piękny. Pani też piękna. Czy ja mówiłem to już?... – Zachwiał się.

– Tak. Przepraszam, ja... – Chciała go wyminąć.

– Nie, nie, dlaczego tak szybko?... – Zastąpił jej drogę.

Rozejrzała się dyskretnie. Wiedziała, że powoli zaczynają zwracać na siebie uwagę. Nie mogła do tego dopuścić.

– Bo pan się nie najlepiej czuje – wyjaśniła mu spokojnie.

Patrzył na nią, starając się zachować równowagę. Jedną ręką oparł się o ścianę.

– No... – Czknął. – Może – dodał.

– Więc kiedy indziej, dobrze? – Uśmiechała się, ale jednocześnie dyskretnie się rozglądała, co się wokół nich dzieje. On wysoki, pijany, ona... cóż, piękna, tak czy owak – byli charakterystyczni w tym nieoczekiwanym duecie.

– A pani tu będzie? Tak? – Nachylił się ku niej.

Nie odsunęła się, chociaż trochę się bała, że się na nią przewróci. Jego zapach też nie był przyjemny.

– Tak. Ja tu bywam regularnie – wyjaśniła.

Nie dawała po sobie poznać, że się denerwuje. Różnie różne rzeczy jej w życiu wychodziły, ale zawsze potrafiła się opanować. I zawsze miała szczęście.

– Tak? A co tu pani robi? – nie odpuszczał.

– Listy wysyłam. Bo tu skrzynka jest.

– Aaaa, no tak, ja też słałem. Do mamusi. To dobrze. To ja sobie odpocznę, rzeczywiście, i jutro wrócę. Jutro będzie tu pani?

– Oczywiście. – Kiwnęła głową.

On wciąż stał i patrzył na nią wyczekująco. Otworzyła więc torebkę, wyciągnęła z niej kopertę i podeszła do skrzynki. Kremowy papier zniknął w metalowym pojemniku.

Dopiero teraz facet, jeszcze raz się zakiwawszy, ruszył przed siebie, w przeciwną stronę.

\*

*Przedziwne to było. Właściwie każde moje spotkanie z L. to... Dlaczego napisałam „L.”? Nie wiem, jakoś tak odruchowo. Nie po to, by ukryć jej tożsamość, tylko... jakby coś jej zabrać? Zredukować do litery? Odebrać trochę znaczenia? Niebawem, co wychodzi z człowieka, gdy się nie pilnuje, a przecież nie potrafi się pilnować bez ustanku. Więc chciałam napisać, że każde moje*

spotkanie z Lucyną jest naznaczone emocjami. Od pierwszego razu. To, że ja ją tak odbieram, to jedno, drugie – że wokół niej różne rzeczy się dzieją. Oczywiście, jest wojna, my działamy, ona dużo dłużej, zawsze coś się przytrafi. Jej się przytrafiało sporo, ale zawsze wychodzi z tego obronną ręką.

Zazdroszczę jej tego.

Drugie to Z. Tu też dam samą literę, bo jestem, po ochłonięciu i namyśle, nim zawiedziona (?). Też był po alkoholu, ale przecież przytomniejszy ode mnie. I jednak coś go łączy z L., bo tak się odsunął, a ona go wcześniej, po tamtej akcji na Złotej, objęła. To, że zniknęła z pola widzenia i działania, nie znaczy, że zniknęła z jego życia. W końcu ja nie jestem zbyt dopuszczona do ich prywatności, przecież my o sobie wiemy niedużo, w każdym razie ja o nich, bo oni się znajdują sprzed wojny.

Znowu to „sprzed wojny”!

Przejrzałam swój notatnik. Bez wyrwanych kartek, ale nawet tyle wystarczyło, żebym zobaczyła, jak bardzo się zmieniłam przez te lata. Dwie różne osoby. Myślałam o tym zauroczeniu Z. za pierwszym razem, nad Świdrem. I ono wciąż jest, no bo przecież kilka dni temu się stało to, co się stało – dokładniej: zaczęło się dziać to, co się mogło skończyć. Wtedy żałowałam, że się nie skończyło, ale byłam wstawiona. Teraz myślę sobie, że nie o to chodzi. Że to było jednak jednostronne, znaczy z mojej strony bardziej. Inaczej. W końcu mężczyźni mają odmienną konstrukcję. W tych wszystkich romansach, gdzie jest uboga dziewczyna z plebsu, najlepiej służąca, i on, wyżej postawiony, i między nimi się zaczyna romans, to ona chce jego, prawda, ale też wszystkiego, co się z nim łączy – lepszego życia. A on czego chce? No właśnie.

I pomyślałam sobie, że jest we mnie zazdrość – że ona, znaczy L., go ma. Że ma wszystko. Że może mieć wszystko. A ja? Zawsze miałam tyle, ile życie dawało, a ono nie było hojne.

A może było, tylko ja tego nie widziałam? Czy H. jest hojnym darem? Czy pocałunek z nim, pod tym murem, był gorszy?

Zaczynam myśleć o wszystkim inaczej. Bo na przykład Antek od Wandy – on by dla niej wszystko zrobił, wszystko. Kocha ją, z pożądaniem, ale jest tam także całe inne, zwykłe życie. Tu tego nie widzę. Będę szczerą ze sobą – Z. mnie lubi, to na pewno. Więcej – jest mi wdzięczny, bo jak nie być wdzięcznym komuś, kto ci

*życie uratował? Wydaje mi się, że to może być tak, że ja jestem dla niego, jak Henryk dla mnie.*

*I tu się myli. Bo ja jestem lepsza, niż pozory mogą na to wskazywać. Podobnie – Henryk. I tak jak mnie zajęło dużo czasu dostrzeżenie tego u H., tak pewnie jest i ze mną wobec świata.*

*O, mokro. No mokro, bo płaczę. Bo jestem głupia. Nie, nie jestem głupia, takie są prawa uczuć i emocji, że huśtają człowiekiem jak na karuzeli.*

*Pisałam kiedyś, że myślałam o sobie, że jestem przezroczysta. Po tej sytuacji w „pracy” – już mniej. Inni mnie zauważyli. To też pociąga. I, w przeciwieństwie do miłości, zależy tylko ode mnie.*

*A co do miłości... Tak, ten pocałunek Henryka był...*

*Niech się powtórzy.*

\*

Jeden nabój. Tyle powinno wystarczyć. Tyle musi wystarczyć. A jeśli nie trafi? Albo trafi, ale nie śmiertelnie? Dlaczego miałyby się udać za pierwszym razem? Tak może myśleć tylko szaleniec.

Albo kobieta.

Pogładziła lufę i schowała broń do torebki.

„Jeszcze nie teraz”, pomyślała.

\*

„Matka z dwójką dzieci”, wpisała w notes. Wcześniejsze dwie pozycje to było „młody chłopak, lat około trzynastu” i „starszy mężczyzna”.

Nic, nic, nic. Ani jej, ani Ewie nie udało się wytypować konfidenta. Wiedziała, że do obserwacji stawało też dwoje dzieci, które podesłał Sęp. Młodsze rodzeństwo działających w podziemiu – dobry pomysł, bo one najmniej zwracały na siebie uwagę, ale też nic to nie przyniosło. To by się zresztą zgadzało, bo w ciągu ostatnich czterech dni żadnego nowego listu nie było.



Barbara spojrzała na zegarek. Do końca jej zmiany zostało pół godziny. Czuła się rozczarowana brakiem rezultatów. „Bo ty sobie wyobrażałaś, że jak się zjawisz, to od razu go ucapisz”, hamowała swoje wcześniejsze, nazbyt optymistyczne założenia.

Dziś była na siebie zła. Może zresztą to nie była złość, tylko skumulowane emocje, które się z niej wylewały – raz złością, raz smutkiem, raz uzalaniem się nad sobą, by po chwili przejść w chęć działania, takiego szybkiego, natychmiast.

„Starszy pan, wygląda jak rolnik”, wpisała w notesik.

Znowu spojrzała na zegarek. Jeszcze kwadrans. Potem do domu, a tam mama i nauka. Z jednym i drugim była na bakier. Z mamą coś się popsuło, ta nić, która je kiedyś łączyła, się zerwała. Nauka... Barbara nie potrafiła się skupić. Jej myśli nieustannie odpływały w różne rejony, z których żaden nawet nie zahaczał o matematykę czy polski. To nie tak, że się nie uczyła, bo przecież siadywała nad książkami, tyle że z dwóch godzin spędzonych nad podręcznikiem w jej głowie nic nie zostawało.

A ten mężczyzna był w średnim wieku, w płaszczu, spod którego wystawała marynarka, i w kapeluszu. Coś ją tknęło; było w nim coś... niepokojącego. Taki schludny, dopracowany, nic w nim nie pozostawało nieupilnowane, niedopatrzone.

Wrzucił list do skrzynki i skierował się w stronę wyjścia.

Barbara się zawahała. Teoretycznie powinna odstać tu jeszcze dziesięć minut. Teoretycznie najpierw powinna poczekać na informację, czy pojawił się nowy anonim.

A jednak poszła za tym mężczyzną. Chodził tak, jak wyglądał. Równym krokiem, wyprostowany, żadnego zawahania.

Szli razem przez jakiś czas, aż w końcu on wstąpił do zakładu fryzjerskiego. Barbara minęła ten lokal i poszła kawałek dalej. Weszła w bramę, z której miała dobry punkt obserwacyjny. Oparła się o mur i przyglądała wejściu.

Kwadrans, pół godziny, godzina.

Nic. Dwóch mężczyzn zdążyło w tym czasie wejść do zakładu i go opuścić, a tego mężczyzny od skrzynki nie było.

„Zorientował się, że go śledzę i dał nogę. Przez tylne wyjście”. Aż się zatrzęsała ze złości na samą siebie. „Mata Hari, cholera!”, zaklęła w duchu.

\*

Wzięła głęboki oddech. Odliczyła do trzech i spokojnie wypuściła powietrze ustami. Powtarzała to już chyba dziesiąty raz; rzeczywiście, działało uspokajająco.

Właściwie to nie miała planu, poza jednym – strzeli mu w głowę, w czoło. Reszta – była improwizacją. Oczywiście założyła, że przyjdzie, wejdzie na klatkę, zadzwoni do drzwi, on otworzy, ona się przywita, zapyta go o coś, on odpowie, że to pomyłka, wtedy ona powie: „Zaraz, zaraz, bo ja tu mam zapisany ten adres”, sięgnie do torebki, w domyśle, że szuka kartki z owym adresem, a wyciągnie pistolet i...

W teorii nie było to wcale trudne. Aż się uśmiechnęła do siebie – prawdziwe życie tak się miało do teorii jak... żadne trafne porównanie nie przyszło jej do głowy; nijak się miało, i tyle.

Ostatni dłuższy wydech. Pchnęła ciężkie, odrapane drzwi. Cztery mieszkania na piętrze, czyli to będzie drugie piętro, obliczyła.

Weszła, odszukała metalową tabliczkę z numerem. Przy framudze znajdował się okrągły, bakelitowy dzwonek, ale ona wolała zastukać; nie lubiła tego wysokiego, wibrującego tonu. Jeśli on jest w domu, to usłyszy, a inni sąsiedzi – nie. Przecież nie chciała nikogo zwabiać.

Trzy razy zastukała ściśniętą w pięść dłonią. Nachyliła się ku drzwiom. Wydawało się jej, że coś szurgnęło po drugiej stronie. A potem już na pewno usłyszała dźwięk. Odsunęła się lekko.

Drzwi skrzypnęły, otworzyły się i stanął w nich chłopiec. Drobny, miał pewnie z pięć lat, może sześć. I takie ładne, oryginalne oczy – zielone. Serce jeszcze jej przyspieszyło. Nie wzięła tego pod uwagę, no, może że wyjdzie żona, ale dziecko?...

W pierwszym odruchu chciała po prostu uciec, ale zamiast tego powiedziała:

– Na dole jest wózek z cukierkami, dla dzieci za darmo.

Chłopiec popatrzył na nią. Jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Bez pieniędzy?

Kiwnęła głową.

– Leć – szepnęła mu na ucho.

Wyminął ją i zaczął zbiegać po schodach.

– Co tam... – usłyszała nerwowo, nie do końca wyraźny głos, a potem w głębi korytarza zobaczyła męską sylwetkę. Poczekała, aż się zbliży, żeby mieć pewność.

Choć tak właściwie to teraz pragnęła, żeby to nie był on, żeby pomyliła kamienice, klatki, drzwi, żeby on się okazał bratem, sąsiadem albo kolegą, a nie nim.

Nie obiektem do likwidacji.

Miała wrażenie, że słyhać, jak wali jej serce.

Doszedł do drzwi; teraz oświetlały go dwie żarówki – ta z domowego korytarza i klatki schodowej. Spojrzała mu prosto w twarz.

Uśmiechnęła się, zdziwiona trochę, że potrafi ułożyć usta w taki kształt.

– Tak? – zapytał zamiast powitania.

Widziała, że jest podejrzliwy.

– Szukam pana Garncarczyka, Franciszka Garncarczyka – powiedziała.

– Pomyłka.

Odsunął się lekko, żeby zamknąć przed nią drzwi.

– Przepraszam. Bardzo przepraszam. – Spojrzała na niego bezradnie. – Bo ja z daleka jechałam...

– Pomyłka, mówię. – Był nieustępliwy.

– Ale ja mam zapisany adres i to na pewno... Proszę chwilę poczekać. – Uśmiechnęła się i nachyliła do torebki. Podniosła klapę i wsunęła rękę do środka.

Chwilę później rozległ się strzał, a po nim całkiem ciche mlaśnięcie ciała o podłogę.

Na nie najświeższe rude włosy zaczęła spływać świeżoczerwona krew.



## Rozdział dwudziesty trzeci



– Wydaje się, że go mamy. Baśka, to na twojej zmianie było, prawda? – Zygmunt spojrzał na nią.

Widzieli się pierwszy raz od tamtego spotkania w ciemnym korytarzu.

– Tak – odparła.

Niby mieli na chwilę przed odprawą czas, by porozmawiać, ale nie było warunków. No i była Lucyna, która przy nim siedziała. Ładna, jak zawsze. I jak zawsze ładnie ubrana. Baśka natomiast schowała tę „zdobyczną” sukienkę i do tej pory jej nie wyjęła z szafy. Wyglądałaby w niej dużo lepiej niż w swojej niebieskiej, ale wciąż byłaby tą samą Barbarą.

– Pasuje do notatek. Przed tobą były dzieciaki, miały trzy osoby, potem Ewa, pięć, i ty – cztery. On był tym czwartym, a jego list – dwunasty. Anonim. Wszystko się zgadza.

Poczuła, że serce znowu szybciej jej bije. A więc miała intuicję! Szkoda tylko, że resztę sknociła.

– Czekamy na powtórkę. Rozpiska z poprawką. Ewa znowu ma pilną sprawę rodzinną, więc zamiast niej Basię zmieni Henryk. Jeśli dziś nasz kapuś znowu się pojawi, a wraz z nim anonim, to następnym razem go śledzimy.

– Ja się muszę zbierać, zaraz zaczynam zmianę w zakładzie – odezwał się Henryk. – Do następnego. – Kiwnął głową.

– Jasne. No dobra, a wracając do tej sprawy, to czy są jakieś pytania? – Zygmunt odprowadził wzrokiem Henryka, a potem

popatrzył na zebranych wokół stołu.

Barbara się nie odezwała. Widać jednak nie spaliła tej akcji, bo przecież gdyby ten mężczyzna się zorientował, że jest śledzony, nie wróciłby do tej samej skrzynki.

„No to o co wtedy chodziło?”, pomyślała.

Wszyscy pokręcili głowami.

– Dobra, no to tyle... A nie, jest jeszcze jedna dobra wiadomość – będzie nowa dostawa broni. Mniej szmelcu, więcej skuteczności. Więc niech ten nasz kapuś się szybko objawi. – Zygmunt się uśmiechnął.

\*

Gdy Barbara była już na schodach, poczuła czyjąś rękę na ramieniu. Nie musiała się odwracać, i bez tego poznała ten dotyk.

– Basia, ja...

A jednak się odwróciła, bo to przecież niekulturalnie stać tyłem czy bokiem do rozmówcy.

– Słuchaj, wtedy...

Tak, był bardzo przystojny. To jedno się nie zmieniło.

– Wtedy, wiesz, po spotkaniu z Sępem... Zachowałem się nieodpowiednio. Niewiele mnie tłumaczy. No, może fakt, że to są takie cholerne emocje, stres, okropna para się w człowieku gotuje i domaga ujścia. – Uśmiechnął się.

Głos miał pokorny, ale minę taką, jakby jednak uznawał, że to wszystko, o czym mówi, go usprawiedliwia.

W sumie Barbara też tak trochę myślała. Trochę.

– Chciałem cię przeprosić. Nie wypada tak.

Poczuła, że trzęsą się jej ręce. Ładnie mówił, tak ciepło i kojąco, pewnie zapyta, czy mogą zacząć jeszcze raz, na nowo, ale ona powie, że...

– I to było nielojalne.

– Nielojalne? – powtórzyła za nim.

To nie pasowało do wątku.

– Tak. Wobec Lucyny, bo ona, to znaczy my...

– Już, jestem wolna. – Lucyna, jakby wywołana tym zdaniem, zmaterializowała się przy nich. – Idziemy? – Spojrzała na Zygmunta.

Kiwnął głową.

– Dziękuję – powiedział do Barbary. – Trzymaj się.

– Cześć. – Lucyna uśmiechnęła się promiennie.

Barbara zdążyła jeszcze zauważyć, że na półpiętrze dziewczyna wzięła go za rękę.

\*

*„Dziękuję”.*

*Nie bardzo wiem, za co. Za to, że prawie się dałam zbałamucić? Inaczej: że prawie się okazałam taka jak on?*

*Czy za to, że nic nie powiedziałam Lucynie?*

*A może powinna wiedzieć, jakiego ma chłopca?*

*Wszystko się jej udaje, wszystko! No prawie, bo ta jedna sprawa jednak nie do końca.*

*Ochłonęłam. To głupie, co napisałam. Mogłam tak czuć, nie jestem przecież szmacianą lalką bez wnętrza, ale człowiekiem. I jako człowiek mam prawo do emocji, ale czym mam prawo do nienawiści?*

*Zygmunt. Czy zauroczenie może minąć tak nagle, jak się zaczęło? Tak – skoro zaczęło się bez powodu, to i tak by się mogło skończyć. Tu jednak powód jest – w Zygmuncie mniej z dżentelmena niż w Henryku.*

*A czy miłość może się nagle zacząć? Nie, miłość się buduje z małych, dobrych kawałków. I dopiero po jakimś czasie można się zorientować, że to właśnie jest miłość.*

*Zorientowałam się.*

\*



– Wielkanoc niedługo. Szyjesz sobie coś nowego – na święto i tak w ogóle, na wiosnę? – Wanda wyciągnęła z torby papier. Rozwinęła go. W środku miała grubą kanapkę przekrojoną na pół. – Chcesz trochę? Z jajkiem. – Powiedziała to z miną osoby, która skreśliła szczęśliwy los na loterii.

Barbara nie była szczególnie głodna. Nie dlatego, że się w domu najadła, no skąd, tylko dlatego, że od dłuższego już czasu żyła w stanie ciągłego podenerwowania. Było to inne od „zwykłych” nerwów, gdy człowiek, poirytowany, wybucha, a potem się uspokaja. Barbara po prostu funkcjonowała na wyższych obrotach, w nieustającej gotowości i nieprzemijającym napięciu. To było coś takiego, jak ich sąsiad z parteru, pan Piórko. On się nie denerwował, wręcz przeciwnie, był wesoły; za ten stan odpowiadał alkohol, którego sobie regularnie dostarczał. Można powiedzieć, że jej gotowość do działania była jak jego niegotowość do życia – obie te cechy sunęły po linii prostej, nie opadając. No, u pana Piórko w końcu opadła, bo się zapił na śmierć. „Ciekawe, czy nerwy też można przedawkować?”, pomyślała Barbara.

– No, weź, mimo wszystko jesteś chuda. – Wanda szturchnęła ją łokciem. – Prawdziwi mężczyźni lubią pełniejsze kształty. A to jajko dobre, od znanej kury.

– Dużo kur znasz? – Barbara wreszcie się uśmiechnęła.

– Nie tak dużo. Tę jedną. – Wanda z lubością wgryzła się w miękisz chleba. – No, bierz. Mama przywiozła ze wsi.

– Pojechała tam jednak? – Barbara wyciągnęła rękę po chleb. Lekko zadrżała.

– No. – Wanda pokiwała głową. – W końcu tak nie może stać puste. Sąsiedzi najbliżsi porządni ludzie, ale swoje kłopoty mają. A teraz jak nie upilnujesz, to ci zaraz rozgrabią. Takie czasy. To pojechała, razem z ojcem i kuzynką. Ja zostałam. – Koniuszką języka oblizwała kącik ust. – Antek przyszedł... – Na jej twarz wypłynął taki uśmiech, że Barbara prawie się zaczerwieniła.

Wanda była rumiana zwyczajnie, jak to ona, wyłączywszy ten raz, kiedy opowiadała o wuju i kuzynie.

Barbarę znowu przeszył lekki dreszcz.

– No, powiem ci, że wreszcie życie jakoś wróciło na dobry tor. Znaczący tamto, co się stało, to koszmarnie, życia przepadły, ale wydarzyło się coś, co nam wszystkim wróciło wiarę w sprawiedliwość. On – Wanda nachyliła się ku Barbarze – ten kapuś, nie żyje.

Wyprostowała się; odciągnęła ramiona do tyłu, wypięła pierś. Uśmiechała się do Barbary.

Barbara zastygła z kanapką w ręku. Chciała coś od razu odpowiedzieć, jak każdy, kto by się po prostu i szybko zdziwił, ale czuła, że głos by jej zdrzął.

– Ktoś go zlikwidował, rozumiesz? – Wanda znowu się ku niej pochyliła. – Kulka w łeb. Pach! – uniosła palce, wskazujący i środkowy – i już, po nim. Szłam do domu i się dowiedziałam, że on nie żyje. Ucieszyłam się, no pewnie, bo wiesz, co to za typ. Dobrze, że już go ziemia nie nosi.

– A skąd się dowiedziałas? – zapytała Barbara.

– Od sąsiadki.

– To on zginął gdzieś u was? – Barbara się zdziwiła.

– Nie, nie u nas, no jak? – Teraz zdziwiła się Wanda. – Przecież my nie mieszkamy w tym samym miejscu, on na Szmulkach, mówiłam ci. – To ostatnie powiedziała z lekką przyganą.

– Wiem, pamiętam. Właśnie dlatego się dziwię, no bo mówisz, że sąsiadka... – Spojrzała na Wandę.

– A, no tak! – Wanda klepnęła się w czoło. – Czyli jednak słuchałaś. No więc on mieszka na Szmulkach, znaczący mieszkał, bo teraz to już na cmentarzu. Moja sąsiadka, z Targowej, dowiedziała się tego od znajomej, też z Targowej, trzy numery za nami. Bo ta znajoma to jakaś krewna tego... tego... no, zabitego. Nie żyje, to już nie będę go odpowiednio nazywać, bo to grzech.

Więc do tej znajomej przyszedł dzieciak, taki chłopaczek, żeby jej o tym powiedzieć. Syn tego zabitego. Krzyś, chyba. Tak, Krzyś.

Barbara poczuła ścisk w krtani.

– Bo jego nie było wtedy w mieszkaniu, ganiał gdzieś po ulicy. Więc ten Krzyś ganiał, a potem wrócił, a tam drzwi otwarte, a w progu – ojciec. Nie wiedział, co się stało, bo nikogo przy ojcu nie było, tyle tylko, że ojciec nie żyje, no ale to było oczywiste, bo głowę miał roztrzaskaną. Ja się nie dziwię, bo ludzie się pewnie bali, wiadomo, że on za niewinność nie umarł. Więc ten mały nie wiedział, co zrobić, i poszedł do tej ciotki, czy tam ciotko-babki, bo to jedyna krewna, którą ma. I to dość stara już.

– A matka? – zapytała Barbara.

Ścisk w krtani nie chciał odpuścić.

– Matka nie żyje, podobno umarła w połogu razem z dzieckiem, które wtedy urodziła.

– I co, ta krewna weźmie tego chłopca?

Wanda wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, nie pytałam. Bardziej mnie interesowało to, że ta kanalia, znaczy jego ojciec, już nie chodzi po tej ziemi. Należało mu się.

Spojrzała na Barbarę tak, że ta kiwnęła głową.

– No, to jedz, dobre wieści trzeba uczcić – najprawdziwsze jajko się nadaje.

Barbara ugryzła kanapkę. Chleb był dobry, pieczony na liściu, jajko aromatyczne, i nawet masło tam było.

– Pyszne – powiedziała.

I zrobiło się jej niedobrze.



## Rozdział dwudziesty czwarty



Akurat się minęli – mężczyzna w płaszczu wychodził z przejścia podziemnego, Henryk – wchodził do niego. Ten pierwszy był wyprostowany, ręce trzymał w kieszeniach, szedł spokojnym krokiem. Drugi – spieszył się, był lekko pochylony, oprócz torby na ramieniu miał też drugą, czymś wypchaną.

Barbara z trudem opanowała emocje. Wiedziała, że to ten facet. Tamte obliczenia ze skrzynki na niego wskazywały, a teraz znowu przyszedł tu z listem. Podeszła do Henryka, nie czekając, aż on się zbliży.

– Cześć – przywitał się z nią. – No to jestem. I cię zmieniam. – To powiedział dużo ciszej, nachylając się do niej. Uśmiechnął się, ale widać było, że jest zmęczony i chyba niewyspany.

– Cześć – odpowiedziała.

Wzięła go pod ramię; to był impuls. Henryk się zdziwił, ale nic nie powiedział; dał się prowadzić do wyjścia.

– Słuchaj – zaczęła mówić, wciąż przytulona do jego boku. – Ja wiem, że ten facet, ten przed nami, w płaszczu i kapeluszu, to nasz kapuś.

– To się dopiero okaże, jak sprawdzą dzisiejszą pocztę – odparł.

– To będzie ostateczne potwierdzenie. On był wtedy z donosem podczas mojego dyżuru. To na pewno on. Na pewno.

– Basia... – Henryk się zawahał. – Ja mam rozkaz, powinienem teraz być przy skrzynce. Nie można tak...

– Wierzysz mi?

Na chwilę przystanęła i spojrzała mu w oczy.

Gdyby ktoś patrzył na nich z boku, mógłby ich wziąć za zakochanych.

Tak, był zmęczony – widziała ciemne kręgi pod oczami, bladość policzków. Ale w jego oczach było coś... coś takiego...

– Wierzę. Zawsze. – I umilkł.

Na moment i ona zastygła, ale szybko się otrząsnęła.

– To chodź. – Znowu się do niego docisnęła. – Zrobimy tak: idziemy sobie, zwyczajna przechadzka, w końcu piękny wiosenny dzień, więc para wybrała się na spacer.

Może jej się wydawało, a może on naprawdę mocniej do niej przylgnął.

– I śledzimy go. Zobaczymy, dokąd idzie. Pewnie tu mieszka, skoro tutaj wrzuca listy, to będzie cenna informacja.

Kiwnął głową, ale wciąż milczał.

– Ale możesz mi coś mówić, bo to będzie nienaturalnie wyglądało, że tak milczymy.

Przypomniała sobie, co powiedział jej Zygmunt podczas tamtego spaceru po Powiślu. Ku swojemu zdumieniu nie poczuła ukłucia żalu, smutku czy złości. Właściwie poczuła... nic.

– Jurek chory. Ganiał gdzieś z chłopakami, spodnie okropnie podarł, mama go skrzyczała, bo wiadomo, jak teraz z odzieżą, a potem się okazało, że wdało się zakażenie. Późno się okazało, bo już się bał mówić, żeby mamy nie denerwować... Pokazał, jak już go bardzo bolało i gorączkę miał. I tak walczyliśmy o niego i o tę jego nogę... – Odchrząknął.

– Bardzo mi przykro.

Naprawdę było jej przykro. Tak szczerze. I jeszcze pomyślała o tym chłopcu ze Szmulek. Poczuła, że oczy jej wilgotnieją.

– No co ty, Basik. – Henryk dotknął jej dłoni. – Przecież trzeba myśleć, że będzie dobrze. Trzeba, bo inaczej pomrzemy. Kto traci nadzieję, ten umiera.

Kiwnęła głową. Nie zabrała dłoni. Poczwała, że Henryk jest teraz bardzo na miejscu. Pierwszy raz w życiu tak o nim pomyślała. To było miłe. I kojące.

Nie mogła jednak zostać dłużej z tymi myślami.

– Zobacz, idzie się strzyc – usłyszała Henryka.

– Znowu – wyrwało się jej.

– Znowu? Ale jak?... Basia, to wbrew regulaminowi.

„Gdybyś ty wiedział...”, pomyślała.

– Było, minęło. Dzięki temu wiem, że on wtedy też poszedł do fryzjera i...

Nagle zrozumiała.

– Henryk, on jest fryzjerem! On tu pracuje! Ja myślałam tamtym razem, że on mnie zauważył, że przechytrzył, bo wyszedł tylnym wyjściem, ale teraz jestem pewna, że on tu pracuje.

– Poczekajmy trochę. Jeśli nie wyjdzie przez najbliższe pół godziny, no, może kwadrans dłużej, to ja tam wejść, że niby chcę się ostrzyc. I będzie wiadomo, czy to on, czy nie.

Kiwnęła głową.

– Tam jest brama. – Wskazała to samo miejsce, które wtedy było jej kryjówką. – Tam zaczekamy.

Poszli.

Podwórko, wówczas puste, teraz było zajęte przez troje dzieci.

Barbara przyjrzała się im. Wyglądały nie najlepiej – zbyt cienko ubrane, szczupłe, też zbyt. Skakały przez kałuże, co nie zawsze im się udawało.

– E, sierota skusił! – usłyszała głos jednego z chłopców, który ręką pokazywał na kolegę, teraz stojącego obok kałuży jak bocian – na jednej nodze, drugą trzymał uniesioną, a w ręku miał but, z którego wylewał wodę.

I znowu ten ścisk w sercu.

Henryk wyłapał jej spojrzenie.

– Smutno ci, że twój tata?... Wiem, jak to jest.

„Nie, ja zupełnie nie to czuję”, pomyślała. Powiedziała zaś:

– Tak po prostu smutno. Ten dzieciak jest mały. Mam nadzieję, że choć jedno z rodziców ma.

– Wiele nie ma wcale, już nikogo... Pamiętasz ten sierociniec obok nas?

– Tak.

Teraz też ścisk, bo przecież wiedziała, jakie były jego losy. Mimowolnie spojrzała w niebo. Ścisk jeszcze większy.

– No, to sobie myślę, że wtedy to te dzieciaki miały tam raj. Parszywa wojna.

Kiwnęła głową. To, z czym zdążyła się już trochę uporać, choć może bardziej odepchnąć od siebie, teraz wróciło.

– Też chyba jesteś zmęczona?... Może sobie usiądź, co? Patrz, mam torbę, w niej mundur, ten od straży, do prania zabrałem, więc nie szkodzi...

– Wiesz, co? – Nagle się ożywiła. – Mam pewien pomysł.

– Już się boję. – I wbrew tym słowom uśmiechnął się do niej.

– On nie wychodzi i nie wyjdzie, bo musi być fryzjerem, inaczej to się nie składa. Zrobimy tak: ty się przebierzesz w ten mundur, tu, w bramie, o, staniesz na schodku, wtedy te dzieciaki nie będą cię widziały, a ja pójdę pod zakład fryzjerski. Wezmę... – rozejrzała się i wskazała dłonią na stojący nieopodal na ulicy kosz – tamte śmieci i rozsypię przy wejściu.

– I...?

– I wtedy ty pójdziesz, już w tym mundurze, i zaprosisz go na zewnątrz, żeby zobaczył, jaki ma bałagan przed lokalem.

– W tym dętym mundurze? Zorientuje się. – Henryk był sceptyczny.

– Nie, zobaczysz. Jeśli zaczniesz ostro, to się będzie bał. Zresztą oni tacy są, ci, co donoszą – lękliwi.

– Możesz mieć rację.

– Mam, zobaczysz.

– No dobra, i co dalej?



– Powiesz mu, że będzie mandat. On się zacznie kajać, prosić, że nie, powie, że to pierwszy i ostatni raz. Ty się zastanowisz przez chwilę i każesz mu napisać oświadczenie, że zobowiązuje się do utrzymania porządku pod groźbą mandatu w wysokości trzykrotnie przekraczającej zwyczajową sumę, jeśli jeszcze raz uchybi czystości. I wtedy już będzie całkiem jasne, czy to on, jak się porówna to pismo z dziś z tamtym donosem. Choć jestem pewna, że w skrzynce już czeka kolejny.

– Brzmi świetnie. Nie znałem cię takiej, Basiu.

Znowu spojrział na nią tak czule.

I to było bardzo miłe.

\*

– W zasadzie to... to było nieregulaminowe. – Sęp patrzył na Henryka.

– W zasadzie tak. – Henryk kiwnął głową.

– Mogłeś przegapić innego podejrzanego, ten mógł się zorientować, że jest śledzony. Wiele mogło się zdarzyć. – Sęp wciąż nie spuszczał z niego wzroku.

– Ale się nie zdarzyło – odezwała się Barbara. – To ja namówiłam Henryka do tej eskapady. Bo już wtedy miałam przeczucie...

– Przeczucie – powtórzył po niej Sęp.

Nie potrafiła jednoznacznie ocenić, czy było w tym jakieś ironiczne zabarwienie, czy nie, czy po prostu się upewniał, że dobrze usłyszał.

– Przeczucie – powtórzyła więc głośniejszym głosem, bo tamta odzywka może faktycznie była zbyt cicha.

– Tak, tak... – Sęp pokiwał głową, a ona wciąż nie miała pewności. – Komuś jeszcze przeczucie wydaje rozkazy?

Był jednak ironiczny.

– Tak było i podczas akcji na Powiślu. Przecież powinnam była odejść i wrócić dopiero po likwidacji obiektu, a zostałam, bo... – „bo chciałam być blisko Zygmunta”, tak powinna powiedzieć – bo tak mi przeczucie podpowiedziało. Gdyby nie to... – Zawiesiła głos.

– Tak było – zgodził się Zygmunt.

– Przeczucie jest. I jak się je słyszy, to warto go słuchać, co robić – powiedziała.

Patrzyła teraz na Zygmunta.

Kiwnął głową.

– Albo czego nie robić.

Zygmunt spojrzał na nią, ale ona już tego nie widziała, bo teraz przeniosła wzrok na Henryka. Uśmiechnęła się do niego. Odwzajemnił uśmiech.

– Dobra, na razie to zostawiam. Identyfikacja obiektu jest. W ciągu trzech dni będzie wyrok. Henryk, dokończysz?

– Dokończę – powiedział Henryk.

Patrzył na Barbarę, która delikatnie skinęła głową.

\*

*Dawno już tu nie pisałam. Może dlatego, że to, co mam do napisania, to już nie są „zaprawki”? Przecież to już nie początek dorosłego życia, tylko sam jego środek, i to w jakim wydaniu!*

*W tym się nie można „zaprawiać”, to trzeba głęboko i mądrze przeżywać.*

*Też nie; znaczy mądrze – to tak. Ale głęboko? Z jednej strony, to prawda. Jeśli żyć płytko, to po co w ogóle żyć? To te wszystkie życia oparte tylko na fizycznym, podstawowym przetrwaniu – coś do żołądka, coś na grzbiet i nie dać się zabić. Taka zwierzęca egzystencja. Z drugiej jednak strony, jeżeli człowiek żyje głęboko, to wszystko mocniej przeżywa; a podczas wojny...*

*Wiem, że oni dużo piją. Henryk nie, znaczy trochę, ale się hamuje, inaczej sobie radzi. Nie dlatego, że jest mniej wrażliwy; może po prostu już wcześniej życie go trochę wyrobiło? Może po prostu jest bardziej... Nie wiem, jak to ująć:*

*racjonalny? Wyważony? Doświadczony? Nie tak jak Wanda, bo ona jest prawdziwą znawczynią życia. Na początku myślałam o niej „prosta dziewczyna”. Z Pragi, w domu bez aspiracji intelektualnych, no i ten jej Antek. Teraz myślę, że ona jest mądra, taką życiową mądrością. Ma dobre serce, ale nie jest z porcelany. Potrafi czerpać z życia, potrafi się do niego dostosować, ale nie jest konformistką. Zmienia życie tyle, ile je zmienić można; jeśli nie można – ustępuje. To mądra postawa. Chciałabym tak umieć. Właściwie to właśnie teraz się tego uczę.*

*A wracając do nich – piją. Nie, to nie jest zabawa czy rozrywka. To jest środek na zapomnienie i znieczulenie. Najłatwiej dostępny, szybko działający. Tyle że doraźnie. Potem, gdy ból głowy minie, wszystko to znowu i znowu. Tu nie ma się na co oburzać, tu raczej trzeba współczuć. Współczuję, rozumiem.*

*Z jednym tylko wyjątkiem – Lucyny.*

*Nawet Zygmuntovi wybaczyłam. Może źle to brzmi, no bo co tutaj wybaczać – że nie jestem dla niego? Że się niewłaściwie zadurzyłam? To na korytarzu – nieładne, ale i z mojej strony też.*

*Ale ona? Od tego pierwszego razu, nad Świdrem. Zachwyty nad nim, niechęć do niej – jakby to było połączone. Jemu nie mam już za złe, że jest „zbyt idealny”, a jej – tak.*

*Może się usprawiedliwiam, ale jest w tej dziewczynie coś, co mnie... niepokoi. Odstępuje. Ostatnio nawet miałam wobec niej podejrzenia – wtedy, na peronie. Co ona tam robiła? Przecież to jej rewiry – Włochy. Czego tam szukała? Chciałam zapytać Ewę, ale ona teraz w jakimś trudnym rodzinnym położeniu, matka jej umiera (matka; Boże mój, kolejny trudny temat). Więc ja sobie pomyślałam, czy te jej „wpadki” są rzeczywiście wypadkami, czy może... Może ona na dwa fronty gra? Bo wtedy, dwa razy wtopa, i teraz, przy tej skrzynce...*

*No nic, może to tylko moja niechętna jej głowa.*

*Szkoda, że o nikim z tym porozmawiać nie można. Może najbardziej z Henrykiem, ale on jest chodzącą dobrocią, na pewno jej o nic nie podejrzewa. Wanda by tu się nadała, ale przecież nie mogę jej niczego zdradzić. Nie utrzymałaby tajemnicy, tego się obawiam. Antkowi by powiedziała, on może dalej i tak by się rozwlekło.*

*Wanda. Wanda szczęśliwa, bo już nie musi żyć ze świadomością, że zło wymierzone w jej rodzinę nie zostało ukarane. Zostało.*

*Uklucie, jakby było prawdziwe. Ta kartka też będzie do wyrwania.*

*Ciekawe to, gdyby ktoś kiedyś znalazł przypadkiem ten notes, to będzie mnie znał w połowie. Tej lepszej, ładniejszej. No, na początku trochę głupiej i trzpiotowatej, ale to przecież prawo młodości. Za to później – dojrzała. Pomocna, zupy gotująca, leki nosząca, marząca o wolności dla kraju. Szkoda może, że więcej nie zrobiła, tylko ta drobnica.*

*Gdy tymczasem...*

*Nie wiem, jak o tym pisać, nie wiem, jak o tym myśleć.*

*Zabić człowieka. Przecież to jest nie do pomyślenia, tak czysto teoretycznie. To znaczy jest, bo wojna, bo ludzie giną, bo są wyroki, bo jest kara śmierci. To się zgadza; ale żebym to ja miała oddać ten strzał? Wtedy, na Powiślu, to było zorganizowane, akcja – wykonywałam rozkazy. Potem – broniłam jednego z naszych. Każdego bym obroniła w ten sam sposób, choć pewnie fakt, że to dotyczyło się Zygmunta, wzmocnił tę moją reakcję.*

*Więc to, że jakoś przeżyłam tę swoją inicjację, można zrozumieć.*

*A później? To drugie zabójstwo? Nikt mi nie kazał, wyprzedziłam wyrok. Gnida, podła gnida, jego marne życie odebrało istnienie wielu osobom. Może to wystarczające usprawiedliwienie, żeby z zimną krwią nacisnąć spust. Tak, na pewno. Chłopcy mogą, mogą i kobiety, czemu to różnicować?*

*Chciałam też... uwagi. Docenienia. Żeby o mnie mówiono – z podziwem. Czy to przekreśla te dobre, prawidłowe odruchy?*

*Wyrok nieformalny, ale bez wątplenia słuszny. Ale te oczy... Oczy w kolorze nadziei – czy ten dzieciak ma jeszcze jakąkolwiek nadzieję, czy życie odebrało mu już wszystko? Matkę, ojca, dzieciństwo.*

*Czy sprawiedliwości zawsze musi się stać zadość? Czy słuszne decyzje mogą mieć okropne konsekwencje?*

*A może to wcale nie jest dla niego źle, bo przecież życie z takim ojcem to na pewno nie była bajka – jeśli ktoś jest bezwzględny dla innych ludzi, to czy może być dobry dla najbliższych?*

*Strasznie dużo pytań, odpowiedzi – żadnych.*

*Czasem bym chciała, żeby już było po wojnie, żeby to wszystko przeszło, przewaliło się, wydarzyło, dokonało. Tak, będę już dojrzałą, w sensie: starszą kobietą, już mniej będzie przede mną, ale te sprawy wreszcie pewnie będą rozsądzone. I ocenione.*

*To na pewno będzie ulga.*



## Rozdział dwudziesty piąty



„Głupota, głupota, głupota”.

Szczękała zębami, mimo że temperatura wynosiła kilkanaście stopni i był całkiem ładny dzień. Nie wiedziała, co jest zimniejsze – pistolet w kieszeni jej płaszcza czy jej dłoń.

Gdyby ją ktoś teraz przeszukał, to koniec, po niej. Najpierw kaźń, potem kulka w łeb. Ryzykowała nie tylko swoim życiem, lecz także ich wszystkich.

Spojrzała przez ramię, w kierunku bramy, w której ostatnio stała z Henrykiem, a potem na okno po prawej, na parterze, gdzie był Płowy, obstawiający akcję. Opłacili jakiegoś opijusa, żeby im użyczył lokalu. Barbara nawet zjawiała się tam z Płowym, żeby uwiarygodnić tę sytuację. Facet był wstawiony, ale ją zauważył. Potem poszedł do swojego kumpla, a ona się wymknęła. W każdym razie gdyby jakoś do niego dotarli, to będzie pamiętał tylko obściskującą się parę, szukającą kąta na dwie godziny, żadnych żołnierzy podziemia.

Prawie dobrze poszło. Prawie, bo już wychodząc z bramy, natknęła się na tego chłopaczka, „sierotę”. Wyglądał jeszcze smutniej niż wtedy. Chudzina, ubranie miał to samo, tylko chyba jeszcze bardziej przybrudzone. Stał na ulicy, nie sprawiał wrażenia, jakby chciał wejść w bramę. Zagadnęła go: „Czy wszystko w porządku?”. To też było głupie, bo u tego dzieciaka nic nie było w porządku. Kiwnął głową, ale tak, że pewnie nawet samego siebie nie przekonał. Zapytała, czy do domu idzie. Znowu

kiwnął głową. I, sam z siebie, dodał: „Ale to taki nieprawdziwy dom, bo bez mamy”. Wyciągnęła jeszcze od niego, że mieszka z babką, która jest chora i stara, a ojca nie ma, bo „on nie ma taty”. I że najbardziej na świecie by chciał, żeby mama wróciła, boby wtedy nikt nie wołał na niego sierota, bo jak się ma matkę, to się nie jest sierotą. I nawet jeśli jest się bękartem, to jednak się nie jest sierotą. Więc już wiedziała wszystko – ojciec nieznany albo opuścił matkę, mama nie żyje, a on sam z niedołączoną babką. Dała mu cztery ziemniaki z torby i piętękę chleba; tyle mogła, by mieć czym przykryć broń, którą przejmie od Henryka po akcji.

Choć właściwie to było głupie myślenie, skoro w torebce miała inny pistolet. Ten zlikwidowanej kobiety. Ten, którym wymierzyła sprawiedliwość konfidentowi ze Szmulek. Do domu go nie brała, czekał w piwnicznej skrytce razem z wyrwanymi kartkami z notesu. Dziś jednak go wyjęła. Może gdyby to nie Henryk miał wykonać ten wyrok... Pomyślała sobie, że przecież może być różnie. Z komendantem w Pruszkowie było. Jeśli coś pójdzie nie tak, Płowy może nie zdążyć z pomocą. A ona nie będzie miała jak, czym bronić Henryka. Czuła się za niego odpowiedzialna w tej akcji. To ona go wtedy wyciągnęła z przejścia podziemnego, to razem z nim dokonali tej identyfikacji. Zlecenie mu dokończenia sprawy wynikało właśnie z tego. Więc gdyby coś mu się stało...

Przestraszyła się wtedy tej myśli. Tak po ludzku, tak z powodu tego wkręcenia Henryka akurat w tę akcję, ale i dlatego, że poczuła, że by jej go brakowało. Zostałaby po nim taka pustka w jej życiu, którą trudno byłoby zapełnić kimś innym, bo Henryk był...

    Nie dopowiedziała wówczas tej myśli.

Teraz też nie; zobaczyła go, jak szedł ulicą. Wyglądał jak zmęczony urzędnik po całym dniu lichy opłacanej pracy. Zgarbiony, ofiara losu. Na pewno nie likwidator. Dobrze się maskował. Ruszyła w jego stronę.

    – Pusto – szepnęła do niego, gdy się mijali.



Ostatni klient wyszedł od fryzjera przed dziesięcioma minutami, nikogo nowego nie było.

Henryk kiwnął głową, poszedł dalej. Barbara przeszła jeszcze kawałeczek i skręciła w lewo, żeby dojść do równoległej uliczki i nią zawrócić.

Kamienica, w której czekał Płowy, miała nieogrodzone, spore podwórko z tyłu, na końcu którego znajdował się zapuszczony mały sad. Barbara zeszła z chodnika na świeżozieloną trawę. Pomyślała, że przyroda to jedyny stały element w czasie wojny. Co roku, bez względu na wszystko, natura odbija po zimie, wynurza się z ziemi, pokrywa zielenią. Niedługo te pękate już pąki rozkwitną i zapachnie tak, jak tylko potrafi pachnieć wiosenny sad. Zwiastun życia...

I wtedy usłyszała strzał.

Za blisko, za szybko, coś było nie tak.

Rzuciła się przez tę zieloną trawę do ziemistoszarego podwórka. Z pierwszej bramy wypadła na wypełniony kałużami podworec, a gdy znalazła się w drugiej bramie, prawie się zderzyła z Płowym.

– To tu, na drugim chyba. Jakaś bijatyka i strzelanina – wypalił zdyszany.

– A Henryk? – zapytała z mocno bijącym sercem.

– Jeszcze...

I w tym momencie rozległ się drugi strzał; cichszy, ale nie do przeoczenia. Jego źródło było po drugiej stronie ulicy, tam, gdzie zakład fryzjerski.

Nim cokolwiek zdążyła powiedzieć czy zrobić, zobaczyła, że ulicą biegnie posterunkowy. Słuch go nie mylił, więc zamiast skręcić w bramę, chciał pójść dalej, do kamienicy, w której Henryk właśnie najprawdopodobniej wykonał egzekucję. Nie miał jak uciec; sprawdzili to przecież – z zakładu było tylko jedno wyjście, frontowymi drzwiami.

– To tu, tu, tu! – rozszlochała się Barbara. – Panie policjancie, to tu. – Podbiegła do posterunkowego i złapała go za rękę.

– Gdzie?

Widziała, że się waha. Dłoń z pistoletem skierował w stronę, gdzie stał Płowy. Musiał mieć mętlik w głowie.

– Na drugim pię... – zaczął Płowy, zbliżając się do nich, ale wtedy posterunkowy podniósł rękę i odbezpieczył broń. Widziała, jak pulsuje mu żyła na skroni. I że ręka mu się trochę trzęsie.

– My tu byliśmy, bo... się... no, spotykaliśmy i wtedy ktoś strzelił. – Barbara znowu dotknęła ramienia policjanta. Chciała odsunąć podejrzenia od Płowego. Ale jeszcze bardziej chciała jak najprędzej znaleźć się obok Henryka.

– A on to kto? – Posterunkowy wciąż mierzył w Płowego.

– Mój...

Nie dokończyła jednak, bo w tym momencie rozległ się kolejny strzał, ewidentnie w kamienicy, a chwilę później zza drzwi wypadł jakiś mężczyzna z zakrwawionym ramieniem.

Zauważył ich i wykonał półobrót – zamiast wybiec na ulicę, skierował się w głąb podwórka.

Posterunkowy zareagował za późno; oddał za nim dwa strzały, ale chybił.

Barbara wykorzystała ten moment na przełożenie broni z torebki do torby. Tam łatwiej było ją ukryć, poza tym torbę, w ostateczności, łatwiej porzucić.

– Boże, Boże!... – Teraz z kamienicy wypadła zapłakana kobieta, też z pobrudzoną krwią sukienką. – Niech mi ktoś pomoże, mój... mój narzeczony!... On chyba... tam na górze!...

– Kto? Co? – Posterunkowy był skonsternowany.

– On go chyba zabił, uciekł, tu na dół... – Kobieta rozglądała się nieprzytomnie.

– Trzeba go łapać! – wrzasnął Płowy.

Rzucił się w kierunku, w którym pobiegł tamten mężczyzna.

– Ja wezwę lekarza – powiedziała Barbara.

Posterunkowy jakby się wreszcie ocknął. Kiwnął głową i pobiegł za podejrzanym i Płowym.

– On chyba... chyba... – Kobieta wyglądała jak siedem nieszczęść.

– Zadzwoń po lekarza. Niech pani do niego wraca. – Barbara delikatnie pchnęła ją w kierunku drzwi. – Od fryzjera zadzwoń.

Kobieta pokiwała głową i weszła do klatki. Po chwili Barbara usłyszała jej kroki na schodach. W tym samym momencie rzuciła się w kierunku zakładu fryzjerskiego.

Przez cały czas próbowała obserwować to miejsce, ale tak, by nie zwrócić ani na siebie, ani na ten lokal uwagi. Chyba się udało, przynajmniej na razie.

Wpadła do niedużego pomieszczenia i zatrzymała się w pół kroku. Na podłodze, w kałuży zgęstniałej ciemnoczerwonej krwi, twarzą do podłogi leżał fryzjer. Henryka nigdzie nie zobaczyła. Serce waliło jej jeszcze szybciej.

– Co tam się stało?

Aż podskoczyła. Dopiero teraz go dojrzała, przyklejonego do ściany przy oknie. Poczła taką ulgę, aż ugięły się pod nią kolana. Dopadła do niego i chwyciła go za rękę.

– Jakaś jatka, chyba o kobietę, a może rabunek, nie mam pojęcia. Trzeba wiać. Poczekaj. – Na chwilę puściła jego dłoń. Lekko odchyliła płócienną zasłonę zakrywającą w połowie okno zakładu. – Pusto, chodźmy.

Na chodniku wzięła go pod ramię. Czuła, że oboje się trzęsą; ona chyba bardziej.

– Co za cholerny zbieg okoliczności. – Starła się opanować drżenie głosu i wyglądać normalnie. – Akurat teraz i tu!...

– A Płowy? – zapytał Henryk.

– Odciągnął tego posterunkowego. Pewnie da nogę gdzieś w bramę. A jak poszło z...?

– Dobrze. Kiedy miałem go... to on się odwrócił w stronę drzwi, bo usłyszał strzał, więc podszedłem od tyłu i... Nie musiałem na

niego patrzeć.

Znowu szli jak para, ramię pod ramię, przytuleni.

– Bałem się... – zaczął Henryk.

– Ja też. Bardzo – weszła mu w słowo.

– Ale chyba... – To znowu był on.

– O ciebie. – Teraz Barbara.

Zamilkła. Zdziwiła się – już nie tym, że tak pomyślała, tylko tym, że to powiedziała.

Henryk wysunął swoje ramię spod jej ramienia – po to, by ją objąć. Nic nie powiedział, ona już też milczała.

Prawie doszli do przejścia podziemnego, gdy Barbara zauważyła jakiś rwetes. Kilku żandarmów wbiegało na peron.

– Ciekawe, czy to w związku z jedną albo drugą sprawą – szepnęła Henrykowi na ucho.

– Pewnie tak. Wycofujemy się? – Zwolnił.

– Nie. Jesteśmy za blisko, jak zobaczą jakiś gwałtowny ruch, to się zainteresują. Oddaj mi broń, idź na pociąg, ja przejdę na drugą stronę. Później wrócę na stację.

Czuła, że Henryk się waha.

– Na pewno?...

– Na pewno.

Sięgnęła pod jego marynarkę. Wyczuła metal. Przez chwilę biedziła się z zapięciem, ale się udało. Powoli wyciągała rękę, jednocześnie przesuwając swoją dużą torbę w stronę brzucha.

– No, idź – powiedziała, gdy doszli do schodów na peron.

Zdjął ramię z jej pleców i powoli się odsunął.

Ona wykonała szybki ruch ręką.

Rozległ się delikatny stukot.

Henryk się wzdrygnął i spojrzał na nią pytająco.

Barbara się uśmiechnęła, podeszła do niego, wspięła się na place i pocałowała go w usta.

– Pa, kochany – powiedziała normalnym już tonem, akurat w momencie, gdy jeden z żandarmów ich mijał. – No leć, bo ci

pociąg odjedzie. – Zaśmiała się i delikatnie popchnęła go w stronę schodów.

Żandarm spojrział na nich i przeszedł dalej.

Zakochani – normalna sprawa na wiosnę, tak musiał pomyśleć.



## Rozdział dwudziesty szósty



– Basiu, zaczekaj.

Już była przy drzwiach, rękę trzymała na kłamce.

– Tak, mamó? – Obejrzała się w głąb korytarza. – Spieszę się...

Nie mogła się dziś spóźnić na zajęcia. Mieli praktyki w zakładzie, ostatnim razem jej nie było, dwa poprzednie przyszła sporo po czasie. Majster jej zapowiedział, że „wyfrunie” ze szkoły, jeśli to się powtórzy. Nie lubił jej, ale trochę racji musiała mu przyznać, tyle tylko, że ona naprawdę miała poważniejsze sprawy na głowie.

– Do szkoły? – zapytała Krystyna Leoniewska.

Barbara wzruszyła ramionami. Mama nieodmiennie była wycofana i dziwna, ale to pytanie było naprawdę bez sensu.

– Tak, no a dokąd – prychnęła. Zabrzmiało okropnie, sama to usłyszała, więc prędko dodała, już łagodniejszym tonem: – ...bym miała iść?

Matka podeszła do niej.

– Wiesz, w życiu bywa różnie. Pokusy, ścieżki na skróty.

Barbara patrzyła na nią ze szczerym zdumieniem. Nie miała pojęcia, o co matce może chodzić.

– Ale są draństwa, których się nie wybaczają. Rozumiesz?

Nie rozumiała, nic a nic. No, może tylko to, że z matką jest chyba coraz gorzej, coraz bardziej się oddala od rzeczywistości.

– Mamó...

– Z nimi flirtujesz?

– Z kim?

– No z kim, z kim? – Matka ją przedrzeźniła.

Barbara pomyślała, że mama po prostu sfiksowała z tego żalu po ciotce.

– Z Niemcami.

Stała w przedpokoju i patrzyła na matkę. Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, bo jak można skomentować coś takiego?

– Nic nie powiesz? Dobrze, to ja powiem. Skąd ta sukienka, co? Wełna i jedwab, w okupację! Skąd te perfumy? Skąd ślady szminki i czekolady? To wszystko jeszcze były poszlaki, mogło mi się wydawać, ale wczoraj cię widziałam przy niemieckiej dzielnicy. Uśmiechnięta, znowu w tej kiecce! Z kim się tam spotykasz, co? Ile ci płaci? Tylko za ciało czy może coś gorszego robisz?

Tego Barbara nie przewidziała. Wszystkiego mogłaby się spodziewać, ale nie takich zarzutów. To całkiem bezpodstawne oskarżenie odebrało jej mowę.

– Milczysz, czyli to prawda. Boże, jakie to szczęście, że ojciec tego nie dożył!

Barbara czuła, że się trzęsie. Co za niesprawiedliwość. Co za absurd! Zdumienie ustępowało złości.

– I ciotka. Dobrze, że ona też tego nie dożyła. Biedna.

Krystyna Leoniewska stała w przedpokoju i patrzyła na nią w połowie smutno, a w połowie oskarżycielsko.

Barbara pomyślała, że matka wygląda jak ofiara. I na pewno tak się czuje, choć przecież prawda jest zupełnie inna. Poczowała, że zaciska dłonie w pięści.

– Biedna to była przez ciebie! Kto jej zabrał...

Nagle otrzeźwiała. Urwała w pół zdania.

– A co ja jej zabrałam? – Matka też na chwilę zapomniała o tym, o co obwiniła córkę.

– Mamo, to nieporozumienie. Ja nie robię nic złego. Nic, przysięgam ci na wszystko, na co chcesz. Na miłość do ciebie, pamięć ojca, na wszystko. Nic złego, musisz mi uwierzyć, bo



więcej nie mogę ci powiedzieć – wypaliła Barbara. Podeszła do matki; stały teraz naprzeciwko siebie.

Matka patrzyła na nią bez słowa.

– Różnie między nami jest. Ale bym cię nie okłamała. I jestem patriotką. I jestem uczciwa. Czasem po prostu pozory przykrywają prawdę. Uwierz, proszę.

Barbara złożyła ręce jak do modlitwy.

Matka powoli kiwnęła głową, ale nie wykonała żadnego ruchu. Barbara się zawahała, bo dobrze byłoby mamę przytulić, zanegować tamte słowa, przekreślić je. Przytulanie zawsze wszystko załatwiało, ale teraz jakoś nie mogła. Pocałowała ją tylko w policzek, właściwie to bardziej cmoknęła powietrze za uchem niż zimną skórę mamy. I powiedziała:

– A teraz muszę lecieć. Naprawdę.

– Dobrze.

Gdy Barbara przekraczała próg, matka rzuciła jeszcze w jej stronę:

– A z ciotką... Co ja jej zabrałam?

Odpowiedzią było już tylko ciche domknięcie drzwi.

\*

*Jak mogłam? Jak mogłam coś takiego powiedzieć mamie? Nawet biorąc pod uwagę to jej osuwanie się w dziwactwo (swoją drogą – ile to złego się rodzi z niedomówień, z braku informacji, wtedy, gdy człowiek sobie składa świat tylko z jego fragmencików – jaki krzywy, nieprawdziwy obraz może z tego wyjść!).*

*Zresztą – czy ciotka miała rację? Teraz myślę, że nie. Po pierwsze: odstawiła to uczucie na boczny tor, nie zadbała o nie, więc po drugiej stronie ono wygasło. Po drugie zresztą: gdyby ze strony ojca to była taka miłość na całe życie – czy by się skończyła? Nie, znaczy nie była na całe życie; była na trochę i się wypaliła.*

*Ta myśl po raz kolejny do mnie przemówiła. I jest jeszcze jednym kawałkiem (nie tak jak w przypadku mamy, która z paru tylko części zbudowała sobie mój obraz – tu tych kawałków jest wiele) mojego uczucia wobec Henryka.*

*Mojej miłości do niego.*

*Tyle czasu mi to zabrało, ale w porę, w porę – że on nie odszedł, jak mój ojciec kiedyś (co też znaczy, że z jego strony to silne uczucie).*

\*

– To jest nasza najtrudniejsza akcja. – Sęp chodził po pokoju. – Już raz była podejmowana próba, nieudana. Musiał się wtedy zorientować, że to nie przypadek, że chodziło o niego. Niby minęło pół roku spokoju, ale czujności nie stracił, wręcz przeciwnie, jest czujny jak mysz. – Spojrzał na nich.

Dziś byli w komplecie, znowu w tym mieszkaniu na Złotej.

– Szef sekcji kripo, odpowiedzialny za walkę z „polskim bandytyzmem”. Willy Leitgeber. Ma na koncie setki istnień. Młodych chłopców i dziewcząt, mężczyzn i kobiet. Bestialski i bezwzględny. Nie zatrzyma się, jeśli my go nie zatrzymamy. W tamtej akcji... zginęło siedem osób z podziemia. Tyle co nas tutaj.

Barbarą wstrząsnął lekki dreszcz. Nie chciałyby ginąć. Nigdy nie chciała, a teraz – jeszcze bardziej. Poszukała z tyłu dłoni Henryka. Kątem oka dostrzegła, że jest zdziwiony, ale ścisnęła jej palce.

– Mieszka na Jaworzyńskiej. Duże mieszkanie, służba, obstawa przy drzwiach i na dole, przy wejściu do kamienicy.

– Jak w warowni – stwierdził Zygmunt.

– Jak w warowni – zgodził się Sęp. – Ale każdy człowiek, zawsze, ma jakiś słabszy punkt. I nasz cel, i jego obstawa na pewno też, tylko musimy go znaleźć. I w niego uderzyć. Od teraz dzielicie się obserwacjami przez całą dobę. Będzie pomoc z zewnątrz, na czas obserwacji. Sama akcja – w naszym gronie. Wszystko jasne?

– A mamy jakiś czas wyznaczony? – Teraz odezwała się Lucyna.

– Jak najszybciej. Od kilku chwil nie udaje nam się nikogo z naszych wyciągnąć – ani z Szucha, ani z Pawiaka. Za dużą częścią tych aresztowań stoi właśnie nasz cel. No dobra, to ja się ewakuuję, a wy działajcie.

Sęp skierował się w stronę przedpokoju. Gdy był już w korytarzu, nagle się odwrócił.

– Baśka, a ta twoja sprawa...

Barbara puściła rękę Henryka. Spojrzała na szefa.

– Ta, o której mówiłaś niedawno. Praga, donosiciel ze Szmulek, zabicie jakichś ludzi gdzieś pod Wyszkowem.

Kiwnęła głową. Poczowała, że drży.

– Bo chcę ci powiedzieć, że to już nieaktualne. Wyrok wykonany. Ktoś to jeszcze jakoś zgłaszał? Ktoś z rodziny, komuś innemu?...

– Nie... chyba nie. Nie wiem zresztą. – Pokręciła głową.

– Ciekawe... Wyglądało jak egzekucja. Jakiś Zorro normalnie. – Sęp się uśmiechnął. – W każdym razie możesz przekazać tej swojej koleżance, że sprawiedliwości stało się zadość, choć podziękowania nie dla nas.

\*

Barbara wzięła go za rękę, gdy minęli Zielną. I wciąż miała swoją dłoń w jego dłoni.

Nie rozmawiali, ale to nie była zła cisza. „Czasem cisza znaczy więcej niż dużo słów”, pomyślała.

Kilkadziesiąt metrów przed zakładem Henryk nagle przystanął.

– Ja... – zaczął, nawet całkiem żwawo, ale widać się rozmyślił, bo umilkł.

Nie zdenerwowała się, choć kiedyś tak by właśnie było. Nie poganiała go ani o nic nie dopytywała. Uśmiechnęła się. Pokiwała głową.

– Ja też – powiedziała.

Znowu wzięła go za rękę. Ponownie ruszyli.

Zatrzymali się przed bramą do zakładów Philipsa.

– Ja... – Henryk powtórzył te dwie litery z takim samym początkowym zapalem, by po chwili znów się wycofać.

A ona ponownie się uśmiechnęła.

– My – powiedziała i pocałowała go w usta.

I poczuła się tak, jakby wszystkie brakujące kawałki tego tak długo budowanego uczucia znalazły się na miejscu.



## Rozdział dwudziesty siódmy



– No, robota ci się dziś w rękę paliła! – Wanda się zaśmiała. – Wreszcie jakiś postęp. Bo ostatnio to ci powiem... – Pokręciła głową. – Matureę to ty może masz, ale jak co konkretnego trzeba było zrobić, to ci się paluszki plątały. A teraz... – Popatrzyła na zeszyt Barbary z wykrojami i opisami. I modelowo wręcz obszyty kołnierzyk do sukienki. – Majster trupem padnie, jak to zobaczy. To skąd ta zmiana, co?

Barbara też się uśmiechnęła. Rzeczywiście, już dawno nie była tak przygotowana do zajęć i do pracy, jak przez ostatnie dni. Trochę dlatego, że rzeczywiście narobiła sobie zaległości i czuła, że jej dobra passa może się wreszcie skończyć, bo ile można się wyłgiwać różnymi domowymi i zdrowotnymi trudnościami?...

Druga sprawa była taka, że mocno, mocniej niż do tej pory, przeżywała ich kolejną akcję. Stres przykrywała, intensywnie pracując.

Była już po pierwszej obserwacji. Ten typ rzeczywiście żył jak w twierdzy! Zawsze pod ochroną, zawsze z obstawą. W domu też, choć jak wejść do tego mieszkania, skoro trzeba by minąć dwa posterunki?

Sama obserwacja zresztą to pikuś; to nie tak niebezpieczne. Poza tym, gdy sobie przypominała swoje „dokonania”...

A jednak. Wtedy to ona działała, to ona dwa razy pociągnęła za spust. Była jak nafaszerowana adrenaliną, chęcią zaimponowania światu, że jakoś zgubiła lęk po drodze. Zresztą wtedy

najważniejszy był cel – ona, bez osiągnięcia tego celu – jakby mniej ważna.

Teraz zaś...

– Wreszcie wyrzuciłaś z głowy tego chłopca, co ci tak nerwy psuł, nie?

Barbara znowu spojrzała na Wandę. Wesoła, prostoduszna, Wanda. Zwyczajna i mądra, choć bez matury.

– Nic nie musisz mówić, ja już przywykłam, że ty jesteś taki milczek i cichacz. Bo ty tak nic, nic, a tam gdzie się życie kotłuje, nie? No, to bez mówienia ci powiem, że dobrze zrobiłaś. Patrzę na ciebie i to widzę. Spokój widzę, choć i... – Wanda się zawahała. – Jakieś szczęście, co? Takie... spokojniejsze. I lepsze.

Barbara wciąż milczała. Nawet nie dlatego, że nie miała ochoty się podzielić swoim życiem z Wandą. Trochę by mogła, tą częścią, która była możliwa do opowiedzenia. I nawet chciała, bo szczerze ją polubiła, ale była po prostu zdziwiona, że Wanda tak potrafi w niej czytać.

– No, teraz jak tak milczysz, to ja już pewność mam. To ja ci jeszcze powiem, że jak od czegoś masz dygot w życiu, taki zły dygot, to nie idź za tym, bo jak ćma skończysz – spalisz się. A jak czujesz ciepło, nawet gorąc, ale on nie parzy, a wyłącznie ogrzewa – no, to to jest to. Więc możesz nic nie mówić. Ale głową to możesz kiwnąć.

Barbara kiwnęła głową. Najpierw raz, potem drugi i trzeci. I objęła Wandę.

– Tylko ty mi się tu nie rozklejaj. Bo sobie paluszki na wykrojach potniesz. I zjedz coś, bo kolejna przerwa za trzy godziny, a już wyglądasz, jakbyś miała zemdleć. Miłość, choć najlepsza, chleba nie zastąpi. Weź, ja mam wałówkę. – Schyliła się pod ławkę i sięgnęła do torby. Wyjęła jakiś pakunek w lekko przechodzonym papierze pakowym. – Kasza gryczana, ale z sowitą omastą. – Odsłoniła miskę. – I nawet dwa widelce mam, taka jestem przewidująca.

Barbara pokiwała głową. Wanda właśnie taka była. Zamyśliła się – że też nie potrafiła jej właściwie ocenić już na samym początku. Zresztą nie tylko jej, bo przecież...

– A, to nie. Nie dlatego, że ci skąpię czy coś, tylko to dla kogo innego.

Barbara najpierw nie zrozumiała, o co Wandzie chodzi. Dopiero po chwili się zorientowała, że w tym zadumaniu wpatrywała się w torbę, choć w taki sposób, że niczego nie dostrzegała. Teraz zauważyła inne zawiniątko.

– To kawałek kaszanki. Taki pypeć odkrojony. To dla tego chłopaczka, pamiętasz, mówiłam ci o nim. Ten chudziak Krzyś, sierota po tym... no.

Barbara się spięła.

– A co z nim? – zapytała przez lekko zaschnięte gardło.

– No nic, właśnie nic. Ta ciotka, co go wzięła, to raczej taka babka. Wiekowa, schorowana. Sama wymaga opieki, ale nie ma nikogo. No to oni razem teraz jak w tej dwójce, gdzie ślepy kulawego prowadzi... Ja aż tyle nie mam, żeby ich oboje, zresztą... No, z tym małym to mnie tak sumienie trochę gniecie, bo wiesz...

Popatrzyła na Barbarę.

„Jeszcze jak wiem”, pomyślała.

– Ale na dłuższą metę to nie da rady, z różnych powodów, najbardziej takiego, że przez jego ojca zginęły trzy osoby z mojej rodziny. Matka tak bardzo opłakuje siostrę. Gdyby się dowiedziała, że ja dzieciaka tego mordercy podkarmiam...

Wanda otarła rękawem oko.

– Ja tak sama, no. I tylko przez chwilę.

– To co z nim będzie, z tym małym?

Wanda wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Bidul jakiś pewnie, ale to nawet chyba lepiej niż teraz. No, weź, bo kilka minut zostało. Trzymaj. – Wetknęła jej do ręki widelec.



Barbara przed chwilą jeszcze była naprawdę głodna, ale teraz apetyt zmalął.

– Jedz, no – zachęcała ją Wanda.

Nie chciała zrobić jej przykrości, zresztą rozsądek podpowiadał, żeby jednak zapełnić żołądek, bo zaraz po zajęciach szła na Jaworzyńską. Nabrała pierwszą porcję kaszy. Rzeczywiście, była z omastą. Dawno już nie czuła takiego zapachu podsmażanej słoniny i cebuli. Ślinianki rozkręciły się mimo jej stanu ducha. Wzięła kolejną porcję.

– Auć! – Przy trzeciej głośno syknęła.

– Co się stało? – przestraszyła się Wanda.

– Nie wiem... – Barbara szukała językiem źródła bólu. – Poczekaj.

Sięgnęła po chusteczkę i odpluła coś do niej.

– No masz, kawałek kości się zaplątał. – Wanda westchnęła. – A to obok?...

Barbara wreszcie znalazła to bolesne miejsce. I od razu poczuła różnicę. Wcześniej było tu gładko, a teraz – pusto, wyrwa.

– Plomba. Z tego zęba, co go tak długo leczyłam.

– No to pech. Cholibka, no, głupio, że od mojej kaszy. – Wanda popatrzyła na nią wyraźnie skruszona. – Ale wiesz co? To tylko kawałek materiału. Problem by był, jakby ci cały ząb wypadł. Bo jak zęby wypadają, to się mówi, że to śmierć zwiastuje. – Ściszyła głos. – Niby to we snach, ale teraz życie to w ogóle jak zły sen... Ale to tylko kawałek plomby. – Raz jeszcze spojrzała na grudkę na materiale. Uśmiechnęła się i poklepała Barbarę po ramieniu.

\*

*Czy gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym inaczej? Takie pytanie potrafi człowieka wpędzić w szaleństwo, a przecież niczego, absolutnie niczego nie zmieni.*

*Patrzę wstecz, na te wojenne lata. Mogłabym sobie teraz powiedzieć – zmarnowałaś je, szukałaś nie wiadomo czego, nie wiadomo co i komu chciałaś udowodnić. Dużo wcześniej mogłaś sobie ułożyć życie. Ty byś nie była taka roztrzęsiona, Henryk by był szczęśliwszy, pewnie nie doszłoby do tego, że ten Krzysz został sierotą.*

*Ale – to też tylko czysta teoria. Bo gdyby miało tak być, toby tak było. Życie układa się swoimi staraniami, prawda, ale razem z przypadkiem. A na niego nikt i nic nie ma wpływu.*

*Gdyby ojciec nie spotkał mamy, gdybym nie napisała listu do ciotki, gdyby ciotka nie poszła na pociąg tego dnia, gdyby Wanda mnie nie poznała...*

*Dużo tych splotów okoliczności. Bardzo dużo. Myślę, że już wystarczająco, zwłaszcza że przed nami ta akcja... Najtrudniejsza i najniebezpieczniejsza. Więc, Losie, daj mi / nam chwilowo od siebie odpocząć.*

\*

Znów ten korytarz pachnący goździkami.

Barbara poprawiła się na ławce. Bez względu jednak na to, jak się opierała o ścianę i jak układała nogi, nie potrafiła znaleźć sobie wygodnej pozycji.

Ząb bolał ją bez ustanku; proszki tylko trochę przyćmiewały to kłucie i szarpania. Na domiar złego na dziąśle pojawiła się jakaś bulwiasta narośl, która dokładała swoje.

Barbara była umęczona. Nie pojawiła się dziś na Jaworzyńskiej, zastąpiła ją Ewa. Kochana, bo dwa dni temu umarła jej mama.

Śmierć – codzienny towarzysz wojennego życia. Trochę przywykła, no nie było wyboru, bo inaczej by zwariowała, ale teraz znowu się jej bała. Pewnie dlatego, że teraz bardzo chciała żyć.

Uśmiechnęła się do siebie. Henryk był u niej dziś rano, przed pracą. Odprowadził ją tu, na Jasną. Szli pod rękę, nic nie mówili, a ona miała poczucie, że i tak wszystko wiedzą.

Rozstali się pocałunkiem.

Henryk był naprawdę fajnym mężczyzną. Przecież mógł pytać, dociekać, wygarnąć jej to i owo, dziwić się, a on – nic. On po prostu się cieszył, że stało się to, na co tak długo czekał. I dobrze, że nic nie mówił, bo jeszcze by zapeszył i...

– Ała! – wyrwało się jej. Ból przeszedł przez jakiś czuły nerw i Barbara głośno syknęła.

– Bidulka. – Kobieta obok poklepała ją po ramieniu. – Ale zaraz pani doktor ulży cierpieniu.

I, jakby na zawołanie, drzwi od gabinetu się otworzyły. Wyszedł z nich jakiś mężczyzna, a za nim instrumentariuszka, którą Barbara już знаła.

Ucieszyła się, że to nie Lucyna będzie dziś asystowała dentystce. Schowała tamte emocje, zamknęła tamten rozdział, ale jeszcze nie potrafiła zdusić w sobie do końca niechęci do tej dziewczyny. Już nie myślała o niej, że zabiera jej, Basi, szczęście, ale wciąż czuła do niej trudną do wytłumaczenia awersję. No i nadal widziała jej piękno, z którym nic i nikt dokoła nie wytrzymywał estetycznych porównań. „Daj spokój”, sama się zganiła. „Zawiść niszczy”.

– Proszę, panno Leoniewska. – Instrumentariuszka zaprosiła ją do gabinetu.

Barbara usiadła w fotelu. Lekko drżała. Wiedziała, że czeka ją ból, to było nieuniknione.

– No, to co my tu mamy... – Dentystka zapaliła lampę. – O, no niedobrze. A mówiłam: uważać na ząb, nie jeść twardego. Mówiłam?

Barbara kiwnęła głową.

– Co się stało, to się nie odstanie... I jeszcze ten ropień... Chyba ropień... Dobrze, najpierw spróbujemy połatać ząb, potem zajmiemy się dziąsłem. Zosiu, przytrzymaj pannie głowę, bo wiercić się nie można, a na pewno będzie chęć ucieczki od bólu.

Kolejne minuty zamieniły się w głowie Barbary w bolesne eksplozje. Wydawało się jej, że wszystkie zakończenia nerwowe

zostały odsłonięte. Dygotała, zaciskała dłonie w pięści, czuła, że z oczu cieką jej łzy.

„Nie dam rady, już nie mogę”, mieszało się jej z „jeszcze chwila, wytrzymam”. Sądziła, że jest dość odporna na ból, ale ta próba w przykry sposób rewidowała ten pogląd.

Kolejny ruch wiertła wyrzucił ją poza orbitę świadomości.

– Ała!... – usłyszała żałosliwy jęk.

To ona tak jęczała.

– Jeszcze chwilę. Dwa razy i już.

Teraz to był głos dentystki.

Te dwa razy rozciągnęły się w nieskończoność. Przypomniały się jej jęki z tej piwnicy w Pruszkowie, gdzie kripo przetrzymywało i katowało więźniów. Jak oni musieli cierpieć...

– I skończone.

Barbara otworzyła oczy. Eksplozje ucichły. Został tępy, ćmiący ból, który mimo wszystko przyjęła z wdzięcznością. „Już po, już po, już po...”, powtarzała sobie w myślach.

– Na dwoje babka wróżyła. – Dentystka odsunęła się od fotela, żeby Barbara mogła wstać. – Niech się pani pokaże za tydzień. A teraz trzeba płukać buzię wodą utlenioną, szalwia też może być. I oszczędzać tę stronę.

Barbara kiwnęła głową w podzięcie. Wciąż jeszcze się trzęsła. Zrobiło się jej chłodno, mimo że plecy miała rozgrzane i mokre od potu. Kilka razy mrugnęła oczami; bolały ją nawet powieki, od tego zaciskania. Mroczyki zniknęły, znowu widziała wyraźnie.

Skierowała się w stronę drzwi.

– Już wyprowadzam – usłyszała głos instrumentariuszki.

Biały fartuch ją minął; nim dziewczyna podeszła do drzwi, by je uchylić, Barbara spojrzała na ścianę za nimi. Przy wejściu tego nie zauważyła, bo ten kawałek pokoju był zasłaniany, gdy drzwi się otwierały. Teraz jednak miała dobry widok – na styku białego tynku i parkietu leżała...

– Przytrzymaj pacjentkę, bo nam tu zemdleje! – usłyszała jeszcze głos lekarki, a potem świat zawirował.



## Rozdział dwudziesty ósmy



– Nie, to jest niemożliwe, po prostu niemożliwe.

Henryk powtórzył to chyba dziesiąty raz. To chodził po ich ciemnym saloniku na Krochmalnej, to przysiadł na brzegu łóżka, gdzie pólśiedziała, półleżała Barbara. Policzek miała opuchnięty od zęba, oczy – od łez.

– Ale ja ją widziałam. Widziałam, rozumiesz? Taką samą!

Barbara podniosła się i niepewnym krokiem poszła w stronę kuchni. Podeszła do okna wychodzącego na podwórko-studnię. Szara elewacja kamienicy, szary beton na dole, przyszarzała rama okienna i szarością przymglona szyba. Jedynym pogodnym elementem na tym obrazie były kwiaty – wyhaftowane przy uszach obu stojących na parapecie toreb. Po śmierci ciotki nie używały ich. Po prostu tam stały. Teraz Barbara wzięła jedną z nich i wróciła do pokoju.

– Taka sama. Widzisz? Widzisz? – Podetknęła mu pod nos mulinowy wzór. – Nie da się ich pomylić. Nijak. Ciotka miała trzy takie torby. Dwie dała mnie, na początku wojny, jak wiozłam od niej jedzenie, jedną zostawiła sobie. I z tą jedną jechała wtedy do Warszawy, do nas. Wtedy, kiedy... Kiedy Niemcy ją zastrzelili na peronie. Tak było, bo rozmawiałam z chłopem, który jej sprzedawał mięso dla nas. I on pamiętał tę torbę, bo ona przy nim pakowała tam jedzenie. A potem, przy jej... jej ciele nie było już tej torby, tylko inna, taka zwyczajna. Tamta zginęła. I teraz się znalazła w gabinecie dentystki na Jasnej. I ta dentystka mi

powiedziała, że to jej kuzynki. I że przynosi w niej różne rzeczy do gabinetu. I że ją ma tak od dwóch chyba lat. A ta kuzynka to Lucyna. Lucyna, rozumiesz?

Henryk pokiwał głową.

– Rozumiem. To znaczy wierzę ci. Że tam jest torba twojej ciotki, ale musi być jakieś wytłumaczenie.

– Musi. – Barbara zacisnęła pięści. – Lucyna działa na dwa fronty. To przecież nie jest pierwszy raz. Zdarzały się jej „wpadki”.

– Ten ostatni wyraz powiedziała tak, żeby wyraźnie usłyszał, w jaki cudzysłów niedowierzania go bierze. – W tramwaju, pociągu, z bronią, z tym kuzynem. To według ciebie przypadek? No powiedz, czy to może być przypadek?

Barbara wczepiła się dłońmi w jego koszulę i zaczęła płakać.

Henryk głaskał ją po głowie i nic nie mówił.

W takiej sytuacji zastała ich Krystyna Leoniewska. Żadne z nich nie usłyszało, że weszła do mieszkania. Teraz stała w progu i się im przyglądała. Pierwszy zauważył ją Henryk.

– Dzień dobry.

Delikatnie zdjął z siebie rękę Barbary, żeby przywitać się z jej matką. Podeszedł do niej i się uklonił.

– Co się stało? – zapytała.

– Basia... źle się czuje. Po zabiegu i tak... po prostu.

Zauważył, że Krystyna Leoniewska patrzy na stojącą na podłodze torbę.

– I przypomniała sobie śmierć cioci... To wszystko, razem... Nie do zniesienia.

Pokiwała głową. Może mu uwierzyła, a może nie chciała innych wyjaśnień.

– Ból minie. – Podeszła do córki i pogłaskała ją po głowie. – Jeden i drugi. A oba łatwiej znieść, gdy obok jest ktoś życzliwy. Dobry. Kogo...

Nie dokończyła, ale obróciła się w stronę Henryka.



\*

*Jest noc. Mama śpi, ja siedzę przy stole z tym notesem.*

*W głowie tępy ból, opuchlizna się trzyma.*

*Henryk został jeszcze trochę, ale rozmawiać otwarcie już było trudniej. Kiedy mama poszła do kuchni, powiedział, że to trzeba wyjaśnić, bo inaczej to mnie zje, spokoju mi nie da. I że na pewno jest jakieś, wcale nie tak straszne wytłumaczenie.*

*Zapytałam go, dlaczego jej broni, czy dlatego, że ona taka ładna? Czy przez to prawie święta? Przez chwilę milczał, a potem powiedział, ale nie tak jak ja, a spokojnie, że wcale jej nie broni, tylko po prostu od razu jej nie oskarża.*

*I tym samym tonem dodał, że jemu się wydaje, że ja jestem do niej uprzedzona. „Z jakiegoś powodu”.*

*Chciałam od razu wybuchnąć, zaprzeczyć, znowu powiedzieć, że...*

*Ale on ma rację. I to w taki taktowny sposób. To znaczy także, że wie, że się domyśla.*

*Na pewno się domyśla, bo zaproponował, że porozmawia z Zygmuntem. Sęp teraz niedostępny przez kilka dni, a Zygmunt zaraz pod nim w hierarchii. „Jeśli ty byś wolała nie spotykać się w tej sprawie z Zygmuntem, to ja mogę”.*

*I znowu – ani słowa o przyczynie, dla której bym mogła nie chcieć.*

*Było mi głupio, przykro. Ile w tym Henryku jest dobra! Ile wyrozumiałości!*

*Odmówiłam jednak. Chcę sama usłyszeć wyjaśnienia.*

\*

– Lepiej ci? – Krystyna Leoniewska postawiła przed córką kubek z herbatą.

Barbara kiwnęła głową; na wyrost, bo ta noc była ciężka. Zarazem – co gorszego mogło się jeszcze wydarzyć?

– Ja... muszę już iść, ale o jedno cię proszę. Nie, inaczej – jedno ci chcę powiedzieć: dbaj o Henryka, tak jak on dba o ciebie. Bardzo się cieszę, że wy wreszcie... No.

Pogłaskała ją po głowie i wyszła z pokoju. Chwilę później Barbara usłyszała ciche zamknięcie drzwi.

Siedziała przy stole, aż herbata wystygła. Wypiła mocno letni, słaby napar. Zniosła kubek do kuchni. Na parapecie znowu stały dwie torby; mama musiała tę jedną odnieść.

O nic więcej w tej sprawie nie zapytała – ani wczoraj, ani dziś.

Nie wracały już też do tamtej rozmowy o ciotce. Mama uważała chyba, że pewne sprawy trzeba zamknąć, zostawić za sobą. Nie ruszać.

Barbara mogłaby się przychylić do tej opinii, ale nie w tym przypadku. Nie w tym. Henryk obiecał, że przekaze Zygmuntovi, że Barbara chce z nim chwilę porozmawiać po jego nocnej zmianie.

Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze kwadrans do tego spotkania.

\*

– Wiedziałem. O tej sprawie na peronie w Podkowie wiedziałem. Że była wpadka, że zginął cywil. – Zygmunt nie patrzył na nią, tylko na pień kasztanowca rosnącego przy zakładach. To tu, w tym miejscu, widziała go inną wiosną. I czuła wtedy...

Teraz nic nie zostało z tamtych uczuć. Nic.

– Nie mogli sobie pozwolić na to, by się... podłożyć. By któreś z nich trafiło na Szucha. Lucyna miała torbę... z... bronią. Odstawiła ją na peron, zabrała inną. – Wciąż na nią nie patrzył. – Ale zarzekała się, że tam, przy tej torbie nie było nikogo, pusto. Naprawdę! – Teraz wreszcie odwrócił się ku niej. – Dopiero potem przyszła jakaś kobieta...

Barbara poczuła skurcz w okolicy serca.

– Ta jakaś kobieta to moja ciotka. To była moja ciotka.

– Jest mi strasznie przykro. Okropnie. Ale przecież nikt tego nie chciał. Nikt. To przypadek...

– Przypadki się często Lucynie zdarzają. – Głos jej drżał, a bardzo nie chciała się rozplakać.

– Bo długo i dużo działa. Każdemu się mogą zdarzyć.

– Trzy razy. Trzy. Bo już wcześniej, z tymi ulotkami i z tym kuzynem z bronią też.

– Tak, trzy razy. Do trzech razy sztuka, więcej nie będzie. – Próbował się uśmiechnąć. – Każdy ma jakiś limit.

– Ja swojego nie wykorzystuję – powiedziała to twardo.

– Wiem, wiem, Basiu. I teraz jest dobra pora, żeby ci jeszcze raz podziękować za tamto, na Powiślu. Widzisz, to wszystko to przypadek, traf. Dla ciebie, dla mnie, dla Lucyny łaskawszy niż dla twojej ciotki. Po prostu przypadek, rozumiesz?

Nie chciała mu przyznać racji, choć sama przecież wiele razy tak myślała – życiem rządzi przypadek. I ma w nosie ludzkie chęci i starania. Nie chciała się z tym pogodzić, nie mogła.

– Posłuchaj. – Złapał ją za rękę.

Kiedyś by się rozplynęła pod tym dotykiem, a teraz...

– Trzeba to odłożyć, iść do przodu. Po wojnie na pewno będą jakieś... rozliczenia. Pomoc. Twoja mama nie zostanie sama. My się... Ale teraz jeszcze jedna akcja. Bardzo ważna. Wszyscy jesteście dla niej. Na tym się skupmy. Musi nam dobrze pójść, prawda? Wierzę, że pójdzie. Zresztą, skoro mamy ciebie, naszego anioła stróża...

„Anioła stróża to on ma. Całą armię aniołów stróżów”, pomyślała, przez okno sklepu pasmanteryjnego obserwując kamienicę na Jaworzyńskiej. Spędziła tu ostatecznie dwadzieścia minut. Na szczęście było popołudnie i spory ruch.

Barbara pozostawała pod wrażeniem świetnie zorganizowanego życia ich celu. *Ordnung, Ordnung* i jeszcze raz *Ordnung*. Wszystko działało jak w zegarku. Ochrona na stanowisku, szczelne obstawienie, gdy wsiadał do auta. Wyglądało to dość beznadziejnie – wszyscy mieli takie obserwacje.

Ten człowiek był naprawdę dobrze pilnowany i ubezpieczony. Świetnie musiał sobie zdawać sprawę z tego, że jest celem podziemia. Jemu z łatwością przychodziło zabijanie ludzi –

i moralnie, i organizacyjnie. Wkładał w to zdecydowanie mniej trudu niż w ochronę swojego życia.

Barbara westchnęła. Jutro mieli spotkanie; ona nie przekaze nic, co by pchnęło tę sprawę do przodu. Może po prostu są sprawy beznadziejne? Albo takie, w których możliwe jest tylko działanie z zaskoczenia i liczenie na cud lub chociaż wspomóżenie opatrności?...

Może tak właśnie myślała tamta siódemka, która zginęła?...

Obok przeszła dziewczyna z pakunkiem z pralni na ręku. Barbarze przypomniało się Powiśle. Sukienka wisiała w szafie, nie wyjmowała jej ostatnio. Była piękna, ale... Nie potrzebowała jej, by poczuć się dobrze; nie teraz, gdy przeglądała się w oczach Henryka.

Uśmiechnęła się do siebie. „Życie potrafi być nieprzewidywalne”, pomyślała. Spojrzała na zegarek – jej czas w tym miejscu dobiegał końca. Już miała opuścić sklep, kiedy zauważyła, że dziewczyna wchodzi do kamienicy, tej kamienicy. Po kilku minutach wyszła z innym pakunkiem.

Barbara odczekała chwilę, wyszła z pasmanterii i poszła jej śladem. Pralnia mieściła się jakieś pół kilometra dalej. Dziewczyna zeszła po trzech wąskich schodkach i zniknęła w jej wnętrzu. Barbara poszła za nią.

– ...na czwartek, na popołudnie, znaczy na piątą. I żeby było dokładniej wymaglowane. – To usłyszała, gdy stanęła przy ladzie.

Na zewnątrz była piękna wiosna, tu – lato, i to w tropikach. Od razu poczuła się lepka.

– Przecież było. – Kobieta przejmująca pakunek wrzuciła ramionami, ale widać było, że się zdenerwowała.

– Ale... – zaczęła ta młoda.

– Wiem, wiem. No wiem. Będzie. Wymaglowane na beton. Tylko ty się nie spóźnij, co?

– Ja?... – Dziewczyna się zawstydziała.

– No chyba nie ja. O czwartej wyjdź z domu. Żeby potem nie było na mnie.

Dziewczyna kiwnęła głową, mruknęła pod nosem „do widzenia” i poszła w stronę drzwi.

– No. A dla pani co? – Teraz właścicielka zauważyła Barbarę.

– Chciałam zapytać o czyszczenie sukienki, jedwabnej. Plamę ma taką... z wina. – Barbara usłyszała skrzypnięcie drzwi.

– A gdzie ta sukienka? – Kobieta lekko się wychyliła zza lady.

– No nie mam, ja tak orientacyjnie... – Barbara już się odwróciła w stronę drzwi.

– To trzeba przynieść, bo inaczej...

– Dobrze, oczywiście, przyniosę. Dziękuję. I do widzenia.

Uśmiechnęła się przepaszająco i szybko podeszła do wyjścia. Otworzyła je, przeszła po schodkach i rozejrzała się po ulicy. Zobaczyła tę dziewczynę, jak skręca w Mokotowską i idzie w kierunku Wisły. Poszła za nią.

Czuła narastającą ekscytację. Trochę strachu też, ale na to miała receptę – pistolet w torebce. Przez dłuższy czas leżał nieruszany w tej piwnicznej skrytce. Znała przecież zasady, rozsądek niby również dopowiadał swoje, a jednak, na wszelki wypadek, gdyby wydarzyło się coś niespodziewanego...

Po półgodzinie wiedziała już, że dziewczyna mieszka na ulicy Topiel. I że za sześć dni wyruszy o czwartej z domu, by odebrać pranie dla ich celu na Jaworzyńskiej.



## Rozdział dwudziesty dziewiąty



– Ja bym mu wierzył. Jej też. – Henryk siedział naprzeciwko niej w salonie mieszkania na placu Dąbrowskiego. – Na ostatnim spotkaniu... Widzę w nich, w niej taką samą wolę walki jak u nas, jak u ciebie. Zresztą ona... Wyście rozmawiały, prawda?

Barbara pokiwała głową. Lucyna sama do niej podeszła, co znaczyło, że Zygmunt musiał jej streścić ich rozmowę. Była przejęta, płakała. Nie dałaby rady tak udawać; Barbara mogła jej nie lubić, i prawda, dalej miała z tym problem, ale musiała sama przed sobą przyznać, że łzy i skrucha Złotka były prawdziwe.

„Wszystko bym dała, żeby to odwrócić. Wszystko. Ale się nie da”, wyłkała jej w rękaw.

Miała rację, odwrócić się nie dało.

– Nie wracaj do tego, Basiu. Pamiętaj ciotkę, wspomnij czule, ale nie wracaj. – Pogłaskał ją po dłoni. – Życ trzeba teraz. Bo kto wie...

Miała wrażenie, że zadrżał.

– Ty o tej akcji na Jaworzyńskiej?...

– O każdym dniu w sumie... Choć o akcji najbardziej. To już za trzy dni...

Był poniedziałek. Barbara zdała relację ze swoich obserwacji, z pralnianego rozkładu pracy, Zygi jednak zdecydował, że podejmą próbę likwidacji owszem, w czwartek wieczorem, ale wtedy, gdy ich cel będzie wracał z imienin ze Lwowskiej u jednego z wysoko postawionych wojskowych. Przy korzystnym układzie

zdecyduje się na spacer; jeśli nie – zaatakują na Jaworzyńskiej. Liczyli na jego gorszy refleks, osłabiony jedzeniem i pićm.

Przez moment poczuła się zawiedziona, że nie wykorzystają jej informacji i jej samej, przecież ona by potrafiła, przydała się bardziej, bo już...

Odsunęła te myśli od siebie. W końcu obiecała sobie nie udawać lepszej, nie imponować nikomu na siłę. Już nie musiała, nie potrzebowała tego.

– Jest tak pięknie, jakby było już lato.

Tym zdaniem zamknęła dotychczasową dyskusję. Henryk miał rację, trzeba było żyć.

Uśmiechnął się.

– Pamiętasz, jak byłaś tu na początku wojny? Jak pokazywałem ci mieszkanie?

Pamiętała. I swoje myśli na jego temat – też.

– I dach.

– I dach. A potem, na innym dachu, myślałam, że ty...

Od lekceważenia przeszła wtedy do strachu.

– Że ja co? – Przysunął swoje krzesło do niej.

– Że masz wobec mnie złe zamiary. – Zbliżyła się do niego. – Że jesteś zdrajcą. I że chcesz mnie... – Nachyliła się i pocałowała go.

– Basiu... – wyszeptał.

A od strachu do... miłości.

Czuła, że na to czekał. Ona zresztą też. Już nie chodziło o słowa Wandy, że trzeba żyć, bo jutra może nie być. O jego słowa sprzed chwili, mówiące to samo. Barbara po prostu to czuła – tę chęć życia, która ją wypełniała. I która, jak zawsze, od zarania ludzkości była impulsem jednego ciała pragnącego połączenia z drugim ciałem. Nic, żadne słowa, deklaracje nie mogły tego zmienić, nie miały tu dostępu. Kochała go, tą pozbieraną z kawałeczków miłością, ale teraz była samą naturą, niesterowalną, niedającą się zatrzymać.

On też.



– Nie wiem, kiedy mama... – szepnął jej między jednym a drugim pocałunkiem.

Na chwilę oprzytomniała, choć wcale nie chciała wracać do rzeczywistości.

– Dach. Chodźmy na dach – szepnęła mu do ucha.

Wstał, wziął ją za rękę. Przechodząc obok tapczanu, ściągnął z niego kapę.

\*

– Pamiętasz, jak wtedy, we wrześniu, na samym początku wojny chciałem cię pocałować? – Patrzył na nią.

– Pamiętam.

Powoli rozpinęła guziki bluzki. W pierwszej chwili pożałowała, że ma na sobie dziś tę w kwiatki, z guziczkami-kulkami, których przeciągnięciem przez materiał trwało i trwało. A potem się ucieszyła, bo chciała zapamiętać każdy moment z tego, co im się za chwilę przydarzy.

– Ale wtedy to nie był dobry czas.

– A teraz?

Dotknął jej nagiego ramienia.

– Najlepszy.

Jego palce delikatnie zsunęły ramiączko biustonosza; potem drugie. Obróciła się do niego tyłem. Przez chwilę mocował się z haftkami, ale ustąpiły. Przekręciła się w jego stronę, już uwolniona z górnej części ubrań.

Patrzył na nią z takim zachwytem, jakiego nigdy, w żadnych oczach nie widziała.

– Jesteś piękna. Absolutnie piękna – wyszeptał. – Doskonała.

Czuła się teraz taka.

Delikatnie wysunął dłoń w jej stronę i dotknął jej piersi. A jej się znowu to przytrafiło – patrzyła na tę scenę, jakby stała z boku. Henryk gładzący białą, gładko-pełną pierś; z zachwytem,

początkowym onieśmieleniem, niedowierzaniem. Potem dołączający drugą dłoń i zagarniający drugą pierś. Obserwowała to jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie. Potem taśma zaczęła lekko przyspieszać. Henryk pozbył się swojej koszuli, wyswobodził ze spodni, z bielizny i ze skarpet. Barbara zsunęła spódnicę i majtki. Poczła ciepło, kiedy ona położyła się na kapie rzuconej na ogrzany promieniami słońca dach. Ciepło jego ciała, kiedy ułożył się obok. Coraz spieszniejszą dociekliwość jego dłoni i coraz silniejszą namiętność jego ust. Widziała to z zewnątrz, a jednocześnie wszystko czuła. Była sobą i tą obserwatorką. A kiedy ujrzała jego twarz nad swoją twarzą, jego barki nad swoimi barkami, poczuła jego stopy między swoimi stopami, przestała oglądać, znowu była sobą.

Zmieniła się w dotyk – czuła każdy kawałek swojego ciała i każdy kawałek jego ciała. Dwa spragnione, gorące, oczekujące i gotowe na siebie ciała.

Aż stały się jednym.

\*

Wracała do domu jak...

Nie potrafiła znaleźć odpowiedniego określenia. To, co się wydarzyło, było... Było czymś, czego nie da się przewidzieć. Można to było tylko przeczuwać, podejrzewać, jakoś sobie wyobrazać, ale to wszystko było mgliste, niedoszacowane, niedoczuwane.

Barbara się uśmiechnęła. Było jej tak dobrze – od palców u stóp po czubek głowy wypełniała ją miłość.

Choć wypełniało ją także coś innego.

Poczła ciepło na policzkach. Teraz rozumiała, o czym mówiła Wanda, do czego tak tęskniła, co nią tak zawładnęło.

Wiedziała, że z nią, z nimi będzie tak samo.

Boże! To było coś niesamowitego, nieporównywalnego, jedyne! Oddała Henrykowi umysł i serce, a dziś ciało. I ono potwierdziło,

że tamte wybory były słuszne. To, czego doznała na dachu, daleko odsuwało to, czego doświadczyła w tym ciemnym korytarzu z Zygmuntem.

Znowu się uśmiechnęła.

Była taka zakochana! Było jej dobrze i lekko. Bardzo lekko. I nawet torebkę miała lżejszą.

Na moment wróciła do rzeczywistości. Przekręciła pasek i podniosła klapę.

W torebce brakowało pistoletu.



## Rozdział trzydziesty



*Nie potrafię odtworzyć tego momentu w pamięci. Byliśmy na dachu i...*

*A potem żeśmy zeszi. Na górze, przy strychu, Henryk zauważył, że przed drzwiami stoi jego mama. Poprosił, żebym poczekała. Szybko pokonał kilka schodków, słyszałam, że się z nią wita. Natychmiast wrócił po mnie. Przeprowadził mnie, powiedział, że pokazywał mi panoramę miasta z dachu. Mama się uśmiechnęła, widać było, że jest trochę zmęczona. Miała jakieś zakupy, stała w wejściu do kuchni. Powiedziałam, że jej pomogę. Poszliśmy razem, obrałam ziemniaki, nastawiła kartoflanę. Rozmawiałyśmy, ale to pamiętam jak przez mgłę. Przecież po takich przeżyciach...*

*Poszliśmy do salonu. I wtedy mama zauważyła, że brak kapy. Zapytała, a Henryk powiedział, że zaniósł do pralni, bo niechcący zalał, jak coś czyścił. Mama się tak jakoś uśmiechnęła... Aż się zdziwiłam. Ja też się uśmiechnęłam. Z zupełnie innego jednak powodu – tej kapie przyda się czyszczenie. A co sobie w pralni pomysła...*

*Zjedliśmy supę, potem jeszcze po kawałku placka z marmoladą. Henryk musiał iść do zakładu, powiedziałam, że pójdziemy razem, odprowadzę go. Nie mogłam znaleźć torebki. Wydawało mi się, że zostawiłam ją na fotelu, ale okazało się, że na tym tapczanie, gdzie leżała kapa.*

*Tak mi powiedział Henryk. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, byłam gdzie indziej myślami, sądziłam, że mi się pomyliło, zresztą to był przecież szczegół. Ale nie pomyliło mi się, to już nie te czasy odpływania myślami nie wiadomo dokąd.*

*Poszliśmy; taki mało rzeczywisty spacer, bez słów, za rękę, oboje jakbyśmy frunęli. Ta lekkość, no właśnie, ta lekkość, aż do bramy zakładu, gdzie się rozstaliśmy z obopólnym smutkiem. Wtedy mi się wydawało, że Henryk chce coś*

*powiedzieć, ale nie umie tego ubrać w słowa. Ja też nie potrafiłam, poza tym czy zawsze trzeba mówić?*

*Pocałowaliśmy się i on zniknął za bramą, a ja poszłam do domu.*

*Tak mnie niosły te emocje jeszcze przez chwilę, dopiero na Krochmalnej trochę odpuściły, wróciłam do rzeczywistości. I ta lekkość nagle wydała mi się nie tylko wyobrażona. Otworzyłam torebkę, a tam – pusto, nie było pistoletu.*

*Zabrakło mi tchu. Nie mogłam go zgubić, na pewno nie. Jak? Gdzie? Kiedy? Musowo go miałam, gdy szłam do Henryka, bo wyjmowałam chusteczkę i on tam był. Czułam go pod podszewką. Rozprułam ją, by go wsunąć, więc przy potrząsaniu by nie wypadł, ale był wyczuwalny. I na pewno go miałam. Zatem było tylko jedno miejsce, gdzie mógł zniknąć.*

*U Henryka. A jedyny moment, to kiedy byłam w kuchni z jego mamą.*

*Nie rozumiałam w pierwszej chwili, a potem stanął mi przed oczami ten moment po akcji we Włochach, kiedy brałam od Henryka broń. Wrzuciłam ją do torby, gdzie był ten mój pistolet i one o siebie stuknęły. Henryk tak na mnie spojrzał... Z lękiem.*

*Więc teraz pewnie sprawdził, bo się o mnie boi. I to jest czułe, kochane, wzruszające, ale zarazem – ja potrzebuję tego pistoletu, muszę go mieć. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy.*

*Nigdy.*

\*

Miała wrażenie, że ucichli, kiedy weszła do mieszkania na Złotej.

„E, wydaje ci się, znowu te kompleksy”, uspokoiła się. Rozejrzała się. Byli prawie w komplecie, brakowało tylko Henryka.

Ciepło zalało jej serce. Tkwiła tam, co prawda, miała zadra z powodu tego, co zrobił, ale porozmawiają, ona mu wytłumaczy, no a gdyby jednak nie chciał ustąpić, to w sumie też to chyba przyjmie, przecież to wszystko z miłości, a miłość ma swoje prawa.

Poczuła, że się uśmiecha. Tak jak kiedyś nie panowała nad płaczem, teraz nie rządziła swoim uśmiechem.

– Basia... – Głos Zygmunta wyrwał ją z zamyślenia.

Spojrzała na niego. I zdziwiła się. Pierwsze zdziwienie dotyczyło tego, że mogła kiedyś tak do niego wzdychać, tak o nim rozmyślać. Było tak, jakby teraz stał przed nią ktoś inny niż ten dawny Zygmunt, w którego była tak wpatrzona. Teraz wydał się jej smutnawy, jakiś zgaszony. Inaczej też na nią patrzył. Jakby... z poczuciem winy.

– Tak? – zapytała.

I nagle się zaniepokoiła.

– Chodzi o... o Henryka.

Najwyraźniej odczytał ten jej lęk.

– Tak? – powtórzyła.

– Ja wiem, że on, że wy... – Odchrząknął. – Że wy jesteście blisko.

Byli. Wczoraj była z nim najbliżej, jak się dało. I chciała tak – już zawsze, już do końca życia. Tak sobie myślała w nocy, kiedy przewracała się z boku na bok i przypominała sobie jego dotyk i jego oddech, i jego słowa.

– Tak. – To powiedziała głośniej, pewnie. Z uśmiechem, którego znowu nie zapraszała, a który znowu się pojawił. Nie będzie zaprzeczała, nie będzie się wstydziła. To zresztą ich sprawa, bez wpływu na ich działalność. No i skoro Lucyna i Zygmunt mogą...

– Bo widzisz... Henryk... Henryk jest na Szucha.

Usłyszała, ale nie zrozumiała.

„Co on mówi? Jaki Henryk? Szucha? Dlaczego?” – to plątało się jej po głowie.

To musiała być jakaś pomyłka.

– Wpadł dziś rano. Z bronią.

„Z bronią”.

To zrozumiała.

\*

– Halo, tu inni czekają!

Trzecie uderzenie w drzwi sprawiło, że się ocknęła. Podniosła się z kolan, drżącymi dłońmi sięgnęła po chusteczkę. Już nie miała czym wymiotować, a i tak organizm szarpał jej żołądkiem. Choć ten sygnał był raczej z serca – to tak bolało! Nie знаła wcześniej takiego bólu. Z głowy też był – bo przecież wiedziała, że to przez nią. Głową i sercem wiedziała, głową i sercem czuła. To było nie do zniesienia.

Odsunęła zasuwkę.

– No ile można... – zaczęła sąsiadka, ale kiedy zobaczyła Barbarę, urwała. – Chora jesteś? Coś zakaźnego? – Odsunęła się o krok.

Barbara pokręciła głową.

– Na pewno? Bo wyglądasz, jakbyś miała umrzeć. – Sąsiadka chciała tym żartem pokryć swoje wcześniejsze zdenerwowanie.

A Barbara czuła się tak, jakby miała umrzeć.

\*

– Próbujemy, próbujemy cały czas.

Znowu stali pod tym kasztanowcem, który za chwilę miał wybuchnąć pękami. Były nabrzmiałe i gotowe do nowego, otoczone soczystą zielenią, podczas gdy Henryk tam, na Szucha...

Zrobiło się jej niedobrze. Pamiętała z tych szkoleń, co się dzieje z podejrzanymi, których Niemcy zgarną. W jaki sposób próbują wyciągnąć z nich zeznania, przyznanie się do winy, wydanie kolegów i koleżanek. Te wielogodzinne tortury, bicie, polewanie lodowatą wodą, wbijanie igieł pod paznokcie, rażenie prądem, przypalanie. „Będziecie wtedy myśleli tylko o jednym: żeby to się już skończyło”, mówił Twardy. Słuchała tego i przeszywał ją dreszcz, choć uważała, że jej to nie spotka.

Potem Zygmunt opowiadał o kuzynie Zbyszku złapanym na Żłotej. I że dobrze, że szybko zemdlał na pierwszym przesłuchaniu, bo inaczej by go złamali.



I jeszcze te jęki z pruszkowskich piwnic.

I masowe rozstrzelanie, o którym mówiła mama.

Ale tu pewnie będzie inaczej, bo przecież będą chcieli wyciągnąć z Henryka jak najwięcej. Martwy nie będzie im potrzebny, tylko żywy, więc póki życie będzie się tlić w zmaltretowanym ciele...

– ...będą robić wszystko, żeby im cokolwiek powiedział. Będą...  
– Zygmunt się zawahał – bezlitośni. Wstrzymywać ich będzie tylko to, że martwy na nic się im nie zda. A Leitgeber, bo to jego ludzie go zgarnęli, jest znany z takich przesłuchań.

Patrzyła na Zygmunta i nie miała siły nic powiedzieć. Nie spała w nocy, nic nie jadła od ponad doby. Powiedziała mamie, co się stało. Mama się bardzo przejęła, ale próbowała ją pocieszyć, że „to się wyjaśni”. I że przecież Henryk nie ma nic wspólnego z „tymi sprawami”. Za to ma taką dobrą opinię w zakładzie pracy, na pewno się za nim wstawią, to Niemcy i Austriacy, więc.... Barbara nic nie powiedziała, no bo co by miała powiedzieć? Kiedy padło: „A co jemu do głowy przyszło, żeby tak z bronią?..”, zacisnęła usta, aby nie wykrzyknąć, że to przez nią.

Teraz też milczała. Boże, Boże, jakie to było absurdalne! Jakie okrutne! Zygmunt, którego kiedyś tak przedkładała nad Henryka, teraz, gdy jej serce odnalazło drogę, opowiadał jej o katuszach, jakie przeżywał Henryk.

– Basiu, ja naprawdę nie mam słów... – Nachylił się do niej i ją objął.

– E, no to ja już zgłupiałem. Jedna panna i dwóch kawalerów? Tego nas na arytmetyce nie uczyli!

Odwróciła się. To był jeden z tych dwóch chłopaczków, którzy kilka razy sobie z nich żartowali – tu, przy Philipsie, i tam, wtedy, pod tym murem z różowym plakatem.

– Daj spokój! – warknął Zygmunt.

– No już, już, dobra. – Chłopak uniósł ręce niby to w geście poddaństwa. – Już nic nie mówię, ale Henio by nie był

zadowolony, bo... – urwał. – No dobra, ja się zmywam. I tobie też to radzę. Henio naprawdę by nie był zadowolony...

Uśmiechnął się jakoś głupio, wzruszył ramionami i pogwizdując, poszedł.

– O co mu chodziło? – Barbara spojrzała na Zygmunta. – Z tym, że nie byłby zadowolony, bo co?...

– Ja... Nie... mogę tylko... – Zygmunt zaczął się plątać. – On ci sam powie, na pewno. Jak wyjdzie, to ci powie.

Uścisnął jej obie dłonie, kiwnął głową, odwrócił się i poszedł.

\*

Miała wrażenie, że jej nogi są z ołowiu. Każdy krok, który przybliżał ją do placu Dąbrowskiego, kosztował ją coraz więcej siły. Podniosła głowę, spojrzała w kierunku dachu. Kilkadziesiąt godzin temu była tam taka szczęśliwa, że pomyślała sobie, że już nigdy w życiu nie będzie szczęśliwsza.

I to mogło być prawdą.

Łzy znowu napłynęły jej do oczu.

„W złą godzinę pomyślane”.

„Nie, to nie pech i nie przypadek, tylko twoja głupota”.

„Będzie dobrze, przecież teraz, kiedy wszystko się wreszcie udało, los by nie mógł...”

„Szczęście nie jest na zawsze”.

„Wszystko bym dała, żeby Henryk...”

„Już za późno, stamtąd się teraz nie wychodzi”.

„Jego ciało, takie ładne, bliskie, ciepłe...”

„...złotretowane, sine, krwawiące”.

Czuła, że jeszcze chwila i zemdleje. Chciała zawrócić, nie da rady rozmawiać z jego mamą, zwłaszcza że będzie musiała ją oszukać i...

– Basia? – usłyszała za plecami.

Odwróciła się. Już nie mogła zmienić swojego planu. Mama Henryka stała przed nią. I wyglądała tak jak Basia. Błada, zapłakana, zrozpaczona.

– Ja przyszłam, żeby... żeby powiedzieć, że my... że są czynione starania, żeby Henryka wyciągnąć. On ma w pracy, w zakładach, kolegów, którzy zrobią wszystko... I zbierają pieniądze, szukają dojścia, niebo i ziemię poruszają... i ja też, bo ja...

Nie dała rady, rozplakała się.

Mama Henryka podeszła do niej i ją objęła.

– Wiem, wiem, dziecko. Nie płacz, bo płacz to tak jakby... – Zagryzła wargi. Widać było, że sama też walczy ze łzami. – Chodź na chwilę na górę.

– Ja... – Barbara się przestraszyła, że w mieszkaniu już nie wytrzyma, pęknie, opowie wszystko. Albo nie będzie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, żeby pocieszyć matkę.

Kobieta jednak wzięła ją za rękę.

– Chodź, Henryk by chciał.

I znowu szła tymi samymi schodami. I przekroczyła ten sam próg, przeszła tym samym długim korytarzem, dotknęła ramieniem rozłożystej palmy w drewnianej donicy, postawiła nogę na tym samym dywanie, spojrzała w oczy tym samym krewnym pani Minkiewicz, którzy spoglądali na nią ze ściany.

– Usiądź, proszę, ja zaraz wrócę.

To się różniło – nie usiadła na tej samej kapie, bo ta została na strychu, naznaczona ich miłością.

Podłoga skrzypnęła. Barbara podniosła załzawiony wzrok. Ku niej szła mama Henryka. Ręce miała złożone, dłoń wspartą na dłoni; razem tworzyły jakby kulę.

Podeszła bliżej, przycupnęła na brzegu tapczanu obok Barbary. Rozsunęła dłonie. Barbara kilka razy zamrugła powiekami, bo obraz się jej rozmywał. Zauważyła małe tekturowe pudełeczko.

– Oni tam... różne rzeczy robili. Na lewo, pokątnie, żeby dorobić, żyć... Nie mnie oceniać, ale Henryk nigdy. Nigdy. On był taki...

uczciwy. Prawy. I tylko ten jeden raz wykorzystał maszyny i materiał, żeby... żeby... I wtedy tu, co powiedział, że płyn mu kapnął na kape, to on polerował, doczyszczwał, żeby lśnił, jak wasza miłość, tak mi powiedział... I że w sobotę cię zaprosi do Europejskiej i tam...

Matka Henryka się rozszlochała. Wyciągnęła przed siebie ręce. Jedną dłonią ujęła dłoń Barbary, drugą – położyła na niej to tekturowe pudełko.

Barbara drżącymi palcami uniosła wieczko. Na jego spodzie zobaczyła napis: „Basieńce – na zawsze oddaję”.

A w środku...



## Rozdział trzydziesty pierwszy



– To nie jest dobry pomysł, żebyś brała udział w tej akcji. – Zygmunt pokręcił głową. – Jesteś w nerwach, zmęczona, rozkojarzona...

– Jestem zdeterminowana jak nigdy. Przecież to dla tej akcji, dla Polski, dla nas Henryk... – wyrzuciła z siebie Barbara. – Nie mogę teraz odpuścić, nie mogę. Zwłaszcza że to Leitgeber, to o niego chodzi. On jest odpowiedzialny, i za dręczenie Henryka też. Ja muszę!...

Zygmunt patrzył niezdecydowany. Kamień i Płowy milczeli. Sęp, Ewa i Lucyna mieli dopiero dołączyć. Zapadła cisza – taka, że brzęczenie muchy wydawało się hałasem.

Barbara się przestraszyła, że ten wybuch ją przekreśli. Dlatego wzięła głębszy oddech i najspokojniej jak umiała, zaczęła mówić:

– Zysi, ja wiem, że trzeba być opanowanym. I ja będę. Już mnie poznałeś z tej strony, prawda? Wszyscy mnie poznaliście. – Przesunęła po ich twarzach wzrokiem, powoli, z namysłem. Udało się jej nawet uśmiechnąć. – Nigdy nie skrewiłam, wręcz przeciwnie. Dwa razy wyszłam z opresji bez szwanku. Uratowałam ci życie, sobie i pewnie innym tutaj – też.

Wciąż milczeli.

– Sam mówiłeś niedawno, że do trzech razy sztuka. Skoro to się mogło tyczyć wpadek – wciąż patrzyła na Zygmunta, który się speszył i odwrócił wzrok – to niech dotyczy i sukcesów. Poza tym

to tylko odebranie i przekazanie broni. Do tego potrzeba kobiety i ja się do tego najlepiej nadaję.

Cisza trwała. Barbara się bała, że zaraz wybuchnie – rozplacze się, zacznie krzyczeć, zacznie go błagać. Musiała uczestniczyć w tej akcji, po prostu musiała. Robiła to dla Henryka – żeby pomóc zlikwidować tego, przez którego teraz cierpiał, żeby mieć w tym swój udział. Musiała, po prostu musiała.

– Dobrze. – Zygmunt w końcu się odezwał. – Zaraz ci podam namiary.

\*

Szła Marszałkowską. Do akcji zostało kilka godzin. Broń miała odebrać wcześniej, o trzeciej, na Górnośląskiej, ze sklepu żelaznego. Potem musiała przeczekać kilka godzin i, znowu w stroju „łatwej dziewczyny”, zjawić się na rogu Lwowskiej i Koszykowej, pod tą kamienicą przypominającą zamek. A potem...

Potem to już nikt nie wiedział – gdzie i o której uda im się zlikwidować Leitgebera. I czy w ogóle. I w jakim składzie zakończą tę akcję.

Barbara cieszyła się, że nie spotkała Lucyny. Nie pytała o jej udział w dzisiejszej likwidacji. Może coś jej przydzielono, a może nie. Z jednej strony złościła ją myśl, że wtedy, gdy najbardziej trzeba narazić swoje życie, ona pozostaje w rezerwie. Z drugiej jednak – czy na pewno trzy wpadki wyczerpują liczbę skuch?...

Chciała, jak nigdy dotąd, żeby im się udało. Ten człowiek to była prawdziwa kanalia. I przez niego Henryk tak cierpiał.

Przez nią, Barbarę, też.

Łzy napłynęły jej do oczu. Nic, wciąż nic nie wiedziała. „Jak będzie coś nowego, to ci przekażę”, powiedział Zygmunt. Nie chciała cisnąć i dopytywać, bo przecież wiedziała, że podziemie

pracuje, a jej natarczywość podziałałaby na jej niekorzyść – odsunęliby ją od tej akcji.

Zacisnęła dłonie w pięści.

„Boże, Boże, Boże!”, szeptała w duchu.

Spojrzała na zegarek. Jeszcze miała czas, sporo czasu. Postanowiła pójść do kościoła. Najbliżej było do Wszystkich Świętych. Odeszła od modlitwy. Nie potrafiła wierzyć w jej moc, kiedy dokoła działo się tyle zła. To by przecież znaczyło, że Bóg ogłosił bezradność – skoro nie interweniuje...

Obojętnie mijała podwórkową kapliczkę, inne też. Tam to może zresztą nie na Boga się złościła, a na ludzi, którzy zamieniali życie na modlitwy. A nie o to chodziło – modlitwa ma pomóc w życiu, a nie je zastąpić.

Plac Grzybowski... Dla tych, co tu mieszkali przed wojną, los okazał się okrutny. Ani jeden, ani drugi Bóg im nie pomógł. Tyle tu było bożnic i ten wielki kościół...

A mimo to chciała tam pójść. Nic więcej przecież nie miała, nic więcej teraz nie mogła.

Weszła po schodach. Zatrzymała się przy aspersionum. Początkowo tylko trzema palcami dotknęła wody święconej, ale potem zmoczyła całą dłoń. Kiedy zdumiona tym odruchem wyciągnęła rękę, kilka kropel spadło na kamienną posadzkę.

I wtedy zobaczyła Sępa. Zdziwiła się. Nie sądziła, że się modli przed akcją, jakoś to jej nie pasowało do jego twardego charakteru i twardego spojrzenia.

On też ją zobaczył.

– Cześć – odezwała się pierwsza.

– Cześć – odpowiedział.

– Ty też w dzisiejszej intencji?... – zapytała.

– Też. Trochę. Ale przede wszystkim za Henryka.

Serce zaczęło szybciej jej bić. Wzruszyła się.

– Już po wszystkim. Dokonało się. – Pokiwał głową.

– Dokonało? – powtórzyła po nim. – Jest wolny?



Nie mogła w to uwierzyć. Z dłoni kapnęła kolejna kropla.

Między nimi zapanowała taka cisza, że słyszała, jak zderza się z kamienną posadzką.

– Wolny?... W pewien sposób... – Zamyślił się. – Ty nie wiesz, prawda?

Powoli pokręciła głową.

– Czego?...

Musiała zapytać, choć jednocześnie, od razu, poczuła, że wcale nie chciała tego pytania zadać.

– Dziś rano udało się do niego dotrzeć. Przez Lucynę. Było trudno, naprawdę trudno, ale...

Lucynę?... Nic z tego nie rozumiała. Zupełnie nic.

– ...po prostu fart. Podała mu ampułkę. I on jej użył. Już jej użył. I dlatego tu jestem, żeby się za niego pomodlić. Za jego duszę.

„Jaką duszę? Co on mówi?”, Barbara nic nie rozumiała. „Za duszę przecież...”

– Ampułkę? – usłyszała swój głos.

Kiwnął głową.

– Cyjanku. To jak zbawienie.

Położył jej rękę na ramieniu, chwilę tak stał, po czym się odwrócił i poszedł.

Barbara tkwiła w miejscu. Ręce złożyła jak do modlitwy, ale się nie modliła. Ścisnęła palce. Znowu coś kapnęło na posadzkę. „Tyle tej wody święconej?”, pomyślała zdziwiona. Przeniosła spojrzenie na swoje ręce. To nie woda kapała, a krew. Złotym serduszkim przyczepionym na obrączce pierścionka, który był w tym pudełku od Henryka, zrobiła sobie ranę na dłoni. Kropla czerwieni zabarwiła też złote serce.

Zrozumiała – Henryk umarł.



## Rozdział trzydziesty drugi



Gdyby nie to opóźnienie na Górnośląskiej, nie byłoby problemu. Kto jednak mógł przewidzieć, że właśnie teraz zjawi się tam grupa żandarmów. Dokądś szli, ale zaparkowali przy umówionej bramie. Prawie kwadrans obsuwy!

Niby nie było powodów do zdenerwowania, bo do akcji zostało sporo czasu, ale...

Podniosła rękę z torbą i przycisnęła ją do piersi, aż zaboląło.

Dwa pistolety wśród kilku motków wełny.

Musiała się spieszyć. Jeśli ta dziewczyna trafi tam przed nią, będzie po wszystkim...

Było pięknie, tak pięknie! Wiosna to cudowna pora roku; świat w ogóle potrafi zachwycić, ale to właśnie wiosna wie dzie prym – jest obietnicą tyłu wspaniałości. Odrodzenia, nowego życia.

Poczuła gułę w gardle.

„Nie płacz, nie możesz, wszystko zepsujesz”, upomniała ją Barbara – ta, która szła przy niej. Znowu tego doświadczała – rozdzielania, bycia sobą i jednocześnie bycia obok.

Kiwnęła głową. Nie będzie płakała.

Już widziała szyld pralni. Już była przy schodkach. Wzięła głęboki oddech. „Idź, dasz radę”, ta druga lekko ją pchnęła ku drzwiom. Barbara weszła do środka. Poczuła wilgotny gorąc.

– Dzień dobry – przywitała tę kobietę zza lady. – Ja dziś w zastępstwie, za... za tę dziewczynę, co zawsze. Źle się czuje, nie mogła prania odebrać.

Kobieta patrzyła na nią zdziwiona.

– Za tę z Jaworzyńskiej. – Barbara czuła, że drżą jej nogi.

„Uspokój się”, usłyszała głos tej drugiej.

– No wiem, że z Jaworzyńskiej. I że Wiesia chora. Ale już była inna dziewczyna po pranie.

– Inna? – Barbara oparła się o blat.

– No inna. Taki tam macie zamęt, że nie wiecie, że już inną przysłali? Nie wiem, jak się nazywa, nie mówiła. Ale odebrała i już, żeby nie było przypadkiem, że ja nie wymaglowałam czy zgubiłam, czy coś. To porządny zakład, tu się takie rzeczy nie zdarzają, zwłaszcza z takim praniem.... Zresztą dziwne, że się nie minęłyście, bo ona dosłownie przed chwilą była. Taka ładna blondyneczka. Jak złoto.

\*

Stała na chodniku jak otępiała. Obie tak stały.

„I co teraz?”, myślała Barbara. Nie rozumiała, nic nie rozumiała. I już nic nie robi, już wszystko przepadło. Nie pomści go, nie pójdzie tam, bo znowu wszystko źle, i to przez...

„Nie chcieli, żebyś tam szła. Bali się, że pójdziesz i wszystko zepsujesz. W twoim stanie przecież!...”, druga wreszcie zrozumiała, co się wydarzyło. Barbara pomyślała, że ona ma rację. Chcieli ją chronić przed nią samą. I akcję chcieli chronić.

Ale Henryka nie ochronili.

– Co teraz, co teraz... – szeptała cicho do siebie.

Na ramieniu miała torbę, w niej broń, ale nie miała powodu, pretekstu, by pójść na Jaworzyńską. „Chyba że...”, szepnęła jej ta druga.

I to był doskonały pomysł.

\*

Szła wyprostowana i uśmiechnięta. Nie nazbyt, skąd, w końcu była tylko dziewczyną do różnych usług, znała swoje miejsce w szeregu. Poprawiła pakunek z pralni na ręce. Na razie to był najtrudniejszy punkt planu – wejść tam ponownie wtedy, gdy właścicielka będzie na zapleczu, zabrać jakikolwiek przygotowany pakiet wymaglowanej bielizny czy odprasowanej odzieży i niezauważona z nim wyjść.

Udało się.

Z placu Zbawiciela skręciła w Jaworzyńską. „Będzie dobrze”, szepnęła jej ta druga.

„No pewnie, że będzie dobrze”, pomyślała Barbara. W końcu ci, co już nic nie mają do stracenia, zwykle odnoszą sukcesy. A jeśli się jej nie uda, to trudno. Umrze, ale czy ma po co żyć?

Poczuła łzy pod powiekami. Ta druga, jak zwykle czujna, syknęła jej do ucha: „Masz go zlikwidować. Taki jest sens tej akcji. Dla Henryka, dla ciebie, dla nich, dla wszystkich. Inaczej przegrasz. Znowu i na zawsze”.

Otrząsnęła się. Ponownie się uśmiechnęła. Tak będzie.

Pierwsza zapora, żandarm z karabinem. Nie wycelował go w nią, ale czujniej objął dłonią lufę.

– Dzień dobry. Dziś ja jestem za Wiesię. Jest chora. Wiesia. *Kranker*.

Wyciągnęła przed siebie rękę, przez którą miała przewieszzone pranie. Przesunęła materiał, żeby przykryć poranioną skórę.

– *Zweite?*

„Druga”. Nie rozumiała, o co pyta. Jedyna druga, jaką znała, szeptała jej teraz do ucha, żeby zachowała spokój i się uśmiechała. Tak zrobiła.

Żandarm przez chwilę się wahał. Otworzył drzwi, zajrzał na klatkę, wychylił się, spoglądając do góry. W końcu dał jej znak, że może iść.

„Widzisz, nie było się co bać”, szepnęła jej ta druga.

Barbara szła po schodach. Ładne, marmurowe, białe. Błyszczące jak tafla szkła.

Szkło... Trzeba odgryźć koniuszek ampułki, odpluć i wypić zawartość. Tak ich uczyli. Niby nic się nie stanie, jeśli jednak to szklane zamknięcie połkną, bo kto umiera, ten się nie musi martwić o takie szczegóły, ale...

„Przestań! Natychmiast!”, druga syknęła jej do ucha. „Żadnych łez teraz. Weź się w garść”.

Znowu się wyprostowała. Dobrze, że była ta druga, boby się rozsypała.

Na piętrze, o dziwo, nie było nikogo pilnującego. Może ich rozpoznanie było mylne? Może jakaś zmiana w rozkładzie dnia? Trochę ją to zbiło z pantałyku, ale bardziej ucieszyło.

Nacisnęła dzwonek.

Zawibrował; drzenie przeniosło się na jej ciało.

Wdech–wydech, wdech–wydech, wdech–wydech.

Otworzyła jej młoda dziewczyna w stroju służącej.

– Tak?... – Spojrzała na nią pytająco.

– Ja za Wiesię. Z praniem.

– Znowu?

„Przytaknij. Powiedz, że coś zostało”.

– Tak, bo jeszcze została druga paczka.

Dziewczyna się wahała. Była fizycznie podobna do Barbary; z charakteru może też. To znaczy do tej dawnej Barbary – nieśmiałej i niezdecydowanej.

– To ja zostawię, bo w domu mama... – zaczęła niby to speszona, śpiesząca się.

Podziałało.

– Prosto i drugie drzwi na lewo. Tam jeszcze jest...

Barbara już nie słuchała. Przeszła korytarzem, po miękkim dywanie, który tłumził jej kroki. Lekko pchnęła ciężkie drzwi.

Zobaczyła Leitgebera.

Zdrętwiała. Nie spodziewała się, że to tak będzie, że od razu na niego wpadnie. Myślała, że będzie musiała jakoś fortelem, grając nierozgarniętą lub ostatecznie tak wprost, przecież nie zależało jej już na życiu, tylko na tym, by go zabić, pomścić Henryka i już dłużej nie cierpieć, tymczasem on stał w tym pokoju i patrzył na nią. Tak po prostu.

– Pościel... – Wyciągnęła przed siebie rękę z przewieszonym pakunkiem.

Drzwi skrzypnęły i otworzyły się szerzej.

A jednak nie było to tak po prostu; zobaczyła bowiem kogoś jeszcze.

Lucynę.





## Rozdział trzydziesty trzeci



Czy chwile mogą się rozciągać w godziny?

Teraz już wiedziała, że tak.

Patrzyła na Leitgebera i na Lucynę. Na pakunek bielizny z pralni, który już widziała. Lucyna trzymała go na ręku, tak samo jak ona. I też nie wystawiła dłoni, choć przecież nie miała jej skaleczonej, bo nie rozorała sobie skóry, oplakując ukochanego.

Nie, Lucyna miała Zygmunta, miała wszystko.

„I broń w dłoni”, szepnęła jej ta druga.

Barbara już zrozumiała. Lucyna nie tyle miała zapobiec realizacji planu przez Barbarę, bo przecież musieli to wziąć pod uwagę – kobieta w rozpacz jest gotowa zrobić coś szalonego, co ubiec ją, przejąć ten plan. Zamiast niej przyjść tu i dokonać egzekucji. Kiedy zmienili zdanie? Gdy Henryk umarł? Może chcieli przyspieszyć akcję, bo jednak się bali, że umęczony coś zdradził? A może to było bez związku? Zresztą teraz to już nie miało znaczenia. Teraz liczyło się tylko jedno – zabić Leitgebera.

I on też to rozumiał.

Wyciągnął broń i wymierzył w Lucynę.

– *Werfen Sie die Waffe weg!* – powiedział do niej powoli.

Lucyna patrzyła na Barbarę, ale ta nawet nie drgnęła. Była opanowana jak nigdy. Zdeterminowana i gotowa.

„Na wszystko”, pomyślała Lucyna.

Kiwnęła głową. Uniosła obie ręce w geście poddania; płótno, w które zapakowano pranie, przesunęło się i odsłoniło dłoni

z pistoletem. Powoli przykucnęła i położyła broń na dywanie. Cicho, cichutko. Wszystko tu było takie miękkie, jasnokremowy dywan też.

„Ma kolor tej sukienki z Tamki, pięknej, choć trochę oszpeconej brzydkim brunatnym zaciekiem”.

Barbara nie spuszczała wzroku z mężczyzny stojącego naprzeciw niej. Gdyby on strzelił do Lucyny, na tym dywanie też by się pojawiła taka plama.

Krew tak trudno się spiera...

Ale nie strzelił, patrzył na Lucynę.

„Rusz się”, rozbrzmiało w głowie Barbary. „No, szybko”.

Ocknęła się i sięgnęła do torby. Sprawnie, prawie bezszelestnie. Może dlatego, że zdrową prawą ręką. Lewa ją piekła. Tam, gdzie miała rozdartą skórę. I tam, gdzie na palcu tkwił pierścionek z sercem naznaczonym czerwienią.

Więc nie usłyszał, dopiero po chwili, gdy się obrócił, zobaczył Barbarę unoszącą w jego stronę rękę z pistoletem.

– Zastrzel go!

Nie, to nie Lucyna to powiedziała, to znowu ten głos w jej głowie. Ale on i tak zrozumiał, że wpadł w zasadzkę. Wciąż jednak mierzył w Lucynę.

Tkwili w tym dziwnym, dramatycznym trójkącie i dla każdego z nich było jasne, w jaki sposób są połączeni.

Jeśli Barbara nie opuści ręki, nie rzuci broni na podłogę, on zastrzeli Lucynę.

Lucyna zginie, ale on też umrze, bo Barbara zdąży oddać strzał. Sprawiedliwości stanie się zadość.

Jeżeli Barbara odłoży broń, on może strzelić najpierw do niej, a potem do Lucyny. Jedna z nich straci życie. I, być może, będzie to Barbara, bo przecież Lucyna już wykorzystwała te swoje trzy wtopy. „Do trzech razy sztuka”, tak to brzmiało. W końcu wszystko się jej udawało, zawsze – życie, miłość, Zygmunt. Dlaczego teraz miałyby być inaczej? Dlaczego on miałby strzelić

najpierw do tej pięknej, złotej dziewczyny, która się zresztą poddała, a nie do jej mniej efektownej koleżanki? A jeśli żadnej nie zabije tutaj, by nie zabrudzić tego eleganckiego dywanu, tylko zleci katowanie ich na raty na Szucha? I Lucynę ktoś wyciągnie, skoro z jej kuzynem dało się to przeprowadzić? Lub choć uda się jej podać kapsułkę z cyjankiem, a Barbara będzie dogorywała powoli, mając czas na rozpamiętywanie niespełnionego życia?...

Tak, złotej dziewczynie wszystko zawsze się udawało, więc...

„I co zrobisz?”, rozbrzmiało w jej głowie.

Barbara powoli podniosła rękę i...



## Epilog



– „Jeśli to czytasz, to znaczy, że nam się udało. Do zobaczenia, może, w przyszłości”.

– Zobacz, jaka dziwna historia. – Poprawił okulary na nosie i podsunął jej gazetę.

– „Na podwórku posesji przy Targowej sześćdziesiąt pięć znaleziono skrzynie, najprawdopodobniej z czasów drugiej wojny światowej. Były w nich podkowy i uprząże oraz kartka z napisem: «Jeśli to czytasz, to znaczy, że nam się udało. Do zobaczenia, może, w przyszłości». Artur Pniewski z Muzeum Warszawy wyjaśnia, że to najprawdopodobniej skrzynie, w których we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku w pośpiechu zakopywano broń, by nie wpadła w ręce Niemców. Ktoś jednak, zapewne żołnierze z podziemia, bo o tym by świadczyła zostawiona kartka, wydobyl ją i wykorzystał w walce. To hipoteza, choć bardzo prawdopodobna. Dalsze losy...”

Odłożyła gazetę na stół.

– Zaintrygowało mnie to, bo to na Targowej. Numer sześćdziesiąt pięć. To mój... Ja tam kiedyś przecież mieszkałem. I w tym samym budynku ta broń... Ciekawe, czy to może ci, co przyszli do naszego mieszkania i...

– Krzysiu, Krzysiu... – Pogłaskała go po dłoni. – To tyle lat. Zresztą...

– Nie, nie bój się, nie będę się tu zbyt wżruszał i umierał na serce. Przecież wiesz, że nigdy tego nie żałowałem. Lepszej mamy

niż Basia bym nie mógł mieć. No a ojciec... ojciec, bo życie dał, ale skoro był wyrok, to słusznie, on okropne rzeczy robił. Okropne... Ja się tylko czasem zastanawiam, jak to możliwe, że ja nic nie pamiętam. Bo ja podobno byłem wtedy w mieszkaniu, kiedy to się stało. Tak mówiła ta ciotka, babka raczej cioteczna, kiedy do niej przyszedłem. Tyle przekazali Basi, gdy mnie zabierała z sierocińca. Taki był z niej dobry człowiek, to się aż nie zdarza.

Henryka pokiwała głową. Jej brat, adoptowany brat, miał rację. Mama była cudownym człowiekiem.

– I, patrz, ciebie przecież miała, taką malutką. A twój tata zginął. I ona z tobą, pogrobowcem, i ze mną, obcym sierotą... Mówiła, że to dlatego, że chciała zapełnić to puste miejsce po twoim tacie. „Połowa serca wolna, akurat dla ciebie”, tak mówiła do mnie. Ty dostałaś imię po ojcu, a ja – to wolne miejsce. – Sięgnął dłonią do oka.

– Krzys, no co ty. – Henryka nachyliła się ku niemu i pogłaskała go po ramieniu. – Zaraz przyjedzie Ania, zmartwi się, że ty w takim stanie. A ona z kolei w takim, że żadnych zmartwień jej nie trzeba. No.

Krzysztof pokiwał głową.

– Masz rację. Zresztą to tylko chwila wzruszenia. A w stanie jestem dobrym, ba! wyśmienitym.

To była prawda. Miał już osiemdziesiąt lat, a włosy wciąż błyszczące, rude, bez śladu siwizny. I zieleń oka niezmaconą.

Henryka uśmiechnęła się do niego. Ona, widać taki los w tej kobiecej linii, nie miała dzieci, nigdy nie wyszła za mąż. Jakoś tak się złożyło. Wybrała naukę zamiast małżeństwa. Całe życie mieszkała z matką, opiekowała się nią do śmierci. Mama nie miała żadnej rodziny, tylko ich. Krzys się szczęśliwie ożenił, wyprowadził. One były razem. Mama właściwie nie miała też bliższych znajomych, taka była trochę odosobniona. Henryki to nie dziwiło; trauma wojenna zostawiała ludzi w okropnym stanie, a mama przecież swoje przeszła. Nie tak jak tata, bo on z bronią

w ręku, w końcu to mężczyzna, ale raz też była na granicy śmierci. Ta ważna akcja, na... nie mogła sobie teraz przypomnieć nazwiska tego Niemca... W każdym razie to była duża sprawa, mama i ciocia miały udział w sukcesie, jakim się zakończyła. To zresztą była tajemnicza sprawa, owiana mgłą niedopowiedzeń. Po wojnie się nie mówiło, mama też nic nie zdradziła, dopiero ciocia przed śmiercią jej o tym opowiedziała, choć wtedy już była w takim stanie, że wiele zrozumieć się nie dało. Trochę szkoda; choć – czy to miało aż takie znaczenie?...

Ciocia Lucyna. Tak, właściwie jedyna bliższa mamie osoba. Może tak się z mamą trzymały, bo ona też wdowa wojenna. Jej mąż – czy narzeczony? – Zygmunt chyba, zginął podczas tej akcji. A je potem los splątał. Choć... Henryka miała wrażenie, że łączyła je nie radość życia, a smutek po śmierci ich mężczyzn.

Otarła łzę.

– Masz? – zapytał ją nagle Krzysztof. – Pamiętałaś?

Kiwnęła głową. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej małe szarżale pudełeczko.

– Bo wiesz, co sobie pomyślałem? Że ja bym może te pamiątki, wiesz, Ani dał, co? Bo ja już stary, ty siedem lat młodsza, ale, bez urazy, to już też nie pierwsza młodość...

Uśmiechnęła się. Niby przyszyty, a kochała go jak własnego, najprawdziwszego brata. Zawsze byli blisko, zawsze się wspierali. Aż trudno było uwierzyć, że nie ma między nimi więzów krwi – taka harmonia dusz.

– Daj, pewnie – zgodziła się.

– Bo... a powiem ci, bo i tak się zaraz dowiesz... – Doszedł do kredensu i otworzył drzwiczki. Sięgnął do środka. Wyjął ozdobne tekturowe pudełko. Zdjął pokrywkę i wyciągnął z niego poźółkły notes. Najpierw jednak otworzył pakuneczek, który ona przyniosła. – O, ten pierścionek... – Trzymał w palcach złoty przedmiot. – Tyle lat, a to przebarwienie jest. Mama mówiła, że

to od żelaza, że gdzieś go kiedyś ukryła i tak się zabrudził. Myślałem, że może dałaś do odczyszczenia...

– Nie, nic nie chciałam zmieniać, niech będzie tak.

Kiwnął głową.

– A, bo widzisz, ja ci nie powiedziałem w końcu... Ania przychodzi...

– Mówiłeś. – Uśmiechnęła się.

– I jest w ciąży.

– To też wiem, od kilku tygodni.

– I urodzi nam... prawnuczkę.

– O, a tego nie wiedziałam.

Wzruszyła się.

– Właśnie. Więc będzie dziewczynka. I wiesz, jak dostanie na imię?

– No?...

– Barbara. Basia. Na cześć dzielnej praprababci.

– Ucieszyłyby się. – Henryce zadrżał głos.

– I dlatego chciałbym te dwie pamiątki podarować Ani. A ona je – swojej córce. Ten pierścionek i te zapiski. Zaraz, gdzie to... – Odłożył pierścionek, sięgnął po notes. – O, tu jest: „A jednak dokończę, a potem zamażę, co trzeba. Nie, lepiej wyrwę te strony i spalę. A może gdzieś schowam? Żeby kiedyś, gdy się wojna skończy, móc to wszystko razem przeczytać. Zobaczyć, jaka byłam kiedyś, a jaka będę w przyszłości. Przekonać się, że wiele obaw i kompleksów było nieuzasadnionych. Chciałabym, żeby tak było, żebym była z siebie dumna. Żeby inni byli ze mnie dumni. Na razie moim osiągnięciem jest to, że udało mi się przeżyć”.

– Taka była skromna... – Krzysztof westchnął. – Szkoda, że dopiero po jej śmierci to przeczytaliśmy. A te wyrwane strony... Ciekawe, co na nich mogło być? Zastanawiam się czasem nad tym.

– Pewnie konspiracyjne sprawy, za to w końcu dostała medal. Zresztą... – Henryka wzięła notes z rąk brata, zamknęła go i położyła na stół. – Bardziej od słów liczy się to. – Pogłaskała



serce z pierścionka. – A to miała złote, choćby była na nim jakaś drobna skaza.



# Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)  
[Rozdział dziewiętnasty](#)  
[Rozdział dwudziesty](#)  
[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)  
[Rozdział dwudziesty drugi](#)  
[Rozdział dwudziesty trzeci](#)  
[Rozdział dwudziesty czwarty](#)  
[Rozdział dwudziesty piąty](#)  
[Rozdział dwudziesty szósty](#)  
[Rozdział dwudziesty siódmy](#)  
[Rozdział dwudziesty ósmy](#)  
[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)  
[Rozdział trzydziesty](#)  
[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)  
[Rozdział trzydziesty drugi](#)  
[Rozdział trzydziesty trzeci](#)  
[Epilog](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Agnieszka Jeż, 2021  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Projekt okładki: Pola i Daniel Rusiłowiczowie/KAV Studio  
Zdjęcia na okładce: © Joanna Czogala/Arcangel, © dimm3d/shutterstock

Redakcja: Lena Marciniak-Cąkała/Słowne Babki  
Korekta: Magdalena Mierzejewska/Słowne Babki  
Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-972-8

**FILIA**

Wydawnictwo FILIA  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.